



**GWIEZDNE
WOJNY**

PRZED BURZĄ

Tom I trylogii KRYZYS CZARNEJ FLOTY

MICHAEL P. KUBE-McDOWELL

Przekład
RADOSŁAW KOT

AMBER

Tytuł oryginału
BEFORE THE STORM

Ilustracja na okładce
DREW STRUZAN

Redakcja stylistyczna
WANDA MONASTYRSKA

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
RENATA BIEGAJO

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER oraz
możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie Internetu
<http://www.amber.supermedia.pl>

Copyright © & TM 1996 by Lucasfilm, Ltd
All rights reserved. Used under authorization.
Published originally under the title
Before the Storm by Bantam Books

*Pamięci mojego dziadka
Daytona Percivala Deicha, 1896-1975,
który wierzył w istnienie wszechświata
pełnego niezwykłych cudów.*

*I dla moich dzieci
Matthew Tyndalla, urodzonego w 1983 roku,
I Amandy Kataryn, urodzonej w 1995 roku.
Oby ich życie było radosną podróżą
przez prywatny cudowny wszechświat.*

PROLOG

Osiem miesięcy po Bitwie o Endor

Orbitalna stocznia remontowa sił Imperium nad N'zoth (wywołanie kodowe Black Piętnaście) stanowiła jednostkę znormalizowaną i posiadała dziewięć olbrzymich doków ustawionych w kwadrat. Rankiem w dniu wycofania oddziałów imperialnych z N'zoth wszystkie były zajęte.

W zwykłych okolicznościach zespół dziewięciu gwiazdnych niszczycieli tworzyłby siłę zdolną przeciwstawić się skutecznie każdemu przeciwnikowi.

Jednak tego poranka tylko jeden z gigantów gotów był do wyjścia w przestrzeń.

To właśnie budziło niepokój Jiana Pareta, dowódcy imperialnego garnizonu na N'zoth. Spoglądał teraz na doki ze swego centrum dowodzenia, a otrzymane przed kilkoma godzinami rozkazy jeszcze dźwięczały mu w uszach:

Nakazuje się ewakuację całego, powtarzam: całego garnizonu naziemnego w najszybszym możliwym tempie i z użyciem wszystkich zdolnych do lotu jednostek. Przed wycofaniem z systemu zniszczyć stocznię remontową i wszystkie inne instalacje.

Podobny stan ducha cechował tego dnia Nila Spaara, dowódcę podziemia Yevethów, który wraz ze swą brygadą podążał do pracy wahadłowcem orbitalnym. On także niedawno otrzymał nowe rozkazy:

„Przekazać wszystkim zespołom, że imperialni dowódcy zarządzili ewakuację. Natychmiast wykonać plan podstawowy. Nadszedł dzień zapłaty. Te statki to nasza krwawica więc je przejmujemy. Niech każdy okaże się godny miana Yevetha”.

Dziewięć okrętów wojennych.

Dziewięć cennych łupów.

Najciężej uszkodzony, „Groźny”, dostał ciężkie baty podczas odwrotu spod Endoru. Pozostałe zgromadzone wokół stoczni jednostki tworzyły osobliwą zbieraninę: można było znaleźć wśród nich zarówno stare, obecnie modernizowane średnie krążowniki, jak i niedysyjszy pancernik klasy Dreadnaught, przebudowany na platformę testową (typ EX-F) dla nowych systemów uzbrojenia i napędu.

Najważniejszy w całej flotyli był niszczyciel „Postrach” zacumowany przy jednym z otwartych doków. Zdolny do żeglugi, nie osiągnął jednak jeszcze gotowości bojowej i przybył na Black Piętnaście w celu przeprowadzenia prac wykończeniowych, jako że dowództwu zależało na jak najszybszym zwolnieniu wielkiego doku typu Super w stoczni na Core, gdzie mieściła się kwatera główna.

Niszczyciel był dość obszerny, by zabrać całą obsadę garnizonu i dodatkowo wiele innych osób oraz dysponował siłą ognia po-zwalającą na zniszczenie zarówno stoczni, jak i cumujących wokół jednostek. Paret przeniósł się na jego mostek niecałą godzinę po otrzymaniu nowych rozkazów.

Niestety, „Postrach” nie mógł wyruszyć tak szybko, jak by Paret sobie tego życzył. Dysponował zaledwie trzecią częścią standardowej załogi, wystarczającą na pełna obsadzenie tylko jednej wachty, a to za mało, by szybko przygotować do rejsu okręt tych rozmiarów.

Co więcej, dziewięciu na każdym dziesięciu robotników pracujących na Black Piętnaście należało do Yavethów. Paret pogardzał tymi wychudłymi niczym szkielety istotami o zaciętych twarzach. Ale co miał począć? Gdyby zamknął przed nimi jednostkę ze względów bezpieczeństwa, zaczęliby coś przeczuwać. Podobnie zresztą, jak w przypadku nieoczekiwanego zmuszenia ich do dodatkowych prac, by szybciej skończyli. tak czy tak, Yevethowie zapewne spróbowaliby wówczas uniemożliwić ewakuację ludzi z powierzchni.

Jedynie co mógł zarządzić, to niezapowiedziane ćwiczenia. Niech się załadują, niech przejdą kolejne, długie jak nieszczęście, procedury odliczania i kontroli, wszystko zgodnie z regulaminem. Gdy transportowce i wahadłowiec gubernatora dotrą do niszczyciela, szczątkowa obsada zamknie luki, odetnie cumy i zostawi N'zorth za rufą. Ale dopiero wtedy i ani chwili wcześniej.

Stan ducha komandora Pareta nie był dla Nila Spaara żadną tajemnicą. O rozwoju wydarzeń wiedział tyle samo, co on, a nawet więcej. Od ponad pięciu lat pracował nad utworzeniem misternej siatki konspiratorów i obecnie nic ważnego nie miało prawa ujść jego uwagi. Ostatnio uzyskane informacje stały się dlań podstawą do ułożenia całkiem zgrabnego planu.

Od ludzi pracujących na pokładach imperialnych okrętów zażądał, by zaczęli popełniać więcej drobnych błędów. Niech nawet prowokują niegroźne wypadki, a wszystko po to, by stosowni, fachowcy poczuli się zmuszeni do udzielania im wyczerpujących instrukcji i wyjaśnień. W ten sposób robotnicy sami stawali się specjalistami mogącymi utworzyć załogi. Do czasu mieli okazywać dowódcom Czarnej Floty pełną lojalność, zdobywać ich zaufanie i status niezastąpionych.

Dzięki owemu zaufaniu nawet opóźnienie tempa prac nie wzbudziło niczych podejrzeń. W ciągu tych kilku miesięcy, które minęły od Bitwy o Endor, Yevethowie przejęli kluczowe stanowiska robocze zarówno na pokładach, jak i w samej stoczni.

Pozostawało tylko czekać cierpliwie i czerpać korzyści z nowego statusu. Nil Spaar wiedział, że stosowna chwila wreszcie nadeszła.

Wiedział też, że nie musi obawiać się interwencji „Czarownicy”, niszczyciela klasy Victory, który nie tak dawno ochraniał stocznie i patrolował cały system. Trzy tygodnie temu „Czarownica” otrzymała rozkaz dołączenia do pozostałych jednostek floty przegrywającej sromotnie bój o Notak.

Miał świadomość, że Paret nie zdoła zamknąć „Postrach” przed jego ludźmi i nawet pełna hermetyzacja jednostki połączona z alarmem bojowym nic nie zmieni.

Ponad tuzin zewnętrznych luków w sekcjach siedemnaście i dwadzieścia jeden zostało przerobionych tak, że kontrolki informowały o ich zamknięciu i zabezpieczeniu niezależnie od stanu faktycznego.

Nawet gdyby „Postrach” zdołał jakoś odbić, nie miał szans na ucieczkę czy otwarcie ognia. Rozmieszczone w różnych miejscach kadłuba ładunki wybuchowe czekały tylko na chwilę uaktywnienia siłowych pól okrętu. Wraz z ustaniem sygnału blokującego zapłon miały otworzyć burty na próżnię.

Wahadłowiec zbliżał się właśnie do końcówki dokującej, ale Nil Spaar nie odczuwał ani strachu, ani napięcia. Zrobił wszystko co było w jego mocy i teraz mógł tylko czekać radośnie na coraz bliższą, nieuniknioną już walkę. Nie miał wątpliwości., czym się ona zakończy.

Nil Spaar, wraz z pierwszą drużyną wszedł na pokład „Postrachu” lukami w sekcji siedemnaście, druga zaś, pod dowództwem Dara Bille'a, wniknęła do sekcji dwadzieścia jeden. Towarzyszył jej oddział wspierający.

Odbyło się bez zbędnego gadania, każdy z nich znał rozkład pomieszczeń i przejść równie dobrze, jak imperialna załoga. Przemykali niczym duchy korytarzami i włazami oficjalnie niby zamkniętymi (o co postarali się już inni konspiratorzy), korzystali z luków nie widniejących na żadnym oficjalnym planie niszczyciela. Nie musieli nawet wyciągać broni, nie mówiąc ostrzeleniu. W ciągu kilku minut niedostrzeżeni dotarli do mostka.

Kiedy tam weszli, już z bronią w dłoniach i pełną świadomością, które stanowiska będą obsadzone, gdzie stoją straża i kto może włączyć alarm pokładowy, nil Spaar nie bawił się w dyplomację. Miast nawoływać do poddania czy wygłaszać inne, pełne patosu i dramatyczne teksty, podbiegł po prostu do oficera wachtowego i jednym strzałem zmasakrował jego oblicze.

Reszta drużyny natychmiast skoczyła ku swoim celom. W kilka sekund zabili tych sześciu żywnych na mostku, którzy mogli ze swoich stanowisk ogłosić alarm. Pozostali, wraz z komandorem Peretem, niebawem leżeli pokotem na podłodze za związanymi z tyłu rękami.

Poszło naprawdę łatwo. Przejęli niszczyciel. Dobre zgranie w czasie ma swoje niezaprzeczalne plusy.

- Sygnał z wahadłowca gubernatora - zameldował jeden z Yevethów, sadowiąc się przy module łączności. - Transportowce właśnie wystartowały. Żadnych kłopotów.

Nil Spaar z zadowoleniem kiwał głową.

- Potwierdzić odbiór. Przekazać załodze, że podejmujemy manewry dla przyjęcia składu garnizonu. Powiadomić stocznię, że odbijamy.

Grupa imperialnych transportowców wyłoniła się z atmosferycznej mgielki niczym zmierzający do ula rój owadów. Na pokładach statków tłoczyło się ponad dwadzieścia tysięcy obywateli Imperium: żołnierze, urzędnicy, technicy i ich rodziny.

- Otworzyć wszystkie wrota hangarów - nakazał Nil Spaar.

Mając wielki, sztyletowaty kształt niszczyciela w zasięgu wzroku, transportowce zwolniły i zaczęły ustawiać się na kursach do dokowania.

- Gotowość dla baterii z samonaprowadzaniem - rzucił Spaar.

Obecni na mostku jeńcy aż jęknęli i spojrzeli na ekrany.

- Ale z was tchórze! - krzyknął komandor Paret. - Prawdziwy żołnierz nigdy by się tak nie zachował. To nie honorowo zabijać bezbronych.

Nil Spaar zignorował jego uwagę.

- Wprowadzić cele.

- Ty żalosny głupcze. Przecież już wygraliście. Po co?

- Ognia - rozkazał Spaar.

Pokład lekko zawibrował, gdy baterie przemówiły. Zbliżające się transportowce wybuchły kulami ognia. Chwila, i było po wszystkim. Żaden nie ocalał. W chwilą później wewnętrzne łącza przyniosły potok krzyków i pełnych zgrozy pytań ze wszystkich zakątków jednostki. Świadków masakry można było liczyć w setki.

Spaar odwrócił się od ekranu i przeszedł przez mostek do miejsca, gdzie leżał komandor Paret. Złapał imperialnego dowódcę za włosy, wyciągnął go spomiędzy jeńców i kopniakiem odsunął jeszcze dalej.. Potem podniósł go za ubranie. Przez chwilę zawisł nad komandorem niczym potężny demon zemsty - z zimnymi, czarnymi i szeroko osadzonymi oczami nad wydatną, białą chrząstką nosową i szkarłatnymi smugami włosów porastającymi policzki i szczękę.

Potem syknął i zwinął prawą dłoń w pięść. W okolicy nadgarstka pokazał się długi, zakrzywiony pazur.

- Ty szczurze - powiedział lodowatym głosem Spaar i przeciągnął pazurem po gardle komandora.

Odczekał chwilę, aż ustana drgawki, i cisnął trupa na pokład. Odwrócił się do spiskowca siedzącego przy module łączności.

- Przekaż załodze, że zostali więźniami Protektoratu Yevethów i Jego Wysokości wicekróla - polecił, ocierając pazur o nogawkę spodni ofiary. - Powiedz im też, że od dzisiaj ich przetrwanie będzie zależeć od tego, na ile okażą się dla nas użyteczni. A potem chcę rozmawiać z wicekrólem. Niech dowie się o naszym sukcesie.

ROZDZIAŁ

1

Dwanaście lat później

Piąta Grupa Bojowa, część Sił Samoobrony Nowej Republiki, wychynęła bezgłośnie z ciszy kosmosu i zawisła nad planetą Bessimirą niczym cudowny, ale śmiertelnie niebezpieczny kwiat.

Pierwsza pojawiła się niespodziewanie formacja ciężkich jednostek z białymi niczym płomień kilwaterami poszarpanej tkanki przestrzeni: pękate lotniskowce uderzeniowe w eskorcie uzbrojonych po zęby niszczycieli. Za nimi pokazały się krążowniki z pokładami lotniskowymi, wszystkie o wypolerowanych na lustrzaną gładź kadłubach.

Niemal w tym samym czasie wyłoniła się z niebytu grupa mniejszych statków. Obecne wśród nich myśliwce otoczyły je zaraz kulistym ekranem obronnym. Tymczasem niszczyciele nieco przeformowały szyki i zaczęły wypływać kolejne eskadry myśliwców.

Chwilę później z pokładów lotniskowców i krążowników zaczęły startować bombowce, desantowce i jednostki artyleryjskie. Wylatywały w wyraźnym pośpiechu, ale taka właśnie taktyka była najskuteczniejsza. Siły zbrojne Republiki zapłaciły wysoką cenę, zanim się o tym przekonały. Nad Orindą dowódca lotniskowca szturmowego „Wytrwałość” pragnął ochronić mniejsze jednostki od imperialnego ognia i trzymał myśliwce na stanowiskach startowych tak długo, aż jego okręt padł ofiarą ataku niszczyciela klasy Super. W ognistej eksplozji stracono i cenny lotniskowiec, i wszystkie myśliwce.

Niedługo po tym wydarzeniu ponad dwieście mniejszych i większych okrętów wojennych ruszyło na Bessimirę i jej bliźniacze księżyce. Na razie z potęgi armady zdawały sobie sprawę tylko jej załogi. Wszystko odbywało się w niemal idealnej ciszy, przerywanej jedynie krótkimi trzaskami kodowanych wiadomości przekazywanych błyskawicznie pomiędzy jednostkami.

Pośrodku formacji płynął okręt flagowy Piątej Grupy Bojowej, lotniskowiec uderzeniowy „Nieustraszone”. Była to nowiutka jednostka, która dopiero opuściła stocznice na Hakassi. Na pokładach wciąż czuło się zapach uszczelniaczy i środków używanych przy ostatnim pucowaniu, a wielkie silniki podświetlne zawodziły

wysokimi tonami w sposób typowy dla mechanizmów nie do końca dotartych. Załogi nazywały to „kwileniem”.

Zmiana woni na bardziej codzienną miała potrwać co najmniej rok, dopiero po takim czasie goście na pokładach nowych jednostek przestawali zwykle pociągać podejrzliwie nosem. Silnikom powinno wystarczyć jeszcze ze sto godzin pracy, a ich ton opadnie o dwie oktawy i zmieni się w typowy pomruk ciągu pomocniczego.

Na mostku „Nieustraszonego” spacerował tam i z powrotem wysoki Domeanin w mundurze generała. Powieki miał spuchnięte, a bezwłose oblicze czerwone z napięcia, co stanowiło typową acz nieświadomą reakcję Dornean. Chociaż akcja zaczęła się niecałą minutę temu, były już pierwsze ofiary.

Transportowiec floty „Ahazi” zakończył skok za daleko i wyszedł z nadprzestrzeni w górnych warstwach atmosfery planety. Załoga nie miała nawet czasu, by skorygować błąd. Dowodzący po raz pierwszy tak wielką operacją Etan A’baht ujrzał jedynie ognistą smugę na ekranach i było po wszystkim. Sześciuosobowa, młoda załoga zginęła.

Nie miał jednak czasu, by opłakiwać ich śmierć. Na monitorach błyskały obrazy dostarczane przez tuziny skanerów z jednostek desantowych i satelitów szpiegowskich. Centrala bojowa nadsyłała w każdej sekundzie kilkanaście nowych meldunków.

Plan desantu przewidywał ścisłe zgranie działań poszczególnych zespołów i śmierć paru osób nie miała prawa niczego zmienić. Centrala szybko wyznaczyła rezerwowego transportowca na miejsce utraconego. Oby wasze duchy wleciały jak najwyżej, a ciała spoczęły spokojnie w głębinach, pomyślał generał A’bath, wspominając dawną modlitwę borneańskich marynarzy. Potem spojrzął na diagram planu operacji. Przyjdzie jeszcze czas na żałobę.

- Faza pierwsza zakończona - rzucił porucznik przy pobliskiej konsolce. - Przejście i wstępna penetracja wykonane. Dowódca desantu melduje siły na pozycjach wyjściowych. Czeka na ostateczny rozkaz przystąpienia do akcji.

- Faza pierwsza zakończona, przyjęłem - potwierdził A’bath. - Niech wszystkie stanowiska potwierdzą gotowość.

- Centrala bojowa, potwierdzam.

- Zwiad bojowy, potwierdzam.

- Wsparcie taktyczne, potwierdzam.

- Łączność, potwierdzam.

- Operacyjny floty, potwierdzam.

- Kontrola obszaru, potwierdzam.

- Sekcja naziemna, potwierdzam.

- Rozumiem, że wszyscy potwierdzają gotowość - powiedział generał A’baht zdecydowanym tonem. - Rozkazuje, ruszać, zielone światło dla wszystkich. Powtarzam, zielone światło.

- Zielone światło, potwierdzam - zameldował porucznik i przekręcił klucz na swojej konsolce. - Do dowódcy desantu. Masz zielone światło. Wszystko gotowe, systemy ciepłe, cel czeka.

Niemal natychmiast trzy krążowniki w asyście eskadry bombowców typu K wyłamały się z szyku i wysunęły przed formację. Ich nowa orbita miała przebiegać nad południowym biegunem planety idealnym obszarem do wyprowadzenia ataku na księżyc alfa, gdzie mieściła się tutejsza główna baza myśliwców i fort z ciężkimi bateriami. W tej chwili, z punktu widzenia armady, księżyc ciągle wznosił się nad horyzontem.

Para szybkich myśliwców typu A skoczyła na bok, by przechwycić i zniszczyć satelity obserwacyjne i planety łącznościowe. To właśnie te myśliwce wystrzeliły pierwsze salwy w desancie na Bessimir. Wszystkie zresztą celne. Po satelitach pozostało tylko trochę orbitalnego śmiecia.

Myśliwce pierwsze ściągnęły też na siebie ogień baterii dział jonowych z powierzchni planety. Ożyły one zbyt późno, by ochronić orbitalne oczy, a na dodatek lekkomyślnie ujawniły swe położenie. Starczyło kilka chwil, by artylerzyści prowadzących atak krążowników wstrzelali się w cel.

Lasery wysokiej mocy obrysowały stanowiska baterii i oślepiły systemy celownicze. Potem umilkły w oczekiwaniu na ogień kontrbaterijny ze stanowisk rezerwowych, a gdy żadne się nie uaktywniło, działo pulsacyjne niszczyciela zaczęło metodycznie niszczyć jedną baterię po drugiej, zmieniając wszystkie w dymiące, czarne krater. Jedyną stratą był myśliwiec typu A z eskadry Blackfire, który podczas podejścia do satelity zwiadowczego trafił prawym skrzydłem na uśpioną, suchą minę.

Z drugiej strony planety flotylla krążowników podchodziła szybko na kursie kolizyjnym do księżyca alfa. Z ukrytych wyrzutni natychmiast wystrzeliły drony, niemal w pełni zautomatyzowane myśliwce. Nie zrażeni tym napastnicy zmienili szyk na czołowy i zaczęli wystrzeliwać roje bomb penetrujących.

Wysokie na chłopa bomby, każda czarna i zwieńczona wzmocnionym szpikulcem, poszybowały ku powierzchni księżyca, a krążowniki wyrwały w górę. Podobnie zresztą uczyniły zdalnieki. Chwilę później opadło maskowanie z tuzina księżycowych baterii które otworzyły ogień do nadlatujących bomb.

Jednak trafienie w poruszającą się jedynie dzięki sile bezwładności bombę penetrującą nie przedstawiało się zbyt łatwo. Ich czarne powłoki były niemal równie lodowate jak próżnia, nie stanowiły też wcale dużego celu. Większość przedostała się przez ogień zaporowy bez szwanku. Dwie sekundy przed upadkiem włączyły się małe silniczki raketowe umieszczone w ognie każdej z bomb, co zwiększyło impet uderzenia i pozwoliło ładunkom wbić się głębiej w grunt.

Nim jeszcze opadł wzniesiony tym pył, wszystkie bomby eksplodowały jak jedna. Z góry dało dojrzeć się jedynie krótki błysk i trochę ognia, główny impet eksplozji skierował się ku wnętrzu planety. Fala uderzeniowa zdruzgotała pancerne ściany, zawałiła stropy. Po chwili przez wyłamane wrota wyrzutni buchnął kurz, a grunt zaczął się zapadać. Największa niecka utworzyła się w miejscu, gdzie krył się główny hangar.

W chwili eksplozji bomb Eseje Tupetu leciał na czele formacji osiemnastu bombowców podążających śladem krążowników.

- Słodka mamusko chaosu - westchnął porażony widokiem. Na moment zdjął dłonie ze sterów, złożył nadgarstki i pochylił ku nim czoło, oddając, wedle zwyczaju Narvathów, hołd trawiącym wszystko płomieniom.

Z drugiego fotela dobiegło podobne westchnienie.

- Niech gadają co chcą - stwierdził operator broni. - To było coś.

- Na dodatek mieliśmy najlepszy widok ze wszystkich - dodał Tupetu.

Rozejrzeli się wokoło, sprawdzili na skanerach. Nie zauważyli nowych myśliwców. Baterie naziemne też milczały.

Za to ocalałe zdalnieki nadal próbowały walczyć. Zostawione bez kontroli, uruchomiły awaryjne programy bojowe z samodzielnym wyszukiwaniem celów. Najpierw kierowały się oczywiście ku tym największym, ku krążownikom. Zwrotne, ale słabo uzbrojone, nie zdziałały zbyt wiele. Baterie krążowników niszczyły je masowo.

- Ale polowanie! - wykrzyknął Tukutu, lecz nie słyszał go nikt poza towarzyszem na pokładzie. Wciąż obowiązywała ścisła cicha radiowa, trudna wprawdzie do pogodzenia z koniecznością latania w ciasnych formacjach i sztywnym rozkładem czasowym operacji, ale konieczna.

- Chyba się uda - stwierdził operator z nadzieją w głosie. - Jak sądzisz?

- Musi się udać - odparł Tuketu, myśląc o tym, co jeszcze mieli do zrobienia.

Jedynym realnym zagrożeniem dla floty pozostawało obecnie wielkie działo liniowe skryte na drugiej półkuli wirującego w swoim tempie księżyca. Już niebawem stanowisko działa miało wzejść nad Bessimirą, a wówczas cała republikańska flota znalazłaby się w zasięgu strzału.

Według raportów androidów zwiadowczych bateria została wyposażona w skuteczne pola siłowe chroniące tak przed promieniowaniem czy strumieniami energii, jak i przed klasycznymi środkami napadu. Co więcej, ponieważ zasilanie samego działa oraz generatory osłon skryto głęboko pod skalną powierzchnią księżyca, atak taki jak w przypadku bazy myśliwców, tutaj mógł okazać się nieskuteczny. Gdyby zaś główne jednostki musiały manewrować pod ogniem, strata przynajmniej kilku z nich byłaby nieunikniona. Osiemnaście bombowców Tukety miało temu zapobiec.

- Dochodzimy do punktu rozejścia - oznajmił Skids, spoglądając to na wyświetlacz czasu pokładowego, to na przemijającą tuż poniżej nierówną powierzchnię księżyca.

- Panuję nad sytuacją - mruknął Tuketu.

- Mam nadzieję - stwierdził nieco nerwowo Skids. - Mamusia liczy, że osiągnę coś w życiu. I nie chodzi jej o dziurawienie miejsc i bez tego dość dziurawych.

- Rozejście za dziesięć - powiedział Tuketu. - Sygnał dla formacji. Za pięć. - Odezwał się alarm kolizyjny. Skąły księżyc przepływał upiornie blisko. - Teraz!

Cały stateczek zadrżał, gdy awaryjne dysze hamujące uniosły nos bombowca ponad horyzont. Tupetu i Skids tkwili w fotelach przygniecieni przeciążeniem, a księżyc tańczył pod nimi. Ledwo mogli złapać oddech.

W końcu wibracje ustały. Leżeli na nowym kursie, jednak teraz towarzyszyły im w szyku tylko dwa bombowce. Nalot miał zostać przeprowadzony przez małe grupy

nadciągające z różnych stron. Przy odrobinie szczęścia wszystkie powinny zjawić się nad celem niemal w tym samym czasie.

- Przepraszam, ale czy ktoś może widział moją piątą klepkę? - spytał piskliwie Skids. - Jeszcze przed chwilą była na miejscu...

Tuketu roześmiał się.

- To jest jazda, co?

- Wolę już drapać rankora za uchem. Obawiam się, że muszę pana pozbawić dowodzenia, sir. Natychmiast, sir. Jak tylko wrócimy, zaraz zamelduje, że postradał pan zmysły, sir. Proszę oddać stery i zachować spokój.

Tuketu uśmiechnął się i sięgnął do kontrolki ciągu pomocniczego.

- Złapaliśmy drobne opóźnienie nad pierwszym punktem kontrolnym. Trochę pogonię. Pilnuj, by tamci utrzymali szyk.

- Potwierdzam, Tuke - powiedział Skids i spojrzał najpierw w lewo, potem w prawo. - Na klejnot Haarkana, podwiesili nam tyle żelastwa, jakbyśmy sami mieli naprawić całe zło tego świata.

- Miejmy nadzieję, że nie wszystko będzie nam potrzebne - mruknął Tuketu pod nosem.

Wedle meldunków Wywiadu Floty dostarczonych sztabowi Piątej Grupy działo liniowe w systemie Bessimiry miało szybkostrzelność sto dwadzieścia pocisków na minutę, chociaż rzadko prowadziło ogień ciągły dłużej niż przez dziesięć sekund. Dla uniknięcia odchylenia toru lotu ładunków przyspieszanych do prędkości nadświetlnej system odpalania zsynchronizowany był ze sterownikami tarczy, która zniknęła na ułamek sekundy potrzebny dla przepuszczenia pocisku.

Podczas prowadzenia ostrzału migotała zatem z wielką częstotliwością niczym lampka stroboskopowa. Należało tylko stosownie się dostroić i załatwić sprawę. Dlatego właśnie dwa spośród trzech bombowców każdego klucza przygotowano jak do klasycznego napadu powietrznego - żadnej broni energetycznej, tylko zwykłe działka i masa rakiet. Jeżeli chociaż jeden pocisk z tego arsenału przeniknie przez pole i dotrze do celu...

W roli przynęty miał wystąpić niszczyciel „Decyzja”, który wyposażono na tę okazję w dodatkowe ochronne pola siłowe, zasilane z generatorów głównego napędu. Okręt wyszedł z nadprzeni niemal dokładnie w środku pola ostrzału działka i dokładnie w chwili, gdy zespoły bombowców zbliżały się do strefy chronionej przez tarczę. Nadal leciały bardzo nisko, korzystając z każdej przeszkody terenowej, byle tylko jak najdłużej uniknąć wykrycia.

A'bach spoglądał nerwowo na ekran i mrówki chodziły mu po kręgosłupach. Jeszcze kilka chwil, a obrona dostrzeże bombowce, pojmie, co się szykuje.

- Strzelajcie - wyszeptał. - No, połknijcie haczyk.

Esege Tuketu odmierzał odległość pozostałą jeszcze do strefy obronnej, przedstawioną na wyświetlaczu jako gruba, czerwona linia, i przygotowywał się do zamazującej obraz w oczach ostrej świecy wyprowadzającej z kursu bojowego.

Sekundy ciągnęły się jak wieczność.

Nagle, wiedziony dziwnym impulsem, sięgnął do przełącznika nadawania.

- Dowódca Czerwonych do Dwójki i Trójki - powiedział, przerywając nakazaną ciszę w eterze. - Trzymać się celu, nie odchodzić!

- Co robisz?! - zaprotestował Skids.

Tuketu pokręcił głową.

- Nie możemy czekać, aż sami zaczną.

Trzeci skoczył gwałtownie w prawo, by z minimalnym zapasem przemknąć obok tarczy, ale pilot dwójki zaryzykował. Bez zmiany kursu minął punkt wyciągnięcia i otworzył ogień. Srebrzysty strumień pocisków wystrzelił spod skrzydeł w stronę wieży mieszczącej emitery pola.

- Przepraszam, Tuke, nie zdążyłem, podchodzę ponownie - zameldował pilot trójki.

W tej samej chwili działo ryknęło i ciągłym staccato zaczęło wypluwać pociski w kierunku „Decyzji”.

Drugi uciekł w lewo i w górę, jednak jego działka nie przerwały ognia.

- No dalej, dalej - mruczał Tuketu. - Załatw drania.

Salwa dosięgła tarczy, zanim wielkie działko umilkło. Większość pocisków po prostu odbiła się i uszkodzona spadła na ziemię, część eksplodowała zwiedziona silnymi prądami indukcyjnymi, dwa jednak przeszły dalej. I trafiły. Kopuła na szczycie wieży zapłonęła i rozpadła się przy wtórze huków detonacji.

- Skąd wiedziałeś? - spytał zdumiony Skids.

Tuketu potrząsnął głową.

- Nie wiedziałem - powiedział zwiększając szybkość. Przed nimi leżały instalacje baterii.

Jak ogromna bestia walcząca o życie, działko nie przerywało ostrzału „Decyzji”. Wielki okręt był zbyt łatwym celem, by móc bronić się skutecznymi unikami, toteż komandor Syub Snunb z niepokojem myślał, czy ekrany wytrzymają dostatecznie długo. Pociski atakowały je z taką siłą, że cały kadłub drżał i wibrował.

- Klucz Czerwonych przeniknął do perymetru - zameldował porucznik.

Oparty o grodz Snunb skinął głową.

- No to zrobiliśmy już swoje. Śledzić tor nadlatujących pocisków. Nawigacyjny, ustawić nas rufą do ognia, kurs ucieczkowy. Gdyby zrobili przerwę w ostrzale, zrzucamy tarcze i uciekamy skokiem.

- Tak jest, komandorze.

Ledwie to powiedział, najdalsza tarcza otrzymała kolejną serię trafień. Tym razem energia pocisków była zbyt wielka i generatory nie zdołały w porę odtworzyć pola. Na mostku zawyły alarmy, wstrząsy jeszcze się nasiliły.

- Tarcza D poszła. Mamy przeciążenie generatorów!

Snunb pokiwał głową.

- Będę musiał opowiedzieć generałowi A'bahtowi, jak to miło służyć za wabik. Ile jeszcze?

Pierwszy oficer spojrzał na wyświetlacz sytuacyjny.

- Tuketu powinien dolecieć nad cel za kilka sekund.
- Włączyły się kolejne alarmy.
- Mam nadzieję, że tyle możemy im dać.

Blok działa jaśniał na wyświetlaczu celownika na podczerwień niczym choinka.

- Spróbujemy załatwić go przy pierwszym podejściu - rzucił Tuketu.
- Uzbrajam jedynkę - zameldował w odpowiedzi Skids. - Uzbrajam dwójkę.

Przejmuję kontrolę pułapu. Już!

Tuketu cofnął dłonie od steru i przepustnicy.

- Są twoje.

Nos bombowca dźwignął się ku niebu.

- Punkt celowania... Jedynka poszła. Dwójka poszła. Zwijamy się stąd, Tuke.

Obie bomby oddzieliły się od zawieszek, po czym poszybowały po krzywej balistycznej. Przez chwilę się wznosiły, a potem runęły w dół studni grawitacyjnej. Tuketu przejął tymczasem stery i wykonał tak ostry zwrot bojowy, że obu załogantom zrobiło się na moment ciemno przed oczami. Bombowiec odwracał się właśnie brzuchem do instalacji, gdy coś łupnęło i okoliczne skały porysowały powierzchnię księżycą długimi cieniami. Stateczkiem rzuciło, jakby coś z wielką mocą trafiło w kadłub.

- Za wcześnie! - krzyknął zaniepokojony Skids. - To nie nasze ptaszki!

W górze przemknął klucz Czarnych.

- Skreślcie jedno wielkie działo -zanucił radośnie w głośniczku głos ich prowadzącego. - Ale rąbnęło. Wciąż strzelali, gdy ich dopadliśmy. Chyba musieliśmy nasypać im parę kulek do lufy. Widziałeś Czerwony?

- Nie, Czarny.

Na dole znów coś dwukrotnie błysnęło, chociaż nie tak potężnie jak wcześniej.

- Wygląda na to, że nie zostawiłeś nic dla nas, Hodo - powiedział Tuketu i nieco się skrzywił.

- Na przyszłość tak się nie objajaj... znaczy, sir.

- Tu dowódca Zielonych - odezwał się nowy głos. - Przejdę nad obiektem, żeby potwierdzić zniszczenie celu.

- Tu „Decyzja”. Dowódca Zielonych może się nie trudzić. Potwierdzamy zniszczenie celu. Dziękuję, chłopaki.

- Dowódca Zielonych, potwierdzam, „Decyzja”, potwierdzam - powiedział Tuketu, przechodząc na wznoszenie i biorąc kurs na oczekujące ich krążowniki. - Do wszystkich, zbiórka za mną. Wracamy.

Admirał Ackbar zamaszystym gestem wskazał na widniejący z jego prawej strony wielki ekran ścienny. Na dzisiejszą okazję założył uniform należny członkowi Połączonych Sztabów Operacji Obronnych, a nie ten mundur połowy Kalamaria, który trwale kojarzył się z jego postacią i otaczającą bohatera sławą.

- Ponieważ flota przejęła już panowanie w miejscowej przestrzeni, można bezpiecznie skierować jednostki artyleryjskie do działań mających na celu utworzenie korytarza do powierzchni planety - powiedział, spoglądając na nieliczną i starannie

dobraną publiczność. - Stosujemy taktykę niemal identyczną, jak w przypadku akcji przeciwko instalacjom działa liniowego. Najpierw wystawmy na ogień nieprzyjaciela kilka dobrze opancerzonych jednostek by skłonić go do otwarcia ognia i zdemaskowania pozycji obronnych. Potem zniszczymy jego stanowiska w sektorze celu. W tym przypadku, jak widzicie, ogień kontrbaterijny prowadzony jest z pokładów ciężkich jednostek znajdujących się na orbicie.

Ekrany w sali konferencyjnej kwatery głównej Sił Samoobrony Nowej Republiki pokazywały taki sam obraz, jak monitory na mostku „Nieustraszonego”, tyle że z kilkusekundowym opóźnieniem.

Przesyłany przez transponder nadprzestrzenny na odległość piętnastu parseków sygnał podlegał jeszcze cenzurze wojskowej. Głównie po to, by dostosować treść przekazu do poziomu widowni. Tego popołudnia było to działanie naprawdę konieczne. W sali zasiadało ośmioro członków Senackiej Rady Obrony, sześciu wyższych oficerów floty oraz księżniczka Leia Organa Solo, która pełniła funkcję przewodniczącej Senatu i głównodowodzącego sił zbrojnych Nowej Republiki.

- Krzywizna planety ogranicza skuteczność ostrzału zainstalowanymi na powierzchni bronią prostotorowymi, dzięki czemu zniszczenie nawet zaledwie kilku takich stanowisk stwarza poważną lukę w systemie obronnym i pozwala na utrzymanie wolnego korytarza z orbity na dół. Widzicie właśnie, jak flota wywalcza sobie wspomniane przejście. Na tym etapie największe niebezpieczeństwo stanowią zwykłe myśliwce atmosferyczne i pociski ziemia-powietrze wystrzeliwane spoza linii horyzontu, jednak na Bassimirze tego akurat uzbrojenia nie ma. Po pełnym zabezpieczeniu przejścia rozpoczniemy desant.

- Mam pytanie, admirale Ackbar - odezwał się senator Tolik Yar. - Na ile ten desant jest faktycznym sprawdzianem możliwości floty, a na ile tylko realizacją rutynowego scenariusza?

Całość jest tak realistyczna, jak to możliwe. To prawdziwy test gotowości bojowej, a nie wyłącznie symulacja. Owszem, ze strony „przeciwnika” mamy do czynienia jedynie ze zdalnikami i produkcjami komputerów, jednak mogę zapewnić, że zespół przyprzegetowujący obronę planety włożył w swoją pracę wiele serca i uczynił wszystko, by jak najbardziej utrudnić życie taktykom floty.

- Admirale Ackbar - powiedział senator Cion Marook, wstając z miejsca i wypaczając powietrze z ciężkich miechów plecowych. Nigdy dotąd nie oglądaliśmy czegoś podobnego. To robi wrażenie. Jednak w imieniu moich kolegów oraz tych istot, które reprezentujemy, muszę wyrazić zdumienie, że dowództwo nowego zgrupowania trafiło w ręce kogoś, kto tak niedawno wstąpił w nasze szeregi.

- Ależ senatorze, generał Etahn A'baht to nie młodzieniaszek. Jest dwukrotnie starszy ode mnie i zapewne także od pana.

Marook nieco się zjeżył.

- Nie sugeruję, że jest za młody, senatorze, ale ze brakuje mu chyba doświadczenia. Dowódcy wszystkich pozostałych flot to zasłużeni weterani bitew o Yavin, Hoth czy Endor.

Ackbar podziękował skinieniem głowy za uznanie.

- Ten zaś Dorneanin nosi nasz mundur od niecałych dwóch standardowych lat. Piąta Flota powstała przy pańskim znacznym zaangażowaniu i kosztowała Nową Republikę niebagatelne sumy. Byłbym o wiele spokojniejszy, gdyby to pan stał dziś na mostku „Nieustraszonego”, a generał A’baht był tu z nami i objaśniał nam pańskie poczynania.

- Zapewniam pana, senatorze, że nie ma najmniejszych powodów do niepokoju - odparł zdecydowanie Ackbar. - Wprawdzie planeta Dornea nie od początku należy do sił Rebelii, jednak wśród jej mieszkańców znalazło się sporo bohaterów walki przeciwko Imperium. Generał A’baht zaś może się pochwalić długą i wzorową służbą w rodzimej flocie. Mieliśmy szczęście, zyskując tak dobrego oficera.

- A cała flota Dornei to tylko osiemnaście jednostek - powiedział senator Marook, machając lekceważąco dłońmi.

Stojąca pod tylną ścianą sali konferencyjnej Leia uniosła oczy do nieba i potrząsnęła głową. Mogła przewidzieć, że Marook jak zwykle zacznie narzekać. Cały porządek społeczny Hrasskich opierał się na bezwzględny przestrzeganiu prawa starszeństwa i oczekiwaniu na swoją kolej w dostępie do zaszczytów, celebrowane jak nigdzie indziej, stanowiło dla nich treść życia. Piąt lat w Senacie nie odmieniło Marooka na tyle, by przestał odruchowo oceniać wedle kryteriów własnej rasy.

- Niemniej skromna flota za czasów Palpatine’a kilkakrotnie odpięła z powodzeniem ataki parę razy liczniejszych sił Imperium - stwierdziła Leia w nadziei, że zdola w ten sposób przerwać spór. - Spokojnie, senatorze, to chyba niezbyt stosowna chwila na kwestionowanie przydziałów. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia.

- Za pozwoleniem - odezwał się admirał Ackbar, podnosząc dłoń - Chwila może jednak okazać się nader stosowna. Od paru tygodni dobiegają mnie z szeregow Rady odgłosy niezadowolenia wywołanego tym właśnie mianowaniem, jednak po raz pierwszy ktoś wyraził je głośno w mojej obecności. Chciałbym zatem wyjaśnić senatorowi Marookowi, jak bardzo się myli.

Ton głosu admirała, zwykle spokojnego i nieskłonnego do szukania zwady, nie pozostawiał wątpliwości co do stanu jego ducha. Leia pojęła, że Kalamarianina po prostu trafił cichy szlag.

- Dobrze, admirał - odparła i usiadła, zamierzając cierpliwie go wysłuchać.

- Musicie panowie zrozumieć, że desant planetarny lub obrona przed takim desantem, to coś zupełnie odmiennego niż zadanie zniszczenia ciała niebieskiego, zablokowania go lub oblegania - zaczął Ackbar, zwracając się do reszty zgromadzonych i zupełnie ignorując senatora Marooka. - I w tej dziedzinie mamy bardzo nikle doświadczenie - ciągnął, wychodząc zza mównicę. - Wszyscy ci weterani sojuszu, których senator Marook był łaskaw z takim uznaniem wspomnieć, zęby zjedli na dowodzeniu flotą, lecz były to głównie operacje ofensywne w głębokiej próżni. Niespodziewane na szlaki zaopatrzeniowe przeciwnika, wymierzone z chirurgiczną precyzją uderzenia, działania wymagające dobrego maskowania, mobilności i umiejętności sprawnego wycofania się. Wyszkolone w tym zgrupowania nie nadają się jednak do obrony jakiegokolwiek planety, systemu czy sektora. Tak zorganizowane siły nie przeprowadzą desantu. W niczym nie przypominają floty zdolnej wiazać

przeciwnika samą swoją obecnością. Wspomnijcie, proszę, że Sojusz nigdy i nigdzie nie prowadził wojny typu konwencjonalnego. Gdy raz, pod Hot, okoliczności zmusiły nas do czegoś podobnego, ponieśliśmy dotkliwą klęskę. I dlatego na dowódcę Piątej Floty wybrany został właśnie Etahn A’baht. Ma doświadczenie zebrane w krwawym trudzie podczas obrony Domei. Nam podobnego doświadczenia brakuje. To on jest autorem testowanego dzisiaj taktycznego planu operacji - zaznaczył Ackbar wskazując na ekran za plecami.

- W odróżnieniu od mojego kolegi z Hrasski, ja nie zamierzam kwestionować kompetencji generała A’bahta. O wiele bardziej interesuje mnie sam oręż, a nie to, kto nim włada - powiedział senator Tig Peremis, wstając z fotela tuż przy drzwiach.

- Chciałbym zadać kilka pytań związanych z samymi założeniami ćwiczeń.

Leia zaalarmowana, podniosła głowę. Senator Peramis był młodszym stażem członkiem Rady Obrony i reprezentował światy Siódmego Sektora, w tym swój własny, Walallaę. Jak dotąd nie zabierał głosu, studiował tylko te dokumenty Rady, które mógł otrzymać zgodnie ze swym stopniem dostępu, zadawał wiele pytań i rzadko wygłaszał jakiegokolwiek opinie.

- Słucham - zwrócił się do niego admirał Ackbar z zachęcającym ruchem dłoni.

- Widzę, że skierował pan Piątą Flotę przeciwko celowi pozbawionemu tarczy planetarnej. Dlaczego?

- Senatorze, nie da się przeprowadzić desantu na planetę chronioną przez tarczę, o ile uprzednio nie zneutralizuje się samej tarczy. A takie działanie to dla nas nic nowego, zatem symulacja ataku na instalacje tarczy nic by nam nie dała. Poza tym planety na tyle bogate i zaawansowane technologicznie, że stać je na globalną tarczę, są niezmiernie rzadkie. Zdecydowana większość przypomina Bessimire.

- Ale czy nie ostrzegał nas pan przed chwilą, że to właśnie najsilniej uzbrojone światy są solą w naszym oku? Że ich zdobywanie musi się flota Nowej Republiki najpilniej nauczyć? Czy nie obiecał pan również Radzie, iż jeśli stworzymy Piątą Flotę, uzyskamy narzędzie zdolne zapewnić nam dostęp do nawet najsilniejszych imperialnych światów?

Ackbar przytaknął z powagą.

- Sądzę, że wywiązuję się z tej obietnicy, senatorze. Obrona Bessimiry została zaplanowana zgodnie z tym, co wiemy o aktualnej taktyce Imperium. Ćwiczenia Młota odpowiadają zaś w ogólnym zarysie temu typowi operacji, do jakich Piąta Flota będzie najpewniej kierowana.

- Słucham? Chce ją pan wykorzystać do opanowywania niebronionych światów?

- Senatorze, tego nie powiedziałem...

- Ale ja tak to rozumiem. Żołnierz tak walczy, jak wcześniej ćwiczył - stwierdził senator Peramis. - Czy stworzył pan Piątą Flotę po to, by zyskać dla nas przewagę strategiczną, czy może by ucieszyć Curuscant? Gdzie właściwie dopatruje się pan większego zagrożenia? Poza granicami Republiki czy też w ich obrębie? - Obrócił się i oskarżycielsko wskazał palcem na Leię. - Kogo właściwie zamierzacie najechać?

Ackbarowi odjęło mowę na taką bezczelność i tylko zamrugnął oczami. Obecni w sali oficerowie zamruczeli z irytacją. Pozostali senatorowie też poczuli się urażeni

absurdalnością podobnych insynuacji. Tylko Marook zżymał się w duchu na młodzika, który nie czekał na swoją kolejność by zabrać głos.

- Zastanawiam się, gdzie pan był podczas głosowania, senatorze Peramis. Gdyby wówczas zaszczycił nas pan swoją obecnością, dziś nie zadawałby pan takich pytań - odpaliła ostro Leia, wychodząc na środek. - A tak, rzuca pan kalumnie na admirała Ackbara.

- W najmniejszym stopniu do tego nie dążę - stwierdził Peramis patrząc znacząco w oczy Leii. Pewien jestem, że admirał Ackbar to oficer kompetentny i w pełni lojalny wobec przełożonych.

- Jak śmiesz! - krzyknął senator Tolik Yar i zerwał się na równe nogi. - Jeśli nie wycofa swoich słów, to osobiście zaraz tak go palnę, że...

Leia podziękowała swemu obrońcy przelotnym uśmiechem i powstrzymała go gestem dłoni.

- Senatorze Peremis, Piąta Flota powstał, aby chronić Nową Republikę. Tylko w tym i w żadnym innym celu. Nie rościmy sobie najmniejszych pretensji terytorialnych, nie pragniemy podbojów. Po co zresztą mielibyśmy sobie ich życzyć, skoro codziennie otrzymujemy do dziesięciu zgłoszeń światów pragnących włączyć się w nasze struktury? Na honor rodu Organa, daję panu słowo, że Piąta Flota nigdy nie zostanie wykorzystana do żadnej akcji przeciwko członkowi federacji, nie stanie się narzędziem narzucania mu naszej woli czy dławienia lokalnych ambicji.

Zanim skończyła, Peramis skrzywił się, dając do zrozumienia, że te słowa niewiele dla niego znaczą.

- Cóż znaczy przysięga na honor rodu, który już wygasł, nie zostawiwszy żadnego prawowitego potomka? - spytał.

Tolik Yar poczerwieniał na obliczu i poszukał dłonią paradnego kordu, który nosił na piersi. Stojący obok oficer powstrzymał jego dłoń.

- Poczekaj chwilę - szepnęła admirał Antilles. - Niech uplecie jeszcze kawałek liny. Łatwiej będzie go powiesić.

Senator Peremis omiół salę spojrzeniem. Wszyscy patrzyli tylko na niego.

- Przepraszam, że popsulem nastroj. Przepraszam, że przeze mnie admirał Ackbar i generał A'baht na darmo odpalił, tyle fajerwerków. Przepraszam też, że mimowolnie podniosłem ciśnienie krwi senatorowi Yarowi, senatora Marooka zaś zde gustowałem, naruszając tak cenioną przezeń etykietę. Jednak nie mogę milczeć. W ciągu tych kilku miesięcy, które upłynęły od chwil, złożenia ślubowania, zauważyłem wiele niepokojących symptomów. Dostrzegam je też dzisiaj, tutaj i teraz. Gdybym mógł najchętniej poruszyłbym tę sprawę przed całym Senatem, na oczach całej Republiki. Bo prawda jest taka, że miast zapewnić wszystkim nam bezpieczeństwo, stworzyliście aparat ucisku, piekielną maszynę, którą na dodatek zamierzacie powierzyć potomstwu największego w historii zbrodniarza. Sprzeciwiam się, stanowczo i jednoznacznie, obecnym zbrojeniom wymierzonym przeciwko światom członkowskim Nowej Republiki...

- Myli się pan... - zaczął admirał Ackbar.

- W żadnym wypadku! - krzyknął gniewnie senator Peramis. - Piąta Flota to ni mniej, ni więcej, tylko oręż mogący posłużyć podbojom i ustanowieniu tyranii! A oręż raz wykuty zaczyna kusić. To silna pokusa, na tyle silna, że ktoś w końcu znajdzie powód, by tej broni użyć. I to będzie wasza wina. Bo komu dajecie do rąk ten oręż? Synowi Dartha Vadera, który może dzięki temu zapragnąć pójść w ślady ojca. A jego córkę zachęćcie, w zakamuflowany co prawda sposób, aby zbrojnie wzmocniła swoją władzę. I na dodatek siedzicie przy tym, jakby nigdy nic, uśmiechacie się i potakujecie, że to wszystko dla naszego bezpieczeństwa. Wstyd mi za was, naprawdę wstyd!

Senator Peramis potrząsnął energicznie głową, jakby pragnął rozproszyć w ten sposób ciemne, gnębiące go myśli, po czym wyszedł z sali konferencyjnej.

Leia odwróciła się, żeby ukryć wysiłek, z jakim stara się panować nad własną mimiką. Ciężką ciszę przerwało w końcu kasłanie. Oficerowie i senatorzy poruszyli się w fotelach.

- Przewodniczący! - sapnął, odzyskawszy głos, senator Tolik zwracając się do przewodniczącego Senatu Behn-kihl-nahma. - Oczekuję wyciągnięcia konsekwencji. Proszę skierować wniosek do Komisji Dyscyplinarnej! Nie możemy tolerować czegoś podobnego. Niech Siódmy Sektor przyśle kogoś innego, by godnie go reprezentował. Proszę się tym zająć, słyszy pan?

- Wszyscy dobrze pana słyszemy, senatorze Yar - powiedział Behn-kihl-nahma spokojnym, łagodnym tonem i podszedł do Leii. - Pani prezydent, proszę przyjąć przeprosiny za pożałowania godny postępek senatora Peramisa...

Może przeprosi pan za pożałowania godne postęпки Imperatora? - parsknął Tolik Yar. - Wyszłoby na to samo.

Beh-kihl-nahm zignorował zaczepkę.

- Może pamięta pani, księżniczko, że Imperium ciężko doświadczyło mieszkańców Walalli. Tig Peramis był wówczas dzieckiem, ale dobrze pamięta czasy podboju i późniejszych represji. I właśnie te wspomnienia mobilizują go do rozmaitych działań, podejmowanych jednak w dobrej wierze. Porozmawiam z nim. Pewien jestem, że już teraz żałuje swoich porywczych słów.

Wyjście przewodniczącego Senatu stanowiło sygnał do zakończenia spotkania. Pozostali omal się nie zdeptali, odpracowując rytualny taniec salutów, dygów, reweransów i innych pełnych dworności gestów. Apogeum farsy rozegrało się pod samymi drzwiami, które ostatecznie wszyscy zdołali pokonać w kolejności mieszanej, wszelako zgodnej z etykietą. Leia nawet nie zauważyła kiedy została sama z admirałem Ackbarem.

Spojrzała na pełnego współczucia Ackbara i spróbowała się uśmiechnąć.

- Chyba się udało, nie sądzisz?

W teże chwili na głównym ekranie pojawiła się podobizna generała A'batha.

- Etan A'bath z meldunkiem do Sztabu Floty na Coruscant, kopia dla prezydenta Senatu - zabrzmiał jego głos. - Ćwiczenia Cios Młota dobiegły końca z wynikiem zadowolającym. Szczegółowy raport o stratach i niedostatkach oraz o zachowaniu konkretnych dowódców w przygotowaniu. Sugeruję, by z dniem dzisiejszym nadać Piątej Grupie Bojowej status Jednostki operacyjnej.

Obraz zniknął.

Ackbar przytaknął i położył wielką dłoń na ramieniu Leii. Ucisnął ją w przyjacielskim geście pocieszenia.

- Całkie dobrze, pani przewodnicząca- mruknął. - Zresztą szermierka na słowa zawsze mniej boli niż prawdziwa walka. A tej mamy już chyba wszyscy dosyć.

Leia spojrzała na drzwi, za którymi zniknął Peramis.

- Czy on naprawdę jest aż tak głupi? - spytała. - Jak może sądzić, że po tym wszystkim możemy jeszcze lubować się w wojaczce? Po Palpatine, Hethrirze, Durdze, Daali, Thrawnie, którzy ledwie dawali nam tyle czasu, byśmy z grubsza zaleczyli rany po jednej bitwie i natychmiast zmuszali do następnej...

- Już kiedyś doszedłem do wniosku, że największe głupstwa popełnia się ze strachu - stwierdził Ackbar.

- Ale ja nie przywykłam się bać - odparła Leia i pokręciła głową. - Szczególnie, gdy nie ma widocznego powodu do strachu. Złości mnie takie zachowanie.

Ackbar chrząknął wyrozumiale.

- Co do mnie, to zamierzam wrócić teraz do kwatery i utracić łeb zamrożonemu gruntowi. Proponuję, byś zrobiła to samo. Na pewno znajdziesz jakieś kruche paskudztwo do stłuczenia...

Leia uśmiechnęła się blade i poklepała dłoń Ackbara.

- Dobry pomysł. Bo wiesz, chyba mam jeszcze tę kalamariańską skorupę, którą dałeś nam w prezencie ślubnym...

ROZDZIAŁ

2

Luke wystawił twarz w stronę napływającego z dołu ciepłego i wilgotnego podmuchu i spojrzął na ciągnącą się aż po horyzont, pełną życia dżunglę. Siedział na szczycie ruin świątyni Atun, najwyższego sanktuarium Massassów na Yavinie Cztery. Olbrzymi, pomarańczowy dysk gazowego giganta, który wypełniał zwykle większość nieba, chylił się ku zachodowi.

Nawet po pięciu latach ten widok robił wrażenie. Szczególnie na Luke'u, który wyrósł na Tatooine, gdzie głęboką czerń nocnego nieba mąciły tylko białawe ogniki gwiazd, a i tarcze obu upiornie gorących dziennych słońc były zaledwie nieco większe i chowały się za uniesioną dłonią. Będzie mi tego brakowało, pomyślał.

Luke skrywał się w Atun już od kilku miesięcy. To miejsce, w odróżnieniu od Wielkiej Świątyni, która ożyła ponownie za sprawą odrodzonych Jedi, zostawiono nie zmienione: martwe mechanizmy, mroczne przejścia. Zewnętrzne pomieszczenia już dawno zostały złupione, ale górne kondygnacje ocalały. Wykonana z dwóch obsuwających się skał przemyślna pułapka wypełniła swoje zadanie, a szczątki pechowych złodziei wciąż jeszcze poniewierały się w jej pobliżu.

Luke wyczuł w okolicy coś nowego. Przymknął oczy i wsłuchał się w omywające świątynię prądy Mocy.

Wszędzie wokół kłębiło się życie, jako że fauna Yanina Cztery dawno już odkryła, iż Massassowe odeszli i można zająć ich włości. Gryzonie opanowały głównie dolne kondygnacje, wyżej dotarły tylko te najbardziej uparte, dla których brak schodów (zawaliły się) nie stanowił szczególnej przeszkody. Głównie gacki skalne urządziły sobie gniazda w niemal wszystkich załomach frontonu świątyni i opanowały przewody wentylacyjne. Luke przywykł już do ich obecności. Co wieczór wzbijały się na purpurowych skrzydłach i szybowały wolno po niebie, by wypatrywać zdobyczy gdzieś na konarach górnych poziomów dżungli.

W pobliżu wydawały się pobrzmiwać jeszcze jakieś dźwięki. Nowe, ale spodziewane. Nadchodził Streen.

Luke wyznaczył mu spotkanie na szczycie świątyni Atun, nie podpowiedział jednak, jak tam dotrzeć. Uznał, że jeśli mężczyzna stawi się cały, zdrowy i na czas, będzie to równoznaczne zdaniu ostatecznego egzaminu. Nie ingerując w Moc, Luke

obserwował postępy podopiecznego. Nawet jako adept Streen wyróżniał się dojrzałością, a teraz też zachowywał się nad wyraz rozważnie. Ostrożnie omijał gniazda, bez lęku wstępował w ciemne przejścia.

Ostatnie piętnaście metrów wieży musiał pokonać na zewnątrz, wspinając się po popękanych zachodnim murze. Za całą pomoc miał dłonie i stopy. Gdy był już blisko wierzchołka, Luke zmobilizował gacki myślą i wysłał je na ucznia ciemną, rozkrzyczaną chmurą. Ten się nie wystraszył. Znieruchomiał, wręcz niewidoczny na tle splekanych kamieni i poczekał, aż stadko odleci. Potem dokończył wspinaczki.

- Miło, że jesteś - stwierdził Luke, otwierając oczy. - Wygląda na to, że słusznie cię wybrałem. Chodź tu i siadaj obok mnie. Twarzą na wschód.

Streen posłuchał bez słowa. Krawędź pomarańczowego dysku dotykała już linii horyzontu. Oto widok, który dla Massassów urósł do miana symbolu. Wywiedzione z niego piktogramy występowały obficie w ruinach wszystkich budowli tej zaginionej rasy.

- Jak ci idzie odczytywanie ksiąg Massassów? - spytał cicho Luke. - Doszedłeś do czegoś?

Chodziło mu o zbiór tabliczek znalezionych w pobliskiej dżungli. Leżały pod warstwą gruzu na dnie dawno zawalonych podziemi. Pokrywające je pismo korzystało z symboli Sithów, jednak na tym podobieństwo się kończyło. Brakowało też jakichkolwiek informacji o autorze zapisków. Luke podejrzewał, iż było to dzieło życia jakiegoś pojedynczego Massassi, który poświęcił się studiowaniu historii i teologii. Inni wszakże, co prawda pozostający w mniejszości, sugerowali, iż mogą to być święte księgi Massassów pradawne teksty przekazywane uprzednio długie wieki jedynie w tradycji ustnej i spisane z czasem przez wykształconych niewolników.

- Zakładałem że do dziś skończę, ale na razie doszedłem dopiero do szesnastej księgi - powiedział Streen. - To znacznie trudniejsze, niż sądziłem. Jakkolwiek bym się starał, wszystko jeszcze trochę potrwa.

- A dowiedziałeś się, jak ci pradawni patrzyli na to, co my dziś oglądamy?

- Yavin był dla nich bogiem. Pięknym i strasznym - odparł Streen. - Przyciągał ich oczy ku niebu, ale napelniał też lękiem i pokorą.

- I co jeszcze?

Streen wskazał na horyzont.

- O ile dobrze zrozumiałem to, co udało mi się odcyfrować, chyba ostatecznie zbuntowali się przeciwko owemu nieustannie obecnemu w ich życiu bóstwu. Doszło do paradoksalnej sytuacji, która zaważyła na ich historii. Żyli dostatnio, panowali nad żyzną planetą, a jednak czuli się niczym, za nic mieli wszystkie swoje dzieła.

- Właśnie - westchnął Luke. - Odrzucili pokorę. Im więcej osiągalni, tym bardziej tęsknili za wielkością na miarę dla nich nieosiągalną. Te tutaj kamienie spiętrzyli w daremnej próbie osiągnięcia oblicza swego boga. Szukali dostępu do mrocznej mocy właściwej bóstwom Sithów. Liczyli na jej pomoc, bo sami chcieli być jako bogowie.

- To czyste szaleństwo.

- Oszaleli, bo zrozumieli prawdę. Czasem bywa i tak.

- A jaka to prawda?

- Rozejrzyj się - polecił Luke, rozkładając szeroko ręce - Massassowie odeszli, ich dzieła stoją w ruinie zniszczone przez czas, wojny i łupieżców. Ale Yavin wciąż króluje nad ich światem.

- Rozumiem.

- Streenie, rano odlatuję - powiedział cicho Luke. - Nie jestem już tu potrzebny. Czas, by ktoś inny przejął Akademię. Wybrałem cię.

Jego słowa zaskoczyły mężczyznę bardziej niż wszystkie pułapki świątyni, bardziej nawet niż nagła napaść stada gacków.

- Odlatujesz? Nie rozumiem - wydukał, spoglądając na Luk'a

- Kiedyś głos Mocy docierał do mnie słabo, jak szeptał wiatru - stwierdził Luke, wstając i spoglądając ku Wielkiej Świątyni.

- Obi-Wan nauczył mnie wsłuchiwać się w ten głos, a Yoda rozumieć co do mnie mówi. Teraz dociera on do mnie, gdziekolwiek jestem. A moim posłaniem jest przekazywanie tej umiejętności innym. Ostatnio jednak nie słyszę niczego, chociaż moje zmysły osiągnęły już szczyt formy. To wina zgiełku. Przed zbyt wieloma głosami muszę się osłaniać. Osaczają mnie pytania i żądania. Za wiele ich. Niemal każdy czegoś ode mnie chce. To boli i męczy.

Odwrócił się do Streena.

- Nie mogę tak dłużej. W tych warunkach na nic się zda wszelki wysiłek. A mam parę rzeczy do zrobienia.

- Zatem faktycznie musisz nas opuścić - przyznał Streen, wstając. - I to pilnie, o ile dobrze zrozumiałem. I nie będę cię pytał, dokąd się udajesz.

- Dziękuję. Przyjmujesz zatem brzemię, które składam na twoje barki?

- Tak - odparł Streen, wyciągając otwartą dłoń. - Przyjmuję i nieprzymuszony, z własnej woli, zwalniam cię z dotychczasowych powinności. Przejmę twoje obowiązki. - Uścisnęli sobie dłonie. Pewnie, mocno i ze zrozumieniem. Potem Streen się uśmiechnął. - Chociaż nie czuję się w pełni gotowy.

- I dobrze - stwierdził Luke, odwzajemniając uśmiech. - Tym bardziej będziesz się starał.

- Kto powie adeptom? Ty czy ja?

- Sam przekażę im wiadomość. Oczekują tego po mnie. Poza tym niech wszyscy widzą, że to z mojego poruczenia. Ruszajmy, nie ma co zwlekać.

Luke zrobił dwa szybkie kroki i wbił się w ciepłe powietrze, zupełnie jak gacek. Zachwiał się, a potem rozpostarł ramiona, aż fałdy tuniki upodobniły się do skrzydeł. Opadając przez długie sekundy ze szczytu świątyni, analizował atawistyczny strach, aż wyobraził sobie, że jest ptakiem. Poczł się lekki, na tyle lekki, że wylądował prawie nie gniotąc trawy. Streenowi droga zabrała nieco więcej czasu, bo opuszczał się przy ścianie. Powoli, jakby z pomocą niewidzialnej liny.

- Mam nadzieję, że to nie była ostatnia próba - powiedział zdyszany, gdy dołączył już do Luke'a.

- Nie. Chciałem po prostu zrobić to raz jeszcze przed odlotem.

Znacznie później, już głęboką nocą, z wyspy ruin pośród mrocznej dżungli wbił się w niebo samotny myśliwiec typu E. Odprowadzała go tylko jedna para oczu: to

Streen, który oddawał się medytacjom na szczycie Wielkiej Świątyni, podniósł głowę zaintrygowany błyskiem i hałasem.

- Do widzenia, nauczycielu - powiedział cicho, patrząc na błędny ślad jonowego silnika. - Niech Moc towarzyszy ci w podróży.

Pod pewnymi względami Jacen Solo przypominał zwykłego siedmioletniego chłopca. Budował domy z klocków, urządzał wyścigi maleńkich ślizgaczy przez błotniste kałuże, z zapalem bawił się modelami statków kosmicznych. Problem jednak tkwił w tym, że o wiele bardziej cieszyła go myśl o zabawie niż sama aktywność fizyczna.

Jak dotąd, nie potrafił unosić siłą woli nawet bardzo małych przedmiotów. Modele myśliwców, które miał w sypialni, jeden typu E i jeden TIE, wisiały na zwykłych nitkach, miast na niewidzialnych splotach myśli. Niemniej starszy syn Hana wiedział już, że lewitacja jest możliwa, i to starczało, by zaczął jej próbować. Minęło trochę czasu, nim Han nauczył się przeczekiwać towarzyszące takim próbom ataki złości (dzieciak był niecierpliwy), łomoty i huki bez nagłego przyspieszenia tętna. Powiedział sobie, że to tak jak z grą na klawirze - pierwsze lekcje też bywają niełatwe dla słuchaczy. A zwykły rozgardiasz towarzyszący dziecięcej zabawie nie przeszkadzał mu ani trochę. Przeciwnie niż Leii, dla której był to kataklizm podobny trąbie powietrznej.

Zaniepokoiło go dopiero odkrycie, iż Jacen zaczyna się robić podejrzanie pulchny. Han pamiętał ten okres z własnego dzieciństwa jako czas pełen gonitw, które zupełnie go nie męczyły, a jeśli nawet, to tylko przelotnie. Sam był wówczas smukły i wysportowany. Odwrotnie niż Jacen. Wprawdzie dzieciaki często bawiły się na zewnątrz, jednak starszy syn nigdy nie wracał do domu spocony. Nie miał poobijanych kolan. Nigdy też nie wyłaniał się spomiędzy ogrodowych zarośli radosny i brudny jak prosiak. Hanowi coraz mniej się to podobał.

Jeszcze trudniej było mu pojąć, dlaczego syn zawsze bawi się sam, nie szuka przyjaciół poza rodziną, niechętnie wita nawet towarzystwo Jainy i Anakina. Za to akurat winę mógł przypisać rodzicom. Dzieciaki wędrowały wciąż z miejsca na miejsce, często zostawały w jakimś ukryciu same z obstawą i niańkami. Wszystko to oczywiście dla ochrony, ale w tych warunkach nie miały szans przeżyć prawdziwego dzieciństwa. Na dodatek i ta ochrona okazała się nie do końca skuteczna, skoro Hethrir zdołał je kiedyś porwać. Niewiele brakowało, by źle się skończyło.

Ocalały jednak szczęśliwie i musieli tylko zastanowić się, jak nie dopuścić do podobnej sytuacji. Pierwszego wieczoru, gdy znów byli razem, a Leia zalewała się łzami ulgi. Han postanowił po cichu, że nigdy już nie zostawią dzieci samych. Jedno z nich zawsze pozostanie w pobliżu.

Leia nie mogła porzucić funkcji rządowych, lecz siebie Han nie uważał za osobę równie niezastąpioną. Gdy tylko wrócili na Coruscant, spróbował zgłosić rezygnację. Admirał Ackbar przypomniał mu wówczas, że taka rezygnacja oznacza utratę pierwszej klasy dostępu do informacji. Leia straci w nim oparcie. O wielu rzeczach nie będzie mogła z nim rozmawiać.

- Uważam, że w pewnych sprawach jesteś obecnie niezastąpiony - powiedział admirał. - W interesie Nowej Republiki muszę odrzucić twoją prośbę.

- Chwilę, moment, przecież...

- Niemniej skłonny jestem uznać, iż obecne stanowisko nie daje ci możliwości pełnego wykorzystania twego potencjału i zdolności, i dlatego przenoszę cię na stanowisko oficera łącznikowego przy pani przewodniczącej Senatu. Będiesz się zajmował bezpieczeństwem wewnętrznym. Od dzisiaj masz obowiązek pomagać jej tam, gdzie ona sama uzna twój udział za wskazany. Wszystko jasne?

Gdyby wielkooki Kalamarianin miał czym mrugać, to bez wątplenia puściłby w tym miejscu znaczące oko do Hana.

I tak Han zaczął spędzać całe dni w prezydenckiej rezydencji, którą dzielił z Leią. Próbował nadrabiać stracony czas, jednak szybko odkrył, iż dzieci są o wiele mniej przewidywalne niż hipernapęd na jego ukochanym „Sokole Milenium”. Mały Anakin stał murem przy ojcu, ale bliźniaki nader często wystawiały go na ciężką próbę. Zdołały już ustalić własny porządek świata, który kręcił się oczywiście wkoło ich osóbek.

- Ale tato, Winter nam pozwalała...

- Ale tato, Chewie zawsze...

- Ale tato, Threepio nigdy...

Wygłoszenia podobnych protestów zakazał pod koniec pierwszego miesiąca. Drugim wyłączonym z użycia zdaniem było „To nie w porządku!”. Leia na szczęście popierała te i inne edykty (choć w zaciszu sypialni negocjowała zwykle szczegóły), dzięki czemu dzieciaki uznały ostatecznie, że tata naprawdę tu rządzi.

Han wiedział jednak, że nadejdzie jeszcze taki dzień, kiedy zwykłe spory przerodzą się w wojnę, którą on koniec końców przegra. Już teraz niepokoiła go ta wizja. Pojął, że wychowywanie dzieci Jedi przypomina niańczenie tygrysów z Ralltiir - to cudowne kociątka, potrafiące odpowiadać na troskę szczerą miłością, lecz z góry wiadomo, że ich pazurki zamienią się w groźne szpony. Han nie potrafił zapomnieć tego popołudnia, kiedy Anakin wpadł w godzinny trans połączony z żywiołowym uruchomieniem potencjału Mocy. Wszystkie przedmioty w pokoju dzieciennym wirowały jak szalone wzdłuż ścian a dzieciak siedział na podłodze w samym środku tego cyklonu, kopał nogami i machał piąstkami.

Pewną pociechę stanowił fakt, że cała trójka miała raczej dobre serca. Na dodatek po zabawach z Mocą o wiele lepiej spały. Niestety, Anakin i Jacen odziedziczyli po matce także upór i nie dawali się zagonić do niczego, co im nie odpowiadało. W dodatku na Jacena (jak również na Jainę) zawsze można było liczyć w przypadku wszystkiego, co zabronione. Leia utrzymywała, że te geny musiały przyplątać się od Hana, bo niby skąd?

Ustalili nowy rytuał życia rodzinnego, który zdawał się wszystkim odpowiadać: gdy Leia wracała do domu, ładowali się do pływaków na basenie i przez pół godziny (czasem nawet dłużej) dawali się unosić prądom. Dzieciaki miary okazują do zabawy (Anakin tak bardzo zagustował w wodzie, że Ackbar nie bez dumy zaczął nazywać go

„rybką”) albo po prostu trzymały się mamy i taty dla których był to wspinały rodzaj terapii. Mogli odetchnąć przez chwilę po trudach długiego dnia.

Potem, gdy droid opiekuńczy brał potomstwo, by przygotować je do obiadu, Leia i Han chowali się w swojej sypialni na „podsumowanie dnia”, jak to pół żartem, pół serio nazywali. Kolejny obrządek, podobny do tego basenowego, dawał im możliwość wygadania się i tym samym odreagowania niektórych leżących na wątrobie spraw.

Owego wieczoru Leia rzuciła się na łóżko, przycisnęła poduszkę do piersi i spytała:

- Co nowego na froncie, generale?

Han opadł ciężko na fotel klubowy z Kesslerite, który stał w nogach łóżka. Ten szybko dostosował się do jego kształtów, dając oparcie równie miękkie, jak basenowe pływak.

- Nie wiem, co zrobić z Jaremem - powiedział Han. - Dziś rano próbowałem namówić go do gry w piłkę, ale odprawił mnie z kwitkiem.

- Cóż... W tym akurat nie jest dobry, a dzieci lubią, gdy rodzice są z nich dumni - stwierdziła Leia, przetaczając się na plecy i wbijając wzrok w sufit. - Może się krępuje, bo wie, że grasz o wiele lepiej od niego.

- Nie jest dobry, bo nigdy uczciwie się za to nie wziął. Nie ma żadnego powodu, dla którego nie mógłby stać się dobry. Ale powiedział, że bolo-ball to głupia gra.

Leia dyplomatycznie milczała.

- Powiedziałem mu, że jak nie chce, to nie - ciągnął Han. - I spytałem, czy może wolałby łyżwy albo tenisa, ale też tylko podziękował. Tu już nie wytrzymałem i zasugerowałem, że mógłby zacząć uprawiać jakieś ćwiczenia fizyczne, tak dla wzmocnienia ciała. A jeśli nie zacznie, to tak ustawię androida strażniczego, by co rano przeganiał go kilka razy wzdłuż ogrodzenia.

- Jak mu się spodobało?

- Spytał, po co. I powiedział, że wcale nie musi być silny, bo pewnego dnia i tak będzie umiał to samo, co stryjek Luke. Starczy, że pomyśli, i już się stanie - Han pokręcił głową. - Chyba zapomina, że stryjek Luke wcale nie przypomina Jabby.

- Jacen też nie! - zaprotestowała Leia.

- Jeszcze trochę, a zacznie.

- Przesadzasz.

- Może - stwierdził sceptycznie Han. - Jednak byłbym spokojniejszy, gdyby Luke przypomniał Jacenowi o zasadach treningu Jedi. Że trzeba ćwiczyć ciało, aby było posłuszne myśli, i tak dalej.

Leia znów ułożyła się na brzuchu i oparła brodę na rękach.

- A właśnie. Słyszałeś może, co się dzieje z Lukiem?

- Co? Nie, ostatnio nie - Han zmarszczył czoło. - Właściwie już od dawna nic o nim nie słyszałem. A bo co?

- Tionna z Yavina Cztery doniosła dzisiaj, że Luke stamtąd zniknął.

- Tak po prostu?

- Gdzieś poleciał. Przekazał Akademię Streenowi i poleciał.

- To już się zdarzyło.

- Sionna twierdzi, że tym razem to coś innego. Żegnał się z nimi tak, jakby nie miał już zamiaru wracać.

- Hm... Osobliwe. Chociaż, gdy zapragnął zaszyć się na trochę w jakiejś głuszy, chyba wcale bym się nie zdziwił. Kilka adeptek Mocy do towarzystwa...

Leia cisnęła poduszką, którą Han z łatwością odbił.

- Jednak chciałabym wiedzieć, gdzie jest. Od paru miesięcy nie przysłał ani słowa, teraz odleciał niemal w tajemnicy...

- Niepokoisz się o niego?

- Trochę. Poza tym, skoro zostawił Akademię, to mógłby pomóc nam tutaj. Próbowałam przesłać hiperłączem wiadomość do pamięci komputera jego myśliwca, ale musiał go wyłączyć. Albo coś się stało.

- Kiedy odleciał?

- Przed kilkoma dniami. Czy moglibyśmy go jakoś znaleźć?

Han parsknął śmiechem.

- Mistrz Jedi, który zna Nową Republikę jak własną kieszeń? Jeśli on naprawdę nie chce się odnaleźć, to nie ma szans. Już prędzej sama możesz coś zdziałać. Myślę o tych wszystkich uzdolnieniach, które masz jako jego bliźniacza siostra.

Lcia jakby nieco się speszyła.

- A czy dałoby się poprosić po cichu admirała Ackbara, żeby wpisał maszynę Luke'a na listę jednostek zaginionych?

- Zapewnić tak - odparł Han. - Ale w żadnym wypadku po cichu. Przed upływem dwóch godzin cała flota huczałaby od plotek, że Luke zaginął. Przecież to osoba publiczna. Może właśnie dlatego wymknął się tylnymi drzwiami. A co sądzi Streen?

- Mówi, że nie ma nic do powiedzenia. Osobiście podejrzewam, że osłania Luke'a.

- Może po prostu chroni jego prywatność?

- Może. Zdaje się, że najchętniej powiedziałabyś mi, żeby przestała wścibiać nos w sprawę brata i dała sobie spokój.

- To niezły pomysł - uznał Han. - Ostatecznie jest mistrzem Jedi, a dzięki Ackbarowi lata najlepszym myśliwcem, jaki mogliśmy mu dać. Kto jak kto, ale Luke potrafi o siebie zadbać.

Leia znów ułożyła się na plecach.

- Owszem. A przy okazji dziwnie łatwo ładuje się zwykle w kłopoty, jakich świat nie widział...

- I właśnie na tym polega różnica pomiędzy spojrzeniem przyjaciela a spojrzeniem siostry - podsumował Han.

- Niewykluczone... - westchnęła Leia. - A właśnie, skoro o siostrach mowa. Jak sprawowały się dzisiaj dzieci?

- Zaraz, niech sobie przypomnę - mruknął Han, zakładając piersi i wbijając wzrok w sufit. - Właśnie. Najpierw Jaina obraziła się zaraz po obiedzi na Jacena że ten nie zwraca na nią uwagi i zaczęła przeszkadzać mu w ćwiczeniach. To doprowadziło do awantury, która grzmiała tak długo, aż pochorowali się ze złości...

Gdy Luke wyłączył silniki, dało się słyszeć wycie szalejącego na zewnątrz wiatru. Myśliwiec aż drżał pod jego naporem, a na skrzydłach i kadłubie osiadały już pierwsze kryształki soli zniesionych wichurą kropel przyboju.

- Zakotwiczenie - polecił Luke pokładowemu R7-T1, rozpinając pasy.

Android ćwierknął w odpowiedzi i wyświetlił na monitorze napis: ZALECANE WŁĄCZENIE INSTALACJI PRZECIWOBLODZENIOWEJ.

- Dobra, zajmij się tym.

R7-T1 mruknął po swoim.

PROSZĘ O POTWIERDZENIE ZAKAZU ODPOWIADANIA NA WEZWANIE KONTROLI LOTÓW OBSZARU CORUSCANT.

- Tak, jestem całkowicie pewien, że nie chcę, aby wiedzieli o naszym przybyciu. Nie waz się nawet pisać. Żadnej rutynowej synchronizacji czasu i tak dalej.

Luke odblokował owiewkę kabiny. Przypominająca kroplą wody osłona uniosła się, wpuszczając lodowate powietrze i szum fal.

- Wróć, gdy znajdę hangar - powiedział na odchodnym.

Ściśnięta pomiędzy wzburzonym, zielonkawym morzem a urwiskiem skalnym plaża miała tylko trzydzieści metrów szerokości. Poza linią przyboju wystawały z wody iglice z tego samego, czerwonego i czarnego kamienia, który zaścielał odłamkami całą okolicę, gęsto płacząc się w brunatnym piasku plaży. Ponad wysokim na prawie pięćdziesiąt metrów klifem mknęły gnane wiatrem ołowiane chmury.

Nie zważając na zimno i wichurę, Luke ruszył powoli kamienistą plażą na południe. Jedną rękę wyciągnął przed siebie i skierowaną ku dołowi otwartą dłonią przesuwając uważnie w powietrzu, zupełnie jak ślepiec szukający drogi w nie znanym sobie wnętrzu.

Nie uszedł daleko, gdy przystanął i zapatrzył się na szczyt urwiska i potem zerknął na dwie bliźniacze skalne iglice. Opuścił głowę i zamknął oczy. Obrócił się dwukrotnie wokół własnej osi i ponownie wbił oczy w urwisko.

- Tak - powiedział w wyjący wiatr. To tutaj.

Usiadł na piasku, skrzyżował nogi, wyprostował plecy i złożył dłonie na kolanach w ten sposób, by stykały się tylko palcami. Skoncentrował się na obecnym w jego umyśle obrazie i przepływającej wokół Mocy. Po chwili znalazł to, czego szukał. Serię skaz na niemal idealnym kryształce. Wytężył siłę woli.

Piasek koło niego zadrgał. Skały poruszyły się, a potem uniosły w powietrze. Wzlatywały z plaży, z morza, krążyły całym rojem jakby szukał sobie miejsca. Po chwili dopasowywania zaczęły przybierać kształt szczerbatego muru. Niektóre legły na ziemi, tworząc fundamenty. Inne stworzyły sylwetkę wielkiego łuku bramy i kopuły fortecy- schronienia Dartha Vadera. Otoczyła Luke'a w tej samej postaci, w jakiej wznosiła się niegdyś na szczycie urwiska. Mroczna i odpychająca budowla.

Zapiski znalezione w stolicy Imperium nie podawały, czy jego ojciec kiedykolwiek tu mieszkał, chociaż bez wątplenia fortecę wzniesiono właśnie dla niego i wedle dostarczonych przezeń instrukcji. Gdy Nowa Republika odzyskała Coruscant, gmach stał pusty. Jeszcze w trakcie walk został zniszczony przez nalot myśliwców typu B.

Czy to tutaj Vader planował swe podboje jako sługa Imperatora? Czy tutaj wracał, by zregenerować się po walce? Czy tutaj celebrował wiktorie, okrutnie i bez umiaru? Luke próbował wyczuć ślady dawnego zła, ale niczego wyraźnego nie znalazł. Tak jak niegdyś zbawił i odzyskał ojca, tak teraz zamierzał objąć jego odmienione domostwo.

Kamienie znów ruszyły w taniec. Kolejne wynurzyły się spod fal, oddzielały od ściany urwiska. Stykały się pokruszonymi krawędziami, jaśniały w miarę, jak zmieniała się ich wewnętrzna struktura i skład. Ciężkie mury i stropy nabierały lekkości i wdzięku niczym glina kształtowana rękami garncarza. Wieża wystrzeliła ku niebu i wyrosła ponad klif.

Gdy dzieło było gotowe, każda luka zapełniona i wszystkie kamienie dobrane, a fundamenty wsparte bezpiecznie na skalnych filarach sięgających przez warstwy piasku do pierwotnych bazaltów planety, Luke sprowadził maszyną i umieścił ją w przygotowanej uprzednio pieczarze. Zamknął ją nie bramą, ale litą kamienną ścianą dobrą osłoną nie tylko przed wiatrem i chłodem, lecz i przed całym światem.

- Wyłącz wszystkie systemy polecił androidowi. - Potem przestaw się w stan czuwania. Na razie nie będziesz mi potrzebny.

Musiał jeszcze sprawdzić, na ile dobrze forteca wtopiła się w krajobraz. Luke wyszedł, by zerknąć na nią z perspektywy kogoś kto przypadkiem zaplątałby się w te strony. Wszystko wyszło tak, jak zamierzył. Z góry budowla wyglądała jak fragment plaży, z morza zlewała się całkowicie z urwiskiem. Widziana z plaży nie zaznaczała się w najmniejszym stopniu na tle nieba, ze szczytu klifu zieleniała niczym morze. Nie była to zasługa umiejętnego kamuflażu, a jedynie takiego nastrojenia budulca, by wydobyć na wierzch jego podstawowe składowe: wodę, kamień, piasek i powietrze trwające w idealnej harmonii.

Wreszcie Luke wspiął się na wieżę, aby sprawdzić, jaki widok roztacza się z jej wierzchołka. Gdy spojrział na wschód, zobaczył wyłącznie chmury. Usiadł zatem i czekał, nieczuły na lodowate podmuchy. Czas płynął leniwie, ale, koniec końców, chmury się rozstały, burza odeszła. Ukazały się okryte śniegiem szczyty Gór Menarai królujących nad Klejnotem Światów Środka. Rysowały się wyraźnie na tle nieba rozjaśnionego żółtym blaskiem bliźszego księżycy.

- Niech ten widok przypomina mi zawsze, że kilka skał, które tu ustawiłem, nie przetrwa wiecznie - powiedział cicho Luke. -A wspomnienie Anakina Skywalker'a niech będzie przestrożą, iż wyrzeczenie znaczy więcej niż uparty marsz do celu.

Potem zniknął w swej kryjówce i szczelnie zamknął wejście.

W głębokich ciemnościach Leia usiadła nagle na posłaniu.

- On tu jest.

- Że co? - spytał sennie Han.

- Jest na Coruscant.

- Niby kto?

- Luke. Czuję jego myśli.

- Wspaniale. Zaproś go na obiad - ziewnął Han.

- Nic nie rozumiesz - warknęła Leia. - Spałam, a przynajmniej tak mi się zdawało, i śniłam, że Luke na mnie patrzy, że nade mną stoi. Nagle poczułam, że nie śpię. Wtedy nasze oczy spotkały się na chwilę. Potem zniknął. Zupełnie, jakby zasunął kotarę...

- I to na pewno nie był sen?

- Nie - stwierdziła, kręcąc głową. - Ale miałeś rację, on się ukrywa. Nie chce, żebyśmy go znaleźli.

Han przykrył głowę poduszką.

- No i dobrze. Nie przeszkadzajmy mu i śpijmy.

- Ale chciałabym wiedzieć, dlaczego się chowa. Nie rozumiem, co się dzieje - powiedziała Leia. - I wolę wiedzieć, gdzie jest, na wypadek, gdybym go potrzebowała, pomyślała.

- Sam się objawi, gdy uzna, że pora - mruknął Han, obejmując Leię.

- Śpij, księżniczko. Ranek zawsze przychodzi za wcześnie.

ROZDZIAŁ

3

Panoramyczne, półkoliste okna sali konferencyjnej na jednej z wysokich kondygnacji odbudowanego niegdysiejszego Pałacu Imperatora wychodziły na najstarszy (i najbardziej ruchliwy) spośród trzech portów kosmicznych Imperial City.

Ze względów bezpieczeństwa żadna ze ścieżek podejścia nie przebiegała w pobliżu kompleksu administracyjnego, ale i tak można było zeń podziwiać i starty, i lądowania. Ktoś obdarzony bystrym wzrokiem miał nawet szansę rozpoznać typ statku czy konkretną jednostkę. Leia też nie raz zerkała przez te okna, wypatrując powrotu „Sokoła Milenium”.

Niemniej na co dzień port kosmiczny nie przyciągał uwagi obradujących. Zresztą przez transparentną stal niewiele przenikało: huk napadu naprawdę wielkich jednostek, ryk pełnego ciągu towarzyszący przerwaniu manewru startowego, łomot eksplozji związanych niekiedy z jakąś katastrofą. Dlatego, gdy okna zawibrowały unisono, Leia i Ackbar z zaciekawieniem podnieśli głowy.

Ujrzeni statek w kształcie kuli. Podchodził do lądowania i był trzykrotnie większy od tych transportowców, które zwykle gościły w porcie. Towarzyszyły mu krążące, niczym planety wokół gwiazdy trzy znacznie mniejsze jednostki eskorty. U podstawy kuli wyraźnie rozbiegały się fale nagrzanego powietrza.

- Mam wrażenie, że korzystają z aradiańskiego napadu pulsacyjnego. Nie potrzebują dodatkowej amortyzacji - zauważył Ackbar.

- Charakterystyczne. Zauważ, jak powoli i płynnie traci wysokość - Będą musiał obejrzeć sobie ten ich statek z bliska.

- Ja zaś rozumiem, że delegacja z Duskhan raczyła wreszcie przybyć - stwierdziła Leia. - Tam u siebie, w Gromadzie Koornacht, pilnują pewnie, by nie budować lądowisk zbyt blisko domów.

- Nie zamierzasz osobiście przywitać ambasadora Spaara?

- Mój pierwszy, Engh, już na niego czeka. Zabrał ze sobą androida protokularnego.

- Rozumiem. Uprzedziłaś ich?

- Dałam im tylko jasno do zrozumienia, że tytuł prezydenta to nie funkcja honorowa - mruknęła Leia. - Ale to nie ma nic do rzeczy. Od dziś będę tak postępować

ze wszystkimi. Co tydzień przybywa tylu ambasadorów, że czasem pół dnia spędzam w poczekalni. - Skrzywiła się. - Miła zabawa. Szczególnie gdy ktoś trzy razy odkłada lądowanie. Zawsze w ostatniej minucie.

Mówiąc to, rozłożyła trójkąt koperty z walallańskiego welinu dostarczony jej chwilę wcześniej przez posłańca. Zerknęła do środka i odłożyła list.

Ackbar zauważył jej ruch bez trudu, bowiem widok za oknem podziwiał tylko jednym okiem.

- Czyżby list od senatora Peramisa?

Leia przytaknęła.

I?

- Przeprasza pokornie.

- Wspaniale.

Znów kiwnięcie głową.

- Chciałabym umieć załatwiać takie sprawy w stylu Behna-kihl-nahma.

Znakomicie przekonuje opornych i prawie nie zostawia siniaków.

- Na początek spróbuj dopytać, gdzie kupuje rękawiczki -podpowiedział Ackbar. Statek z Duskhanu stał już na płycie, a eskorta dokowała w hangarze w górnej części kuli. - Zaplanowałaś spotkanie z Nilem Spaarem?

- Za dziesięć dni.

- Tak późno? Chyba rzeczywiście powinnaś pozwolić pierwszemu na przejęcie części spraw związanych z mniejszymi światami. Mógłby zająć się wszystkim. Nie tylko oficjalnymi spotkaniami, ale całą procedurą przyjęcia do Nowej Republiki.

- Aby uznali, że mamy ich za członków drugiej kategorii?

Lepiej nie.

- Ale trzeba coś zrobić, żebyś nie dźwigała tego wszystkiego sama.

- Pomyślę o tym - zgodziła się Leia. - Jednak Nil Spaar sam poprosił o późny termin. Nigdy jeszcze nie był na Comscant. Powiedział że najpierw chce trochę poznać. Negocjacje potem.

- Rozumiem - Może to też ma coś znaczyć.

- Nie wiem. - Leia przysunęła sobie końcówkę kompa. - No, admirałe, pora postanowić, co robimy z Piątą Flotą.

- Nie spodziewałem się, że to będzie aż tak trudne pytanie - twierdził Ackbar. - Peramis uświadomił nam, do czego dojdzie, jeśli ktokolwiek uzna, iż uprawiamy politykę kanonierek. Leia zmarszczyła brwi.

- Lepiej, żebyśmy nie podkulali ogona. Pokaz siły też może czasem przemówić do rozumu.

- Jeśli tak, to proponuję wysłać Piątą Flotę do Sektora Siódmego. Jest tam kilka światów, które chętnie ujrzą chociaż jeden republikański statek na orbicie. Na poczekaniu wyliczyłbym z pięć miejsc, gdzie legalny rząd ma kłopoty i prosił o pomoc. I to w takich sprawach, że nawet senator Peramis nie powinien mieć obiekcji.

- Podaj jakiś przykład.

- Choćby dziś rano przyszła wiadomość, że Prawy Earl Centralnego Jakości nie może sobie poradzić z piratami i błaga o posiłki. W ciągu miesiąca doszło do ataków na

sześć statków. Cztery ataki były, niestety, udane. Syndykaty frachtowe grożą zawieszeniem dostaw.

- Dobrze. Bardzo dobrze! Przygotuj zaraz plan patroli dla Piątej Floty - powiedziała Leia. - I to taki, żeby zrobił możliwie pozytywne wrażenie. Na wszystkich. Jeśli w Sektorze Siódmym jest więcej myślących podobnie jak senator Peramis, to wolałabym odebrać im ochotę do zabierania głosu.

- Plan może być gotowy jeszcze przed wieczorem.

Kilka następnych minut poświęcili na omawianie możliwych zmian przydziałów dla reszty sił Republiki. Druga Flota tkwiła w głębokiej próżni najdłużej ze wszystkich. Bez remontów i przeglądów stoczniowych. I bez przepustek i urlopów. Pierwsza Flota zaś niemal równie długo urzędowała wygodnie nad Coruscant jako osłona planety. Ackbar zasugerował, aby odwołać Drugą Flotę z rejonu patrolowania wzdłuż Alei Gromu i zastąpić ją Pierwszą. Aleją Gromu zwano potocznie najważniejsze obszary pogranicza.

- Już dawno powinniśmy to zrobić - stwierdził Ackbar - ale brakowało mi swobody ruchu. Ograniczałem się do rotacji jednostek, które pojedynczo odsyłałem do stoczni. Bałem się osłabiać którekolwiek ze zgrupowań. Ktoś mógłby to wykorzystać. Teraz jednak, jeśli przytrzymamy Piątą Flotę w pobliżu Coruscant jeszcze przez kilka dni, będziemy mogli dokonać wymiany bez ryzyka. Ani stolica, ani pogranicze nie zostaną bez osłony.

- Myślisz, że naprawdę ktoś jeszcze nam zagraża? - spytała Leia. - Że znajduje się jeszcze ktoś dysponujący wystarczającą siłą i dość uparty, by rzucić wyzwanie Nowej Republice? Osobiście bardziej martwię się wewnętrznymi zawirowaniami niż zagrożeniem z zewnątrz.

- Ty możesz sobie na to pozwolić - stwierdził Ackbar. - Ja nie. Pamiętaj, że admirał Daala wciąż żyje i ma do swojej dyspozycji zasoby setek planet, jeśli nie tysięcy spośród Światów Środka. To jasne jak słońce, że w miarę upływu czasu jej potęga będzie rosła. Może już dzisiaj ma szpiegów w Imperial City?

W tej chwili cienko pisnął komunikator Leii.

- Leio? - odezwał się Tolik Yar. - Jesteś potrzebna w Senacie. Kłopoty z petycją z Y'taa.

- Już idę.

Leia wstała od stołu i spojrzała na Ackbara.

- Spotkamy się po południu, gdy będziesz już miał plan patroli do zatwierdzenia. - Nagle uśmiechnęła się. - Możliwe, że część odpowiedzi na twoje pytanie stanęła właśnie w Eastport.

- Jestem tego niemal pewien - odparł poważnie Ackbar.

Zaledwie Leia opuściła salę, zaraz wyrosło przy niej dwóch przydzielonych na stałe ochroniarzy. Ekipa zmieniała się cztery razy na dobę, jednak wszyscy funkcjonariusze wyglądali tak samo - wysocy, szerocy w barach, milczący i z czujnym spojrzeniem Leia przezwala swoją parę Sniffer i Shooter.

Pierwszy rzeczywiście zajmował się głównie wywacchiwaniem co w trawie piszczy. Zawsze taszczył na plecach pojemnik pełen czujników zdolnych wykrywać zagrożenia chemiczne, pirotechniczne, biologiczne i inne, w tym radiację czy obecność zabójczych mikrodrogów. Jako pierwszy przechodził przez wszystkie drzwi, pierwszy też badał teren za zakrętem korytarza i wewnątrz pomieszczeń.

Drugi nosił pancerz bojowy z emiterem osobistej tarczy oraz blaster SoroSuub z generatorem plecowym. Ponieważ Leia odmówiła chronienia się za własną tarczą, zadaniem tego osobnika było stanąć w razie potrzeby pomiędzy nią a dowolnym napastnikiem, osłonić podopieczną i zażegnać zagrożenie.

Ten system ochrony wymyślił sam Han i Leia zaakceptowała go, aczkolwiek niechętnie.

Nie potrafiła jednak przywyknąć do obecności ochroniarzy. Po pierwsze nie widziała rzeczywistej potrzeby ich angażowania, po drugie - wcale nie czuła się dzięki nim bezpieczniejsza. Wręcz przeciwnie: nieustannie przypominali mimo woli, że ktoś może chcieć ją zabić.

Nauczyła się zatem udawać, że ich nie dostrzega. Nawet wówczas, gdy jechali tym samym pojazdem lub szli obok chodnikiem. Nie pragnęła poznawać ich prawdziwych imion, nie próbowała się zaprzyjaźniać; aż tak daleko jej wymuszona chęć współpracy nie sięgała. Traktowała ich jak meble.

Sytuacja zmieniła się tylko wówczas, gdy Sniffer dyskretnie zarządził alarm. W takich chwilach pozwalała, by Shooter odprowadzał ją w najbliższe, przez siebie wybrane i podobno bezpieczne miejsce i czekała na koniec przedstawienia. Po jakimś czasie Sniffer zjawiał się zadowolony i ogłaszał, że nie ma zagrożenia. Zdarzało się to na tyle często, by przestało zaskakiwać, a na tyle rzadko, aby przesadnie nie utrudniać życia.

Leia nie spodziewała się jednak, że dojdzie do czegoś podobnego tuż pod Senatem, w Galerii Pamięci.

Szła właśnie pewnym krokiem, mijając z rozwianymi szatami holopomniki bohaterów Rebelii i przypominała sobie wszystko, co wie o rasie Y'taa, gdy nieoczekiwanie Sniffer uniósł rękę, a Shooter pchnął księżniczkę do jednej nisz za najbliższym filarem.

Serce zabiło jej mocno, myśli przyspieszyły. W niekontrolowanym odruchu przerażenia skojarzyła to sobie z Tigiem Peramisem, gotowym widzieć w niej przede wszystkim córkę Dartha Vadera, a nie wychowankę królewskiego rodu z Alderaanu. Czy znalazłoby się w nim dość złości, by spróbował zabójstwa? Czyżby namówił Tolika Yara do zdrady? I jakie to paskudne uczucie zaznawać lęku tutaj, na progu najśłynniejszego gmachu Nowej Republiki, gmachu stanowiącego symbol wolności. Pierwszego odbudowanego centrum

w zniszczonym podczas imperialnej obrony mieście.

Dość prędko było po wszystkim.

- Czysto - powiedział Shooter obojętnym głosem i odsunął się, pozwalając Leii wyjść z niszy. Zmarszczyła brwi, podeszła do Sniffera i spytała stanowczo, co wywołało alarm.

- Wykryłem nowe pole energetyczne tuż przy wejściu do Sali Senaru - wyjaśnił, wskazując palcem. - Zaktywizowało się wraz, z naszym przybyciem.

Wciąż poruszona Leia przeszła kilka kroków korytarzem, spojrzała i mimowolnie się zaśmiała. Ponad zdobnymi, podwójnymi, wrotami sali wisiała wielka holotablica. Taka, jaka mogłaby się równie dobrze pojawić w fabryce, tuż przy wejściu do kolejnego sektora produkcyjnego. Widniejący na niej napis również dziwnie się kojarzył z bezpieczeństwem i higieną pracy:

822 DNI BEZ STRZAŁU ODDANEGO W WALCE

Pamiętaj, pokój nie zdarza się przypadkiem

Wciąż uśmiechnięta Leia rozejrzała się na boki w poszukiwaniu autora żartu.

- W porządku. Trafiło! - krzyknęła. - Czyja to robota?

Z cienia za filarem wyłonił się Tolik Yar. Wyraźnie zadowolony z siebie.

- Jeśli działa w przypadku przycinania palców, łamania nóg i nabijania sobie guzów na czerepie, to w polityce też chyba powinno? - spytał.

- Pomysł mi się podoba - przyznała Leia. - Ale co z godnością Senatu? Behn-kihl-nahm nigdy się na to nie zgodzi.

- Behn-kihl-nahm sam pomagał mi wieszać - odparł Tolik Yar. - Jeśli zaś chodzi o godność, to gdy ktoś nazbyt się nią przejmuje, tym bardziej należy mu przypomnieć, po co właściwie tu jesteście. Ty chyba myślisz podobnie?

- Prawdziwy z ciebie skarb, Toliku - powiedziała, zaskakując senatora kuksańcem. - Owszem, myślę dokładnie tak samo. I sądzę, że gdy liczba na tablicy urośnie do tysiąca, to powinniśmy porozmawiać o stosownej uroczystości.

- Rozgłoszę to szeroko. A na razie mam dobrą wiadomość. Problem z petycją znalazł niespodziewane, ale całkiem udane rozwiązanie. Przepraszam za oderwanie od obowiązków.

Skłonił się nisko i odszedł.

- Nicpoń - mruknęła Leia, ale wracając do siebie ani na chwilę nie przestała się uśmiechać.

Szef stoczni zajaśniał jak słońce i ruszył przodem, wiedząc Hana i Chewbacę do hangaru kryjącego „Sokoła Milenium”.

- Spodoba się wam, naprawdę spodoba - powiedział, zacierając dłonie - Dopuszczałem do niego tylko najlepszych z moich mechaników żadnych androidów - upewnił się Han tonem ostrzeżenia i podejrzliwie zlustrował okolice stanowiska. - Mam nadzieję, że nie było tu żadnych androidów. Brakuje im kreatywności.

- Żadnych androidów - potwierdził szef stoczni. - Wszystko ręczna robota. Dlatego właśnie trwało tak długo. Szczęśliwie majster miał już do czynienia z koreliańskimi frachtowcami na Toprawie. Nie takimi, jak wasz, oczywiście, ale zasadniczy model znał na tyle dobrze, by wiedzieć jak się zabrać do modyfikacji.

Chewbacca stanął pod jednym z występów dziobowych i spojrzał na pokryte różnymi instalacjami blachy kadłuba. Wskazał na jeden z dolnych emiterów tarcz i warknął coś do Hana.

- Co? - spytał szef stoczni, zerkając nerwowo tam, gdzie wskazywał Wookie. - A tak, przemontowaliśmy wszystkie emitery na układ symetryczny. Przedtem tłumili się częściowo, na skutek interferencji. Pola burt były przez to słabsze niż powinny. Atak z boku mógł się okazać niebezpieczny.

- Obiecaliście niczego nie zmieniać - wycedził Han.

- Obiecałem doprowadzić statek do ładu i to właśnie zrobiłem - odparł szef stoczni i skierował się do rampy wejściowej. - Najpierw rozmontowaliśmy go do gołych wręg, a potem rozłożyliśmy i wręgi. Mamy holo z każdego etapu prac, sami zobaczycie, jak powyginane były niektóre z nich. Znaleźliśmy też odkształcenia na naciągach. Z piętnaście procent całej konstrukcji kwalifikowało się tylko do wymiany.

Han minął rampę i obszedł statek, jakby sprawdzał go przed startem.

- No, dobra. Dostaliśmy nowe zderzaki, niech będzie, chociaż stare nigdy dotąd nie nawaliły.

Chewbacca przyznał mu rację.

Szef zmarszczył czoło i zszedł z rampy, na którą zdążył się już zapędzić.

- A to chyba tylko cudem, jeśli wziąć pod uwagę, w jakim stanie było wnętrze paneli sterowania. I wszystko inne. Zapewne nigdy nie pojmę, jak ten statek w ogóle mógł latać. Ale zrobiliśmy, co trzeba. Teraz wszystkie kable są porządnie zamocowane w wiązkach, mechanizmy zabezpieczone przed wstrząsami, przewody elektryczne izolowane i ekranowane przed impulsem...

- Wiedziałem, że jeśli nie będę was pilnował, to ani chybi coś nawywijacie - warknął Han. - I pewnie jeszcze dodaliście mu parę ton...

- Wręcz przeciwnie. Jest o trzysta kilogramów lżejszy.

- No tak. Najchętniej sam bym się tym wszystkim zajął, ale skąd wziąć tyle czasu.

Chemie warknął energicznie.

- Owszem, nie zniósłbym widoku „Sokoła Milenium” rozebranego na śrubki. To prawda - zgodził się Han. - Ani kogokolwiek, kto by w nim grzebał. To jak sekcja... i potem odbudowa... Lepiej tego nie oglądać...- przerwał, patrząc na moduł napędu. - Chwila, czy to wzmacniacz systemu Seinar?

- Tak.

- Ale to znaczy, że... - mruknął dziwnie łagodniejącym głosem. - Od lat szukaliśmy go na czarnym rynku, pamiętasz, Chewie? Ale ile razy trafialiśmy na ofertę, zawsze okazywało się, że próbują nam wcisnąć stary, przedimperialny złom. Albo barachło wymontowane z wraku myśliwca TIE. Takie z zamalowanymi wgnieceniami. Jak wam się udało...

Szef stoczni tylko się uśmiechnął.

- Proszę nie pytać, generale.

Chewbacca ziewnął i mruknął coś pod nosem. Han dosłyszał i uśmiechnął się krzywo.

- Owszem. Generalskie galony mają swoje zalety. - Spojrzał znów na szefa stoczni. - Dobra. Co jeszcze może mnie zaskoczyć?

- Kilka spraw - odparł tamten, wracając ponownie do roli oprowadzającego. - Zorganizowaliśmy brakujące kapsuły ratunkowe. Generator promienia przyciągającego doprowadziliśmy do standardu na model zero siedem. Motywator napadu nadświetlnego odpowiada teraz modelom z serii czterysta jeden...

- Święta matko meteorytów!

- ... wymieniliśmy soczewki we wszystkich czujnikach Korzystając z oryginalnych koreliańskich podzespołów zbudowaliśmy układ regulatora bateryjnego YT-1300...

- To już chyba przesada...

- ...daliśmy nowe wykładziny w ładowniach i pomieszczeniach mieszkalnych. Naprawiliśmy zacinający się zamek w szafce składziku numer dwa. Wymieniliśmy wkład w odświeżaczu powietrza - uśmiechnął się szef.

- Chcecie przelecieć się na próbę?

Chewie machnął kudłatą ręką, oddając jeden ważny głos za.

- Tak, ale znikły ślady historii. Bez skrzywienia, bez drgań...- mruknął Han. - To już nie będzie ten sam „Sokół Milenium”.

- Z pewnością nie będzie - stwierdził stoczniowiec. - Dostajecie z powrotem statek o dwadzieścia procent szybszy, o dziesięć procent tańszy w eksploatacji, o sto procent bardziej niezawodny.

- Kluczyki w stacyjce?

Szef stoczni przytaknął:

- Komputer alarmu został przeładowany i czeka na wprowadzenie prywatnych kodów dostępu.

Han spojrzał na Chewbacę.

- Leia wytrzyma chyba jeszcze trochę bez nas - rzucił.

- Sprawdźmy, co z tego wyszło.

- Dobrej zabawy - powiedział, znów szeroko uśmiechnięty, szef stoczni. - Załatwiłem wam już zgodę na start.

Han i Chewie podsunęli skanerom karty identyfikacyjne i, nie przerywając głośniejszej sprzeczki, wkroczyli na teren rezydencji prezydenckiej.

- Wiem, wiem, teraz to wcielona doskonałość - irytował się Han. - Oczywiście, masz rację. My sami, pracując w weekendy, a nawet przez rok połowy byśmy nie zrobili. I co z tego? Nie cierpię perfekcjonizmu.

Chewbacca potrząsnął głową i wydał długi, nabrzmiały frustracją jęk.

- Wcale mi nie odbiło. Jak możesz tak mówić? - oburzył się Han i teatralnie uniósł rękę. - Obejrzałeś go sobie dokładnie? Nie pamiętasz już, jak wyglądało lądowanie?

Chewie odwarknął zdecydowanie.

- To prawda, jest cichutki. Upiornie cichy. I błyszczy jak nowy but. - Han przystanął i uważnie spojrzał na przyjaciela. - Ale ja nie cierpię nowych butów. Lubię, gdy są pomarszczone, mam w nich dość miejsca na palce i nie nie uwiera w pięty. I gdy

skrzypią! A tutaj? Dotychczas starczyło nastawić ucha, co gdzie trzeszczy, a już wiedziałem, z której burty się do nas dobierają. Może powiesz, jak ja sobie teraz poradzę, jeśli znów znajdziemy się w opałach?

Chewie pokręcił głową i mruknął z dezaprobatą.

- Miałem nadzieję, że zrozumiesz - odparł z zalem Han. - Przecież oni wymienili nawet poduszki w fotelach przeciwprzeciążeniowych. A ja lubię starocie. Tak jak stare meble. To już nie jest mój 'Sokół Milenium'. Czuję się, jakbym siedział w cudzym statku. Powiem ci, co zrobię. Zanim wystartujemy gdzieś dalej, wezmę porządną klucz i poświęcę cały dzień, ale narobię tyle luzów...

Gdzieś w połowie tyrady Hana Chewie przestał go słuchać i nastawił uszu na całkiem inne dźwięki. W końcu złapał kompana za ramię i potrząsnął nim, by przerwać potok wymowy.

- Aurora - warknął.

- Co? - spytał Han, spoglądając ku ogrodowi. - nie słyszałem, żeby wołała.

Pospieszyli ścieżką ku miejscu, skąd dobiegał głos Leii. Znaleźli ją siedzącą na trawie z minikomputerem na kolanach. Trójka dzieci leżała obok. Wszyscy na wznak, z oczami wbitymi w niebo.

- Miałam nadzieję, że wróciście nieco wcześniej - powiedziała tonem łagodnej przygany. - Musiałam przełożyć spotkanie z senatorem Noimmem.

Han spojrział zmieszany na żonę.

- Przepraszam, kochanie - jęknął, siadając obok i ujmując jej dłoń. - Mieliśmy niejaki kłopoty w stoczni.

- Założę się, że sam byłeś przyczyną większości z nich - zauważyła Leia, pochylając się, by pocałować Hana w policzek. - Mam rację, Chewie?

Brunatnowłosa Wookie zaczął pilnie obserwować okoliczną zielen. Potem przystąpił z nogi na nogę i podrapał się po potylicy.

- Dobra, Chewie - odezwał się Han. - Sam się już wkopałem, możesz przestać się starać. - Skinął w kierunku dzieci, które przez cały czas nawet nie drgnęły. - Co im zrobiłaś, że są takie spokojne? Pozabijałaś?

Słyszając to Jaina zachichotała, psując cały efekt.

- To ćwiczenie - wyjaśniła Leia.

- Jakże? Kto będzie dłużej lewitował?

- Przestań - ucieła Leia. - Uczą się wyczuwać Moc obecną w trawie i każdej roślinie w ten sposób, by nie zakłócać przepływu. To konieczne, jeśli chce się poruszać lekko i bez zostawiania śladu.

Chewbacca jęknął.

- Nie patrz tak na mnie, Chewie - powiedział Han, kładąc się na trawie. - Mnie zaczynają słuchać dopiero wtedy, gdy mówię „poczekajcie, aż mama wróci”

Leia uśmiechnęła się i pogroziła mu palcem.

- Robię, co mogę, chociaż nie potrafię aż tyle, by zostać ich nauczycielką - powiedziała z westchnieniem. - Dobra, dzieciaki, już starczy - dodała nieco głośniejszym głosem.

Jacen, Jaina i Anakin kolejno siedli. Jacen zaraz zerwał źdźbło trawy i spróbował na nim zagwizdać. Siostra spojrzała na niego ze złością, a młodszy brat ze zgorzaniem.

- Powiedzcie mi, czego się dziś nauczyliście - poprosiła Leia.

- Że trawa czuje, jak po niej chodzimy - wyrecytowała Jaina - Ale wcale jej to nie przeszkadza.

- Wszystko żywe czuje, co się z tym czymś dzieje - stwierdziła Leia. - To ważna prawda i należy ją zapamiętać. A wy? Anakin? Jacen?

Anakin złożył dłonie za głowę.

- Ja nie wiem, czy nauczyłem się czegośkolwiek.

- Powiedz, co to było.

- No, ja patrzyłem w chmury. I wydawało mi się, że trawa też na nie patrzy. I zastanawia się, czy będzie padać.

- Trawa na pewno wyczuwa pogodę - zgodziła się Leia. - Ale raczej nie zastanawia się nad nią. To potrafią tylko istoty obdarzone rozumem.

- Obdarzone lub obciążone - wtrącił Han.

A ja dowiedziałem się, że trawa nie lubi zapachu Jainy - rzucił Jacen, dał siostrze kuksańca i czym prędzej odturlał się na bok. - Możemy iść do basenu, mammo?

- Możecie - odparła Leia, uznając ćwiczenie za zakończone. Trzy małe postacie zerwały się z trawy i pognały przez dziedziniec.

- Pójdę ich przypilnować - stwierdził Han i wstał.

- Siadaj. Nic im nie będzie - zatrzymała go Leia, osłaniając oczy dłonią. - Wiesz, Chewie, z dołu wyglądasz na jeszcze wyższego. Mam nadzieję, że twoja dziewczyna nie jest mojej postury. Ale nic. Też tyle wycierpiałeś w stoczni?

Chewie przysiadł na piętach w sposób jednoznacznie przypominający, że pochodzi z planety pokrytej lasami. Uniósł twarz ku niebu i zawył dumnie.

- Rozumiem, ty podchodzisz do życia praktycznie, a mnie ponosi - burknął Han. - A słyszałeś o jednym takim, co udusił swojego praktycznego kumpla?

- Nie przejmuj się, kochanie - powiedziała Leia, klepiąc go po dłoni. - To mi nie przeszkadza.

Wookie dwukrotnie chrząknął. Najpierw ze świętym oburzeniem, potem pytająco.

- Jasne, mów co cię gryzie - odparła Leia.

Kręcąc zamasyżuje głowę, Chewie wydał długi, bogato modulowany jęk. Jeszcze nie skończył, a Hana już poderwało z trawy.

- Co? - upewnił się. - Chcesz jechać do domu?

- Oczywiście - powiedziała do Wookiego Leia - Przecież masz własną rodzinę. Twoje zobowiązania wobec partnerki i dzieci są równie ważne, jak wszystkie inne, również te związane z nami. Han na pewno przyzna mi rację.

- Słucham? No owszem, ale kto mi pomoże doprowadzić „Sokoła Milenium” do miłego nieładu?

Leia dała mu kuksańca pod zebro.

- Oj!

- Spróbuj jeszcze raz zagroziła.

- Rozumiem, że dawno cię tam nie widzieli - wykrztusił Han z miną pełną żalu. Jeszcze trochę, a rodzina cię nie pozna. Chyba że zajrzą do nich i pobuszujecie sobie razem po gałęziach familijnego drzewa.

Chewbacca przytaknął energicznie.

- Jasne, siedziałeś tutaj, pilnując naszych dzieci zamiast zająć się swoimi, na Kashyyyku. Bezwzględnie powinieneś być obecny, gdy Lumpawaroo osiągnie wiek doirzały. Nalegam byś tam poleciał. Mam wrażenie, że okazaliśmy się dość samolubni. Wookie odchrząknął niepewnie.

- Oczywiście że damy sobie radę - zapewniła go Leia. - Dzieciom nic tu nie grozi, a my nie planujemy żadnej włóczęgi po galaktyce. Na dodatek Luke też jest teraz na Coruscant...

- Leio...

- ... i pomoże nam przy dzieciach. Nie namyślaj się zatem, tylko pakuj manatki i ruszaj. Prawda, Hanie?

- Jasne, stary Leia ma rację. Pora jest nie najgorsza. Czasy mamy spokojne. Będzie nam Ciebie brakowało, ale dość długo pilnowałeś interesu.

Lekkie drżenie skrytej pod futrem muskulatury zdradziło, że Chewiemu naprawdę ulżyło.

- Rrargrarg? - spytał, przechylając głowę.

- Wal śmiało - stwierdził Han z uśmiechem, pobladł jednak, gdy usłyszał drugą prośbę. - O nie. Nawet o tym nie myśl czekałem na niego przez całe sto sześćdziesiąt siedem dni.

Wookie warknął treściwie.

- Jeśli nawet nie cierpię nowych butów, to jeszcze nie znaczy, że gotów jestem dawać je komuś na rozczłapanie. Wybacz, ale przyjaźń też ma swoje granice.

- O czym wy mówicie? - wtrąciła się Leia.

- A, próbuje łapać mnie za słówka - prychnął Han. - Zresztą nigdzie nie jest napisane, że muszę być konsekwentny.

Chewie zawył rozzdzierająco, wstał i ruszył ku bramie.

- Chwilę, nie idź jeszcze - poleciła zdecydowanie Leia. - Han, co Cię ugryzło? Przecież możesz pożyczyć mu „Sokoła Milenium”.

- Owszem, ale nie chcę - oznajmił Han, zerwał się i zaczął krążyć po murawie. - Nie chcę, żeby płatał się beze mnie w nadprzestrzeni. Niech lepiej stoi tutaj, gdzie w najgorszym razie jakiś nadgorliwy mechanik podokręca na docisk te wszystkie śrubki, co ja je... Sama wiesz, jak Wookie latają. Da pełną moc, przyciśnie wszystko do czerwonej kreski...

Leia pokręciła głową.

- I ty się jeszcze zastanawiasz, po kim Jacen ma taki trudny charakter.

- Arrararooooerr - powiedział pojednawczym tonem Chewbacca.

- Słyszałeś? Han, kochanie, powiedz szczerze, ile lat życia zabrałeś dotąd Chewiemu? Od jak dawna nie odwiedzał Kashyyyka?

- Ja zabrałem? Życie Wookiech zawsze tak wygląda. Dla nich to normalne. Ale chętnie dam mu wolne.

- Możesz zrobić coś więcej. Pozwól mu wrócić do domu w roli bohatera. Na sławnym statku. Pomyśl, ile ten widok będzie wart dla syna Chewiego. Dla jego

dziewczyny. Niech wiedzą, że dokonał przez te lata czegoś naprawdę ważnego, co zostało na dodatek docenione. Może to im trochę wynagrodzi jego długą nieobecność.

- Może i tak - odparł powątpiewająco Han.

- No i jest twoim przyjacielem. Chyba nie gorszym niż Lando, a jemu „Sokoła Milenium” kiedyś pożyczyłeś...

Han uniósł ostrzegawczo palec.

- To co innego. Trwała wojna. A i tak zrobiłem to niechętnie.

- Wiesz, co Chewie sobie pomyśli? Gotów byłeś przegrać ten złom do Landa w sabaka, a tu chodzi tylko o pożyczenie.

- To żaden złom.

- Dobrze. Tylko o pożyczenie, i to w istotnej potrzebie. Chyba mu tego nie zrobisz?

Han objął głowę dłońmi, jakby nagle zabolalo go potężnie pod czerepem. Spojrzał na Leię, na Chewbacce, znów na Leię. Skrzywił się, zmarszczył brwi, przygryzł wargę i potrząsnął głową.

- To nieczyste zagranie - wyszeptał pod nosem.

- Co? - spytała Leia. - Co mówiłeś?

Han odchrząknął i spojrzał Chewiemu w oczy.

- Podejrzewam, że jeśli w czasie twojej nieobecności zechcemy gdzieś polecieć, to Leia coś wykombinuje. Albo jako pani prezydent, albo jako sławna księżniczka.

Chewie ryknął triumfalnie i podbiegł go uściskać.

- Ale masz uważać! - zażądał Han, krzywiąc się niemilosiernie w mocarnych ramionach. - Żebyś nawet lakieru nie zadrapał rozumiano? A przed wylotem z Kashyyyka napelnij zbiorniki. Nie będziesz zacieśniał więzów małżeńskich za moje pieniądze.

Wookie otworzył jedynie zębatą paszczę i zburzył Hanowi włosy.

Gdy już poszedł, Leia łagodnie objęła męża.

- Jestem z Ciebie dumna - stwierdziła. - Bo wiesz, Chewie nigdy słowem się nie zająknął, ale wciąż ma wyrzuty po porwaniu dzieciaków.

- To nie była jego wina - odparł Han i nie zapytał, skąd właściwie Leia tak dobrze zna duchowe rozterki Wookiego.

- Nie była, ale tego akurat nigdy od Ciebie nie usłyszał. Czuje się winny, że nas zawiódł. I że sprawia zawód własnej rodzinie. Naprawdę powinien zajrzeć do nich, nieco się podbudować. - Odsunęła się i spojrzała z uśmiechem na męża. - A z tego, co słyszałam, podobno opieka nad dziećmi Wookiech świetnie przygotowuje do kontaktów z małymi Jedi.

- Może też bym się zabrał...

- Nie musisz - powiedziała i pocałowała go.

- Dobrze, już dobrze - mruknął Han. - Ale im szybciej Luke nauczy nasze dzieci machać skrzydełkami, tym dla nich lepiej, bo z całą pewnością nigdy nie dam Jacenowi kodów dostępu do „Sokoła Milenium”. Po moim trupie...

- I owszem - odparł Han z oburzeniem. - I wcale się nie złościę.

Pozbawione szyldu biuro admirała Draysona mieściło się w głębi piątej strefy bezpieczeństwa, chronione liniami straży i pełną gamą działań dezinformacyjnych.

Dowodzona przez niego sekcja nie posiadała oficjalnej nazwy. Tylko kilkunastu wtajemniczonych decydentów z najwyższym kodem dostępu wiedziało o istnieniu tworu określanego na co dzień jako Alpha Blue, gdyż próżno by szukać wzmianek o nim w jakichkolwiek dokumentach zarówno rządu, jak i armii. Podlegający Draysonowi funkcjonariusze w zasadzie jakby nie istnieli: posługiwali się kartami identyfikacyjnymi zupełnie innych formacji i całkiem inaczej nazywali swe miejsce pracy. Sam Drayson nie nosił żadnych oznak funkcyjnych. Żołd pobierali z list kwaternistrzowskich jako maci, mechanicy lub zgoła cywilni urzędnicy kontraktowi.

Biorąc to wszystko pod uwagę, można pojąć, dlaczego niewielkie było zdumienie Draysona, gdy wchodząc pewnego ranka do swego biura znalazł tam zupełnie niezapowiedzianego i wręcz nieproszonego gościa. Kogoś, kto wcale dla niego nie pracował, a mimo to pozwolił sobie zasiąść na fotelu admirała, nogi zaś oprzeć na jego biurku.

- Proszę, proszę - powiedział Drayson. - Lando Calrissian. Masz szczęście, że nie zacząłem strzelać.

Lando uśmiechnął się radośnie.

- Miałem nadzieję, że ciekawość weźmie górę nad odruchami.

- Gość ze strzaskanym kolaniem nadaje się do przesłuchania równie dobrze, jak zdrowy - stwierdził oschle Drayson. - A teraz bądź uprzejmy zwolnić mój fotel.

- Skoro nalegasz - odparł Lando, wstając i wprawiając mebel w ruch wirowy. - Mama uczyła mnie, abym unikał stresów.

- I wlamywał się do każdego zamkniętego pomieszczenia?

- Nie. Mówiła: „Nie stój, gdy możesz siedzieć, nie siedź, gdy możesz leżeć”.

- Rozumiem - stwierdził Drayson, zatrzymując fotel i zajmując miejsce. - Dawno już o tobie nie słyszałem.

- To chyba niemożliwe...

- W każdym razie od czasu, gdy Mara Jade okazała zdumiewającą odporność na twój czar osobisty.

- Miło, że pamiętasz.

- Osobiści podejrzewam, że zająłeś się przepuszczaniem nagrody księżnej Mistal i włóczysz się po kasynach i innych przybytkach rozkoszy. A swoją drogą, zostało ci coś jeszcze?

Lando uśmiechnął się i siadł na brzegu biurka.

- Jestem pewien, że potrafiłbyś wyliczyć moje przychody i rozchody do pół kredyty. Nadal nie możesz mi wybaczyć, że tak dobrze wymykałem się z „Sokołem Milenium” i chłopcom z Chandrili? Anio tego, że zarobiłem na tych lotach fortunę, a tobie pozostało łapanie drobnych fuszerów? Chyba naprawdę powinienem odpalać ci dole.

- Nadal uważasz przemysł za coś na kształt uczciwej pracy, jak widzę - mruknął Drayson, kiwając się z fotelem. - Dlaczego sądzisz, że gotów byłbym skusić się na twoją brudną forszę?

- Bo wiem, komu posyłał czeki admirał floty Chandrili - powiedział Lando. - Prawda jest taka, iż łapówka działa nawet tam, gdzie zawodzi brawura, i każdy dobry przemytnik świetnie o tym pamięta.

Drayson po raz pierwszy zdobył się na uśmiech.

- Głupia sprawa, baronie, ale jakoś nie potrafię cię nie lubić. Wolałbym odwrotnie.

- Znam ten ból - odparł Lando. - Też nigdy nie sądziłem, że zdołam zaprzyjaźnić się z kimś, kto tak bardzo szanuje przepisy.

- Życie pełne jest niespodzianek. Chociaż twój widok wcale mnie nie zaskoczył. Prawdę mówiąc...

- Musimy o tym rozmawiać?

- Prawdę mówiąc, oczekiwałem cię od chwili, gdy usłyszałem o przybyciu „Ślicznotki”. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Zły zestaw pytań, admirałe - stwierdził Lando. - Tym razem będzie odwrotnie.

- Że co proszę?

- Ostatnio trochę się nudzę. Interesy idą normalnie, tu zarabiam, tam tracę, ale jakoś mnie to już nie bawi - wyznał bez ogródek Lando. - Niby ma to plusy, ale brak mu przyszłości. W dzisiejszych czasach przemysł to żadne wyzwanie, chyba żeby ruszyć do Światów Środka, a na to mam za dużo rozumu. Tutaj w promieniu dwudziestu parseków nie widzę żadnego towatu na tyle trefnego, by warto było dla niego ryzykować. No to przyszedłem.

- Nudzisz się - powtórzył Drayson.

- Właśnie. Gdybyś był uprzejmy znaleźć mi coś interesującego... W zamian powiem ci, jak ominąć tutejsze zabezpieczenia - dodał z niejakim żalem. - Obawiam się, że będziesz musiał nieco przemeblować swoje podwórko.

- Rozumiem. A czy mógłbyś powiedzieć jeszcze, dlaczego ten silny przyptyw znudzenia opanował cię właśnie dzisiaj?

- Czemu pytasz?

- Dopóki się z powrotem nie zaciągniesz, nie usłyszysz ani słowa więcej.

- Pożałuję tego kroku?

- A był jakiś krok, którego nie żałowałeś?

Generał Lando Calrissian i admirał Drayson, szef sekcji Alpha Blue, stali przed wielkim holoobrazem przedstawiającym statek komiczny bliżej nieokreślonego typu. Jego kadłub składał się z pięciu cylindrycznych modułów połączonych niby kłody drewna i na tyle był ciemny że ledwie dawało się rozróżnić jakieś detale. Dopiero wyświetlona obok skala pozwalała ocenić jego rzeczywistą wielkość.

- Poddaję się - stwierdził Lando. - Już chciałem powiedzieć, że to konstrukcja Kalamarian, ale oni nigdy nie zbudowali czegoś tak ogromnego. Co to jest?

- Teljkoński wagabunda.

Lando spojrział zdezorientowany.

- Znasz legendę o statku zwanym „Druha Szansa”?

- To ta alderańska latająca zbrojownia? - spytał tonem domysłu. - Jasne. Każdy przemytnik w tym sektorze gotów jest snuć barwną opowieść, że chociaż raz go widział. A wniosek z tego taki, że wszyscy przemytnicy w tym sektorze kłamią jak najęci.

- Nie wierzysz w tę legendę?

- To wybielanie historii.

- Mógłbyś rozwinąć wątek?

- Po prostu nie wierzę, że pacyfiści w Radzie Starszych Alderaanu okazali się na tyle cyniczni, by pierwszym ich krokiem po przejęciu władzy było zapakowanie całej posiadanej broni na jeden statek zaprogramowany na serię przypadkowych skoków po galaktyce. Sądzę, iż ktoś wymyślił tę historię kilka lat później, gdy Imperium zainteresowało się planetą - powiedział Lando i westchnął głęboko. - Sam żałuję, że to nie jest prawda. Wtedy mogliby odwołać „Drugą Szansę”, sprowadzić arsenał z powrotem i użyć go przeciwko Gwieździe Śmierci. Ale to tylko jeszcze jedna marynarska bujda.

- Z tym się zgadzam - powiedział Drayson i postukał w holoeokran. - Jednak ten statek jest prawdziwy, chociaż pojawia się jak widmo i zapewne w ten sposób podtrzymuje legendę o „Drugiej Szansie”. Zdjęcie, które widzisz, zrobiono pięć lat temu z pokładu „Śmiałka”, fregaty Nowej Republiki. Dokładnie w środku całego zamieszania związanego z admirałem Daalą.

Lando uśmiechnął się blade, wspomniawszy, jak niewiele brakowało, aby owo „zamieszanie” skończyło się dla Nowej Republiki fatalnie.

- Zaraz po jego wykonaniu „Śmiałek” oddał salwę przed dziób statku. Ten odpowiedział ogniem z broni, której do dziś nie potrafimy zidentyfikować. Jednym strzałem wyłączył maszynownię fregaty i uciekł w nadprzestrzeń. Zniknął z pola widzenia na całe dwa lata. Nie nudzę cię?

- Nie, mów dalej.

Admirał Drayson odwrócił się od ekranu i podszedł z powrotem do fotela na prezydjalnym podwyższeniu.

- Opisane spotkanie było drugim, z którego mamy wiarygodną relację - powiedział siadając. - Jako pierwszy otrzymaliśmy meldunek monitora Hrasskisów działającego w systemie Teljkon.

- Stąd nazwa?

- Właśnie. Hrasskisowie uznali statek za opuszczony i usiłowali go przechwycić. Najpierw próbowali nawiązać z nim łączność. Potem statek nadał pięciosekundową, modulowaną transmisję na prawie wszystkich zakresach. Tak silną, że o mały włos a spaliłby Hrasskisom moduł łączności. Mamy nagranie, ale jest tak zniekształcone, że nic nie można z tego wyciągnąć. Tak czy owak, trzydzieści sekund po ustaniu sygnału...

- Niech zgodnę. Skoczył w nadprzestrzeń?

- Zgadza się.

- A trzeci raz?

- To my go wypatrzyliśmy. Myśleliśmy, że będziemy lepsi. Statek wywiadu próbował przyczepić mu znacznik do kadłuba. Nie zdołał nawet podejść dość blisko.

- I co potem?

Drayson oparł się wygodnie i postukał palcami w poręcz fotela.

- Znaleźliśmy go w głębokiej próżni w rejonie Gmar Askilon. Daliśmy mu ogon...

- Mam nadzieję, że trzyma dystans.

- I to całkiem spory. Ale zamierzamy zająć się sprawą bliżej. Wywiad organizuje właśnie niewielką grupę bojową. Mają przechwycić wagabundę, wejść na jego pokład i ustalić, co tu jest właściwie grane. Gdybyś zjawił się za tydzień, byłoby już w drodze. Spóźniłbyś się.

- A więc to tak - mruknął Lando z twarzą równie kamienną, jak podczas partii sabaka. - Co za wspaniały zbieg okoliczności...

- Właśnie. Jesteś zainteresowany?

- Sprawa jest ciekawa - przyznał Lando. - Ale co akurat ja miałbym tu do roboty?

Drayson raptownie spoważniał.

- Dołączę cię do załogi Pakkpekatta. Oficjalnie będziesz oficerem łącznikowym. Koniec końców, „Śmiałek” był okrętem regularnej floty i wywiad ma pełne prawo interesować się statkiem, który nas zaatakował.

- A w rzeczywistości zostanę twoją wtyczką?

- Nie - odparł Drayson. - Wtyczek mogę mieć w zespole, ile zechcę. Nie musisz nawet wiedzieć, czy będą tam jeszcze inni agenci. Nie oczekuję od ciebie meldunków.

- No to po co mam lecieć?

- Bo jesteś przemytnikiem i myślisz jak przemytnik, podczas gdy pułkownik Pakkpekatt myśli jak wojskowy. Brakuje mu twoich uzdolnień. Potrafisz wszędzie wleźć, umiesz dostrzec pułapki, które innym umykają. Uważam, że z twoim udziałem będą mieli większe szanse niż bez ciebie.

- To wszystko?

- Wszystko - stwierdził Drayson. - Moim zadaniem jest pilnować biegu spraw. Zapobiegać jednym, prowokować drugie. Decyduj się. Wchodzisz, czy nie? Masz ochotę złowić teljkońskiego wagabundę?

Lando tylko wyszczerzył zęby.

ROZDZIAŁ

4

Komunikator Hana z wyczuciem odezwał się w pierwszej spokojnej chwili tego dnia.

- Hanie, mówi Luke - rozległ się znajomy głos. - Spotkasz się ze mną?
- Co? Luke? Słuchaj, siostra cię szuka i...
- Wiem - przerwał mu Luke. - Ale teraz chcę się zobaczyć z tobą.
- Zgoda. Gdzie jesteś? Naprawdę na Coruscant, jak mówiła Leia?

Luke nie odparł wprost.

- Weź śmigacz i skieruj się na zachód od Imperial City. Gdy dotrzesz do wybrzeża, wyłącz system nawigacyjny i przełącz sterowanie na ręczne. Sam cię sprowadzę.

- W porządku, łatwa sprawa. Ale trochę później - dodał Han tonem przeprosin. - Wieczorem. Ktoś musi zostać z dziećmiakami.

- Jasne. No, to do wieczora.

- Czekaj - rzucił pośpiesznie Han, zanim Luke przerwał połączenie. - Mam to trzymać w tajemnicy? Mogę powiedzieć Leii o naszym spotkaniu?

- Jeśli musisz. Nie chcę, żebyś ją okłamywał.

- Na pewno nie chcesz z nią teraz rozmawiać?

- Na pewno. Wyjaśnij jej, co trzeba, ale przyjedź sam.

Tereny nad brzegiem zachodniego morza były niegdyś pełnym rozrywek kurortem, w którym nigdy chyba nie zasypiano. Kres, zabawie położyła inwazja sił imperialnych i nawet teraz jeszcze, choć sytuacja w zasadzie wróciła do normy, tylko z rzadka rozrzucone wzdłuż plaży ośrodki pozwalały dostrzec, gdzie kończy się ląd, a zaczyna woda. Han przemknął nad nimi i wniknął w mrok nad falami.

Odczekał jeszcze kilka długich sekund, chociaż sam nie wiedział czego właściwie się spodziewa.

- Dobra Luke'u, mam nadzieję, że już mnie zauważyłeś. Jak nie to sobie popływam.

Pochylił się i włączył komp nawigacyjny, co okazało się dość trudne. Trzykrotnie musiał potwierdzać, że na pewno wie, co robi. W końcu jedna trzecia kontrolki na tablicy zgasła, a na monitorze pojawił się napis: RĘCZNE STEROWANIE.

- No i co - mruknął Han, zakładając ręce na piersi.

Niemal natychmiast śmigacz skręcił gwałtownie w prawo i zanurkował. Han ledwo powstrzymał odruch przejęcia sterów.

Po chwili jednak pojazd wyrównał, chociaż teraz leciał niepijaco nisko. Księżyc krył się jeszcze pod horyzontem, lecz fale i tak były widoczne za sprawą lekko fosforyzującego planktonu. Widok nawet mu się podobał, ale czemu tak blisko?

- Jesteś tam, Luke'u? - rzucił Han, wbijając się w fotel na tyle na ile długie nogi mu pozwalały. - Długo to potrwa? Zdążę się zdrzemnąć? Jakbyś jeszcze podrzucił tackę z obiadem...

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Jak zwykle, niech to... - mruknął Han i zamknął oczy. - Wszyscy przewoźnicy są tacy sami. Najpierw zedrą z ciebie skórę za bilety, ale kiedy już zapędzą na pokład, to dopytają się choćby o szklanek wody...

Śmigacz skręcił ku brzegowi i zaraz zyskał towarzystwo ciekawskiej dzierzby morskiej, która wyleciała skądś spośród skał. Pojazd zwolnił i zmiana tonu pracy silników zbudziła Hana. Rozejrzał się, ale nie zdołał ustalić, gdzie właściwie leci.

Nagle na tle nieba pojawił się owal jasnym niczym drzwi do Poranka. Lecący w szyku ze speederem ptak skręcił czym prędzej i umknął, pojazd zaś wpadł do pustego, całkiem obszernego pomieszczenia. Han obejrzał się akurat w porę, by zauważyć zasklepiające się za nim przejście.

- *Cześć, Hanie* - odezwało mu się w głowie. - *Chodź na górę.*

- Na górę? - spytał Han, wysiadając ze śmigacza. - Ale tu nie ma...

Jakby w odpowiedzi, najbliższa ściana zafalowała i zakiełkowała drabiną. Równocześnie pojawił się otwór w suficie.

- Jasne. Rozumiem, że stworzyć schody jest nieporównywalnie trudniej.

Ruszył jednak żwawo, omijając co drugi szczebel. I przesadził, bo rychło krew zaszumiała mu w uszach.

Trafił do wielkiego pomieszczenia pozbawionego jakichkolwiek urządzeń i przypominającego wnętrze kuli.

- No i co teraz?

- *Dalej* - odparł głos. - *Wejdz po ścianie.*

- Łatwo ci gadać - warknął nieco już wkurzony Han, jednak ponieważ otwór wejściowy zdążył zniknąć, nie miał wielkiego wyboru. Spróbował podejść po stromiźnie ściany i ze zdumieniem stwierdził, że chociaż się wspinał, nadal znajdował się na dole.

Może wiązało się to z pomysłowym podkręceniem pola sztucznej grawitacji, a może była to jakaś sztuczka Jedi. Ewentualnie faktycznie tkwił we wnętrzu kuli, która obracała się w takt jego kroków. Nieważne. Zamiast się zastanawiać, po prostu szedł.

Pokonał już spory kawałek i uznał, że chyba łązi właśnie po suficie, gdy fragment podłoga przed nim opadł, tworząc niewielką rampę wiodącą na zewnątrz kuli. Wprawdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa winien wisieć głową w dół, jednak po drugiej stronie poczucie równowagi wróciło. Był w wielkim pokoju o kształcie piramidy z trójkątną podstawą. Tutaj również nie dojrzał żadnych źródeł światła, chłodny blask zdawał się płynąć wprost ze ścian.

- Miła kawalerka - mruknął Han, przesuając się powoli ku środkowi pomieszczenia i zerkając w górę. - Wiele trudu sobie zadałeś, aby ją utajnić. I którąś dalej? A w ogóle, to kto zaprojektował ci takie чудо? Będziesz musiał polecić tego szalonego dekoratora Leii...

- Dziękuję, że przyszedłeś - rozległo się nagle za jego plecami. - Miło cię widzieć.

Han odwrócił się na pięcie. Luke stał ledwie krok od niego, zupełnie jakby cały czas szedł trop w trop. Solo uśmiechnął się krzywo.

- No wiesz, skoro byłem niedaleko, to zajrzałem. Chociaż, po prawdzie, sam mógłbyś nas odwiedzić.

- Cóż, nie za bardzo - stwierdził Luke. Nosił ubranie które wyglądało jak pozszywane z kawałków rozmaitych mundurów, włącznie z uniformem pilota i peleryną pustynną z Tatooine. Sprawiał wrażenie kogoś wprawdzie odprężonego, ale dziwnie nieobecnego. Han najchętniej złapałby go w ramiona i spróbował otrzeźwić jednym czy dwoma kuksańcami. - Mam nadzieję, że niebawem sam zrozumiesz, dlaczego.

- Może, ale zacznij od początku. Bo na razie mc z tego nie pojmuję. Gdzie jesteście? Co ty tu robisz? Czemu się ukrywasz? I po co mnie ściągnąłeś? Nie mogłeś wezwać Leii?

- Ty jeden niczego ode mnie nie chcesz - stwierdził Luke. - O Leii tego akurat powiedzieć się nie da. Co do reszty pytań, to wytłumaczenie wszystkiego będzie musiało chwilę potrwać.

Han rozejrzał się krytycznie wokół siebie.

- Jeśli tak to może masz tu jakieś krzesło?

- Przepraszam - powiedział Luke i usadowił się w pozycji medytacji. - Siadaj gdzie chcesz, a ja podsunę ci poduszkę. - Odczekał chwilę, aż Han zajmie niewidzialne miejsce. - Jak sam widzisz, ukryłem się całkiem skutecznie. Nawet przed Leią, toteż mam nadzieję, że wróciwszy uświadomisz jej, jak bardzo teraz pragnę być sam. Jeśli nie przyjmie tego do wiadomości, to cóż... I tak nie osiągnie swoich zamiarów. Sprawi jedynie, że pocuję się zmuszony do opuszczenia Corustant.

- Nie nadążam - przerwał mu Han. - Przecież zawsze byliście sobie tak bliscy. Co się porobiło?

- Nic. Po prostu na jakiś czas dość mam czyjejkolwiek bliskości.

- Dobra. Słucham.

Luke przytaknął, ale trwało chwilę, nim podjął wątek.

- Nie wiem, czy zrozumiesz. Bo... gdy po raz pierwszy spotkałem Obi-Wana, mieszkał na Tatooine jako pustelnik. W jego przypadku trwało to co najmniej dziesięć

lat, ale Yoda, który zaszył się na Dagobah, spędził w samotni ponad wiek. Nigdy nie przyszło mi do głowy, aby zapytać któregoś z nich, dlaczego.

- Trochę za późno na takie żale - uśmiechnął się ironicznie Han.

- Wtedy sądziłem, że się po prostu ukrywają. Przed Imperatorem, przed moim ojcem, Ale to przecież bez sensu.

- Naprawdę? Bez aluzji, ale tych dwóch nie zaliczało się do szczególnie miłego towarzystwa. Zwykle byłem szczęśliwy, że nie płaczą mi się pod nogami.

- Dobrze, ale po co udawać się w ty w tym celu na środek pustyni? Czy do dżungli?

- To chyba oczywiste!

- Nie - Luke potrząsnął głową. - Podobna kryjówka jest dobra dla takiego chociażby Hana Solo, szczególnie gdy ktoś wyznacza sowitą nagrodę za jego głowę, ale nie dla Jedi, i nieważne czy to rycerz, czy mistrz Ciemniej Strony. Dla Jedi sama fizyczna obecność jest tylko jednym z przejawów istnienia. Może zmienić twarz, zejść innym z oczu, ale nie zmyli Mocy, którą przyciąga. Gdziekolwiek zatem będzie, wrażliwa na Moc i tak go wypatrzą. Pamiętasz tę chwilę, gdy lecieliśmy na Endor, żeby zniszczyć stację mocy chroniącą drugą Gwiazdę Śmierci?

- Jasne. Trochę cię nosiło. Powiedziałeś, że Vader może wyczuć twoją obecność.

- I wyczuł. Nie potrafiłem jeszcze wtedy wygaszać otaczającego mnie falowania Mocy. Ale Obi-Wan i Yoda byli mistrzami. Sądzę, że ukrycie się przed Imperatorem nie stanowiło dla nich problemu, a skoro tak, to po co mieliby szukać pustelni? Równie dobrze mogliby się maskować w Imperial City, na osobistym niszcycielu Vadera czy gdziekolwiek. Rozumiesz? Gdyby władali Mocą gorzej niż Palpatine, żadna odległość czy pustelnia by ich nie ochroniła.

- Może nie chcieli, by ucierpieli niewinni, gdyby Vader jednak ich odnalazł, i stąd ta pustelnia - zasugerował Han. - Musisz przyznać, że kiedy Jedi biorą się do bitki, to pierze leci. W Imperial City jeszcze dziś o tym pamiętają.

Luke pokręcił głową.

- Nie. Prawdziwy powód odkryłem dopiero podczas pobytu na Yaninie Cztery. To problem, z którym musi się zmierzyć chyba każdy Jedi. Wcześniej czy później, każdy z nas odkrywa tę prawdę. Tak jak ja. To dość frustrujące. Problem w tym, że im pewniej operujesz Mocą, tym więcej możesz dokonać. W konsekwencji ludzie coraz więcej od ciebie oczekują i masz mniej czasu dla siebie. Oddajesz innym spory kawał swojego życia.

- I dlatego tu jesteś? - spytał Han spoglądając na otoczenie. - Po prostu uciekasz?

- Nazwij to jak chcesz, chociaż owszem, znasz już jeden z powodów. Ale nie jedyny. I ten drugi trochę trudniej wyartykułować. A może i zrozumieć - zaczął Luke. - Bo wiesz, Han, pewien jestem, że na każdego Jedi przychodzi taka chwila, gdy musi dokonać wyboru. Świat na niego napiera, jeszcze trochę, a wpędzi go w szaleństwo, Jedi zaczyna więc marzyć o chwili spokoju. Ale spokój może osiągnąć tylko na dwa sposoby. Albo narzuci swoją wolę całemu otoczeniu, żeby działało pod jego dyktando, albo ucieknie od tych niezliczonych tłumów, które wiecznie domagają się jego pomocy i interwencji.

- Rzeczywiście, chyba nie nadażam - stwierdził z lekką przekorą Han.

Luke uśmiechnął się.

- No to wyobraź sobie, że jesteś w domu. Jeden z dzieciaków wrzeszczy, pozostałe dwa czepiają się twoich rąk, żądając wielkim głosem, byś ukarał to drugie za jakąś błąhostkę...

- Normalka - wtrącił Han.

- Do tego Chewbacca gra obok na nie nastrojonej drumli, See-Threepio gędzi o niczym, Artoo-Detoo klóci się w basicu z domowym androidem, hiperłącze wyje głosami dwóch bardzo ważnych osób i komunikator piszczy ci w kieszeni. Dostałeś właśnie trzy wiadomości od znajomych, którzy proszą cię o przysługę, Leia siedzi przed tobą coraz bardziej wkurzona, że jej nie słuchasz. W sąsiednim pokoju Lando pokłócił się z kumplami od sabaka, jakiś gość dzwoni uparcie do drzwi wejściowych, a w ogródku próbuje wylądować kilka ślizgaczy.

-Owszem, to wyglądałoby już trochę gorzej niż zwykle - przyznał Han. - Chociaż tylko trochę gorzej.

- I tak przez okrągłą dobę, przez miesiąc, rok, całe życie, i to bez przerwy, i z każdym dniem coraz gorzej. Możesz być niespotykanie spokojnym człowiekiem, ale w pewnej chwili uznasz, że masz dość. I co ci zostaje? Albo spacyfikujesz wszystkich po swojemu, albo uciekniesz z domu.

- Ewentualnie oszalejesz. Lub zburzysz całą chatkę - uzupełnił Han. - Jedno i drugie nie do przyjęcia. Tak, teraz chyba ogarniam.

- Rozumiesz, jak cienka linia dzieliła Palpatine'a od Yody? - spytał z rosnącym zapalem Luke. - Pierwszy postanowił zapanować nad innymi, Yoda zapałzył się w siebie. Imperator działał w nadziei, że stworzy nowy, idealny porządek wszechświata, Yoda wolał spróbować zrozumieć ten wszechświat, który znał.

- Skoro o tym mówisz - powiedział z namysłem Han - to zawsze zadawałem sobie pytanie, dlaczego to właśnie ty wyciągnąłeś krótszą słomkę. Obi-Wan i Yoda byli przecież o wiele silniejsi, a gdyby zaczęli działać wspólnie i razem wzięli się za Imperatora...

- Właśnie! - zakrzyknął Luke, naprawdę już ożywiony. - Musiało wypaść na mnie. Kogoś dość młodego i niedoświadczonego, by jeszcze chciał zmieniać świat, kształtować go na nowo. Tylko taki ktoś miał szansę w pojedynku z Baderem. Obi-Wan i Yoda dawno już przeszli od czynu do transcendencji. A gdy się poddasz, jesteś bezbronny.

- Ale żeby aż się poddać? Co to za rycerz Jedi, który nie chce walczyć?

- Spróbuj zrozumieć, Han. Na Ciemną Stronę przechodzi wtedy gdy zaczynasz używać Mocy jako narzędzia pozwalającego ci zapanować nad innymi. Sam doświadczyłem tej pokusy. Kto jej ulegnie, zaczyna myśleć jak Palpatine czy mój ojciec: „mam władzę i mogę korzystać z niej wedle woli i ochoty”. Tego byś pragnął? Żeby Jedi rządili galaktyką tylko z jednego, jedyne go powodu, że to potrafią?

- Cóż, skoro tak to ujmujesz...

- Właśnie. Ale wstrzeźliwość też ma swoją cenę. Jedi, który wybierze szlak medytacji, gubi się jako wojownik. Brak mu motywacji do dalszego prowadzenia

krucjaty. Obi-Wan czy Yoda nie bali się walki ani śmierci. Czuli, jak wielka suma nieszczęść spadła na galaktykę za sprawą Imperium. Czuli to pewnie nawet lepiej niż inni. Ja nie byłem ani silniejszy, ani mądrzejszy od nich, ale nie brakło mi świeżości spojrzenia. Byłem pełnym nadziei, typowym żółtodziobem gotowym rzucić wyzwanie nawet samemu Imperatorowi. Musiało zatem wypaść na mnie.

Han zmarszczył czoło i przechylił głowę.

- A teraz?

- Teraz? Co zrobiłby teraz? - powtórzył Luke rozkładając ręce. - Nie wiem czy jeszcze bym tak potrafił, czy zebrałbym dość siły. Mam wrażenie, że dotarłem do pewnego progu. I muszę wybrać. Ale nie wiem jeszcze, co uczynię z moim darem. I brzemieniem zarazem. Na to pytanie muszę sobie dopiero odpowiedzieć.

- I dlatego chcesz zostać sam.

- Nie mam wyboru, Han. Wytłumaczysz to Leii?

- Spróbuję, ale...

- O nic więcej nie mogę cię prosić.

- Jeszcze jedno... chociaż domyślam się, co odpowiesz, ale zapytam. Żeby potem nie było, że nie pytałem. Leia chce, żebyś jej pomógł.

- Wiem.

- I zamieszkał z nami na jakiś czas. A przede wszystkim, żebyś pomógł przy dzieciach. Mówi, że sama nie da sobie rady z ich szkoleniem.

- Tylko jej się tak wydaje - stwierdził Luke. Przykro mi, ale muszę odmówić.

- Dobra - Han wzruszył ramionami. - A ja musiałem spytać. Już słyszę co odpowie. Że przecież jesteście rodziną, a skoro już koniecznie chcesz robić za pustelnika, to może w przyszłym miesiącu, a nie teraz, gdy...

Luke wstał.

- Leia jest dla mnie bardzo ważna, podobnie dzieci i ty. Przecież dobrze o tym wiesz.

- Jasne...

- I właśnie dlatego odmawiam. I to nie ma nic wspólnego z tą pierwszą sprawą.

- Nie ma? - spytał Han zrywając się na nogi.

- Mojej siostrze niczego nie brakuje do doskonałego wywiązania się nie tylko z roli matki, ale i nauczyciela dzieci Jedi - stwierdził Luke. - Musi tylko uwierzyć w siebie, a wkrótce sama przekona się, że świetnie daje sobie radę. I dlatego właśnie zrobiłbym niedźwiedzią przysługę jej i całej waszej rodzinie, gdybym teraz posłuchał i ruszył na pomoc. Nie chcę przyzwyczajając Leii, że w razie konieczności rozwiążę za nią jej problemy. Ani podkopywać jej autorytetu w oczach dzieci. Twój obraz też by zresztą ucierpiał, a przecież na razie to normalne dzieci, które najważniejszego powinny nauczyć się od rodziców.

Han wydał wargi i zastanowił się nad słowami Luke'a.

- W porządku - powiedział, podając mu dłoń. - Powodzenia, chłopie. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, ale poczekamy, aż sam się do nas odezwiesz. Nie będziemy cię niepokoić. Może być?

Luke odwzajemnił uścisk i spojrział znacząco w oczy przyjaciela.

- Dziękuję - odpowiedział z lekkim uśmiechem. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

- Możesz nie możesz, i tak moja krzywda - mruknął Han, który nie przepadał za zbyt dużym okazywaniem emocji. Poklepał Luke'a po ramieniu rozejrzał się w poszukiwaniu wyjścia. - Pustelnikuj sobie, ile masz woli i ochoty, ale na mnie już pora. Wrócę do domu i powiem Leii, że przeżywasz załamanie nerwowe, a jak skończysz to zadzwonisz. Tak będzie o wiele prościej. Nie, nie fatyguj się, trafię do drzwi. Zresztą mam jeszcze blaster, w labiryntach sprawdza się o wiele lepiej od nitki...

Złociste blachy androida efektownie kontrastowały z tłem szerokich, zielonych liści i lian, przez które maszynka właśnie torowała sobie drogę.

- Nie do pomyslenia! Co za bezczelność! - ogłosił Threepio całemu światu i nikomu, jako że w zasięgu wzroku nie miał żadnego potencjalnego słuchacza. - Sądziłby kto, że to on jest androidem protokolarnym, a ja zwykłym robotem astronawigacyjnym.

Przerwał walkę ze szczególnie upartą lianą i obejrzał się.

- Mam nadzieję, że gacki powyrywają ci obwody i urządzą sobie gniazda w twoich bebechach - zawołał, aż echo poszło przez dżunglę. - A te drugie stwory zaniosą twoje resztki swoim młodym do zabawy - dodał. - Wtedy wreszcie na coś się przydasz.

Kiedy chciał ruszyć dalej, prócz splecionej roślinności Yavina Cztery znalazł na szlaku jeszcze człowieka. Rosłego, szerokiego w barach i odzianego w mundur pilota floty.

- Och! - krzyknął C-3PO i cofnął się o krok. - Generale Calrissian, ależ mnie pan zaskoczył, sir. Skąd pan się tu raczył wziąć?

Lando aż się uśmiechnął.

- Przyszedłem, czego w takim hałasie mogłeś nie zauważyć. Chyba nie pokłóciłeś się znowu z Artoo? Myślałem, że po tylu latach już wam przeszło. Jesteście gorsi niż rodzeni bracia.

- Ta uparta i byle jak zlutowana kupa obwodów nie jest mi żadnym bratem - stwierdził dumnie Threepio. - Gdybym wykrył u siebie tyle wad fabrycznych, ile u niego ujawnia się każdego dnia, to sam zgłosiłbym się do składnicy złomu. W życiu nie spotkałem drugiego równie egoistycznego i niepozbitowanego egzemplarza androida klasy R. Weźmie się taki do modernizacji rezerwowej sieci zasilającej, sprawa trywialna jak rzadko, a zaraz żąda priorytetu niczym przy inwestycji stulecia. Mógłbym przytoczyć panu listę jego anomalii długą jak stąd do...

- Może później - przerwał mu Lando - Teraz wolałbym odnaleźć twojego kumpla na kółkach. Zabieram was na małą wycieczkę.

- Będę zachwycony, mogąc panu towarzyszyć, sir. Co do mnie, to niech Artoo poczeka sobie na nasz powrót w jakimś bagnie. A nuż zdąży przerdzewieć - stwierdził 3PO, wyplątując się z bluszczu, obchodząc drzewo i stając obok Landa. - Jednak pan Luke kazał mi pomagać w administrowaniu Akademią i nie zmienił tych instrukcji przed odlotem.

- A co powiedział na odchodnym?

- Po prawdzie to nic, generale Calrissian. Pewnej nocy po prostu zniknął. Od dziewiętnastu miejscowych dni nie miałem odeń znaku życia. Może pan coś słyszał, sir? Jak się miewa? Może przynosi pan nowe polecenia od niego?

Lando zastanowił się przelotnie.

- Owszem. Dla was obu. Z Lukiem wszystko w porządku, postanowił po prostu poszukać nieco wytchnienia. Do swojego powrotu przypisał was do Sztabu Floty, a ten przekazał was mnie.

Gdybym mógł porozmawiać z Lukiem, to bez wątpienia na czymś podobnym właśnie by stanęło, pomyślał.

- Miło mi słyszeć, że pan Luke miewa się dobrze, generale Calrissian. Tutaj nikt nie potrafił udzielić żadnej informacji. Muszę też przyznać, że nie będzie mi brakować Yavina Cztery. Tak tu wilgotno, aż woda gromadzi się w stawach. Korozję można złapać. Proszę na mnie spojrzeć, na krok nie da się wejść do dżungli, żeby się nie ubrudzić. Czy naprawdę musimy brać Artoo ze sobą?

- Chyba tak, stary - stwierdził Lando, klepiąc androida po blachach ramienia. - Ale spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia: ty musisz radzić sobie tylko z Artoo, a ja? Obu was będę miał na karku. Dlaczego miałbyś mieć lepiej niż ja?

Threepio przechylił głowę pod dziwnym kątem.

- Chyba nie rozumiem, sir...

- Później ci to wyjaśnię - powiedział Lando, spoglądając na czasomierz. - Zawołaj Artoo. Nie możemy się spóźnić, a to dopiero początek drogi.

- Powiniennem jeszcze poinformować pana Streena, że odlatujemy.

- Już się tym zająłem - odparł Lando, który faktycznie rozmawiał nieco wcześniej ze Streemem. Niezbyt szczerze zresztą. W nawyk mi weszło to bujanie - pomyślał. Chociaż właściwie w tym mundurze nawet nie muszę. I tak mi ufają.

- Zbieraj się, blaszany. „Ślicznotka” już czeka.

Miedziane chmury kłębiły się za oknami pomieszczenia, które niegdyś było biurem Landa. Stąd zarządzał Miastem w Chmurach. Musiał przyznać, że od czasu jego ostatniej wizyty prawie nic się nie zmieniło. Zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Ściany i półki biura nadal wypełniały cenne przedmioty zgromadzone w trakcie częstych wypraw przemytniczych.

- Podobna mi się, jak tu rządysz - powiedział Lando do cyborga, który urzędował za biurkiem. - Chyba się nie mylę, ale na wet nie odesłałeś mi moich rzeczy?

- Nie zwracam uwagi na podobne drobiazgi - stwierdził Lobot. Biegająca od ucha do ucha obręcz sterownika na jego głowie migotała pracowicie. - Subiektywna reinterpretacja kulturowa to twoja działka. Chociaż przynajmniej, że sposób udekorowania pokoju budzi uznanie.

- Miło, że doceniasz mój gust - uśmiechnął się krzywo Lando. - Niemniej nawet najwspanialsze otoczenie może się znudzić, gdy ktoś musi gapić się na nie dzień w dzień. Kiedy ostatni raz oderwałeś się od biurka?

- Dwa razy na dobę odbywam inspekcję - odparł Lobot. - Pełny cykl inspekcyjny zajmuje dziewięćdziesiąt siedem dni.

- Nie w tym rzecz. Kiedy ostatni raz odłożyłeś na chwilę sterownik?

Lobot aż się zdumiał.

- Nigdy nie tracę kontaktu z miastem.
- Tego się obawiałem - mruknął Lando. - I dlatego tu jestem. Za ciężko pracujesz, Lobot. Zasłużyłeś na chwilę wakacji.
- Jak mógłbym zostawić Miasto w Chmurach bez administratora?
- Powiem ci coś. Może nie uwierzysz, ale ludzie, którzy dla ciebie pracują, nie lubią monotonii. Czasem trzeba im odmiany.
- Ależ system... Rozstroi się bez ciągłego monitorowania i nadzoru.
- No to pomyśl, frajdy będziesz miał nastawiając wszystko po powrocie - A mała wycieczka dobrze ci zrobi. Szczerze mówiąc, przydałoby ci się nieco obycia między ludźmi. Flirt towarzyski i te rzeczy. Tutaj pewnie nikt nie wie, że w ogóle potrafisz mówić.
- Bezpośrednia transmisja danych jest o wiele efektywniejsza.
- Przesadzasz z tą efektywnością, przyjacielu - mruknął Lando, siadając wygodnie w fotelu i ostentacyjnie zakładając nogę na nogę. - Posłuchaj tylko, a na pewno ci się spodoba. Bo widzisz, dobrze wiem jak bardzo lubisz pracę, i właśnie dlatego wypiciliśmy takie wakacje, że roboty będzie potąd.
- Jakiego rodzaju?
- Tego nie mogę ci powiedzieć, dopóki się nie zgodzisz - odparł Lando, wskazując na naramienniki munduru. - Dostałem tymczasowy przydział. Z pełnym błogosławieństwem wywiadu. Mogę ci tylko obiecać, że to o wiele bardziej frapujące niż obecna dłubanina. Poza tym naprawdę będę potrzebował twojej pomocy. Zupełnie jak w dawnych czasach.
- Lobot wstał i rozejrzał się niespiesznie po pokoju.
- Dobra. Ale wszystko, co tu zgromadziłeś, zostanie na miejscu - powiedział w końcu. - Przez pamięć na dawne czasy.
- Ostry warunek. I kto cię uczył, jak się targować?
- Ty - przyznał Lobot. Zamknął oczy i opuścił głowę. Światelka sterownika rozgorzały najpierw zielenią, potem czerwienią i zgasły. Administrator uniósł głowę i spojrzał na Landa. - Tak jest za cicho.
- Więc zostaw sobie kilka otwartych kanałów - podsunął tamten i wstał. - Jeśli to cię zadowoli.
- Na pulpicie zapłonęło kilka z rzadka rozrzuconych punkcików.
- Tak już lepiej - powiedział Lobot. - Ruszajmy. Jaki będzie mój status? Jakimi problemami mam się zająć?
- Opowiem ci wszystko po drodze.

Zespół floty wyznaczony do zajęcia się sprawą Teljkonu, wszystkiego siedem jednostek, zebrał się na orbicie szóstej planety systemu Coruscant. „Ślicznotka” dołączyła jako ostatnia i najmniejsza zarazem (o ile nie liczyć bezpilotowego modułu rozpoznawczego, będącego własnością wywiadu). Jacht Landa niczym drobina zawisł obok olbrzymiego kadłuba okrętu dowództwa Pakkpekatta, krążownika „Sławny”.

- Napchali tej artylerii ~ mruknął Lando, spoglądając na krążownik z kokpitu „Ślicznotki”. - Myślałem, że mamy przechytrzyć łobuza, a nie rozstrzelać.
- Jeśli weźmiemy pod uwagę, z jaką łatwością wagabunda zdołał zneutralizować fregatę, wówczas wybór krążownika wydaje się całkiem logiczny - powiedział Lobot.
- Zapewne - zgodził się Lando. - Ale ja zrobiłbym to inaczej. Siegnął do modułu łączności. - Mówi generał Lando Calrissian na pokładzie „Ślicznotki”. Wzywam krążownik „Sławny”. Proszę o pozwolenie wejścia na pokład.
- Generale, sir - rozległ się młodo brzmiący głos. - Mówi oficer wachtowy, porucznik Harona. Oczekujemy pana, sir. Czy mam wysłać szalupę kapitańską?
- Zaszło chyba drobne nieporozumienie. Nie zamierzam się przesiadać. Proszę o miejsce w waszym hangarze.
- Zapadła dłuższa chwila ciszy. W końcu Harona odchrząknął jakby zmieszany.
- Obawiam się, generale Calrissian, że mamy problem. Hangar zapchany jest wyposażeniem. Nasze własne ptaszki ledwie się zmieściły. „Ślicznotka” już tam nie wejdzie.
- No to zróbcie miejsce, poruczniku. Chyba że chcecie, żebym opóźniał marsz jako konwojowany. - Lando wyłączył na chwilę mikrofon i spojrzał na Lobota. - Zaraz się przekonamy, czy wiedzą jak szybki jest naprawdę mój jacht.
- Tym razem cisza trwała jeszcze dłużej.
- Sir, pułkownik Pakkpekatt sugeruje, aby przesiadł się pan na pokład „Sławnego”. Kilku wolnych od wachty odprowadzi pański statek na Coruscant.
- Aha - mruknął Lando. - Znaczy, że chcą ze mną zrobić jedynie obserwatora. - Włączył mikrofon. - Poruczniku Harona, mamy na pokładzie sporo własnego wyposażenia. Z tego, co wiem, pułkownik Pakkpekatt zamierza odlecieć dopiero za mniej więcej dwa dni, gdy wszystko będzie już dopracowane. Może by zatem wezwać kwatermistrza, powiedzieć mu o co chodzi i niech ruszy głową...
- Obawiam się, sir iż pułkownik może nie być zachwycony tym pomysłem.
- Lando mrugnął do Lobota: „Tum ich czekał”.
- Poruczniku, a gdybym porozmawiał z pułkownikiem Pakkpekattem osobiście? Oficer wachtowy miał już gotową odpowiedź.
- Sir, pułkownik jest bardzo zajęty, przygotowuje...
- Nie wątpię, że jest zajęty. Powiem panu coś, poruczniku. O ile dobrze widzę, piąte stanowisko dokowania jest właśnie wolne. Proponuję nie fatygować pułkownika. Przybiję do piątki i już.
- Generale Carlissian, nie mogę autoryzować podobnego...
- To dlaczego marnuje pan mój czas? - przerwał mu ostro Lando. - Proszę mnie połączyć z pańskim przełożonym. Z kimś upoważnionym do podejmowania decyzji. A gdy skończą załatwiać swoje sprawy, co nie powinno trwać dłużej niż dwie minuty, poproszę go o pilne skontrolowanie dyżurnej obsady mostka. Przede wszystkim zaś spytam, z jakich powodów oficer wachtowy przetrzymuje przedstawiciela sztabu floty pod drzwiami i poproszę, żeby gruntownie sprawdzono jego znajomość regulaminów.
- Nastała kolejna chwila ciszy. Najdłuższa.

- „Ślicznotka”, zewnętrzny dok numer pięć za chwilę będzie gotowy. Proszę przygotować się do dokowania na trybie automatycznym.

- Dziękuję, poruczniku - powiedział Lando. - „Ślicznotka” się wyłącza.

- Świetnie rozegrane, sir - zabrzączał Threepio. - Udało się panu osiągnąć wzorcowy kompromis.

- Kompromis czy nie, stanęło na naszym - powiedział Lando, włączając program dokowania i wstając z fotela pilota. - Nie zamierzałem zostawiać mojej łajby. Hangar to też kiepski pomysł, musielibyśmy przy każdej okazji prosić o pozwolenie.

- Zatem udało się pod każdym względem - zauważył Lobot.

- Niezupełnie. To dopiero początek. Teraz powinienem zmienić ich pogląd na naszą rolę podczas tej misji - stwierdził Lando. - I w tej kwestii będę potrzebował waszej pomocy.

- Generał Calrissian do pułkownika Pakkpekatta - oznajmił nieco niepewnym tonem podoficer. Lando domyślił się, że biedak zapewne nigdy jeszcze nie był na mostku ani nie miał okazji rozmawiać z dowódcą. Jeśli w ogóle widział go na oczy.

Podoficer ten jako pierwszy z całej załogi powitał ich przed służą doku numer pięć. Zaraz też otrzymał pierwsze zadanie bojowe - zaprowadzić przedstawicieli sztabu do pułkownika Pakkpekatta. Lando dość dobrze znał rozkład pomieszczeń krążownika klasy Belarus i sam też trafiłby na mostek, uznał jednak, że wchodząc z przewodnikiem zrobi większe wrażenie.

Kilka osób spojrzelo na nich przelotnie i zaraz wróciło do obowiązków. Wyjątek stanowił dwumetrowy Hortek z rdzawymi w tym świetle płytami pancerza piersiowego. Wykręcił długą szyję ku przybyłym i zaczął hipnotyzować ich pozbawionymi powiek oczami.

Żeby cię, Drayson, nie powiedziałeś mi, że to Hortek - pomyślał Lando, jednak czy prędzej ukrył zaskoczenie. Hortekowie nie dość, że byli jedną z niewielu inteligentnych ras wywodzących się od drapieźników, to potrafili też podobno nawiązywać kontakt telepatyczny z przedstawicielami nie tylko swojego gatunku. Parszywa kombinacja.

- Witam, generale - odezwał się Pakkpekatt i wskazał na Lobota i androidy. - A to kto?

C-3PO wystąpił do przodu.

- Jestem See-Threepio, sir, służę pomocą w kontaktach pomiędzy bio- i mechainteligencją, władam biegle ponad sześcioma milionami...

- Zamknij się - warknął Pakkpekatt.

- Tak, sir- odparł C-3PO i schował się za Lobota.

- Pułkowniku Pakkpekatt, to mój personel. Chętnie wszystkich panu przedstawię, najpierw jednak wolałbym zapoznać pana z pewnymi zmianami w pierwotnym planie, którego zarys niewątpliwie pan otrzymał. Czy moja kabina już gotowa?

Pakkpekatt uniósł głowę i przyjrzał się z góry Calrissianowi.

Próbujesz wleźć mi do głowy? I tak musimy pogadać, i lepiej, żeby nikt postronny tego nie słyszał.

Pakkpekatt skinął w kierunku korytarza.

- Kapitanie, proszę przejąć kontrolę nad procedurą przygotowań przedstartowych - polecił i wyprowadził gości.

Gdy tylko znaleźli się w kabinie i drzwi odcięły ich od reszty statku, Pakkpekatt podszedł niebezpiecznie blisko Landa.

- A więc to pan przerobił mojego wachtowego. Ostrzegam, że ze mną się nie uda.

- Ani myślę próbować - uśmiechnął się Lando i na wszelki wypadek usiadł, chcąc być nieco dalej od rozmówcy. zaraz też przyjął stosowną pozę. Zresztą nie sądzę by istniała taka potrzeba. Obaj mamy ten sam cel i pracujemy dla tych samych ludzi: księżniczki Leii, Senatu, Republiki.

- Uprzedzono mnie, żebym oczekiwał obserwatora Sztabu Floty, ale nie było mowy o osobach towarzyszących.

- Bo i po co? Przecież to oczywiste. Pan też nie rozstaje się z adiutantami, prawda? Moja ekipa to doświadczeni fachowcy, ich obecność może zadecydować o powodzeniu misji.

- Mamy na pokładzie pięć androidów protokolarnych, wszystkie klasy E lub nowsze - stwierdził Pakkpekatt. - Pańskie są zbyteczne.

- Wręcz przeciwnie. Osobiście uważam je za niezastąpione - odparł Lando. - Oczekuję, że zostaną potraktowane z nie mniejszym szacunkiem niż ja, oficer operacyjny przydzielony do tej misji przez Sztab Floty.

Pakkpekatt przysunął się bliżej i niemal stanął nad Calrissianem.

- Oficer obserwacyjny? Dziwne stanowisko, generale. Czyżby obiecano panu, że będzie pan współdowodzącym?

- Czyżby panu powiedziano coś wprost przeciwnego?

- Otrzymałem zadanie przechwycenia Teljkońskiego wagabundy - stwierdził Pakkpekatt. W rozkazie nie napisano nic o pańskiej szczególnej roli.

- Pułkowniku, nie oczekuję, by dzielił się pan ze mną kompetencjami i odpowiedzialnością. Liczę tylko na współpracę. Ostatecznie flota jest zainteresowana rozwikłaniem tej zagadki nie mniej niż wywiad. Przecież niemal straciła przez niego fregatę.

- Tym bardziej powinien pan rozumieć, jaka to delikatna sprawa. Nie mam pojęcia, na co właściwie trafimy.

- Cokolwiek to będzie, pułkowniku, cenne czy nie, nie naszą stanie się własnością - powiedział Lando z uśmiechem. - Chyba że pan mi nie ufa. Bo nie widzę innych powodów, które mogłyby nam uniemożliwić współpracę.

Pakkpekatt zazgrzytał, aż Calrissianowi ciarki przeszły po grzbiecie.

- Czego pan oczekuje?

- Niczego nierealnego. Swobodnego dostępu do mojego statku i wszystkich danych taktycznych. Konsultacji w sprawach strategicznych. I włączenia w skład ewentualnej ekipy abordażowej.

- Tylko tyle?

- Tyle. Wszelkie pozostałe kompetencje zostają przy panu.

- Rozumiem - powiedział Pakkpekatt. - Mam zatem uśmiechać się, gdy pan będzie mieszał nam szyki i brał się za sprawy, do których nie jest pan absolutnie przygotowany.

- Pułkowniku, chwilę...

- Ma mnie pan za pierwszego do upolowania? - spytał Hortek, pokazując zęby. - Przygotowaliśmy już zespół aboradżowy gotów stawić czoło wszelkim zagrożeniom, jakie może nam przygotować wagabunda. Nie zamierzam zepsuć wszystkiego dodając kogoś, kto pragnie jedynie się zabawić. Jesteśmy gotowi...

- A zabraliście wytrych?

- Co?

- Powiedział pan, że jesteście gotowi na wszystko - przypomniał Lando. - Z doświadczenia wiem, że jeśli ktoś w mundurze wygłasza takie słowa, to chce powiedzieć: „Mamy działka i działa, mamy bombki, bomby i Bombika”. Fajnie, ale są jeszcze inne sposoby pokonywania zamkniętych drzwi niż tylko ich wysadzanie. Naprawdę pan sądzi, że nic nie zdoła was zaskoczyć? Zupełnie nic? Bo jeśli jest inaczej, sugeruję, aby przemyślał pan sprawę jeszcze raz.

- Mój zespół reprezentuje ponad pięćdziesięcioletnie doświadczenie...

- Proszę posłuchać, pułkowniku - powiedział Lando. Wstał i spojrzał Hortekowi w oczy. - Jestem pewien, że dysponuje pan zespołem dobrych, sprawdzonych w działaniu weteranów. Ale i ja mam coś do zaoferowania. W moim zespole jest człowiek ze wszczepionym sterownikiem, jeden android z bogatym wyposażeniem translacyjnym i drugi, z uniwersalnym oprogramowaniem...

- Nie widzę w tym nic niezwykłego.

- Pojedynczo nie robią zapewne wrażenia, ale od dawna pracują razem i potrafią zwyciężać. To my pokonaliśmy Dartha Vadera i Imperatora, na ich własnym gruncie w dodatku...

- Stara historia. Mieliście po prostu wiele szczęścia.

Lando uśmiechnął się.

- Każdy gracz dobrze wie, że jeśli stawiać, to na szczęściarza. Jeżeli wyłączy pan mój zespół z akcji i przegra, ciężko będzie panu wytłumaczyć się z porażki przed tymi, którzy pana wysłali.

- Zwykłe brzemie dowódcy.

- W pańskim przypadku może okazać się szczególnie ciężkie - uprzedził Lando. - Pułkowniku, cokolwiek czeka na nas we wnętrzu wagabundy, musimy być sprytniejsi. Bo jeśli nie, to tak czy tak przegramy. Albo wagabunda zniszczy nas, albo my będziemy musieli zniszczyć jego.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Lando wskazał na drzwi.

- Świetnie. A tam czekają Artoo-Detoo i C-3PO, osobiste androidy Luke'a Skywalkera. Lobot i ja zaś wystrychnęliśmy na dudka wywiady i służby bezpieczeństwa co najmniej kilkudziesięciu systemów. Znamy sztuczki, o których pańskim ludziom nawet się nie śniło. Naprawdę nie potrzebuje pan naszej pomocy?

Pakkpekatt wydał nagle szkarłatne nozdrza i wygiął szyję. U Horteków oznaczało to przytaknięcie.

- Dobrze zatem. Będziemy współpracować.

- Świetnie. Tego tylko chciałem - odparł Lando.

- Nie jestem zbyt skłonny uwierzyć. Wiem, kim pan jest - powiedział Pakkpekatt, nie kryjąc niechęci. - Radzę nie nadużywać mojej dobrej woli. Będę pana miał na oku.

Lando odegnał wszystkie, lęgnące się tabunami, niespokojne myśli.

- Sprawimy się jak należy, panie pułkowniku. Sam się pan przekona.

ROZDZIAŁ

5

Rankiem w dniu pierwszego spotkania z Nilem Spaarem Leia wstała z łóżka zdrętwiała. Mięśnie barku bolały ją jak naciągnięte, a zaczerwienione i piekące oczy zdradzały spore niewyspanie. W ogóle czuła się dziwnie, jakby chciało ją dopaść jakieś choróbko.

Nie wyspała się rzeczywiście, głównie z powodu Anakina, którego dręczyła bliżej nieokreślona zmora. Obudził się z krzykiem przed świtem, a Leia pozwoliła mu ułożyć się pomiędzy nią a Hanem w nadziei, że w ten sposób wszyscy pośpią w spokoju do rana. Niestety, okazało się, że obecność trzeciej osoby w pościeli uniemożliwia jej ułożenie się w wygodnej pozycji pod nakryciem, na dodatek Anakin wiercił się i co chwilę budził matkę.

Han, oczywiście, o niczym nie wiedział. Ku niejakiemu rozdrażnieniu Leii, spokojnie wszystko przespał. I do tego chrapał!

Nie do końca obudzona zjadła jakoś śniadanie, a ubierając się i szykując na spotkanie z wicekrólem Ligi Duskhańskiej marzyła tylko o tym, by runąć na puste łóżko i zdrzemnąć się godzinę. To był właśnie jeden z tych poranków, kiedy zaczynała poważnie myśleć o złamaniu narzuconej sobie reguły niekorzystania ze stymulantów. Filizanka naparu z paków narisu, płatek łagodnej narkogumy...

Pokusa nie zniknęła nawet pod koniec odprawy wstępnej. Wręcz przeciwnie. Pomieszczenie było zatłoczone i ciągle ktoś coś gadał. Przeważnie do Leii.

- Spróbuj uzyskać prawo do awaryjnego tranzytu i korzystania z prowizorycznych baz. Tytułem wstępu do normalnego uregulowania kwestii nawigacyjnych. Joruna i Widek to przecież nasi, a muszą latać dookoła. Nadkładają masę drogi.

- Niemal wszystkie nasze dane o Gromadzie Koomacht pochodzą sprzed trzydziestu lat. Od czasów Wojen Klonów aż po Endor rządziło tam Imperium. Nikogo nie wpuszczali. A Yevethowie też nie palili się do kontaktów z innymi. Aż do teraz...

- Z tego, co wiemy, Liga Duskhańska skupia tylko jedenaście światów zamieszkałych przez Yevethów. Z innych danych wynika, że w Gromadzie Koornacht jest jeszcze siedemnaście innych planet, które nie należą do Ligi. Na nich dominują inne gatunki. Jak dotąd, nie mieliśmy okazji dowiedzieć się o nich czegoś bliższego, o nawiązaniu kontaktu nie wspominając.

- Wywiad nie zdołał odnaleźć ani jednego pilota, który przyznawałby się do wizyty w Gromadzie Koornacht. Dysponujemy jedynie zeznaniami pewnego jeńca, byłego oficera wachtowego z niszczyciela. Był tam raz na patrolu. Twierdzi, że to całkiem dzika okolica, o której trudno powiedzieć cokolwiek pewnego.

- A bogactwa mineralne? Powinni coś napisać w załącznikach do wniosku o członkostwo?

- Nie ma żadnych załączników. I najwyraźniej wcale nie występują o członkostwo. W ogóle zachowują się tak, jakby oni nam udzielali audiencji. Nil Spaar myśli chyba, że przybył na spotkanie na szczycie. Stanowczo poprosił, żeby nie nazywać go „ambasadorem”.

- Czemu Wywiad tak poskąpił danych? Jak właściwie wygląda duskhańska struktura władzy? Gdzie w tej strukturze mieści się wicekról?

- Dla mnie osobiście jest oczywiste, że Nil Spaar reprezentuje gromadę światów bardzo bogatych, ludnych i zaawansowanych technologicznie. Zapewne przynajmniej od dwunastu lat nie odwiedził Imperial City nikt równie znaczący. Obawiam się, że on też o tym wie.

- Muszę zaznaczyć, iż ze strategicznego punktu widzenia dobrze byłoby mieć w nich przyjaciół. Leżą dokładnie pomiędzy nami a Światami Środka, gdzie skryła się Daala. W tej chwili Koornacht jest jednym ze słabszych punktów w naszej obronie.

- Czy ktoś ma chociaż mgliste pojęcie, czego on może chcieć?

- Już drugiego dnia po przybyciu podłączyli się do republikańskiej hipersieci i systemu informacyjnego Coruscant. Za zgodą, ale całkiem samodzielnie. Wiemy z tego przynajmniej tyle, że najwyraźniej nie potrafią włamać się do systemu.

- Gdzie jest analiza techniczna ich statku?

- Czy ktoś mógłby mi opowiedzieć, jakie więzi pokrewieństwa łączą Yevethów z Twi'lekami? Jeśli w ogóle są spokrewnieni...

- Czy udało się sprawdzić, co dały poszukiwania w bibliotekach Obra-skai?

- Leio, dobrze się czujesz?

- Księżniczko!

Leia niepewnie wstała od stołu, pokręciła głową i ruszyła do drzwi. Zanim tam dotarła, zrobiło jej się jakoś dziwnie. Zachwiała się. Ackbar czym prędzej ją podtrzymał.

- Zaprowadź mnie do mojego gabinetu - wyszeptła Leia.

W zaciszu gabinetu prezydenckiego, zaledwie o piętro wyżej nad salą konferencyjną, Ackbar usadził Leię na miękkich poduchach sofy.

- Co się z tobą dzieje? - spytał. - Wezwać androida medycznego.

Podręczny moduł diagnostyczno-terapeutyczny typu MD-7 zawsze czuwał w pogotowiu.

- Nie, zaraz mi przejdzie. Muszę tylko na chwilę się położyć. W sali konferencyjnej było tak duszno...

- Nie wyglądasz najlepiej. Może odłożymy spotkanie?

Leia potrząsnęła stanowczo głową.

- Nie po co komplikować. I tak jesteśmy już spóźnieni. Nie wyspałam się, to wszystko.

- Może kto inny powinien poprowadzić dzisiejszą sesję?

- A niby kto? - warknęła Leia.

- Więc weź chociaż kogoś do towarzystwa.

- Nil Spaar oczekuje spotkania w cztery oczy i wyłączy z urzędującą głową Nowej Republiki. Powiedział to wprost. A my się zgodziliśmy. Nie można przewracać wszystkiego do góry nogami na godzinę przed spotkaniem. - Chyba, że chcemy go urazić - stwierdziła Leia i zamknęła oczy. - Teraz proszę cię, zostaw mnie na kilka minut samą. W ciszy i spokoju. We właściwym czasie będę gotowa. To żaden wielki kryzys. Wszystko się ułoży.

Spotkanie zaczęło się zgodnie z wymogami protokołu. Odpowiednie osoby zadbały, aby księżniczka Leia Organa Solo, przywódczyni Nowej Republiki, oraz Nil Spaar, wicekról Ligi Duskańskiej, weszli do Wielkiej Sali z przeciwnych stron dokładnie w tym samym momencie.

Leia szła krokiem pewnym i opanowanym. Pozostający do jej dyspozycji czas spędziła na medytacjach. Otworzyła się na Moc, pozwoliła unosić się jej prądom, aż ciało i umysł nabrały nowych sił. Ubocznym skutkiem było lekkie wyciszenie, podobne jak w przypadku herbatki z narisów. Ale cóż, naprawdę potrzebowała jakiegoś wsparcia, by rzetelnie wypełnić obowiązki.

Nil Spaar dostosował tempo marszu do kroku gospodyni. Postury był raczej mizernej, chyba nawet niższy niż Leia, ponieważ nosił obuwie na masywnym obcasie i solidnej podeszwie. Jego oczy zdumiewająco przypominały ludzkie, co w połączeniu z wysokim, ostro zakończonym kościanym pancerzem na plecach wyglądało dość zaskakująco. Pokrytą barwnymi smugami twarz wieńczył noszony na głowie zwój miękkiej materii. Nil Spaar sprawiał wrażenie raczej przyjacielskiego, a uśmiech miał wręcz rozbijający.

Ubrany był tak jak wszyscy Yevethowie, których Leia widziała na nagraniach dostarczonych przez dział informacji: w beżową dopasowaną tunikę z długimi rękawami, górą beżową i brunatną dołem, jeszcze ciemniejsze spodnie z wąskimi nogawkami wpuszczonymi w buty. Dłonie okrywały beżowe rękawice ginące pod rękawami tuniki. Nie nosił żadnej biżuterii czy insygniów władzy, jako jedyną ozdobę miał szpilę spinającą zawój na głowie.

Na mocy niepisanego porozumienia zatrzymali się na wyciągnięcie ręki.

- Wicekrólu - powiedziała Leia i skłoniła się zgodnie z etykietą.

- Księżniczko - odparł Nil Spaar, odwzajemniając ukłon. - Jestem zaszczycony, mogąc się z tobą spotkać. Stało się to, co stać się powinno. Ty, głowa konfederacji światów, światów silnych, dumnych i dostatnich, oraz ja - także głowa konfederacji światów, Podobnie silnych, dumnych i dostatnich. Powitałaś mnie jak równego i ja witam cię w takiż sam sposób.

- Dziękuję, wicekrólu. Zechce pan usiąść? - Leia wskazała na dwa stojące na środku sali fotele, jeden naprzeciwko drugiego, a każdy z małym stolikiem tuż obok.

- Z przyjemnością - stwierdził Spaar. Jego fotel przyjechał wraz z delegacją i majordomusem, który miał zadbać o szczegóły. Wygięty w kształcie litery S mebel składał się z płataniny drutów. Na przynależnym doń stoliczku leżały dwie tubki z koncentratem odżywcym.

- Winniśmy usiąść i porozmawiać uczciwie, jak na mężów stanu i patriotów przystało. Słyszałem, księżniczko, że brałaś czynny udział w rebelii przeciwko tej czarnej bestii, Palpatine'owi?

- Kilka razy zdarzyło mi się nawet tego powodu uciepieć, ale wielu może poszczycić się znacznie większymi zasługami.

- Cóż za przykładowa skromność! Niemniej to może to może ułatwić nam wzajemne zrozumienie - oznajmił Nil Spaar. - I ja odegrałem pewną rolę w uwolnieniu Koornacht od uciążliwej obecności, sług Imperium. Oboje zatem wiemy, jak to jest, gdy trzeba sięgnąć po broń dla sprawy. Sprawy honorowej, na wagę życia. Skłonny jestem wręcz twierdzić, że oboje nadal służymy sprawie, skoro takie a nie inne obowiązki na się przyjęliśmy. Prawda?

Leia wolała unikać tematów osobistych.

- Sensowne życie to podobno coś, co zdarza się nam samo, gdy zamiast narzekać bierzemy się do działania - powiedziała z uśmiechem. - Ja ze swojej strony robię co mogę, by ocalić i zachować wszystko, co umiłowalam. Nie wiedziałam, że czyni mnie to odmienną od całej reszty ludzi.

- A, widzę, że mądrzejsza jesteś ponad swój wiek - odparł Nil Spaar. - Ale wiesz przecież, iż to właśnie cię wyróżnia. Ciebie, twoje dzieci, partnera, a także twój krąg znajomych, społeczność, rodzaj, wspólnotą hołdującą tym samym ideom. Ze mną jest podobnie. Cieszy mnie, że możemy obecnie, bez przeszkód i niedomówień, wykuć sojusz, który pomoże ochronić wszystko, co umiłowaliśmy.

- W tym właśnie celu i w żadnym innym powstała Nowa Republika - stwierdziła Leia, omijając słowo „sojusz” niby ruchome piaski. - Sądzę, że gdyby pan porozmawiał z przywódcami ponad setki światów, które przystąpiły do federacji w ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu dni, wszyscy potwierdziliby, że płyną z tego korzyści namacalne i natychmiastowe.

- Nie wątpię - powiedział Nil Spaar. - Wystarczy spojrzeć na wspaniałe rozkwitłe Coruscant. Przecież sześć lat temu była to planeta spustoszona. Na rozkaz klona Imperatora, jak pamiętam?

- Tak...

- A teraz powstała z popiołów w chwale, która przyćmiewa tę dawną - wygłosił Spaar tonem admiracji. Godzinami chodziłem po waszej stolicy, podziwiając waszą przedsiębiorczość, zdolność trafnego inwestowania sił, rozmach wizji. Z samej nadziei i skromnych początków wysnułicie coś wspaniałego. Śmiałe marzenia zatriumfowały nad ruinami przeszłości.

- Robimy, co w naszej mocy. Nie możemy inaczej - odrzekła Leia. - Lubię myśleć o Coruscant jako przykładzie naszych możliwości, zwierciadle, w którym odbija się nasze oblicze widziane od najlepszej strony. Ale witalność tego miasta to jedynie wyraz witalności całej Republiki. Chciałabym, aby Coruscant uświadamiał wszystkim, iż

istnieje realna alternatywa dla wojny i tyranii. Współpraca i tolerancja to najlepsze, co każdy z nas może w sobie znaleźć.

- A jest was tak wielu! Oceniam, że tylko przez pierwszą godzinę widziałem tu przedstawicieli większej liczby gatunków niż przez całe me dotychczasowe życie. Setki różnych istot. I jak to działa? Czy członkostwo ma charakter polityczny, czy może chodzi o jeszcze bliższe związki?

- Nowa Republika opiera się na wzajemnym układzie obronnym wiążącym obecnie ponad czterysta różnych gatunków. Jej struktura ekonomiczna obejmuje jedenaście tysięcy zamieszkałych światów - wyjaśniła Leia. - Jednak w praktyce autonomia poszczególnych światów nie podlega żadnym ograniczeniom, zawsze dążymy do osiągnięcia kompromisu.

- Pod warunkiem, że ta druga strona skłonna będzie do współpracy i wykaże się tolerancją - stwierdził Nil Spaar.

- To oczywisty warunek wstępny. Nawet o nim nie wspominam.

- Czy jednak nie należałoby tego czynić? Brak tego zastrzeżenia może doprowadzić do nieporozumień i przyjmowania nietrafnych założeń.

Zdumiona Leia poczuła, że grunt nagle usuwa się jej spod stóp.

- Nie sądzę, by którakolwiek z przybywających na Coruscant delegacji skłonna była negocjować wspomniane założenia.

- W tej sprawie jesteście z pewnością lepiej zorientowana ode mnie, księżniczko. Ale jeśli pewnego dnia pojawi się ktoś, kto zapragnie wykorzystać Coruscant dla swoich celów i kto spróbuje zepchnąć na drugi plan idee przyświecające Leii Organie... Jesteście pewni, że nikt taki nie wkraść się w wasze szeregi? Słabi zawsze ciągną do silnych i możnych...

- Gdyby słabi nie mogli liczyć na ochronę ze strony Coruscant, wówczas Nowa Republika przestałaby istnieć. Zapanowałaby anarchia, a to zawsze wstęp do tyranii.

- Dobrze powiedziane.

- Dziękuję - odparła Leia. - Ale skoro temat już się pojawił, czy mógłby pan wyjawić, co konkretnie przywiodło na Coruscant pana i jego delegację?

- Oczywiście. Uważam, że powinniśmy unikać nieporozumień. Wasze idee, wasza stolica i cała konfederacja robią na mnie wielkie wrażenie, jednak Liga Duskhańska nie jest zainteresowana członkostwem w Nowej Republice. Dotyczy to zarówno całej Ligi, jak i poszczególnych jej światów. Tymczasem, chociaż nie złożyliśmy żadnego wniosku, ty zdajesz się nas traktować jak potencjalnych aspirantów.

- Sądzę, że Liga Duskhańska byłaby cennym członkiem Nowej Republiki. Nie chciałam odrzucać tej możliwości bez uprzedniej rozmowy.

Nil Spaar uśmiechnął się wyrozumiale.

- Zatem teraz możesz spokojnie wykluczyć tę możliwość.

- Czego więc pragniecie?

- Jak już wspomniałem, myślimy o sojuszu. Traktacie zawartym pomiędzy dwiema równymi stronami, jednako korzystnym dla obu.

Leia zmarszczyła brwi.

- Wicekrólu, czy kieruje wami obawa, iż ci członkowie federacji, których określiłeś przed chwilą jako „słabych”, staliby się dla was zbyt znaczącym brzemieniem?

- Nie. Ta kwestia nie miała znaczenia.

- Rozumiem. Winien pan jednak brać pod uwagę, że trudno będzie nam wypracować takie porozumienie „pomiędzy równymi”, abyśmy mogli zareagować militarnie w razie, gdyby ktoś wam zagroził. Ogólne zasady, które przyjęliśmy, zakładają bowiem wzajemność każdego traktatu, co musi wiązać się z unifikacją sprzętu, uzbrojenia i tak dalej.

- Widzę, że wyraziłem się nie dość jasno. Nie oczekujemy od was ochrony. Nie ma takiej potrzeby. Przez lata doświadczaliśmy „ochrony” ze strony Imperatora i wolelibyśmy uniknąć podobnych przysług w przyszłości. Najbardziej ze wszystkiego pragniemy samodzielności. I żeby zostawiono nas samym sobie. Proszę uznać to stanowisko za oficjalne, a zaczniemy przemawiać tym samym językiem.

I Spaar zaczął rozwodzić się nad szczegółami minionej imperialnej okupacji. Lei nie sprawiało to przyjemności, jej doświadczenia przecież były podobne. Imperialne wojska postępowały wszędzie niemal identycznie.

Wyznaczony przez Palpatine'a gubernator Koornacht otrzymał w kwestii Yvethów wolną rękę. Robił, co mógł, aby ich złamać. Kobiety niewolił na uciechę podwładnych, mężczyźni podsuwał szturmowcom jako żywe tarcze. Okaleczone ciała kazał wystawiać na widok publiczny, i to nie byle gdzie, ale w szkołach czy świętych miejscach. Pokazywał je też w serwisach informacyjnych, które każdy musiał oglądać dwa razy dziennie.

Gdy to wszystko nie dało pożądanego efektów, zajęli się dziećmi. Opór zelżał, jednak doraźne represje nie ustały. Gdy wojska imperialne zostały ostatecznie wyrzucone z Koornacht, z więzień gubernatora uwolniono ponad siedem tysięcy skazańców. Znalaziono też groby kryjące ciała ponad piętnastu tysięcy zamordowanych.

- Wystarczy - powiedziała Leia. - Proszę. Darujmy sobie budzenie widm przeszłości.

- Chciałem jedynie, byś zrozumiała, skąd wzięło się nasze szczególne wyczerlenie na pewne problemy.

- Rozumiem - odparła Leia. Podobnie jak lepiej pojmuję teraz nasze własne przeczerlenie, dodała w myślach.

- Zatem zajmijmy się przyszłością - zaproponował Nil Spaar.

Przez następną godzinę dyskutowali nad wstępnymi założeniami ewentualnego sojuszu. Mimo dużej dozy dobrej woli wciąż trafiali na ukryte pułapki nieporozumień, błędnych założeń i trudno było orzec, ile właściwie osiągnęli. W południe Spaar wstał, podsumował dotychczasowe rozmowy jako owocne i zaproponował godzinną przerwę.

- Chętnie wrócę do tematu po obiedzie - zgodziła się Leia. - Możemy zamówić go tutaj.

Nil Spaar zrobił przerażoną minę.

- Przepraszam stokrotnie, ale nie mogę na to przystać - stwierdził. - W naszej kulturze spożywanie posiłków w mieszanym towarzystwie uznawane jest za rzecz wysoce nieestosowną. Osobiście jestem też przeciwny umniejszaniu doniosłości świętej chwili posilania się rozpraszającą uwagą konwersacją.

- To ja przepraszam - powiedziała Leia i również wstała. - Wobec tego spotkamy się za godzinę.

- Stawię się niezawodnie.

W dyskusji poświęconej spotkaniu Leii i Ackbara (jako przedstawiciele Sztabu Floty) ze Spaarem wzięli udział również admirał Drayson (w zastępstwie szefa wywiadu, generała Rieekana), Behn-kihl-nahm reprezentujący Senat i Pierwszy Zarządca Engh. Obecne były też dwa androidy rejestrujące i z pół tuzina starszych stażem asystentów.

Leia streściła swoją rozmowę ze Spaarem. Nikt jej nie przerywał, pytania i komentarze mogły chwilę poczekać.

Komentarze były zresztą łatwe do przewidzenia. Myślący kategoriami strategicznymi Ackbar wytknął Leii, że nie poruszyła jeszcze kwestii wolnej żeglugi w obrębie gromady i domagał się, by właśnie ten punkt trafił po południu na czoło listy. Drayson zastanawiał się, jak wicekról zareagowałby na propozycję ponownego włączenia niektórych światów Yevethów do systemu Międzyukładowej Wymiany Danych Bibliotecznych. Przypomniał, że należeli przecież do niego w czasach przedimperialnych.

Zainteresowany głównie kwestiami struktur władzy od strony formalnej Beh-kihl-nahm spytał, czy Leia rzeczywiście ma wszelkie pełnomocnictwa niezbędne do prowadzenia negocjacji w sprawach sojuszy. Engh, który wyżej cenił władzę pieniądza (jako spoiwa sojuszy politycznych), poprosił Leię o poruszenie kwestii wymiany handlowej. Gdyby to dało dobre rezultaty może Nil Spaar zrewidowałby swoje zdanie w kwestii członkostwa.

- Bo sądząc po dotychczasowym przebiegu rozmów spodziewałbym się żądania, aby cały handel w gromadzie opierał się wyłącznie na armatorach yevethańskich - uzasadnił. - Dla nich to korzystne, chociaż dla nas dziwaczne.

- Odnoszę wrażenie, że Yevethowie nie są przesadnie zainteresowani handlem - stwierdziła Leia.

- Dziwne - mruknął Drayson. - Nie chcą członkostwa, nie interesuje ich handel... Więc czego tu właściwie szukają?

- Podejrzewam, że głównym powodem wizyty jest fakt, iż Nowa Republika urosła w siłę na tyle, aby móc im potencjalnie zagrozić - podsunęła Leia. - Nie chcą się przyłączyć, ale z drugiej strony boją się zostać na przegranej pozycji.

- Jakim potencjałem militarnym dysponują? - spytał Drayson.

- Przed imperialną okupacją w obrębie gromady znajdowały się trzy systemy drugiej klasy obronnej - powiedział Ackbar. - Ale to było wtedy. Imperium zapewne przejęło większość okrętów, a pozostałe zniszczyło.

- Według słów wicekróla okupacja dobiegła końca przed dziesięcioma laty - przypomniał Drayson. - A skoro tak, to raczej nie odgadniemy, w jakim zakresie

odbudowali flotę i całą resztę. Chociaż ten statek który stoi w Eastport, to na oko całkiem udana jednostka. Znaczący, chyba potrafia ją budować.

- Nie sądzę, aby to miało jakieś znaczenie - stwierdziła Leia. - Dla mnie oczywiste jest jedno: czują się zagrożeni. Najważniejsze jest zatem, żebyśmy im nie dali żadnego powodu do podbudowania obaw.

- Chociaż z drugiej strony mogłabyś to wykorzystać. Jako argument za przyłączeniem się do nas - podsunął Behn-kihl-nahm.

- Nawet nie zamierzam - odparła Leia. - Taki ton byłby niewskazany. Yevethowie mają uzasadnione powody do niepokoju. Podobne zresztą do naszych. Nie chcę ich do niczego przymuszać, wolałabym zdobyć ich zaufanie. To oczywiście potrwa, ale myślę, że gdy nieco lepiej poznamy się z Nilem Spaarem, zdołamy ominąć najgorsze nawet katarakty. Nie wiem wprawdzie, czy skończy się na członkostwie, czy tylko na sojuszu, ale teraz nie zamierzam się tym martwić.

- Zostało pięć minut - obwieścił asystent.

- Dzięki, Ałole.

- W każdym razie nie obiecuj za wiele - powiedział Behn-kihl-nahm, gdy zebrani wstali. - Siła Nowej Republiki opiera się na założeniu, że w oczach Coruscant wszyscy są równi.

- Nigdy o tym nie zapominam.

- Rozumiesz zatem również, że jeśli Yevethowie zdołają uzyskać gwarancje wynikające z sojuszu i jednocześnie wykręcą się od zobowiązań związanych z normalnym członkostwem, wszyscy krzykną wielkim głosem z oburzenia. I tutaj, w Senacie, i na tysiącach różnych światów. A gdy okaże się, że Yevethowie mają stanowić szczególny wyjątek, zapewne masa członków zrezygnuje z przynależności do Republiki.

- Do tego nie dojdzie - uspokoiła go Leia. - Cokolwiek teraz podpiszemy, będzie to tylko podstawowy zbiór regulacji prawnych. Deklaracja woli współpracy, zgodna oczywiście z naszym prawem. Nie poruszę kwestii wolnego handlu i unii monetarnej. Nie będą też mieli prawa zgłaszania rezolucji ani głosu w Senacie. Nie weźmiemy ich pod parasol naszej floty.

- Pod nieobecność wilka autorytet pasterza maleje - zauważył Beh-kihl-nahm.

- Możliwe - powiedziała Leia. - Ale jeśli teraz osiągniemy chociaż minimum, będziemy mieli od czego zacząć w przyszłości Senat to zrozumie.

- W tej izbie również trafiają się głupcy, którzy na dodatek potrafia zdobyć posłuch - mruknął Behn. - Książniczko, wprawdzie bardzo nam zależy na sojuszu, podobnie jak na dostępie do surowców Koornacht i technologii Yevethów, musimy jednak Pamiętać o cenie. To nie my jesteśmy petentami, tylko oni.

- Dziękuję za radę.

- Pamiętasz, Cortinowie i Jandurowie też przybyli tu wbici w dumę, ale mimo wszystko podpisali standardowe traktaty. A to było dawno temu, gdy członkostwo znaczyło o wiele mniej niż dzisiaj.

- Już czas! - zawołał asystent.

Leia szybko dopiła resztę napoju ze szklanki.

- Proszę mi wybaczyć...
Behn-kihl-nahm skinął głową i odszedł, zostawiając księżniczkę z admirałem Draysonem i androidem rejestrującym.
- Koniec nagrywania - powiedział Drayson i wyłączył androida ukrytym w dłoni pilotem. - Księżniczko, czy mogę zająć ci chwilę?
- Owszem, ale tylko chwilę.
- Pojmuję twoje zamysły, lecz niepokoi mnie fakt, że wszyscy twoi doradcy muszą teraz opierać się na danych uzyskanych z drugiej ręki. W ten sposób nie mogą wesprzeć cię naprawdę niezależną opinią.
- Co zatem sugerujesz?
- Umieszczę w sali obrad kilka zmyślnych urządzeń. A tobie dam komunikator na tyle mały, że nawet generał Solo miałby kłopoty z jego znalezieniem.
- Nie sądzę, żeby wicekról próbował jakichś sztuczek - zaprotestowała Leia. - A ty nie możesz mi zagwarantować, że on nie wykryje twojego nadajnika. Jeśli my możemy podsłuchiwać i szperać detektorami, to oni także. Przynajmniej w teorii.
- Owszem. Żaden techniczny środek wywiadu nie jest w pełni niewykrywalny. Niemniej, jeśli rzeczywiście skrycie śledzą wasze rozmowy, raczej nie podniosą krzyku zauważywszy, że i my to robimy...
- Masz jakieś dowody?
- Nie, ale brak dowodu nie wyklucza jeszcze takiej możliwości. To że ja czegoś nie widzę, nie oznacza, że tego czegoś nie ma.
- Obawiam się, że nie rozumiem aluzji. Szczególnie w tym przypadku...
- Księżniczko, pora - powiedział Alore, zaglądając z korytarza.
- Idę - odchrząknęła Leia. - Żadnych „gadżetów”, generale. Poprzestaniemy na moich własnych oczach i uszach. Nie chcę ryzykować. Jeśli wykryją jakiegokolwiek urządzenia szpiegowskie, uznają, że oto potwierdzają się ich najgorsze obawy. Zrozumiano?
- Oczywiście, księżniczko.

Ślizgacz, który zabrał Spaara z wewnętrznego dziedzińca kompleksu administracyjnego Imperial City, zatrzymał się kilka minut później w doku ambasadorskiego statku „Aramadia”.

Nikt nie wyszedł na spotkanie, co go wcale nie zdziwiło. Podobnie jak i fakt, że kierowca nie ruszył się z miejsca i nie pomógł uprzejmie dygnitarzowi wysiąść. Spaar podszedł do wjazdu służby w przeciwległej ścianie. Gdy tylko wszedł do środka, ślizgacz zniknął w obłokach żółtego gazu usuniętego po chwili przez setki drobnych zraszczy.

Nil Spaar poddany został analogicznej procedurze. Przywykł do zabiegów sanitarnych, jednak tego dnia miał wrażenie, iż zabierają mu zbyt wiele cennego czasu. Szybko zdjął ubranie i wrzucił je do spalarki, która syknęła przy zamknięciu i zaraz zaczęła emanować ciepłem.

Spaar przeszedł do kabiny odkażającej, zamknął oczy i wystawił twarz najpierw na łagodne strumyki płynu dezynfekującego, potem na ostre bicze mające oczyścić pory jego skóry. Poczekał na końcowy, wodny prysznic i powtórzył cały cykl od

początku. Za drzwiami kabiny dostał zaraz długą, jaskrawoniebieską koszulę, którą cały się owinał.

- Wicekrólu - powitał go attache z ukłonem.
- Dziękuję, Eri - powiedział Spaar, przyjmując należny wicekrólowi naszyjnik, który natychmiast zapiął. - Za każdym razem muszę, przez to przechodzić, ale oni tak śmierdzą, że jeszcze teraz nos mi wykręca.
- Ja niczego nie czuję - powiedział Eri.
- Chyba twierdzisz tak z czystej uprzejmości. Vor Duull już czeka?
- Tak, wicekrólu.
- Dobrze. Przejrzyj streszczenia dzisiejszych maldunków i badań, które znajdziesz w mojej kabine. Zjawię się niebawem.
- Wyciągiem podłeciał jedenaście poziomów wyżej gdzie królował Vor Duull, dyżurny informatyk wyprawy. Powitał zwierzchnika zdawkowym skinieniem głowy.
- Witaj z powrotem, wicekrólu.
- Cieszę się z tego powrotu bardziej niż ktokolwiek z was - westchnął Spaar. - Jak odbiór?

- Czysty i bez zakłóceń - powiedział Vor Duull. - Nagranie zostało zabezpieczone i trafiło już do pańskiej biblioteki. Zgodnie z instrukcją.

- Oglądałeś?
- Tylko tyle, żeby sprawdzić działanie dekodeków i wzmacniaczy.
- Nil Spaar kiwnął wyrozumiale głową.

- I co o nich sądzisz?

Vor Duull wyraźnie się zawahał.

- Mów śmiało.
- Wydają się słabi. Skłonni prosić. Ta przywódczyni nawet się nie umywa do waszej wysokości. Żaden przeciwnik.
- To się jeszcze okaże - mruknął Spaar. - Dziękuję. Pracuj dalej.

Przemieścił się na trzeci poziom, do centralnej spirali statku, gdzie wstęp miało wyłącznie dowództwo. Przyjął saluty warty honorowej i pocałunek od swej damy, po czym zniknął za pilnie strzeżonymi drzwiami.

W zaciszu swej kabiny usiadł przed modułem łącza szyfrowego i przesłał krótką wiadomość na N'zoth, stołeczną planetę Ligi Duskańskiej. Niepozorna transmisja zginęła w gwarze zwykłych, otwartych połączeń:

- Odbylem pierwsze spotkanie z robactwem. Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Karta informacyjna, którą admirał Drayson wsunął do swojego czytnika, wyglądała identycznie jak wszystkie powszechnie stosowane, standardowe karty informacyjne.

Różnica wszakże istniała i sprowadzała się do systemu kodowania danych. Karty komórki Alpha Blue zapisywano w ten sposób, aby umieszczone w normalnym czytniku wydawały się całkiem czyste. Co więcej, mogły w nim zostać sformatowane, zapisane, a ukryta informacja nie ulegała nawet uszkodzeniu. W tym przypadku

chodziło o dokonany wcześniej tego dnia zapis rozmowy. Do jej przechwycenia posłużył czuły mikrofon kierunkowy zakamuflowany pośród misternych zdobień sufitu. Android analityczny przesłuchał już wszystko i przygotował dla admirała zgrabny i niezbyt długi wybór najciekawszych fragmentów.

Drayson złożył ręce na brzuchu i kiwając się wraz z fotelem słuchał tego czego oficjalnie nigdy nie powinien usłyszeć.

- Chciałabym, aby Corusant uświadamiał wszystkim, iż istnieje realna alternatywa dla wojny i tyranii - mówiła księżniczka Leia - Współpraca i tolerancja to najlepsze, co każdy z nas może w sobie znaleźć.

- Nie oczekujemy od was ochrony. Nie ma takiej potrzeby. Przez lata doświadczaliśmy „ochrony” ze strony Imperatora i wolelibyśmy uniknąć podobnych przysług w przyszłości - odpowiadał Nil Spaar.

Drayson zaś myślał:

- Wolałbym, abyś sama dopuściła nas do tych rozmów, księżniczko, ale i tak zrobię wszystko co w mojej mocy, byś później nie żałowała swojego uporu.

ROZDZIAŁ

6

Wewnątrz odizolowanej od świata pustelni Luke'a Skywalker'a upływ czasu nie miał znaczenia.

Zwykle następstwo nocy i dni dawało się jednak wyczuć poprzez Moc, której pole narastało i słabło w rytm czuwania i snu mieszkańców kolejnych regionów Coruscant, pory roku zaś objawiały się powolną pulsacją narodzin i obumierania.

W tle dawał się wychwycić dobiegający z dala szmer, echo kosmicznych przemian. Gdzieś powstawały nowe gwiazdy, rodziło się i ginęło życie, kiełkowała świadomość. Pograżony w medytacji Luke dostrzegał wszystkie te subtelne sygnały i niespiesznie próbował ogarnąć zdumiewający obraz myśla.

Sygnały zmysłów straciły na znaczeniu. Nawet nie przypuszczał, że można je aż tak wyłączyć. Ale inaczej nie miałby szans na zbliżenie się do jedności z uniwersum.

Zamknięty w lśniących murach, całe dnie spędzał w ciemności, nie czując ani bólu, ani pragnienia, ani innych, typowo cielesnych pragnień. Ubranie nosił jedynie z przyzwyczajenia, ale i ono z czasem zaczęło słabnąć. Na zewnątrz zawodził wiatr, lecz Luke go nie słyszał. Nie zwracał też uwagi na przemierzające niebo słońce i księżyc, na przypyływy i odpływy oceanu, na goniące górą chmury...

Z czasem morze pokryło się lodem, a północna półkula Coruscant powitała krótka zimą. Skały i cała plaża zbiegły od lodu. Gdyby Luke wyrzwał wówczas na zewnątrz, zdumiałby się zapewne tą przemianą.

Nawet Leia przestała ścigać go myślą, chociaż bardziej ze złości niż ze zrozumienia. Liczyło się jednak, iż dała mu spokój, mniejsza o to, dlaczego. Nic nie mąciło jego samotności.

Wszystko zmieniło się nagle wraz z przybyciem gościa.

O jego obecności powiadomiły Luke'a obudzone nagle zmyły Najpierw usłyszał jakiś dźwięk, potem zorientował się, że ktoś woła go po imieniu.

Minęło już wiele dni, odkąd ostatnio przemówił czy nawet pomyślał cokolwiek, używając pojęć języka.

Skoncentrował się.

Słabe światło.

Otoczenie zalał łagodny blask. Naprzeciwko, w tym samym pomieszczeniu, stała kobieta. Z nagimi ramionami i szyją omotaną długim szalem, którego końce opadały na plecy. Włosy miała czarne, starannie utrefione, szatę miękką i wytworną. Oczy ciemne, spojrzenie bystre i myślące.

Z początku wziął ją za projekcję wyobraźni. Nie pojmował, jak ktokolwiek mógłby niezauważony przeniknąć przez grube mury. Potem jednak podszedł bliżej i dotknął nagiego ramienia. Poczł bardzo realną, ciepłą skórę. Okrążył dziewczynę i doleciała go woń słonego, morskiego powietrza. I jeszcze coś. Zapach zastarzałych smarów i środków czystości ciągnący się za każdym, kto właśnie zakończył długą podróż kosmiczną.

- Co tu robisz? - zapytał, gdy znów stanął z nią twarzą w twarz.

- To ty. Ty jesteś Luke, syn Anakina - powiedziała i uśmiechnęła się ciepło. - Wybacz, myślałam, że nigdy cię nie znajdę, ale jednak... Coś poczułam. Chyba wtedy, gdy budowałeś swoje schronienie. Poszłam za tropem.

- Poczulaś? Skąd?

- Z Carratos - odparła, podając nazwę planety krążącej w systemie odległym o czterdzieści parseków od Coruscant.

Poruszony najściem, Luke bez skrupułów spróbował wniknąć do umysłu dziewczyny, by zbadać ośrodek mózgowy odpowiedzialny za wrażliwość na sygnały Mocy. Jeśli nieznajoma nie kłamała, powinien zostać odrzucony na drugi koniec pokoju. Była to typowa, odruchowa reakcja obronna adeptów Jedi, która pozwalała już na samym początku sprawdzić talenty młodych ludzi trafiających na Yavin Cztery.

Nie napotkał najmniejszego oporu. Nie znalazł żadnych osłon chroniących przed sondowaniem. Umysł dziewczyny zastał otwarty - ani śladu odruchu obronnego. Jedno wiedział już na pewno: do Akademii by jej nie przyjął.

Jednak jakoś go znalazła. Zdołała przeniknąć tam, gdzie miał szansę, trafić jedynie ktoś równie sprawnie operujący Mocą, jak sam Luke.

- Kim jesteś? - spytał zdumiony.

Roześmiała się.

- Wybacz. Jestem Akanah. Z Fallanassich. Adeptka Białego Nurtu.

- Obawiam się, że nie znam ani twojego ludu, ani twej szkoły.

- Wiem. Nie znajdziesz żadnych informacji o nas w swoich bankach pamięci. Nie znało nas Imperium. Podobnie jak i Stara Republika. Nie prowadzimy podbojów ani wojen, nie zaliczamy się do wielkich. Ale ty powinienes nas poznać. Między innymi dlatego właśnie przybyłam.

Luke zmarszczył brwi.

- Jeśli aż tak bardzo trzymacie się na uboczu, to po co mam was poznawać?

- Bo twoja matka jest jedną z nas. I przez nią jesteś z nami związany.

Luke spojrział zdumiony na dziewczynę.

- Moja matka? Jak możesz... Co znaczy „jest”? Leia powiedziała mi, że nasza matka nie żyje.

- Tak, wiem. Podobnie jak Obi-Wan oznajmił ci, że twój ojciec zginął.

- Chcesz powiedzieć, że moja matka żyje?

- Nie wiem - odparła Akanah ze smutkiem. - Czy ktoś widział jej upadek? Gdzie jej grób? Chciałabym wiedzieć coś na pewno, ale nie znam nawet losu mojej własnej matki. Przez zbyt wiele lat pozostawałam z daleka od pobratymców.

- Z daleka? Czemu?

- Gdy Imperator najechał na planetę, którą wówczas wybraliśmy sobie na dom, ja byłam gdzie indziej. Fallanassi musieli uciekać, bo nie chcieli, aby ktokolwiek wykorzystał ich dar w złej sprawie. Nie mogą ich za to winić. Jestem pewna, że czekali na mnie, jak długo mogli. To było przed dziewiętnastoma laty. Miałam wtedy zaledwie dwanaście lat.

- I nie trafiłaś potem na ich ślad? - spytał podejrzliwie Luke. - A jednak mnie znalazłaś.

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

Fallanassi potrafią ukrywać się o wiele lepiej niż ty. A co może zrobić samotne dziecko porzucone pośrodku wojennej zawieruchy? I to w chwili, gdy cała rodzina ucieka przed o wiele potężniejszymi mocami?

- Zapewne niewiele - przyznał Luke.

- O poszukiwaniach mogłam pomyśleć dopiero po obaleniu Imperatora. Wcześniej obawiałam się, czy przez przypadek ich nie wydam. A i potem nie było mi łatwo zgromadzić w pojedynkę dość środków, by opuścić Carratos. Wylecieć na własnym statku, unikając niepotrzebnych pytań.

- Rozumiem zatem, że wreszcie zaczęłaś ich szukać. I sugerujesz, że moja matka może być z nimi. - Pokręcił głową. - Moja matka... Najbardziej tajemnicza z bliskich mi osób. Wybacz, ale niełatwo ci uwierzyć. Nie znam nawet jej imienia.

- Mogła mieć ich wiele - odparła Akanah. - Wśród nas to normalne. Jednak zazwyczaj zwaliśmy ją Nashira. To gwiazdne imię. Zaszczytne imię.

- Nashira - powtórzył cicho Luke.

- Tak. Luke, wiem że brak ci wspomnień o matce, a to bolesna pustka. I że nie dodaje ci to sił.

- Owszem...

- Ze mną jest podobnie. Z tego samego powodu. Przybyłam, by poprosić się o pomoc. Moglibyśmy razem ruszyć na poszukiwanie mego ludu. Wtedy oboje zapełnilibyśmy pustkę.

- Nie sądzę, bym kiedykolwiek dokonał tej sztuki - stwierdził Luke, odwracając twarz od spojrzenia dziewczyny. - Cała układanka mego życia rozsypywała się już tyle razy, każdy z kawałków zmieniał się tak bardzo, że nigdy nie miałem szansy ułożyć spójnego obrazu. Byłem sam i nagle pojawiła się Leia, moja siostra. Byłem sierotą, a potem poznałem Anakina, czyli Vadera, mojego ojca.

Uśmiechnął się do własnych myśli.

- Kiedy mieszkałem na farmie hydroponicznej, chciałem tylko wyrwać się stamtąd do jakiejś szkoły. Do czasu, gdy poznałem dawnego mentora mojego ojca. On nauczył mnie rzeczy, których istnienia wcześniej nawet nie podejrzewałem. Z dnia na dzień adoptowany syn żyjącego gdzieś na uboczu rolnika dostał do ręki miecz świetlny i dowiedział się, że ma potężnych wrogów. Że najwięksi władcy galaktyki pragną jego

śmierci. - Spojrzał znów na Akanah. - Nie wiem, czy mam ochotę zaczynać układankę od początku. Może dlatego nie palę się, by ci uwierzyć. Owszem, chciałem dowiedzieć się czegoś o matce, a ty masz rację, ale chyba trochę obawiam się podobnej konfrontacji. Dawno już nie doznawałem takich uczuć.

- Wiem, że moje przecucie jest dla ciebie wielkim zaskoczeniem - stwierdziła dziewczyna - ale powinieneś odzyskać wreszcie i tęczęść twojego dziedzictwa.

- Ale ja cię właściwie nie znam - zaprotestował Luke. - I nie wiem, ile prawdy jest w twoich słowach.

- A jeśli powiem ci, ile wiem o twoim ojcu, który zaprzedał się ciemnej stronie? Musiałeś stanąć do walki z nim. Próbowaleś go zabić. Omal nie uległeś wówczas złu. I teraz najbardziej ciąży ci wątpliwość, czy nie nosisz w sobie tej samej słabość, co twój ojciec.

- Tamtą próbę przeszedłem zwycięsko - zaprotestował Luke.

- Ale czy przetrwałbyś bez Leii?

Na to pytanie Skywalker nie potrafił odpowiedzieć.

- Może dlatego twoja miłość zawsze naznaczona jest lękiem - stwierdziła cicho Akanah. - I dlatego sam nie masz dzieci. Ze strachu, że tragedia powtórzy się w kolejnym pokoleniu i pewnego dnia staniesz przed koniecznością zabicia własnego syna czyhającego na twe życie.

- Nie...

- To musi być silny lęk. Ale cóż dziwnego? Ktokolwiek znalazłby się na twoim miejscu, spotkałby go podobny los. Sama świadomość więzów łączących z Baderem... To ciężkie brzemię. Czy nie dlatego właśnie tu się zaszłyś? - spytał wprost. - Potrafiłeś wybaczyć Anakinowi Skywalkerowi, ale wiesz, że Republika nigdy nie zapomni o zbrodniach popełnionych przez Vadera w imię Imperatora.

Luke nie posiadał się ze zdziwienia.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Bo przyglądałam ci się. Jeszcze zanim tu przybyłam. Od dawna. Bohater Rebelii, mistrz Jedi, obrońca Republiki... Nawet na Carratos słyszeliśmy o tobie różne opowieści. I w nich właśnie znalazłam wszystko, o czym ci wspomniałam.

Luke pokręcił głową.

- Nie, to nie możliwe. Nikomu nie mówiłem o moich obawach. Zupełnie nikomu.

Akanah przesunęła się bliżej.

Wystarczy spojrzeć ci w oczy, żeby pojąć, czego się boisz. Sam tego nie dostrzegasz, ale patrząc w lustro wszyscy jesteśmy po części ślepi. Pamiętaj jednak, że wrażliwości na Moc nie zawdzięczasz wyłącznie ojcu. Dostęp do jasnej strony odziedziczyłeś po matce, a ona była z mego ludu. I serce podpowiada ci teraz, że powinieneś się do mnie przyłączyć.

Spotkali się wzrokiem. Luke odniósł wrażenie, jakby jasna myśl dziewczyny wnikała w ciemne zakamarki jego psyche. Jej łagodny głos niósł w sobie coś rozbrajającego. I na dodatek miała rację. Sama nie próbowała się izolować, więc i jego pozbawiła obrony. Również otworzył umysł. Było to dziwne, ale miłe odczucie. Zresztą, ona i tak znała wiele jego najskrytszych myśli, a mimo to wyciągała dłoń.

- Sprawdź mnie, jeśli musisz - powiedziała.

- Nie. To nie jest konieczne.

- Jeżeli chcesz wrócić na Yavin Cztery po swoje wyposażenie do testów, zaczekam tu - zaproponowała. - Ale już teraz mogę ci powiedzieć, że niczego we mnie nie znajdziesz. Biały Nurt to inny rodzaj Mocy niż ta, którą znałeś do tej pory. Nie chodzi tylko o odmienną nazwę. To manifestacja Całości. Chętnie nauczę cię wszystkiego, co sama potrafię.

- Sporo obiecujesz.

- Wiedziona nadzieją. Przyłączysz się do mnie, Luke'u Skywalkerze?

- Nie wiem. Najpierw muszę jeszcze z kimś porozmawiać.

- Z Leią.

- Tak. Znasz jakieś przeciwwskazania?

- Żadnych - odparła z uśmiechem. - Mówisz, że nie musisz mnie sprawdzać, ale to pytanie...

- Fakt - mruknął Luke. - Gdybyś zaprotestowała, gdybyś powiedziała, że to ma być nasz sekret, wówczas zważyłbym we wszystko, co mówisz. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego powinienem się z nią spotkać. Sam nie pamiętam matki, a Leia owszem. Niewiele tego, bardziej odczucia niż obrazy, ale jednak.

- Naprawdę jest tych wspomnień o wiele więcej. Nashira była chroniona, podobnie jak ty.

- W to wierzę. A skoro jest, jak mówisz, moglibyśmy spróbować zajrzeć głębiej, otworzyć te drzwi w jej umyśle, których ja sforsować nie zdołałem. Gdyby udało się znaleźć coś więcej, ukrytego tutaj - dotknął palcami skroni - wiele by to dla nas znaczyło. Gdybyś sama mogła powiedzieć jeszcze trochę...

Przykro mi - stwierdziła Akanah i znów się uśmiechnęła. - Przed piętnastoma laty nie byłeś jeszcze nikim ważnym. Fallanassi wiedzieli o twoim istnieniu, ale to wszystko. Gdybym podejrzewała, co przyniesie przyszłość, zwracałabym na waszą rodzinę większą uwagę.

Luke też się roześmiał.

- Poczekaj tutaj, aż wrócę ze spotkania z Leią?

- Oczywiście - odparła. - Tak długo czekałam na tę noc, że kilka godzin więcej nie zrobi już różnicy.

Dziwnie było wbić się znowu w kombinezon lotniczy, nagle zbyt obszerny i kępujący ruchy zarazem. Pokryty grubą warstwą kurzu myśliwiec przypominał modernistyczną rzeźbę.

- Artee - powiedział Luke. - Bądź łaskaw się obudzić.

Niemal natychmiast na kopułce i płytce czołowej robota rozjarzyło się kilkanaście różnokolorowych światełek. Chwilę później zabrzmiało powitalne popiskiwanie.

- Zajmij się przeglądem przedstartowym - polecił Luke i obszedł maszynę, by dodatkowo naocznie sprawdzić jej stan.

Automat zagwizdał i Luke spojrzął na wyświetlacz zamocowany z przodu skafandra.

- Tak, możesz przestać zajmować się naszym domkiem.

R7-T1 momentalnie ogłosił alarm.

- Spokojnie, wiem, że ktoś tu jest - mruknął Luke, nurkując pod lewe skrzydło. - Zostaw jej tylko zapalone światła i otwarte górne wejście. Da sobie radę.

Myśliwiec typu E przeszedł oba przeglądy śpiewająco. Zarówno projekt, jak i ten konkretny egzemplarz były stosunkowo nowe, o wiele bardziej dopracowane niż dawny podtyp T-65, na którym poleciał przeciwko Gwieździe Śmierci nad Yavinem. A po ostatniej walce maszyna przeszła kompletny przegląd połączony z wymianą wszystkiego, co tylko zdradzało ślady zużycia.

Ale i tak się zawahał.

Oficjalnie jego maszyna została wypożyczona Akademii Jedi, do celów szkoleniowych, ale tylko dlatego, że regulaminy kwatremistrzostwa floty milczały na temat przejściowego użyczenia pierwszoliniowych myśliwców osobom cywilnym. Autorem rozwiązania był Ackbar, który musiał jeszcze dodatkowo przekonać Luke'a, że maszyna może się jednak przydać. Dowodził, że życie potrafi sprawić najdziwniejsze niespodzianki, a w razie czego lepiej mieć pod ręką w pełni uzbrojony myśliwiec. Żadna inna jednostka nigdy go nie zastąpi.

- Pomyśl o sobie jako o członku republikańskiej milicji. Każdy, kto raz wstąpi do sił samoobrony, zawsze musi trzymać broń w domu na wypadek, gdyby znowu został powołany - dowodził Ackbar.

Luke zgodził się niechętnie, jednak w miesiącach poprzedzających powrót na Coruscant unikał korzystania z myśliwca. Była to przecież potężnie uzbrojona jednostka stworzona do niszczenia i zabijania. Gdziekolwiek się pojawił, towarzyszyła mu atmosfera zagrożenia. A tego akurat Luke wolałby uniknąć.

X-skrzydłowiec był kiedyś jego najwierniejszym towarzyszem. Niewiele mogło się równać z przyjemnością latania na nim, zżywieniem towarzyszącym walce. Jednak tak działo się kiedyś. Luke był wówczas znacznie młodszy. Obecnie czuł niekiedy wręcz skrepowanie, gdy musiał pokazać się gdzieś w mało twarzowym kombinezonie. Poza tym brakowało mu na pokładzie obecności Artoo, który do myśliwca typu E po prostu nie pasował - ani technicznie, ani oprogramowaniem.

Ostatni raz, pomyślał Luke. Może potem pozwolą mi go oddać.

- Otwórz owiewkę, Artee - polecił i skoncentrował się na przedniej ścianie hangaru. Lity kryształ pękł w kilku miejscach i już po chwili osadzone na zawiasach (których przed momentem jeszcze nie było) wrota otworzyły się szeroko. Wiatr wepchnął do środka słońce i zimne powietrze.

Z braku drabinki Luke musiał wskoczyć od razu na krawędź kokpitu. Usiadł w fotelu. Zamykając owiewkę, uniósł myślą maszynę na kilkanaście cali ponad podłogę i wyprowadził po cichu w noc. Astromech zaprotestował zaraz głośno, nie pojmując, jakim cudem statek leci, skoro silniki wciąż jeszcze są zimne.

- Włącz napęd - rozkazał Luke.

Artee zaćwierkał (prawie z ulgą) i wykonał polecenie.

Myśliwiec, zataczając kręgi, nabierał wysokości. Skanery przeczesaly teren w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów obecności niespodziewanego gościa. Przy drugim

przelocie nad klifem Luke dostrzegł wreszcie statek dziewczyny - starszy typ uniwersalnego penetratora z Verpine. Stał może sto metrów od krawędzi urwiska.

Nie do wiary, że mogłem jej nie usłyszeć, pomyślał. Przedimperialna konstrukcja ze zwykłymi odrzutowymi silnikami atmosferycznymi...

Z jego pamięci wypłynął obraz zupełnie odmienny i dawny. Chwila, gdy Leia wyrażała podziw, iż odważyli się przylecieć czymś takim... Kiedyś, na pokładzie Gwiazdy Śmierci... Wtedy spotkali się po raz pierwszy. Luke ratował księżniczkę i nic nie wiedział jeszcze, że walczy o życie swej zaginionej niegdyś siostry. Nie wiedział, że w ogóle ma siostrę...

Poruszył sterem i maszyna skierowała się ku Imperial City. Dyskretnie uprzedził myślą Leię o swoim przybyciu. O powodzie wizyty na razie nie wspomniał.

Nie widział Akanah obserwującej jego odlot z wieży. Wbite w ciemne niebo oczy dziewczyny pełne były nadziei. Uważnie odprowadziła wzrokiem niknącą w mroku jasną smugę ciągnącą się za silnikami myśliwca.

Leia wyrwała się nagle z objęć Hana i siadła na postaniu.

- Co tym razem? - spytał z rezygnacją Han.

- Przyleci dziś wieczorem.

- Kto?

- Luke. - Odrzuciła prześcieradło i wstała. - Chce się z nami zobaczyć.

- Skąd wiesz?

- Usłyszałam jego głos. Wiem, dla ciebie to tylko mistyczna więź pomiędzy bliźniętami, ale...

- Dobra. Ostatecznie jeszcze nie puka do bram. Mamy chwilę, zanim doleci.

Leia udała, że go nie słyszy.

- W samą porę. Jak mu powiem co dzieciaki dzisiaj wyrabiały, zaraz go rozboli głowa.

- Pewna jesteś, że właśnie o tym marzy?

- Powiedział coś o ważnych sprawach rodzinnych.

- Może i tak - stwierdził z powątpiewaniem Han, wspomniawszy swą ostatnią rozmowę z Lukiem - ale dzieciaki to jeszcze nie cała wasza rodzina. Może myślał o waszym ojcu?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Mam wrażenie, że ciągle go to gryzie.

- Gryzie? Też pomyśl - sapnęła Leia. - Niby dlaczego miałby czuć się winny temu, co nasz ojciec zrobił jako sługa Imperium i Ciemnej Strony? Wybaczyl ojcuna Endorze. Sam tam byleś i widziałeś.

Han zmarszczył czoło.

- Może dla niego to nie jest takie proste. Nie da się ukryć, że kilka miliardów ludzi w galaktyce nadal pluje na waszego starego.

- Nie musisz mi przypominać - stwierdziła Leia, narzucając biały szlafrok i wiążąc poły. - Z tym akurat to ja miewam kłopoty, nie Luke. To mnie oskarża się o najdziwniejsze rzeczy. Ale jakoś sobie radzę.

Podeszła do drzwi sypialni. W progu zatrzymała się i spojrzała na męża. Siedział wciąż półnagi wśród pomiętych prześcieradeł.

- Nie, z pewnością się mylisz. Nie to sprowadza Luke'a. Wydawał się dziwnie... ożywiony. Prawie szczęśliwy.

Han uznał, że pora się poddać.

- Dobra. Jest, jak mówisz. Gdzie się wybierasz?

- Muszę uzupełnić notatki w dzienniczkach postępów dzieci. Żeby były gotowe na przybycie Luke'a.

Uśmiechnęła się i wyszła z sypialni.

- No, to mamy przechłapano - mruknął Han, westchnął i wstał z łóżka. - Wiedziałem, że to się tak skończy, oj wiedziałem.

Nawet w środku nocy nie było najmniejszej szansy, by Luke mógł niezauważony dostać się do rezydencji kogoś tak ważnego, jak głowa Nowej Republiki. Nad całą okolicą rozpościerało się pole ochronne zasilane z osobnego generatora. To wykluczało lądowanie bezpośrednio na terenie posiadłości lub tuż obok.

Kontrola lotów nakazała Luke'owi posadzić maszynę na wojskowej płycie Eastport. Zanim jeszcze wysiadł z kabiny, wokół zgromadził się całkiem spory tłumek obsługi naziemnej. Pojawili się nawet zwykli robotnicy portowi. Zachowywali się jednak o wiele spokojniej niż gdyby to Han Solo wysiadł ze statku. Kiedy Luke zeskoczył na ziemię, wszyscy nieco się cofnęli.

Można by przypuszczać, że bardzo chcieli na własne oczy zobaczyć Luke'a Skywalkera, ale nie mieli śmiałości spoufalać się z kimś tak sławnym. Ucisnąć dłoń, poklepać po plecach, zagadać? Nie ma mowy. Luke poczuł się przez chwilę jak bohater z legendy, raczej umarłak niż żywy człowiek.

Wolałby, żeby jak najszybciej odeszli. Nie bawiła go taka rola, wcale nie pragnął wzbudzać sensacji.

- Artee, zabezpieczenie pierwszego stopnia - polecił. Osłona wróciła na miejsce, pokrywy zasłoniły szczelnie wloty silników. Luke podszedł do czekającego już ślizgacza. Tłum rozstępował się przednim w milczeniu. Czuł na sobie ich spojrzenia. Wcale niejednoznaczne. I słyszał szepty. Wypowiedziane i tylko pomyślane:

Dzieciaki, nigdy nie zgadniecie, kto pojawił się dziś w nocy w porcie...

On tu jest? I co powiedział? Jak wygląda? Gdzie poszedł? Ciekawe, co z tego wynika...

Ślizgacz był typowy, model z wyposażenia rządowego. Z ogranicznikami pułapu i szybkości, i androidem w roli pilota. Luke wsiadł czym prędzej. Zupełnie jakby lądował się do kapsuły ratunkowej skazanego na zagładę statku.

- Do rezydencji prezydenckiej, wejście północne - rozkazał.

Wygląda tak poważnie...

Tak tajemniczo...

Słynął na ziemię niczym liść...

Przeszedł tak blisko mnie, jak ty teraz stoisz...

Uśmiechnął się do mnie...

Nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek go zobaczę...

Wystarczy spojrzeć, i już wiesz, że to Jedi...

Ślizgacz wystartował i Luke z ulgą zamknął oczy.

Czekając na Luke'a, Han krążył po frontowych pokojach w nadziei, że może uda mu się przechwycić przyjaciela już na wstępie i ostrzec go przed zakusami siostry. Gdy jednak rozległ się sygnał zwiastujący pukanie do północnych drzwi, Leia wyrosła jak spod ziemi, wyprzedziła męża i pospieszyła witać gościa.

- Wpuść go - polecił całkiem już zrezygnowany Han automatowi, wartującemu i ruszył za żoną.

Zdażył akurat na spotkanie obojga na ścieżce ogrodowej.

- Leio - powiedział Luke z ciepłym uśmiechem i objął siostrę.

- Wiedziałam, że w końcu przybędziesz - odparła, całując go w policzek i biorąc pod ramię. - Wiedziałam, że się namyślisz. I bardzo się z tego cieszę. Jak długo zostaniesz?

- Mam coś do zrobienia i nie wiem, ile czasu to zajmie - odparł Luke. - A potem będę jeszcze musiał opowiedzieć ci o paru rzeczach. Cześć, Hanie! - Luke klepnął wolną ręką wyższego odeń przyjaciela w ramię. - Miło was widzieć.

- Nie wiesz jeszcze, co cię czeka - mruknął Han.

- Chodźmy do środka - zarządziła Leia. - Kazali ci zostawić aż przy bramie? Ochrona miewa dziwne pomysły...

- Nie mam bagażu - wyjaśnił Luke. - Nie planowałem dłuższych odwiedzin. Ale jeśli pora jest dla was zbyt późna, to poczekamy ze wszystkim do rana. Zawsze mi się podobały wasze ogrody...

Leia przystanęła, zmarszczyła czoło i spojrzała na brata.

- Chyba coś mi umknęło - powiedziała. - Dzieci teraz śpią, zatem i tak musimy poczekać do rana. I na pewno nie starczy nam kilka dni. Żeby do czegoś dojść, potrzebujemy tygodni...

- Leia, je nie przybyłem w związku z dziećmi. Han nic ci nie mówił?

- Powiedziałem - wtrącił półgębkiem Han.

- Wspomniał, że według ciebie to mój problem - stwierdziła Leia. - Zabrzmiało tak dziwnie... Pomyślałam, że chyba coś źle zrozumiał.

Luke pokręcił głową.

- Przykra sprawa, ale skoro tak, wyjaśnijmy rzecz do końca. Gdybym wtrącił się w tej chwili, na dłuższą metę przysporzyłbym kłopotów i wam, i waszym dzieciom. Długo się nad tym zastanawiałem i jestem pewien, że to słuszna decyzja.

- Zatem... przybyłeś, bo sam czegoś chcesz, a nie dlatego, że my potrzebujemy twojej pomocy?

- Przede wszystkim dlatego, że dowiedziałem się czegoś nowego o naszej matce.

Han nie krył zdumienia, jednak Leia nie zmieniła nawet wyrazu twarzy.

- Czego mianowicie? - spytała. - I skąd?

- To akurat wolałbym wyjawic nieco później. Mam nadzieję, że najpierw pozwolisz mi raz jeszcze zerknąć głębiej do twojej pamięci. Chyba już wiem, czego szukać.

Gesty uprzedziły jej odpowiedź. Odsunęła się od brata, skrzyżowała ręce na piersi, zacisnęła usta i zmierzyła Luke'a spojrzeniem.

- Nie - stwierdziła. - Wróć, skąd przyszedłeś.

Odwróciła się nagle i odeszła w kierunku rezydencji.

- Leio... - zaczął Han, próbując ją zatrzymać, gdy przechodziła obok.

Odsunęła się poza zasięg jego dłoni.

- Jeśli trzymasz jego stronę, to lepiej też zejdź mi z oczu.

- Leio... - spróbował raz jeszcze Han, tym razem tonem prośby, ale bez skutku. Po chwili zostali na ścieżce sami.

- A ja myślałem, że coraz lepiej radzę sobie w kontaktach międzyludzkich - westchnął Luke.

- I geniusz nic by tu nie wskórał, chłopie. Problem w tym, że ona prawie od miesiąca męczy się z jednym takim i zaczyna już dostawać fioła od tych negocjacji - wyjaśnił Han. - Na dodatek bliźniaki wyczuwają to bez pudła i wiedzą, kiedy mogą wejść jej na głowę.

- Przecież mogłaby korzystać z Mocy - stwierdził Luke i pokręcił głową. To niewyczerpalne źródło.

- Jednak z jakichś powodów do niego nie sięga. I co, wracasz teraz do pustelni?

- Nie. Muszę z nią porozmawiać. Powinna zrozumieć, jakie to ważne. Dla nas obojga.

- Osobiście raczej bym odradzał...

- Będzie dobrze - powiedział Luke i ruszył ścieżką.

Android domowy polecił Luke'owi szukać Lei w prywatnej kuchni. Znalazł ją siedzącą na stołku barowym z wysoką szklanica w dłoniach. Nieobecne spojrzenie wbijała w okno.

- I wspaniale - stwierdziła, gdy wszedł. - Właśnie próbowałam policzyć, ile razy zdarzyło ci się spełnić jakąś moją prośbę.

- Parę razy na pewno, chociaż raczej przez przypadek - powiedział lekkim tonem w nadziei, że przywoła uśmiech na twarz siostry. - Ale i tak nam się udało.

Leia tylko upiła łyk ze szklanki.

- To obecne jest istotne dla nas obojga, Leio. A również dla twoich dzieci - zaczął Luke i spojrzał z wdzięcznością na Hana, który przystanął w drzwiach i oparł się wyczekująco o framugę. - Sądzę, że tym razem naprawdę może się nam udać odnaleźć prawdziwy, rzeczywisty obraz naszej matki.

- A to czemu? - Leia skierowała wreszcie wzrok na brata. Jej spojrzenie zdradzało spore pokłady zmęczenia. - Próbowałeś, już sama nie pamiętam, ile razy. Artoo, Threepio i Obra-skai miesiącami siedzieli w bibliotekach i nie znaleźli najmniejszego śladu. Opróżniła szklankę i postawiła na blacie. Wprowadzaliśmy się w medytację Jedi na całe godziny. Noc po nocy wzywaliśmy Obi-Wana, Anakina i Yodę, nawet Owena i

Beru, nawet moich przybranych rodziców. Każdego, kto mógł znać chociaż cokolwiek słyszeć. Ją też wzywaliśmy, pamiętasz?

- Pamiętam.

- A gdy skończyliśmy, wiedzieliśmy dokładnie tyle samo, co na początku. Mówiłeś nawet coś o znowie milczenia.

- Na to wyglądało - odparł Luke. - Ale ktoś wreszcie zaczął mówić i chyba wiem już, dlaczego dotąd nie udało się nam trafić na żaden ślad.

- Przeszłość cię opętała - stwierdziła Leia ostrym tonem. - Ja nie mam na to czasu. Ojciec i mama nie żyją i już tego nie zmienisz. Teraz liczą się tylko dzieci.

- A skąd możesz wiedzieć na pewno, że mama nie żyje? - spytał Luke, zajmując stołek po przeciwnej stronie baru. - Gdzie jest jej grób? Kto widział jej śmierć? Może ty?

- Nie...

- Czy możesz mieć pewność, że nie opuściła Alderaanu? Że zostawiwszy cię tam nie próbowała ukryć się przed ojcem? Może jednak jej się udało?

- W tym przypadku odpowiedź nasuwa się sama - powiedziała Leia, unosząc głowę. - Gdyby żyła, już dawno by nas odszukała. Nic nie stoi na przeszkodzie.

- To się jeszcze może zdarzyć - zauważył Luke. - Nie powinna mieć obecnie więcej niż pięćdziesiąt lat.

- Ale to już dwanaście lat, Luke. A nas nie trzeba szukać ze świecą. W każdym razie mnie. Niestety...

- Czemu niestety? - spytał Luke.

- Powiem ci coś. Dotąd nie zwracaliśmy ci głowy, bo wiemy, jak poważnie to wszystko traktujesz - zaczęła z namysłem Leia. - Od końca wojny, a dokładnie odkąd zamieszkałam na Coruscant i poświęciłam życie sprawom Nowej Republiki, stale pojawiają się kobiety twierdzące, że są moją zaginioną matką. - Spojrzała na Hana. - Ile dotąd, kochanie?

- Ponad dwieście - potwierdził Han. - Ostatnio jest ich jakoś więcej. Średnio jedna na tydzień. Lub prawie.

- Ochrona nazywa je „szalonymi mamuškami” - dodała Leia. - Niektóre są aż o połowę za młode, inne nie są nawet ludźmi. Ale wszystkie wierzą święcie, że zawarły kiedyś związek z potworem i osobiście zrodziły bohaterów Rebelii.

Pokręciła powoli głową.

- A może ona ma powody, żeby nas nie szukać? - spytał Luke. - A jeśli pragnie ochronić tych, którzy ją chronili? Może wolałaby nie odpowiadać na nasze pytania? Ma prawo sądzić, że przeklinamy jej pamięć. Jeśli tak, to tym bardziej powinniśmy ją odnaleźć. Proszę pozwól mi zajrzeć raz jeszcze do twego umysłu. Teraz mam już punkt zaczepienia. Znam jej inną.

- A jeśli uda ci się odnaleźć to, czego szukasz, co wtedy?

- Wyruszę na dalsze poszukiwania. Razem z kobietą, która zdradziła mi imię naszej matki.

Leia uniosła ręce w geście rozpaczy.

- No proszę! I już wiecznie będziesz się w tym grzebał.

- Musze poznać prawdę - stwierdził Luke. - I nie pojmuję, dlaczego tobie na tym nie zależy...

- Nie rozumiesz, że i tak nigdy nie dorobimy się porządnego drzewa genealogicznego? Przepadło. Zresztą, co właściwie chciałbyś opowiadać dzieciom o dziadkach? Wiemy o nich, co wiemy, i nic już tego nie zmieni. Wolę poprzestać na wspomnianiu Owena, Beru i Baila, ludzi z krwi i kości, którzy wzięli nas pod opiekę wychowali i pokochali, jakbyśmy byli ich rodzonymi dziećmi. Przywiązujesz zbyt wielką wagę do więzów krwi.

- To coś więcej niż więzy krwi...

- Nieważne - ucieła Leia, uderzając prawą dłoń w blat baru tak głośno i niespodziewanie, że Han aż podskoczył - Nie przywrócisz nam normalnego dzieciństwa. Grzebanie w przeszłości naszych rodziców nic nie zmieni. Nawet jeśli znajdziesz tę swoją upragnioną prawdę. A może się także zdarzyć, że wcale ci się ta prawda nie spodoba. Gorzko pożałujesz, że jej szukałeś.

- A co mogłoby być gorsze od tego, co już wiemy?

- Nie wiem i wcale nie pragnę się dowiedzieć - rzuciła Leia i wstała od baru tek energicznie, że przewróciła opuszczony stół. - Oboje jesteśmy podrzutkami, Luke'a. Podoba ci się czy nie, to właśnie jest prawda. Nasze genealogia zaczyna się tutaj. W tym domu. Z dziećmi. Dopiero one będą miały normalnych rodziców, wujków, stryjków i przyjaciół.

W głosie Leii brzmiała narastająca furia, wyraz złości na cały świat, na przeszłość i na Luke'a, który mącił swoimi staraniami wizję możliwej przecież, radosnej przyszłości.

- Mije dzieci będą znać tylko normalne rodzinne opowiadki o zwykłych błahostkach. I to samo powtórzą potem swoim potomkom. Nie będzie tam nic o hańbie nie do zmazania, nic o przedwczesnej śmierci. Już ja tego dopilnuję. Z twoją pomocą albo i bez ciebie.

Han oderwał się od framugi i podszedł bliżej.

- Leio...

- Nic nie jest dla mnie równie ważne, rozumiesz? - spytała, celując palcem prosto w twarz Luke'a. - Nic. Rób co chcesz, braciszku, goń za cieniem, ludź się nadzieją, ale nigdy więcej nie proś mnie o pomoc. I nie zatruwaj tego domu jadem przeszłości. Smrodem śmierci i bólu. Nurzaj się w tym, ile wola, ale sam. Ja już się nacierpiałam. Starczy. Dość.

Lekko ogłuszeni tym wybuchem Han i Luke patrzyli tylko oniemiałi, jak Leia opuszcza kuchnię.

- Przepraszam - odezwał się w końcu Luke. - Miałeś rację. Wydawało mi się tylko, że znam ją lepiej niż ty.

- Nie wiem, kto tu ma rację, ale jednego jestem pewien. Oboje jesteście uparci jak tauntauny - stwierdził Han. - W tej chwili pozostało ci tylko zakończyć swoją krótką wizytę.

Luke nie oponował.

Jak większość małych, sportowych stateczków o dumnych nazwach, również verpiński szperacz Akanah był pod pewnymi względami wyposażony lepiej niż standardowe jednostki.

Nie posiadał uzbrojenia, tarcz bojowych ani androida techniczno-nawigacyjnego, a jego szybkość nadświetlna wyrażała się ledwie wartością 2,5. Kiedyś w trakcie eksploatacji wymieniono mu moduł nawigacyjny na model B3, jednak motywator napędu pozostawiono w wersji jedynki. Kadłub krył tylko jedno hermetyczne pomieszczenie, w którym kontrolki sąsiadowały z wąską pryczą i toaletą urządzoną w odgrodzonym zasłoną kacie. Automat aprowizacyjny oferował uparcie wyłącznie trzy rodzaje napojów, za co Akanah z góry przeprosiła, informując, że tych maszyn ona naprawiać nie umie.

Niemniej stanowisko pilota było całkiem obszerne i Luke mógł wreszcie założyć nieco wygodniejszy i obszerniejszy kombinezon pokładowy zamiast dopasowanego stroju bojowego. Luke towarowy także był na tyle pojemny, by prócz bagaży i zapasów dziewczyny zmieścić też skromną torbę Luke'a.

- To wszystko? - spytała Akanah, przekrzykując wiatr.

- Wszystko - odparł Luke i wyciągnął z kieszeni komlink. - Wsiadaj, bo zmarzniesz. Artee, słyszysz mnie?

Komunikator pisnął potwierdzająco.

Luke pomógł dziewczynie wspiąć się po wąskiej rampie i odsunął się od szperacza.

- Artee znikam na trochę - powiedział, osłaniając komunikator dłońmi! - Zarządzam procedurę ochronną na poziomie piątym. Gdyby ktokolwiek próbował naruszyć kontrolowany obszar, wyślij kod alfa-pięć-zet-alfa na pierwszym kanale kontrolnym. Potwierdź.

R7-T1 posłusznie potwierdził otrzymanie instrukcji, nieświadom, że emisja podanego kodu spowoduje zburzenie całej pustelni i ukrycie szczątków w morzu. Razem z myśliwcem naturalnie.

- Koniec połączenia - powiedział Luke i wyłączył nadajnik. Obrócił się i przeskakując po dwa stopnie pokonał drabinkę wiodącą na pokład szperacza.

- Wszystko w porządku? - spytała Akanah.

- W najlepszym - odparł, przesuwając dźwignię składania schodni i zamykając luk. - Chcesz pilotować?

- Niekoniecznie - stwierdziła dziewczyna, zajmując miejsce drugiego pilota.

- To może ja się tym zajmę, za pozwoleniem - powiedział i zapiął pasy. - Najpierw jednak powiedz, proszę, dokąd właściwie mamy lecieć.

- Najpierw na Lucazec - odparła dziewczyna. - Do naszego ostatniego domu. Stamtąd zaczniemy poszukiwania.

ROZDZIAŁ

7

Teljkoński wagabunda płynął cicho przez mroczną pustką międzygwiazdną. Najbliższe jasne ciało niebieskie, Gmar Askilon, znajdowało się na tyle daleko, że jego blask ledwie znaczył szare, metalowe burty wagabundy.

W stosownej odległości posuwał tym samym kursem maleńki statek zwiadowczy Wywiadu: „IX-44F”. Na pozór martwy jak duch przekazywał jednak co pewien czas hiperłączem swą pozycję na Corustant. Do łączności z nadciągającą skrycie armadą Pakkpekatta służył mu wycelowany w obszar za rufą laser.

Statki wyłoniły się z nadprzestrzeni, w zasięgu promienia naprowadzającego, naprawdę ostrożnie, po jednym a nie zbiorowo i w odległości setek tysięcy kilometrów od wagabundy. Powolne zmniejszanie dystansu zajęło aż kilka dni. Podkradali się niczym drapieżnik do zdobyczy.

Czynili to w szyku torowym, usiłując w miarę możliwości pozostawać w cieniu stateczku zwiadowczego. Dopiero dwie doby wcześniej uruchomili silniki pomocnicze, by ustawić się w szerszym szyku, stosownym do operacji przechwycenia.

Najbardziej na zewnątrz (i na froncie) znalazły się trzy patrolowce z emiterami ekranów. Ich zadaniem było otoczenie wagabundy z flank, wysunięcie się przed niego i uniemożliwienie obiektowi ucieczki w nadprzestrzeń. Wraz z ich manewrem reszta jednostek miała osaczyć wagabundę od Ryfy.

Niemal równie szeroko rozciągnęła się druga grupa nadzoru, złożona z dwóch eskortowców i „Pioruna” uzbrojonego statku wyścigowego na Prinawe. Ci mieli się zająć rejestracją obrazu całej operacji. Poza tym, gdyby wagabunda spróbował ucieczki w konwencjonalnej przestrzeni, „Piorun” powinien ruszyć za nim w pościg.

Jądro formacji stanowił „Sławny” w asyście monitora „Maruder” i bezpilotowej jednostki zwiadowczej „D-89”. Cały zespół zmniejszał dystans na tyle powoli, że Lando zaczął się już niecierpliwić.

- Wiesz, Threepio, w porównaniu z naszym ostrożniackim Pakkpekatem ty wydajesz się wręcz popędliwy - mruknął w zaciszu głównej kabiny na pokładzie „Ślicznotki”.

- Postępuje ze wszech miar słusznie - stwierdził Lobot.

- Słusznie, mówisz?

- Robi, co w jego mocy, by nie spłoszyć zdobyczy. To rozsądna taktyka.

- Chyba raczej instynktowna, a nie rozsądna - warknął Lando. - Zaczynam podejrzewać, że ci Hortekowie nie polują, tylko zanudzają ofiarę na śmierć.

Nadeszła jednak taka chwila, gdy wszystkie jednostki znalazły się na przewidzianych pozycjach, a trzyosobowa załoga „IX-44F” mogła nieco odetchnąć po siedemdziesięciu dziewięciu dniach nieustannego śledzenia celu.

- Kapitanie, stokrotnie dziękujemy, może pan wracać do bazy - przekazał im Pakkpekatt. - Ale poproszę o jak najostrożniejsze wycofanie się z rejonu celu.

- Dziękuję, pułkowniku - odpowiedziano ze stateczku. - Kilka dni więcej, kilka dni mniej, to już bez różnicy. Udanego polowania.

„IX-44F” przyhamował i zaczął powolutku odpadać od formacji, a kiedy pozostał z tyłu, jego miejsce na czele szyku zajął krążownik „Sławny”.

- Jak pan sądzi, co nas może czekać w środku? - spytał Pakkpekatt, stając wraz z Calrissianem przed głównym ekranem na mostku. - I co on tu robi? Skąd się wziął i dokąd zmierza? Czy podzieli się pan ze mną swoimi przypuszczeniami?

- Cokolwiek kombinuje, najwyraźniej mu się nie spieszy - rzucił Lando. - I to nas łączy. Kiedy wyśle pan ekipę?

- Najpierw zamierzam trochę go poobserwować. A wam udało się dojść do czegoś z tym sygnałem, który nadał przy spotkaniu z Hrasskisami?

- Cóż pułkowniku, zarządził pan całkowitą ciszę w eterze i nie mogliśmy się dostać do HoloNetu. „Ślicznotka” nie ma wyposażenia pozwalającego na przechowywanie aż tylu danych. W odróżnieniu od was, my jesteśmy zależni od zewnętrznych źródeł informacji.

- Tak czy inaczej, w raporcie muszę napisać, że „brak postępów” - powiedział Pakkpekatt i sięgnął do kontrolki ekranu. Obraz wagabundy urósł na tyle, że mogli już rozpoznać niektóre szczegóły. - Ale proszę spojrzeć, generale. Z tego, co wiemy, wagabunda równie dobrze może mieć pięćset, jak i pięćdziesiąt tysięcy lat. Niewykluczone, że zaczął podróż w epoce, kiedy obie nasze rasy były jeszcze za młode, by spoglądać ku gwiazdom. Gotów jestem przypuszczać, iż tylko dzięki zużyciu niektórych systemów tego antyku udało nam się podlecieć aż tak blisko.

- Przypuszczenie raczej mało prawdopodobne - zauważył Lando, zdumiony sentymentalizmem Horteka. - Kosmos obfituje w zagrożenia.

- Owszem. A teraz my jesteśmy jednym z nich. Ale wie pan, generale, że nigdzie nie znaleźliśmy niczego podobnego? Żaden ze światów Nowej Republiki nie przyznaje się do posiadania planów takiej konstrukcji, żadna znana nam stocznia nigdy nie budowała niczego w tym guście. Chociaż ogólny projekt bardzo się podoba. Jeśli nawet wagabunda jest dziełem którejś ze znanych ras, to powstał tylko w jednym egzemplarzu.

- Nasze katalogi flot są dalekie od kompletności - przypomniał Lando. - Stawiałbym na o wiele mniej romantyczne wyjaśnienie.

- Jak pan może stawiać na cokolwiek, nie znając zasad gry? - sarknął Pakkpekatt. - A może mamy przed sobą jedyne schronienie istot, które nie znalazły innego domu? Albo wiedziony ciekawością gość z otchłani wszechświata, tak dalekich, że my nie

mamy nawet nazw dla tamtejszych słońc? Lub przybysz ze Światów Środka, gdzie trochę brakuje nam przyjaciół. Wszystko jest możliwe. Wszechświat jest zbyt duży, byśmy go mogli ogarnąć wyobraźnią.

- To prawda - przyznał Lando. - Ale nadal szukałbym wyjaśnienia blisko, zamiast daleko.

- Ale zgadza się pan, że byłoby wskazane zachować ostrożność? - spytał znacząco Pakkpekatt. - I cierpliwość, choćby nawet nie było to łatwe. Nawet, gdybyśmy mieli umierać z nudów. A zatem, na razie ograniczymy się do obserwacji. I niech oni też się nam przyjrzą. Wytrzyma pan to, generale?

Lando wydawało się, że pułkownik nieprzypadkowo poruszył właśnie ten temat, który niedawno zdominował prywatną rozmowę na pokładzie „Ślicznotki”. To naprawdę wyglądało na coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności, a generał wystarczająco dużo wiedział o sztuczkach grzebania w cudzym umysłach, by uwierzyć w talenty Horteks.

- Jeśli o mnie chodzi - odparł po chwili - mam tylko nadzieję, że nie czai się tam jakieś małe zło, kombinujące jak nas zniszczyć. Lub wyrwać statek spod naszej opieki. To też powinien pan włączyć do swojego zbioru sytuacji prawdopodobnych. Mam nadzieję, że nie zapomni pan...

Pakkpekatt nie zmienił wyrazu twarzy.

- Spytałem oficera łączności, jak szybko może zapewnić pańskiej ekipie dostęp do naszej stacji HoloNetu. Może to przyspieszy wasze prace.

- Dziękuję, pułkowniku - powiedział Lando z wystudiowaną uprzejmością. - To krok we właściwym kierunku.

- Ale bałagan - mruknął porucznik Norda Proi, studiując dokładny obraz przestrzeni rozciągającej się przed dziobem „Solidnego”. Trójwymiarowa projekcja ukazywała obecność ponad dwunastu tysięcy obiektów. Większość nie była większa od buta kombinezonu bojowego, jeden wszakże przypominał rozmiarami solidnie okaleczony kadłub imperialnego niszczyciela. - To musiała być rzeźnia.

- Owszem - przytaknął kapitan Oolas. - Spędzimy tu co najmniej miesiąc. Od czego zaczynamy, poruczniku?

- Od tego dużego kęsa, oczywiście - pokazał Proi. - Ale androidy do zbierania drobnych szczątków moglibyśmy wystrzelić już teraz.

Holownik floty „Solidny” od blisko roku przemierzał samotnie rejony, których nazwy utrwaliły się w historii zmagania z Imperium. Zwany potocznie „złomiarzem”, brał kiedyś udział w bitwie o Endor, w obronie Coruscant przed admirałem Thrawnem i w pościgu za „Niewidzialnym Młotem”.

Z czasem jednak, gdy wrogów zdecydowanie ubyło, odwołano go wraz z trzema innymi najstarszymi holownikami, z pierwszej linii i na żądanie Wywiadu skierowano do nowych zadań. Wyposażone w kilka tuzinów wyspecjalizowanych androidów i z nieco rozszerzonymi załogami, zajmowały się obecnie penetrowaniem wszystkich większych pobojozisk w poszukiwaniu przedmiotów czy informacji mogących potencjalnie przydać się Wywiadowi.

- Jak myślisz, czy tym razem zjawiliśmy się pierwsi? - spytał kapitan Oolas. Norda Proi spojrział na ekran spektroskopu.

- Może i tak, kapitanie. Nie chciałbym rozbudzać płonnych nadziei, ale... Zresztą, starczy że wejdziemy na pokład tego wraku a zaraz będziemy wiedzieli, czy ktoś tam myszkował.

Cała operacja (o kryptonimie „Flotsam”, co w dawnych czasach oznaczało szczątki unoszące się na wodzie w miejscu zatonięcia statku) ruszyła wówczas, gdy na czarnym rynku kolekcjonerów zaczęły się pojawiać w większych ilościach różne „pamiątki” militarne - zarówno imperialne, jak republikańskie. Śledztwo wykazało, że nie pochodziły one z kradzieży, tylko z organizowanych przez przemytników i innych łowców sensacji wypraw na tereny dawnych bitew. Dowiedziawszy się o tym, Senat zareagował nader szybko i zdecydowanie.

Na mocy ustawy o Historycznych Miejscach Pamięci wytyczono ponad dwadzieścia zamkniętych sektorów. Wszystkie znajdujące się w nich szczątki ogłoszono własnością Republikańskiego Muzeum Wojskowości. Przed wszystkim chodziło jednak nie o historię, tylko o kwestie bezpieczeństwa. To ostatnie dotarło do senatorów szczególnie jasno, kiedy w rezydencji pewnego barona zbrodni na Givin doszło do pustoszącego okolicę wybuchu. Większość obserwatorów skłonna była łączyć do wydarzenia z przeprowadzonymi przez Rudrigów próbami wykorzystania dawnych imperialnych androidów przesłuchujących. Krótko mówiąc: było się czego bać.

Samo ogłoszenie ustawy i związanych z nią postanowień sprawiło tylko tyle, że poszukiwacze „pamiątek” od tej chwili działali nielegalnie. Nielegalnie, ale równie skutecznie. Zarządzono zatem patrolowanie zamkniętych stref, dzięki czemu udało się aresztować znanego przemytnika imieniem Uta (z Hurtów). Przejęto też znaczne ilości broni i namierzono licznych handlarzy oraz nabywców, również w samym Imperial City. Ale i tak wszystkie odnajdywane przez holownik pola szczątków okazywały się już solidnie przebrane. A ze dwa razy zdarzyło się nawet, że spłoszył jakiegoś ścierwojada.

- Wrak zidentyfikowany, poruczniku - zawołał od swojej konsoli oficer wywiadu. - To niszczyciel „Glisnal”, klasa Imperial. Nasz numer katalogowy SD-489. Według meldunków sojuszu uległ zniszczeniu na skutek wewnętrznej eksplozji podczas ewakuacji imperialnych z Narth i Ihopek.

- Dobrze - powiedział Proi, kiwając głową. - No to ruszamy.

Pierwsze na pokład wraku dotarły wyposażone we własny napęd androidy. „Solidny” czekał na razie w rozsądnej odległości.

Automaty pracowały parami, aby w razie jakiegoś wypadku jednego z nich drugi mógł zdać ze wszystkiego relację. Zaopatrzone w pełny zestaw informacji o okrętach tej klasy, wzięły się do przeszukiwania pomieszczeń. W pierwszej kolejności miały zabezpieczyć każdą zdatną do użytku broń, potencjalne pułapki i wszystko, co mogłoby zagrozić żywym zwiadowcom, którzy mieli pojawić się później.

Środki bezpieczeństwa były w pełni zasadne. Inny holownik, „Selonia”, został swego czasu mocno uszkodzony wybuchem bomby ukrytej w obudowie minikomputera (który trafił do ładowni bez uprzedniej szczegółowej kontroli). Rok wcześniej statek zwany (o ironio!) „Przezorność” nie wykazał się wystarczającą zdolnością przewidywania i padł ofiarą nadal sprawnego samonaprowadzającego działka laserowego w chwili, gdy grupy poszukiwawcze weszły na pokład porzuconego imperialnego krążownika.

Jak dotąd sprawdzało się tylko jedno: jeżeli androidy znajdowały na pokładzie ciała - istnienie pułapek w zasadzie należało wykluczyć. Z jakichś powodów (może z szacunku dla zmarłych, a może z powodu jakichś przesądów) imperialni żołnierze nie wykorzystywali trupów do maskowania. Jeśli coś knuli, zazwyczaj najpierw dokładnie sprząkali cały statek.

Nie dziwnego zatem, że Norda Poi ucieszył się na widok licznych zwłok obecnych na pokładzie „Gnisnala”. I zaraz zrobiło mu się nieswojo. Czyjaś śmierć nie powinna być powodem radości...

- Słyszeliście o tym facecie z republikańskiej bezpieki, którego aresztowano w zeszłym miesiącu na czwartej Derry? - spytał wpatrzony w obrazy przekazywane na „Solidnego” przez SM-6. - Gość miał w hangarze zbiornik kriogeniczny. Trzymał w nim jedenaście trupów imperialnych żołnierzy. Wszystkie w pełnych zbrojach lub kombinezonach pokładowych. Czyste wariactwo.

- Słyszałem - odparł kapitan Oolas. - To gorzej niż wariactwo. I w ogóle smutna sprawa. Podobno chciał ich przetrzymać do czasu, aż jego syn dorośnie. Wtedy opowiedziałby chłopakowi, co spotkało podczas okupacji jego matkę, dał mu dowolną broń do ręki i pełną swobodę rewanzu.

- Cieszę się, że miałem normalnego ojca - powiedział Proi, włączając ekran na sygnał z SM-1.

Kapitan Oolas usiadł wygodnie i złożył ręce na kolanach.

- A ja się cieszę, że mój świat nigdy nie trafił pod okupację Imperium.

W tym momencie przeszukujący pokład android wpadł na ciało niższego oficera i odepchnął je, wirujące, pod sufit. Przez chwilę spalona i zniekształcona nagłą dekompresją twarz tamtego wypełniła cały ekran.

- Wie pan co, poruczniku - powiedział Oolas - nawet sprawiedliwa wojna jakoś mało ma w sobie heroizmu i wzniosłości. Szczególnie dla tych, którzy muszą po niej posprzątać.

- Słowem nie zaprzeczę - mruknął Proi. - I cieszy mnie, że się skończyła.

Androidy SM-3 i SM-4 dotarły do maszynowni niszczyciela, obecnie bezładnej płataniny żelastwa. Burty w jej rejonie zostały rozerwane - z poszarpanymi krawędziami skierowanymi na zewnątrz.

- To rzeczywiście wygląda na wewnętrzną eksplozję - stwierdził Proi, obejrzawszy przesłane obrazy. - Zaczęło się chyba od zaburzeń w pracy pierwotnego obwodu reaktora. Potem nagły skok jonizacji... Ku pamięci, gdyby ktoś jeszcze kiedyś twierdził, że maszynownie niszczycieli były w pełni bezpieczne.

- Sabotaż?

- Albo zwykły pechowy wypadek - powiedział Proi. - Cokolwiek się stało, motywator napędu wyrwał się z mocowania i opadł na rdzeń reaktora. Wtórna eksplozja rozsadziła wręgi. Wszystko poniżej pokładu dwudziestego szóstego poszło w drzazgi. Biedne dranie, nie zdążyli pewnie nawet połapać się, co jest grane. Tych na górnych pokładach dopadła fala uderzeniowa. Równie skutecznie.

Proi wybrał sygnał SM-5 i SM-6, które zbliżyły się do mostka.

- Ilu ludzi liczyła obsada ocalałej części kadłuba? - spytał porucznik.

- Chwilę, sir - podoficer pochylał się nad planami statku i zaczął obliczenia. - Na samych stanowiskach bojowych jakieś dwanaście tysięcy. Do tego jeszcze normalne wachty, około siedmiu tysięcy czterysta.

- Za dużo, żeby ich zabrać - mruknął Oolas.

Norda Proi potrząsnął głową.

- Większość ze światów, z których pochodzili, należy obecnie do Republiki. Teraz to nasi zaginieni - powiedział. - Wyślę prośbę. Niech skierują tu jakiś transportowiec floty i pobierają, co się da.

Operator automatu SM-1 siedział przy konsolce w towarzystwie androida analitycznego DA-1. Obok podobna ekipa kontrolowała ruchy SM-2. Wszystkie stanowiska mieściły się w przedniej ładowni „Solidnego”.

Zadaniem pierwszego duetu było przebadanie hangarów niszczyciela znajdujących się przed głównym reaktorem i stanowiskami artyleryjskimi, którymi kadłub był wręcz naszpikowany. Ponieważ akurat w tym rejonie sporych fragmentów w rękę brakowało, androidy przeszukujące znacznie wyprzedziły plan poszukiwań. Dotarli już do sekcji mieszczących się pod wyniosłą nadbudówką niszczyciela.

Te partie pozostały niemal nietknięte. Androidy bez przeszkód przemieszczały się prawoburtowymi korytarzami. Gdy skręciły ku pomieszczeniom rufowym, na obu konsolach odezwały się nagle alarmy.

- Wykryto sztuczne źródło światła - oznajmił DA-1. Obaj operatorzy zauważyli to już o moment wcześniej. Korytarz przed kamerami pławił się w potokach światła bijącego z lamp sufitowych.

Pierwszy z operatorów natychmiast wywołał mostek „Solidnego”

- Poruczniku Proi, mówi Maki od jedyńki. Mamy światło na korytarzu R, poziom dziewięćdziesiąty - zameldował z ożywieniem. - Zasilanie nadal działa.

- To systemy rezerwowe - stwierdził Proi, zmarszczył brwi i przywołał plan okrętu. - Ta sekcja jest podłączona do baterii dziewiętej... sprzęgniętej z ósmą. Któraś z nich musi wciąż dawać moc. Pod pewnymi względami jednak się starali. To i owo potrafili dopieścić...

- Mam kazać sternikowi odsunąć nas od wraku? - spytał Oolas, owijając górne macki wkoło cienkiej szyi, co sygnalizowało zaniepokojenie.

- Nie - zmarszczył brwi Proi, oceniając w myślach sytuację. - To oświetlenie bojowe, nie awaryjne. Ta awaria i eksplozja... wszystko stało się tak szybko, że chyba nie mieli czasu na cokolwiek. Makki, jesteś tam?

- Tak, sir.
- Widzisz jakieś obiekty ruchome? Może wibracje albo rozgrzane miejsca na grodzi?

- Nic z tych rzeczy.

- No to bądź uprzejmy coś sprawdzić. Poślij androida na poziom dziewięćdziesiąty szósty. Korytarz Q.

- Co tam jest? - spytał Oolas.

Proi potrząsnął głową.

- Poczekaj. Nie chcę zapeszać, ale...

Oba androidy ruszyły szybem windy w górę. Oolas śledził ich ruchy z niepokojem, a Proi okazywał coraz większą niecierpliwość. Gdy pierwszy automat wydostał się z szybu, zobaczyli porzucony posterunek wartowniczy i szereg wylamanych hermetycznych drzwi. Wszędzie unosiły się drobne, lśniące szczątki.

- Widocznie iluminatory na tym poziomie musiały implodować - zasugerował Oolas.

- Nie, odłamki są za cienkie. Pochodzą raczej z ekranów. I dobrze, bo to znaczy, że dotarliśmy na miejsce. Makki, teraz skieruj go do pomieszczeń lewoburtowych. Szukaj korytarza skręcającego w prawo. Powinien być jakieś dwadzieścia metrów przed tobą.

Przesuwający się android poruszył całą chmurę drobnych szczątków. W końcu dotarł do wielkiego pomieszczenia z wysokim sufitem.

Stało tu w dwóch półokręgach ponad czterdzieści zniszczonych pulpity zwróconych przodem ku cylindrowi wyrastającemu z podwyższenia pod ścianą. Cylinder wyglądał dość osobliwie, przypominał nie dokończoną rzeźbę. Obok wisiały na ścianach ekrany wielkie jak drzwi. - Ekran wcióż działały, wyświetlając wielobarwne komunikaty. W basicu i kodach binarnych.

- Na klejnoty mamusi... - jęknął Proi.

- Co to jest?

- Nasz ekspresowy bilet powrotny na Coruscant - stwierdził porucznik. - Trafiliśmy na nietknięty imperialny bank danych.

Czwarty bank pamięci z niszczyciela „Gnisnal” stanął w laboratorium Sekcji Technicznej, podłączony do trzech sprzężonych szeregowo androidów zasilających. Wprawdzie do podtrzymania funkcji i połączeń starczyłby jeden, ale zawartość zdobyczy była zbyt cenna. Dla uniknięcia ryzyka zdecydowano się na podwójne zabezpieczenie.

Jednak do odczytania danych niezbędna okazała się znajomość ponad setki imperialnych algorytmów zapisu przechowywanych nie w samym banku, lecz w zdwojonych modułach kontrolujących, które nie przetrwały katastrofy jednostki.

Eksperci z Sekcji Technicznej poznali dotąd tylko czternaście spośród owych algorytmów. Już pierwszego dnia wypróbowali je kolejno, niestety bez powodzenia. Cokolwiek wydobywali z wnętrza banku pamięci, wszystko przypominało nieartykułowany bełkot.

Do pracy zasiadło pięć różnych zespołów wspartych przez szybkie droidy analityczne. Wykorzystując urywki danych uzyskanych z innych jednostek imperialnych, próbowali dostrzec w beładnym potoku zapisu cyfrowego jakikolwiek porządek. Nawet drobny punkt zaczepienia mógłby ułatwić androidom wydedukowanie na jego podstawie prawdopodobnej postaci algorytmu dającego dostęp do całości danych.

Pierwszy wpadł na ślad zespół trzeci, prowadzony przez Jarsego Motempe. Udało im się rozpoznać zakodowane nazwiska i stopnie dwóch wysokich oficerów z dowództwa „Gnisnala”. Nim minął dzień, zespół piąty zidentyfikował program zawiadujący postawką kierunkową imperialnego modułu hiperłącza.

Przełom w badaniach również był dziełem Motempe. Który odnalazł kompletny, piętnastopunktowy rozkaz dzienny dla załogi bombowca TIE, a to oznaczało ponad tysiąc czterysta sekwencji. Wszystkie czytelne do ostatniego bitu. Dość, by odtworzyć pożądaną algorytm. Potwierdzenie przypuszczenia nie wymagało już czasu. Pierwszy odczytany w ten sposób dokumentem był rozkład służb pokładowych. Następnym dziennik działu łączności z dnia zniszczenia okrętu.

Od tej chwili akcja nabrała rozmachu. Nowy algorytm został wprowadzony do androida ze stosownym sterownikiem. Po podłączeniu do banku danych android zaczął przekazywać dziesiątki tysięcy czytelnych plików. Każdy zbiór kopiowano, oznaczano, utajniano i przekazywano Sekcji Analitycznej do dalszej obróbki i przekazania właściwym poddziałom.

I tak właśnie zbiór oznaczony numerem AK031995 (i dopiskiem: Priorytet Pilności) trafił w ręce Ayddara Nylykerki.

Oficjalnie Ayddar Nylykerka był archiwistą w Dziale Wyszukiwania Danych. W praktyce zajmował się głównie sporządzaniem list, wykazów i tabel porównawczych dotyczących wyłącznie imperialnych okrętów wojennych.

Dział Wyszukiwania Danych utworzono po wielkiej kompromitacji wywiadu, która omal nie zakończyła się katastrofą. Zdarzyło się wówczas, że admirał Thrawn jako pierwszy odkrył grupę ponad stu pancerników Starej Republiki, znanych jako Katańska Flota, i zanim Nowa Republika połapała się w sytuacji, zdołał przejąć zdecydowaną większość z nich. Tak wzmocniona flota Thrawna zaatakowała ponad dwadzieścia systemów republikańskich i za jej pokonanie trzeba było zapłacić olbrzymią cenę. Również cenę krwi.

Dział Wyszukiwania Danych miał zapobiegać podobnie przykrym niespodziankom.

Od chwili założenia przeszedł wiele zmian. Z początku zatrudniał aż piętnastu pracowników: ośmiu badaczy, trzech archiwistów, dwóch analityków i dwa androidy urzędnicze. Liczna obsada wyraźnie świadczyła o tym, jak wielką wagę przywiązywano do wyników pracy nowego działu. Szef analityków pozostawał w nieustannej łączności z dowództwem floty, a każdy jego raport traktowano jako przedmiot szczególnej uwagi.

Z czasem jednak gwiazda nowej komórki przygasła. Dość szybko uporała się ze wszystkimi łatwiejszymi zadaniami i kolejne raporty zawierały coraz mniej przydatnych informacji. W końcu zaczęto głośno powątpiewać w sens utrzymywania działu, bo przecież nieprzyjaciel mógł już zbudować nowe jednostki, o których w dawnych zapisach siłą rzeczy nikt nie znalazłby ani słowa. Po cichu zaczęto przesuwac personel działu do innych, ważniejszych w danej chwili zadań. Ci, którzy zostali, nabrali przekonania, że nie czeka ich w tej placówce zbyt świetlana kariera. Zaczęli zatem sami szukać nowych przydziałów. Wszyscy z wyjątkiem Ayddara.

W chwili otrzymania przesyłki związanej z „Gnisnałem” Ayddar Nylykerka był, jako osoba urzędowa, właściwie tożsamy z Działem Wyszukiwania Danych. Zaczynał jako badacz, ale gdy zabrakło chętnych do tej pracy, awansował na archiwistę. Niebawem przejął także obowiązki ostatniego analityka, który złożył rezygnację. Dźwigał to potrójne brzemie już od siedmiu lat. Za biurko służyła mu mała kłitka, wręcz pakamera. Ponieważ nie miał ani personelu, ani (obecnie) dojsć i znajomości, nikt mu nie uświadomił, skąd właściwie wzięła się w jego poczcie przesyłka z plikiem AK031995.

Ayddar nie wiedział nic o ewakuacji planet Narth i Ipothek, nie słyszał o zniszczeniu „Gnisnała” ani o odkryciach „Solidnego”. Imiona kapitana Oolasa, Nordy Proi czy Jarsego Motempe nic mu nie mówiły. Nie zdawał też sobie sprawy z faktu, że w oczach innych urzędników uchodził za postać humorystyczną, kogoś opętanego niegroźną obsesją.

Swoje obowiązki znał jednak dobrze: ma ustalić los i obecny status wszystkich znanych, choćby tylko ze wzmianki, jednostek wojennych, które nie należą aktualnie do floty Nowej Republiki. Pojął też błyskawicznie, że odkąd pracuje w Dziale Wyszukiwania Danych, nie trafił mu się jeszcze równie smakowity kąsek: kompletny imperialny rozkaz bojowy.

Było tam wszystko. Okręty wymienione co do sztuki z nazwy, klasy i kryptonimu. Przydziały operacyjne każdej jednostki. Lista myśliwców i bombowców przynależnych do każdego z niszczycieli, lotniskowców i pancerników. Szczegółowy wykaz ich uzbrojenia. Zestawienie kompanii szturmowych i batalionów piechoty przypisanych do poszczególnych transportowców garnizonów okupacyjnych posterunków i fortów. A potem wykaz uszkodzonych jednostek pozostających w dokach, jednostek budowanych, przebudowywanych i remontowanych. Wymieniono nawet jednostki drugoliniowe używane już tylko do szkolenia.

Dokument pochodził sprzed ponad ośmiu lat, wciąż jednak stanowił skarb prawdziwie bezcenny. W rozkazie bojowym zawsze umieszczano znacznie więcej informacji, niż w przekazywanych zwyklemu kapitanowi okrętu czy nawet dowódcy zespołu. Zazwyczaj podobną wiedzę dysponował jedynie głównodowodzący sektora. No i adiutanci Imperatora.

Z tego właśnie powodu Ayddar potraktował plik bardzo podejrzliwie. Przez następnych kilka godzin robił co mógł, aby wykazać, że to albo fałszerstwo, albo odkryty poniewczasie produkt akcji dezinformacyjnej Imperium.

Kiedy już ustalili ponad wszelką wątpliwość, iż rozkaz jest w pełni autentyczny, zadzwonił do domu i powiedział swoim żonom, że nie wróci dzisiaj na noc.

I wziął się do roboty. Pragnął znaleźć w otrzymanym pliku coś, co potwierdziłoby sens ostatnich siedmiu lat przepracowanych w miniaturowej pustelni, co przypominałoby Dowództwu Floty o jego istnieniu. I o potrzebie utrzymywania działu. Skoro dzięki swej kompetencji potwierdził już autentyczność dokumentu, uznał, że podobna okazja zapewne nigdy więcej mu się nie trafi.

Studiując treść, przypomniał sobie nieoficjalne motto sekcji wywiadu: „To, co tylko nam się wydaje, że wiemy, potrafi być równie groźne jak to, czego na pewno nie wiemy”.

Nie wychodził z biura przez trzy dni. Gdy w końcu przekroczył próg, nie udał się do domu. Z minikomputera pod pachą wszedł do zamówionego ślizgacza i kazał zawieźć się nad jezioro Victory.

Coruskańska siedziba admirała Ackbara składała się z dwóch przysadzistych, cylindrycznych budowli. Pierwsza, biała i pozbawiona okien, stała na trawiastym brzegu jeziora Victory, druga, częściowo przezroczysta, wznosiła się nieco dalej, wyrastając z wody. Na wysokości piętra łączył je wąski korytarz, również o cylindrycznym przekroju. Do przystani przy drugiej budowlu przycumowano zgrabny, jednomiejscowy kalamariański ślizgacz.

Zewnętrzne posterunki honorowały identyfikatory Wywiadu, musiał tylko pozwolić na przeszukanie minikomputera i zaparkować ślizgacz. Pieszko dotarł do białego budynku i przedstawił się przy drzwiach:

- Ayddar Nylykerka. Główny analityk Działu Wyszukiwania Danych. Sekcja Wywiadu Dowództwa Floty. Chciałbym się widzieć z admirałem Ackbarem.

Kilka sekund później drzwi odsunęły się z sykem. Za progiem stał android pokojowy. Skrzyżował ręce za piersi i blokował sobą całe przejście.

- Analityku Ayddar, admirał Ackbar nie przyjmuje w domu nikogo poniżej stopnia komandora - powiedział. - I tak dość czasu spędza poza wodą. Proszę odezwać się rano i poprosić o umówienie spotkania.

Ayddar spojrział na maszynkę z niedowierzaniem.

- Nie rozumiesz. To ważne.

- Jeśli tak, to zapewne na tyle ważne, abyś zwrócił się najpierw do swojego przełożonego. Przekaz to drogą służbową. Admirał zajmie się twoim meldunkiem, gdy ten normalnym trybem trafi na jego biurko.

- Nie - odparł z uporem Ayddar. Spróbował zerknąć za plecy automatu, ale ujrzał tylko wewnętrzne drzwi służby. - To nic nie da. Muszę widzieć się z admirałem osobiście. Nie mogę ryzykować. Muszę mieć całkowitą pewność, że ta informacja trafi do jego rąk.

- Panie Nylykerka, admirał Ackbar właśnie odpoczywa. Nie może się pan z nim zobaczyć - stwierdził stanowczo android. - Teraz proszę już iść. Sam pan odejdzie, czy mam poprosić strażników?

Ayddar przytulił minikomputera do piersi i zmierzył androida spojrzeniem.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Sam odejdę.

- Dziękuję, panie Nylykerka - odparł robot i poczekał, aż Ayddar odwróci się i ruszy ku bramie.

Gdy tylko zamknął drzwi, Ayddar zboczył ze ścieżki i pobiegł w kierunku brzegu jeziora. Zaciskając zęby, wszedł z pluskiem do wody. Rozległy się alarmy, na dole łącznika zapaliły się pulsujące światła. Krzycząc jak opętany, Ayddar rzucił się szczupakiem w głęboką do pasa wodę i w parodii kilku stylów pływackich jednocześnie pospieszył ku drugiemu cylindrowi.

Swoim rozpaczliwym wyczynem zamierzał przede wszystkim przyciągnąć uwagę Ackbara. Chciał dotrzeć do znajdujących się na poziomie wody okien i po prostu w nie zastukać. Gdy jednak podpłynął bliżej, stwierdził że cylindryczna budowla to tylko basen wypełniony wodą niemal do wysokości łącznika.

W górze pojawił się ślizgacz strażniczy i rozległ się wzmocniony przez megafony głos:

- Uwaga, do intruza. To jedyne ostrzeżenie. Naruszyłeś teren rządowy. Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś, albo otworzymy ogień. Jeśli się nie poddasz, zostaniesz zastrzelony.

Przerażony Ayddar uniósł ręce i zaledwie zaprzestał wysiłków pływackich, natychmiast poszedł pod wodę. Zanim pojął, co się dzieje, opadł na samo dno i wbił się dłońmi i stopami w zalegającą tam warstwę mułu. Po czym odkrył, że nie potrafi się od niego odbić, by wypłynąć z powrotem na powierzchnię.

Nagle wokół podstawy budowli zapalił się pierścień lamp, rozjaśniając częściowo mrok. Dopiero teraz Ayddar dostrzegł znajdujące się poniżej poziomu wody wejście. Pełzając prawie po dnie, dotarł do uruchamiającej je dźwigni. Przesunął lewar na pozycję „Otwarte”.

Bez skutku.

W ostatecznej desperacji uderzył we właz minikomputerem. Nad głową słyszał coraz głośniejsze zawrodoenie silnika łodzi odrzutowej, i to dodało mu siły do zamachu. Wyszło jakby w zwolnionym tempie i prawie bezgłośnie.

Niemniej, ku zdumieniu Ayddara, właz stanął otworem. Coś złapało go za przód koszuli i jednym potężnym szarpnięciem wciągnęło do środka, a potem wywindowało na samą powierzchnię zbiornika. Ayddar nie potrafił dostrzec, kim jest jego wybawca. Łapiąc ciężko powietrze, poszukiwał dłońmi jakiegoś punktu oparcia. Dopiero gdy go znalazł, zorientował się, że nie ma minikomputera.

Rozejrzał się w popłochu. Zauważył tkwiącego na drugim końcu basenu admirała Ackbara. Kalamarianin niemal bez wysiłku podpłynął bliżej i zmierzył gościa spojrzaniem.

- Jesteś chyba Tammarianinem? - spytał.

- Ta... tak, admirał - wyjąkał wciąż roztrzęsiony Ayddar z palcami zaciśniętymi na krawędzi okalającego zbiornik pomostu.

- Słyszałem, że Tammar ma zadziwiająco rzadką atmosferę. W każdym razie jak na zamieszkaną planetę - rzucił uprzejmie Ackbar.

- To pra... prawda, a... admirał.

- Słyszałem też, że w konsekwencji rozwinęliście ciekawą umiejętność gromadzenia tlenu w organizmie podczas snu.

- Tak - kłapnął Ayddar drżącymi wargami. - Nazywamy to *chanhizs torm*. Pozwala na du... duże wydatki e... energetyczne w krótkim cza... czasie, większe w każdym Ra... razie niż przy ko... korzystaniu z bieżącej Gos... gospodarki tlenowej.

- Podobno możecie dzięki temu wytrzymać nawet krótkotrwały pobyt w próżni.

Ayddar zamknął oczy. Czuł, że zbiera mu się na mdłości. Oparł głowę na przedramionach.

- Tak - wyszeptał.

- I jeszcze jedno - ciągnął Ackbar. - O ile wiem, na waszej planecie brakuje otwartych zbiorników wodnych i jak mało czego lękacie się wchodzenia do stojącej wody.

Ayddar tylko przytaknął słabo.

- Muszę przyznać, iż podobne lęki są mi całkiem obce, ale zauważyłem, że pragnąc się ze mną skontaktować wszedłeś do wody niemal bez wahania.

- T... tak, admirał. Uważałem, że to mój obo... obowiązek.

Wielki Kalamarianin bez wysiłku wydzwignął się na galeryjkę. Pod pachą trzymał znajomy minikomputer.

- Dobrze więc - powiedział, wyciągając wolną rękę do Ayddara. - Wygląda na to, że mój czas wolny właśnie się skończył. A skoro tak, lepiej chodźmy do mojego gabinetu. Powiesz mi, co cię poruszyło aż tak bardzo, że zdobyłeś się na podobne poświęcenie.

Ścieżka wybiegająca z sali gimnastycznej Kwatery Głównej Floty wiała się przez ponad kilometr między porośniętymi lasem wzgórzami. Cały teren był pilnie chroniony, wręcz izolowany. Często korzystano zeń przy aranżowaniu dyskretnych spotkań. Również z udziałem osoby, na którą Ackbar czekał tego chłodnego poranka.

Stał na skraju linii drzew, kilka kroków od żuźlowej ścieżki, patrzył na wschodzące słońce, gdy kątem oka dostrzegł biegacza wspinającego się coraz bliżej po łagodnym stoku pagórka.

Ackbar poczekał jeszcze chwilę i wyszedł pomiędzy drzew. Widzę, że nie zmieniasz przyzwyczajęń, Hiramie - powiedział z uśmiechem.

Admirał Hiram Drayson zwolnił do szybkiego marszu.

- A ty jak zwykle się lenisz. Dawno już cię nie wdziałem.

- Nie przepadam za podobnymi przybytkami, ale czasem nie mam wyboru - wyjaśnił Ackbar, dołączając do Draysona. - Ścierpisz przez chwilę moje towarzystwo?

- Chyba zdołam iść tak wolno, jak ty - sapnął Drayson. - Co nowego?

- Ostatniego wieczoru odwiedził mnie starszy analityk z Działu Wyszukiwania Danych - zaczął Ackbar.

- A, o to chodzi.

- Zatem już słyszałeś?

- Tylko tyle, że było jakieś zamieszanie koło twojego domu.

- Powiedzmy, że ci wierzę - mruknął Ackbar. - Ayddar przekazał mi coś istotnego i dlatego chciałem zasięgnąć twojej rady. Woląłem jednak nie zaglądać z tym do biura. O umieszczeniu wiadomości w sieci Floty nie wspominając.

- Słucham.

- Ayddar przestudiował imperialny rozkaz bojowy pochodzący z banku danych znalezionego przed miesiącem na pokładzie „Gnisnala” - wyjaśnił nieco zdyszany Ackbar. Nawet powolny marsz zaczynał go już męczyć. - Trafił na coś, co dotąd nam umykało.

- Kolejną Katańską Flotę?

- Nic aż tak wielkiego czy oczywistego, niemniej ustalił, co następuje: imperialne dowództwo zgrupowania Czarny Miecz miało pod swoimi rozkazami zdumiewająco wielką liczbę jednostek, spośród których wielu wciąż nie potrafimy się doliczyć.

- Zgrupowanie Czarny Miecz broniło centralnej części Imperialnego Pogranicza - przypomniał sobie Drayson. - Obejmowało Praxlis, Corridam oraz całe sektory Kokash i Farlax.

- Zgadza się - potwierdził Ackbar, ciężko łapiąc powietrze i położył dłoń na ramieniu Draysona. - Przepraszam, ale czy możemy się zatrzymać?

- Oczywiście.

- Dziękuję. Przepraszam raz jeszcze, lecz im jestem starszy, tym trudniej mi uchronić płuca przed wysuszeniem na powietrzu.

- Nie ma za co przepraszać. Wspomniałeś, że...

- Właśnie - Ackbar uważnie zlustrował ścieżkę i zniżył głos. - Według Ayddara w tym rozkazie, a dotyczy on właśnie Czarnego Miecza, figurują aż czterdzieści cztery ciężkie jednostki, o których od czasu upadku Imperatora jakby zupełnie słuch zaginął. Żadna z nich nie jest mniejsza od niszczyciela klasy Victory. W grę wchodzi nawet trzy pancerniki klasy Super.

Drayson aż gwizdnął.

- A co myślisz o samej analizie?

- Według mnie jest w pełni wiarygodna. Bez zarzutu.

- No i sam wiesz dobrze, że to więcej niż trzeba, by opanować dowolny system planetarny w obrębie Nowej Republiki - mruknął Drayson. - Nie wyłączając samego Coruscant.

- No właśnie. Jeśli te okręty wciąż istnieją, to stanowią poważne zagrożenie.

- Jeśli?

- Jeśli - powtórzył Ackbar. - Bo przecież wiele tu niewiadomych. Spośród wymienionych czterdziestu czterech jednostek tylko pięć przebywało wtedy poza stoczniami. Reszta albo znajdowała się w różnych fazach budowy, albo właśnie była poddawana przeróbkom czy naprawom.

- W których stoczniach?

- Tego Ayddar nie zdołał ustalić. Nazwy, na które trafił, oznaczają jakieś nieznane nam światy lub w ogóle są nazwami kodowymi, których nie potrafimy odcyfrować.

- Ewentualnie chodzi o coś, czego w ogóle nie było. Mam na myśli i stocznie, i statki - zauważył Drayson. - Czasem elementy typowej propagandy mogą przeniknąć i do rozkazu bojowego. Nie trać takiej możliwości z pola widzenia. Może ta cała flota istniała tylko na papierze. Ostatecznie, skoro ani Thrawn, ani Daala nie zdołali jej przejąć, by rzucić przeciwko nam...

- Owszem, to jest warte rozważenia.

Drayson zmarszczył czoło.

- A czy istnieje jakaś szansa, że otrzymały potem nowe nazwy, pod którymi znamy je obecnie? Imperialni bawili się niekiedy w takie gry.

- Ayddar twierdzi, że zdołał trafić na ślad jedynie pięciu z tych zaginionych jednostek.

- Co zostawia nas z potężną flotą... - mruknął Drayson. - Ile czasu minęło pomiędzy zniszczeniem „Gnisnala” a wycofaniem Czarnego Miecza z Pogranicza?

- Niecały rok.

- Dość dużo, by ukończyć lub wyremontować przynajmniej część z tych okrętów - zauważył Drayson.

- Jeśli wziąć pod uwagę planowane daty wprowadzenia ich do służby, to ponad połowę.

- Niewykluczone zatem, że Imperium wycofało się do Światów Środka bogatsze niż sądziliśmy. Bogatsze o ponad dwadzieścia jednostek.

- Owszem. Ale istnieje jeszcze jedna możliwość, która o wiele bardziej mnie niepokoi - zaczął Ackbar. - Imperium zwykle budowało oddzielne zespoły stoczni dla każdego sektora, co ułatwiało funkcjonowanie w razie zagrożenia i nie zmuszało do odsyłania okrętów zbyt daleko dla byle naprawy.

- I co sugeruje, że te tajemnicze stocznie powinny znajdować się gdzieś w obszarze kontrolowanym przez inkryminowane zgrupowanie.

- A z tego wypływa następny wniosek, iż gdzieś całkiem blisko nas, o wiele bliżej niż Światy Środka, może się czaić ponad dwadzieścia groźnych gwiazdnych niszczycieli.

Drayson zerknął dziwnie na Ackbara.

- Ale przecież imperialni żołnierze zwykle niszczyli wszystko, co musieli zostawić.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym miał pewność, że tym razem postąpili identycznie. Rzecz w tym, że nie wiadomo nam nic o żadnych stoczniach w tej okolicy. A zwłaszcza o zniszczonych stoczniach, chociaż brakuje nam pełnej informacji. W sektorach Korach i Farlax zostało kilka nie w pełni zbadanych obszarów. Podobnie jak w obłoku Morath i Gromadzie Koornacht.

- Aha - mruknął Drayson. - Rozumiem, do czego zmierzasz.

- Hiramie, nie spytam cię nawet, co i w jaki sposób zrobisz, ale wiem, że dysponujesz możliwościami wykraczającymi poza twoje zwykłe uprawnienia wyższego oficera Floty. Ja jestem ostatnio mocno zajęty negocjacjami z Nilem Spaarem, które kilka tygodni temu utknęły w martwym punkcie i ciągle nie rokują szans powodzenia, chociaż Leia nalega na cierpliwość. Coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy

Yevethowie mogliby ukrywać te okręty dla Daali? Czy to możliwe, aby Liga Duskhańska nadal była sprzymierzona ze Światami Środka?

Drayson zastanowił się przez chwilę.

- Brak mi danych, by potwierdzić twoje spekulacje. A także by je odrzucić.

- No i sam widzisz, że znalazłem się w kropce - stwierdził Ackbar. - Fakt prowadzenia rozmów czyni z całej sprawy bardzo delikatną materię. Nie mogę głośno rzucać oskarżeń, skoro brak mi dowodów. Ale nie wolno mi też zignorować tak wielkiego potencjalnego zagrożenia...

- A co byś zrobił, gdybyś to ty musiał podjąć decyzję?

- Rozpocząłbym poszukiwania Czarnej Floty i prowadziłbym je tak długo, aż znalazłbym albo wszystkie statki, albo przynajmniej ich wraki. A w każdym razie uzyskałbym pewność, że nie czyhają na nas tuż za progiem. Musimy poznać los każdej z tych jednostek.

Drayson przytaknął w zamyśleniu.

- Skoro tak, to chyba powinienes przekazać rewelacje Ayddara księżniczce Leii. Z podobnym komentarzem. Może da się przekonać.

- Obawiam się, że nie - odparł Ackbar. - Ale i tak muszę spróbować.

- Życzę ci powodzenia. A tymczasem możemy pomyśleć...

Ackbar wcisnął Draysonowi w dłoń mikrofilm.

- To lista zaginionych jednostek i tajemniczych stoczn.

W polu widzenia pojawili się już kolejni biegacze. Byli coraz bliżej. Ostentacyjnie nie zwracali uwagi na rozmawiających.

Drayson czym prędzej schował kawałek tworzywa do kieszeni.

- Zobaczą, co da się zrobić - powiedział z uśmiechem. - Miło było cię spotkać, admirale.

I pobiegł ścieżką tak szybko, jakby chciał prześcignąć wszystkich biegaczy. Tak w każdym razie zdawało się Ackbarowi.

ROZDZIAŁ

8

- Chwilę, bo nie wiem, czy dobrze was zrozumiałam - powiedziała księżniczka Leia, odwracając się od szerokiego okna sali konferencyjnej i spoglądając na admirała Ackbara i generała A'bahta - Nikt nie widział tych okrętów od dziesięciu lat i właśnie to niepokoi was najbardziej?

Ackbar i A'baht wymienili spojrzenia, uzgadniając, który się odezwie.

- W zasadzie tak... - powiedział Ackbar, przegrawszy pojedynek.

- I dla was to ma sens? Bo dla mnie ani trochę. Odnoszę wrażenie, że szukacie zmartwień tam, gdzie ich nie ma.

Ackbar odchrząknął.

- Księżniczko, sama dobrze wiesz, jak wielką cenę płaci się za podobne pomyłki. Niedocenianie sił wroga lub wagi zagrożenia bywa aż nadto niebezpieczne. U podstaw naszych sukcesów legło nie co innego, jak błąd Imperatora, który nas po prostu zlekceważył.

- Z dwojga złego lepiej już przesadzić z ostrożnością - mruknął A'baht.

- Nikt nie zamierza zaatakować Nowej Republiki - stwierdziła Leia takim tonem, jakby wygłaszała prawdę absolutną.

Ackbar i A'baht poczuli się nieco zbulwersowani jej teorią.

- Jeśli jesteś tego aż tak pewna, może zapakujemy flotę do naftaliny i rozpuścimy załogi? - zaproponował zgryźliwie A'baht. - Z pewnością znajdą sobie jakieś ciekawsze zajęcia.

- Generale, atak nam nie grozi właśnie dzięki temu, że mamy flotę - wyjaśniła Leia. - Ackbar wspomniał niedawno, że dysponujemy obecnie większą liczbą statków niż liczyły floty walczące po obu stronach w największej bitwie Rebelii. Dobrze zrozumiałam, admirale?

Ackbar przytaknął w milczeniu.

- To starczy, by skutecznie utrzcć nosa każdemu, kto chciałby się na nas zamachnąć. I wszyscy świetnie o tym wiedzą - stwierdziła Leia. O wiele więcej mogą zyskać przyłączając się do nas niż stając okoniem. Spójrzcie choćby na Ligę Duskhańską: bez wątplenia reprezentują typ cywilizacji wysoko rozwiniętej, zarówno technologicznie, jak i ekonomicznie. I co robią? Siadają do negocjacji.

Generał nie czuł się przekonany.

- Używając twojej metafory, księżniczko jeśli ktoś zamachnie się naprawdę potężnie i w dodatku zniemacka, wówczas może wygrać praktycznie bez walki.

- Czyżbyśmy się stali bardziej narażeni na atak z zaskoczenia niż przed tygodniem?

- Nie, księżniczko...

- Chcesz zatem powiedzieć, że to zawsze był nasz czuły punkt?

- Mówię tylko, że gotowość obronna nie polega jedynie na wystawianiu posterunków na granicach - stwierdził lekko zniecierpliwiony A'baht. - Potrzebne jest również planowanie ewentualnych działań. Należy prowadzić szkolenia i ćwiczenia, nawet jeśli wcale nie pragnie się wojny, nie szuka się wrogów ani nie marzy o podbojach. Wtedy można mówić o sensownym poziomie gotowości obronnej. Dopiero wtedy.

Leia obróciła energicznie głowę ku Ackbarowi.

- Czy nie zająłeś się już tym' admirał? Dopilnowałeś chyba, żeby nasze siły przeszły stosowne ćwiczenia i trafiły na właściwe placówki? Bo jeśli nie, to chyba będę musiała cię zwolnić.

- Zrobiliśmy już wszystko, co trzeba, księżniczko...

- To może wyjaśnisz generałowi A'bahtowi...

- ... ale chodzi o coś więcej - stwierdził z naciskiem Ackbar. - O ile ta Czarna Flota istnieje i jest zdalna do użytku, może stanowić ukryte zagrożenie. A taki czynnik potrafi zburzyć misternie konstruowane plany obrony. I właśnie owa niewiadoma boli nas najbardziej.

Leia spójrzała na listę wyświetloną na jej minikomputerze i pokręciła głową.

- Czy te jednostki naprawdę mogą stworzyć aż takie zagrożenie?

- Tak - odparł pewnie A'baht. - Standardowa imperialna grupa bojowa przypisana do jednego sektora składała się z zaledwie dwudziestu czterech gwiazdnych niszczycieli. Potrafili opanować cały system z pomocą tylko jednego pancernika klasy Imperial. Jedna trzecia wystarczała do pokonania każdego celu planetarnego dysponującego defensywą na poziomie klasy czwartej. I niższych, oczywiście.

Leia zamknęła ekran i spojrzała na A'bahta.

- Ale to dotyczyło najlepszych załóg Imperium wyposażonych w najdoskonalszy sprzęt. Gdy ciężka jednostka trafia do stoczni, czy cała załoga zostaje na pokładzie?

- Nie, oczywiście, że nie.

- A co z siłami pomocniczymi? I z myśliwcami? Zostają?

- Sama świetnie wiesz, jak to wygląda - powiedział A'baht. - Przy dłuższym wycofaniu z linii załoga przenosi się na inne jednostki i potem kompletuje od nowa.

- Załóżmy nawet, że po odwróceniu Imperium te statki trafiły w obce ręce. Możliwe. Ale puste. Bez sześciu eskadr maszyn typu TIE na pokładzie, bez dywizji szturmowych, bez desantu i całej armii transporterów typu AT AT.

- Szukasz wymówki, księżniczko - stwierdził nieustępliwie A'baht. - Największe zagrożenie wynika z faktu, że te jednostki nigdy nie opuściły ani imperialnej służby, ani rejonu próżni, do którego zostały przypisane.

- Ale przecież nie mogły pozostawać nieustannie w służbie liniowej przez dziesięć lat - zaprotestowała Leia.

- Nie mogły - zgodził się Ackbar - ale w sektorach Hatawa i Farlax istnieje ponad dwieście zamieszkałych światów i o wielu z nich prawie nic nie wiemy. Niektóre z nich mogą nadal uważać się za sprzymierzone z naszymi wrogami. Dochodzi też sprawa pięciu niezlokalizowanych stocznii wykorzystywanych przez dowództwo Czarnej Miecza. Czyjaśkolwiek są własnością, wolałbym wiedzieć, co działo się w nich przez ostatnie dziesięć lat.

Naciskana z dwóch stron przez dwie osoby, które szanowała, chociaż dobrze znała tylko jedną, Leia nieco spuściła z tonu.

- Tylko tego było mi teraz trzeba - westchnęła. - Co zatem proponujecie?

- Księżniczko, Piąta Flota ma właśnie wyruszyć na propagandowy oblot kilku regionów - stwierdził A'baht. - Wydaje mi się, że wykorzystalibyśmy ją decydowanie lepiej, wysyłając na poszukiwanie Czarnej Floty.

- Chciałbyś posłać całą Piątą do Hatawy i Farlaxu?

- Szukanie Czarnej Floty mniejszymi siłami mija się z celem, księżniczko.

- I pamiętasz, że Gromada Koornacht leży nie gdzie indziej, ale właśnie w sektorze Farlax...

Ackbar przytaknął.

- Oczywiście.

- A więc chyba rozumiesz, że będziecie musieli wyłączyć Koornacht z waszych działań. Nil Spaar jest wręcz przeczulony na punkcie nienaruszalności ich terytorium. Na razie nie wyraził nawet zgody na uznanie prawa do lądowań awaryjnych i przelotów tranzytowych. Każde naruszenie obszaru gromady przez statki Republiki, nieważne w jakim celu, zostanie źle odebrane. Nie mogę do tego dopuścić.

Ackbar i A'baht znów wymienili spojrzenia i tym razem to generał przegrał.

- Księżniczko, może wyjaśnisz mi, jaki sens ma ogłaszanie na samym początku poszukiwań, który region będzie bezpieczny i gdzie można się dobrze schować.

- Ackbar powiedział, że tam jest ponad dwieście zamieszkałych światów - odparła Leia. - Będziecie zatem mieli co robić do czasu, aż osiągnę porozumienie z Yevethami.

- Gromada Koornacht zajmuje centrum rzeczoności obszaru, a Yevethowie są dość zaawansowani technologicznie - powiedział Ackbar. - Na ich obszarze mogła znajdować się co najmniej jedna stocznia.

- Yevethowie nienawidzą Imperium nie mniej, niż inni - stwierdziła Leia. - Przy pierwszej sposobności wypędzili ich z Koornacht i wydaje się raczej pewne, że nie ma tam żadnych utajonych zagrożeń. Nie tam.

- Kto wie. I może Nil Spaar byłby na równi z nami zaniepokojony podobnym zagrożeniem - zastanowił się A'baht - A gdybyś go jednak poprosiła o pozwolenie na przeszukanie gromady?

- Nic nie rozumiesz. Znając choć trochę Yevethów, nie proponowałbyś niczego podobnego - ucieła Leia. - Admirale Ackbar, pan pojmuje, w czym rzecz.

- Rozumiem przyczyny wahania, ale rozumiem też troskę generała A'bahta - odpowiedział Ackbar. - Jeśli przyjmemy, w ślad za twoimi sugestiami, że Yevethowie nie są przyjaciółmi Imperium, to tym bardziej należałoby wicekróla najpierw poinformować, a potem spytać o pozwolenie. Bardzo możliwe, że jego odpowiedź mocno by cię zdumiała.

- Nie - stwierdziła Leia, kręcąc głową. - Samo pytanie mogłoby wywołać niepotrzebne i groźne zadrażnienia. Zaś obecność jednostek wojennych byłaby czystą prowokacją. Nigdy się na to nie zgodzą.

A'baht jednak nie ustępował.

- Więc niech sam to powie. Zadajmy mu owo pytanie, jak sugeruje admirał.

- Nie. I nie proszę mnie więcej. Generale, może pan wziąć Piątą d sektorów Hatawa i Farlax, i rozejrzeć się tam za zjawami Nylykerki. Jednak nie naruszy pan granic Ligi Duskhãeskiej i nie wejdzie do Gromady Koornacht bez mojej wyraźnej zgody. Zrozumiano?

A'baht wstał i wyprostował grzbiet.

- Zrozumiano - odparł. - Teraz proszę o wybaczenie, księżniczko. Czeka mnie sporo roboty.

- Udanego dnia, generale.

A'baht zasalutował energicznie i wyszedł.

- Od ciebie, admirał, chcę otrzymać słowo, że nie zniweczysz moich wysiłków - powiedziała Leia, zwracając się do Ackbara. - Ciężko się napracowałam, by zdobyć jego zaufanie. Nie chcę tracić tej szansy przez jakiegoś analityka wywiadu, któremu nie zgadzają się wykazy.

- To ty jesteś głową państwa i moją przełożoną zarazem - powiedział Ackbar i wstał. - Nie potrzebujesz mojego przyrzeczenia, ale owszem, obiecuję, że wykonam rozkazy co do joty. Chociaż niezupełnie się z nimi zgadzam. Skłonny jestem sądzić, iż tym razem mylnie oceniasz priorytety i sprawę mniejszej wagi przedkładasz nad naprawdę istotną.

- Wspaniale. Dokładnie to samo pomyślałam o was, gdy zaczęliście mi wszystko przedstawiać - powiedziała Leia. - Z mojej strony ustępstwem jest już sama zgoda na wysłanie Piątej Floty do tych sektorów. Doceń to, proszę, i oszczędź mi dalszych pouczeń.

- Han, kochanie?

Solo leżał akurat z twarzą wtuloną w poduszkę, toteż jego odpowiedź dobiegła nieco przytłumiona.

- Hmm... co?

- Myślę o czymś, co wcale mi się nie podoba.

Han odwrócił się na plecy i spojrzał na żonę nawet uprzejmie, jeśli wziąć pod uwagę, że prawie zasypiał.

- A co to takiego?

- Bo widzisz, my już nie prowadzimy negocjacji. Z Nilem Spaarem. Po prostu sobie rozmawiamy.

- I co z tego wynika?

Leia usiadła na pościeli.

- Na początku myślałam, że dowiemy się w końcu, czego naprawdę chcą. Czego mogliby chcieć na tyle, by zrewidować swe stanowisko.

- Trudno targować się z kimś, kto nie chce niczego kupić - mruknął Han.

- Właśnie. W tym masz rację. Wicekról przyleciał do nas jedynie po to, żeby utrzymać dotychczasowe status quo. Żadnego handlu, wymiany kulturalnej, technicznej czy współpracy naukowej, żadnych porozumień na temat granic i ich kontroli. Wydaje się, że Yevethowie konsekwentnie zmierzają do pełnego izolacjonizmu.

- No ale to ich wybór, prawda?

- Jednak chciałabym nieco zbliżyć N'zoth i Coruscant. To byłby nasz najważniejszy sojusz od dziesięciu lat. I pewnie jeszcze na następne pięćdziesiąt.

- Zawsze trafi się ktoś, kto nie chce zapisać się do klubu - stwierdził Han. - Czasem z czystej przekory, czasem żeby nie musieć odpowiadać na żadne pytania albo słuchać cudzych rozkazów. Niezależność też jest coś warta, Leio. Gdy latałem na Praff, znałem jednego gościa, jak on się nazywał... Hatirma Havighasu. No więc on zawsze pracował sam. - Mawiał, że współpraca dobra jest dla tchórzy.

- I jak mu się wiodło?

- Cóż, nie dostawał żadnej roboty, to oczywiste. Nie latał też nigdzie, gdzie należało mieć kogoś do pilnowania pleców. Ale kiedy się stamtąd wynosiłem, jeszcze żył. I pewnie nadal żyje, bo to był twardy typ.

Leia westchnęła.

- Może i o to chodzi. Może Yevethowie chcą radzić sobie sami, żeby nie musieli nikomu niczego zawdzięczać. Wicekról nnie dał mi żadnych podstaw do nadziei na porozumienie zawarte na warunkach innych niż dyktowane przez nich. A mimo to zjawia się codziennie i siada do rozmowy.

- Więc już nic nie rozumiem - stwierdził Han, opierając się na łokciach, by lepiej widzieć żonę w mdłym oświetleniu sypialni. - Po co mu to? Marnuje twój czas, pochłania uwagę. To trwa już dwa miesiące.

- Może dlatego, że on jest inny. To rozsądna osoba, chociaż reprezentuje Ligę, której wyraźnie brak rozsądku. Czasem zachowuje się wręcz przyjaźnie, mimo że Lidze daleko do przyjaźni. Obecnie nasza osobista przyjaźń to jedyna nić łącząca Ligę i Republikę.

- Dość kruche więzy...

- Chyba nie tak bardzo. Wicekról to osoba o wiele bardziej otwarta niż ten, kto mu rozkazuje. Ktokolwiek to jest. Wyraźnie czuję, że zależy mu na powodzeniu rozmów. Chce, bym się z nim porozumiała i pragnie dać mi więcej czasu. Ma nadzieję, że znajdę wreszcie jakiś sposób.

- A nie sądzisz, że może tylko wraca tu echem twój stary spór z bratem? Że próbujesz go w ten sposób wygrać?

- O czym mówisz?

- Jeśli Yevethowie naprawdę pragną przede wszystkim ukryć się na wzór zbiorowego pustelnika, to nie rozumiem, dlaczego tak bardzo zależy im na naszej opinii

- powiedział Han i wzruszył ramionami. - Chyba że mamy wobec nich jakieś niekoniecznie przyjazne zamiary. Co tym razem byłoby nawet prawdopodobne.

- Nawet nie myślałam o niczym takim - obruszyła się Leia. - Nie słuchałeś?

- Próbuję jedynie wyobrazić sobie, czemu tak bardzo zależy ci na sukcesie, chociaż wyraźnie widać, że cała ta impreza z wicekrólem donikąd was nie zaprowadzi.

- Może dlatego, że rozmawiam z nim w cztery oczy - powiedziała Leia, spoglądając na swoje dłonie. - Jeśli ja czegoś nie zdziałam, nikomu się to nie uda. Może coś każe mi udowodniać, że jestem właściwą osobą na tym stanowisku.

- Nikt tego nie kwestionuje.

- Miło, że tak mówisz, ale jest nieco inaczej. Bez trudu mogłabym wymienić nazwiska przynajmniej setki senatorów, którzy chętnie przyjęliby moją rezygnację.

- Cóż, wszystkich nigdy nie zadowolisz. Powszechne uwielbienie to znak, że należy zmienić zajęcie. Bo najpewniej źle się wywiązujesz...

- Nie chodzi o uwielbienie - powiedziała Leia, zawahała się - Raczej o to, czy powinnam robić to, co robię.

Han przysunął się bliżej.

- To już jakieś zupełne pomieszanie.

- Nie, wcale nie. Nigdy nie podejrzewałam, ile Mon Mothma naprawdę dla nas robiła. I jak jej było ciężko. Ta praca pochłania bez reszty. Każdy chce cię zawłaszczyć. Mało kto temu poddała.

- Ale ty jesteś szczególną osobą, szefowo.

- Są dni, kiedy zupełnie tego nie czuję - powiedziała, kręcąc głową. - Beh-kihl-nahm, na przykład. On byłby świetnym prezydentem. Ma doświadczenie, wycucie, cierpliwość. Tkwi w tym od ponad trzydziestu lat. Dla mnie to tylko kawał historii. A co by było, gdybyście, ty i Luke, wtedy nie zdążyli? Pif-paf i nie ma księżniczki Leii.

- Dobrze pamiętam, jak pewna młoda księżniczka samorzutnie przejęła dowodzenie nad akcją ratunkową - zauważył oschle Han. - Nie wiem, czy wydostalibyśmy się stamtąd bez twoich pomysłów.

- Może, ale jednak niemal równie dobrze mogłam zginąć na Gwieździe Śmierci.

Nie wątpię, że mój ojciec bez wahania wypełniłby wolę Moffa Tarkina.

- Nigdy o tym nie mówiłaś...

- Staralam się nawet nie myśleć.

- Przecież wtedy nie wiedział, że jesteś jego córką.

Leia uśmiechnęła się smutno.

- To też coś mówi, prawda? Ale nic, gadam ostatnio jak Luke. Dlatego właśnie nie lubię spoglądać w przeszłość. Nic dobrego z tego nie wynuka.

- Więc dlaczego to robisz?

- Bo spytałeś, czemu te negocjacje są dla mnie tak ważne - stwierdziła i szybko dodała: - Chociaż nie, jestem nieuczciwa. To nie twoja sprawa, nie twoja wina. Po prostu leżę od godziny i boję się zasnąć. Nie potrafię ostatnio myśleć o niczym innym oprócz...

- Aha. Znów ci się śni Alderaan?

- W ostatnim tygodniu dwa razy. I to też mnie zastanawia.

- Że nawiedzają cię koszmary? Nie ciebie jedną i nikt tego nie lubi.

- Tarkin twierdzi, że to ja zdecydowałam o wyborze celu dla demonstracji potęgi Gwiazdy Śmierci - powiedziała cicho. - I wciąż to słyszę. Wciąż widzę tę eksplozję. - Odwróciła głowę. - A czasem nie potrafię odeprzeć myśli, że oni zginęli przeze mnie. Ja zaś przetrwałam bo ich zdradziłam. I co o tym powiesz.

- Nonsens. Zginęli, bo Tarkin ich zabił - stwierdził Han. - A przy okazji rozbudził w tobie kompleks winy i właśnie o to mu chodziło. Przykro widzieć, że jego manipulacja okazała się tak skuteczna.

Wspomnienia potrafią być dokuczliwe - mruknęła Leia, układając się z powrotem na poduszce. - A swoją drogą, dopiero dostrzegłam coś jeszcze. Z jakiego powodu cała ta sprawa jest tak istotna. Może to lepsza odpowiedź na twoje pytanie niż przytaczanie moich prywatnych wątpliwości. - Pokręciła z wolną głową i zamknęła oczy. - Ojciec zrobił tak wiele, by podzielić galaktykę, że ja muszę, po prostu mam obowiązek, uczynić, co się da, dla jej zjednoczenia.

- Nie możesz brać wszystkiego na swoje...

- Ale nie mogę się też od tego wykręcać. I ja mam swoje demony, Luke nie jest jedyny. Dlatego nigdy nie powinieneś proponować, żebym zrezygnowała. Nie wiem wprawdzie, czy jestem najlepszą możliwą osobą na tym stanowisku, męczy mnie ta robota, czasem wręcz uszami wychodzi, ale chcę ją wykonywać. Bo może coś zmienię. - Spojrzała w półmroku na męża. - I chcę wierzyć, że godziny spędzone z Nilem Spaarem jednak coś dadzą. Czy to źle?

Han mocno ścisnął jej dłoń.

- Nie, w tym nie ma nic złego. Ale mogłabyś czasem pomyśleć o jakichś wakacjach. Gdy poczujesz, że za dużo wali ci się na głowę, pozwól, niech przez jakiś czas kto inny poprowadzi ten sklepik.

- Nie ma nikogo takiego - powiedziała z niejakim smutkiem. - Wszyscy przybywają tu głównie po to, by spotkać się z panią prezydent. I nie mogę wykręcać się od tej roli.

- Wicekrólu, zanim skończymy na dzisiaj, chciałabym jeszcze o coś spytać.

- O cóż takiego?

- Czy byłby pan uprzejmy zaspokoić moją ciekawość w pewnej kwestii historycznej.

Nil Spaar skłonił głowę.

- Jeśli tylko okażę się odpowiednią po temu osobą, księżniczko. Nie jestem historykiem.

- Rzecz dotyczy niedawnej historii - powiedział Leia. - Czasów, które niewątpliwie pan pamięta.

- Niemniej nie gwarantuję, że będę zdolny udzielić odpowiedzi - odparł wicekról z uśmiechem. - Ale słucham, zobaczymy, co będę mógł uczynić.

- Gdy Imperium zaczęło okupację światów Ligi, czy założyło tam jakieś swoje stocznie?

- O tak, nawet kilka. W tym akurat orientuję się dość dobrze. My Yevethowie, jesteśmy biegli w rzemiośle. Z dawna posiadamy ten dar. Te dłonie - rozprostował sześć długich, okrytych rękawicą palców - są bardzo sprawne. I szybko się uczymy - poklepał się no potylicy. - Jednak Imperium uczyniło ze swego daru przekleństwo. Tysiące moich pobratymców musiało pracować w charakterze niewolników, reperując maszyny, których używano do uciskania naszej rasy i wojowania z Rebellią.

- A gdy imperialni opuszczali Koornacht...

- Co się dało, wzięli ze sobą. Resztę zniszczyli. Stocznie, porty kosmiczne, elektrownie, które je zasilają. Zniszczyli również tę garstkę statków, które należały do nas. Zabili przy tym ponad sześć tysięcy Yevethów. To był ostami, okrutny akt barbarzyństwa. Ale powiedz mi, księżniczko, czemu o to pytasz? Czytam w twej twarzy, że to nie czczy ciekawość.

- Zaiste - przyznała Leia. - Moi doradcy do spraw obrony rozważają ostatnio możliwość przetrwania części imperialnych jednostek należących do floty patrolowej podległej dowództwu Czarnego Miecza w sektorach Farlax i Hatawa. Chodzi głównie o uporządkowanie danych w archiwach, jednak wyraziłam zgodę na przeprowadzenie śledztwa w tej sprawie.

- Twoi doradcy wykonują tylko swoje obowiązki i, jak widzę, czynią to rzetelnie, skoro zajmują się podobnymi sprawami - powiedział Spaar. - Powiedz, proszę, ilu statków poszukują?

- Czterdziestu czterech. Wicekrólu, nie mogę zaoferować w zamian niczego, prócz mojej wdzięczności, ale chętnie powitałabym pomoc w podobnie błahej sprawie. Gdyby mógł pan poprosić waszych historyków, aby zerknęli na listę zaginionych jednostek i przekazali nam informację, czy któraś z nich przebywała w Koornacht i czy znany jest jej los...

- Prosisz, pani, byśmy odświeżyli niemiłe wspomnienia.

- Przykro mi, ale miałam nadzieję utrzymać w ten sposób ekipy poszukiwawcze z dala od Koornacht. Przy odrobinie szczęścia mogłoby się okazać, że same poszukiwania są w ogóle zbyteczne.

- Przepraszam, za sugestię, iż było to niepotrzebne pytanie. Sam bym je zadał na twoim miejscu.

- Dziękuję za zrozumienie.

- Co więcej, skłonni będziemy pomóc - pociągnął wątek Nil Spaar. - Głównym celem mojej misji jest zapewnienie memu ludowi bezpieczeństwa. Jeśli mogę rozproszyć obawy twoich doradców, udzielenie takiej pomocy jest moim obowiązkiem. Proszę dać mi tę listę. Przekażę ją do działu zapisków dawnych i zobaczymy, co uda się ustalić.

- Nie, admirale, nadal nie widzę sensu tego codziennego truchtania. Nie zamierzam zmieniać przyzwyczajzeń - powiedział zdyszany Ackbar do idącego z nim po ścieżce Draysona.

- Pomyślałem, że powinienes o czymś usłyszeć. Leia dała mu tą listę.

- Co?

- Dziś wieczorem, podczas trzeciej sesji.

- Nie powinna tego robić - mruknął ponuro Ackbar. - Co ona sobie myśli?

- Poprosiła wicekróla o sprawdzenie, czy Yevethowie wiedzą coś może o tych brakujących statkach - powiedział spokojnie Drayson. - I dodała, że jeśli sami to zrobią, nie będzie musiała fatygować Piątej Floty.

- Głupio zagrała.

- Ale z pewnego punktu widzenia dość logicznie. Zaufała mu.

- A ty?

- Mnie nie płacą za ufanie komukolwiek - rzucił Drayson.

- A jeśli Yevethowie naprawdę przetrzymują te jednostki?

- Wówczas cała ta polka z Nilem Spaarem okaże się naprawdę ważna. Nie tylko w wyobraźni Leii, ale obiektywnie.

- Nie podoba mi się, że narzucił taki scenariusz, rozmów i oddzielił ją od personelu. Powinna wcześniej porozmawiać z nami - powiedział Ackbar kręcąc z dezaprobatą głową.

- Ale nie rozmawiała - zauważył Drayson. - Jednak widzę w tym pewien jasny punkt. Gdy Spaar przekazuje hiperem listę do domu będziemy mogli wreszcie złamać ich kod łączności. Dokument jest dość długi, a jego akapity łatwe do identyfikacji.

Ackbar jakoś nie poczuł się pocieszony.

- Ale na razie jesteśmy urzędzeni. A Piąta wyrusza za dwa dni. I co ja powiem generałowi A'bahtowi?

- Nic - odparł zdecydowanie Drayson. - Na razie nie masz mu nic do powiedzenia. Poczekajmy, jak wicekról zareaguje na prośbę Leii. Może czegoś się w ten sposób dowiemy.

Przekazana Spaarowi lista została tymczasem potraktowana żółtym środkiem dezynfekującym i zatopiona w grubym arkuszu przezroczystego tworzywa. Był to pierwszy przedmiot miejscowego pochodzenia, który trafił na pokład „Aramadii”. W zasadzie niepotrzebnie, jednak wicekról chciał dokładnie przemyśleć sprawę.

Przez ponad godzinę rozważał, czy leżąca przed nimi lista winna cokolwiek zmienić w starannie opracowanym planie. Ostatecznie uznał, że wszystko zostaje po staremu, najwyżej przesunie się niektóre terminy.

- Wiedzą - przekazał swojemu porucznikowi na N'zoth. - Szykujcie się. To już nie potrwa długo.

Potem podszedł do drzwi w grodzi i otworzył nocną przytulnię, gdzie czekała jego gniazdowa druga połowa. Spoczął na miłych miękkościach, wciągnął w nozdrza odprężający zapach i poczekał aż ogarnie go ciemność i znajome, czułe objęcia. Poddał się radości połączenia.

- Mam dla ciebie dobre wiadomości, księżniczko - powiedział Nil Spaar następnego ranka pośrodku Wielkiej Sali i oddał Leii poznaczoną listę. Pani prezydent przejrzała ją szybko. Większość z czterdziestu czterech nazw została zakreślona, niektóre aż w dwóch kolorach.

- Skonsultowałem się z osobami najbardziej biegłymi w rzeczonyj materii - ciągnął Spaar. - Udało im się odszukać wszystkie wskazane jednostki. Większość uległa zniszczeniu w stocznjach na N'zoth, Zhinie i Walizie. O innych wiadomo, że brały udział w dokonywaniu dzieła iszczenia podczas wycofywania sił imperialnych.

- Jestem pod wrażeniem, wicekrólu. To wysoce budująca wiadomość. Prawdę mówiąc, nie liczyłam aż na tyle. Tym bardziej jestem wdzięczna za szybką odpowiedź.

Nil Spaar lekko skłonił głowę.

- To nie było trudne, księżniczko. Po prostu dysponowaliśmy informacjami, których wam brakowało. Może usiądziemy?

- Oczywiście - powiedziała Leia i każde zajęło swoje miejsce. - Chciałabym odwdzięczyć się za tę uprzejmość. Czy jest coś, w czym i my moglibyśmy wam pomóc? Jakaś kwestia naukowa lub historyczna, może związana z waszą własną historią? Republika ma pełny dostęp do galaktycznych bibliotek Obra-skai.

- Nie - odparł Nil Spaar. - Pewien jestem, że oferta została złożona w dobrej wierze, ale nie sądzę, by zawartość owych bibliotek mogła istotnie wzbogacić świat wartości Yevethów. Muszę dodać, iż ci którzy przysłali mi obecną informację, nalegali jednocześnie, bym przekazał ci listę nazwisk sześciu tysięcy czterystu pięciu Yevethów, którzy zginęli owego dnia. Zasugerowano mi też, żebym ci wyjaśnił, tak jak rodzic wyjaśnia dziecku, niestosowność pewnych zachowań. Szczególnie tak dogłębnego zainteresowania losem maszyn w sytuacji, gdy wielu naszych pobratymców postradało życie.

- Ależ, wicekrólu...

- Leczą oni nie znają cię tak, jak ja cię poznałem, księżniczko. Wiem, że nasza ofiara nie jest ci obojętna. Niemniej oto stykamy się z jeszcze jedną kwestią, która różni was i nas. Różnicą na tyle istotną, że łatwo przy poruszeniu owej kwestii o obrazę. Mimowolną, jak sądzę. Jednak przy bliższych kontaktach takie niebezpieczeństwo jest nie do uniknięcia.

- Przykro mi, wicekrólu - powiedziała Leia. - Nie chciałam obrażać pamięci poległych. Jedynym moim pragnieniem jest sprawić, by już nikt więcej nie musiał ginąć. Czy przyjmie pan moje przeprosiny?

- Przeprosiny nie są konieczne - stwierdził Spaar. - Nie oceniam was tymi samymi kategoriami, co Yevethów. Ta świadomość mi wystarcza. Porozmawiajmy o czymś innym.

- Dzień dobry, admirale - odezwał się głośniczek komunikatora. - Jest pan sam?

Ackbarowi aż mowę odjęło.

- No... tak. Słucham.

- Jest coś, co powinieneś usłyszeć przed rozmową z generałem - odpowiedział Drayson. - Nil Spaar przekazał przed chwilą odpowiedź na nasze zapytanie. Usłyszała dokładnie to, co chciała: że większość obiektów przepadła. Tyle że on wcale nie przekazał tej listy swoim.

- Jesteś pewien?

- Tak. Nie wiem, co przesłał, ale było o wiele za krótkie na listę. I nie otrzymał odpowiedzi.

- Czy to znaczy, że kłamie? Albo z góry wiedział, co odpowiedzieć?

- Albo że wszystkie potrzebne zapiski miał pod ręką. Trudno orzec.

- Powinieneś przekazać to Leii, a nie mnie.

- Wiesz, że to niemożliwe. Ona nadal zamierza trzymać się honorowych reguł. I nie wie o podsłuchu.

- Więc co mam powiedzieć generałowi? - spytał wyraźnie zagubiony Ackbar. - Piąta wyrusza za niecałe czterdzieści godzin.

- Do tego czasu nadejdą szczegółowe rozkazy. Ale przekaz mu, by zachował szczególną ostrożność.

- ... zatem, jak sami widzicie, możemy skierować Piątą Flotę do pierwotnych zadań - powiedziała Leia. - Grożąca prowokacją misja do sektorów Hatawa i Farlax okazała się niepotrzebna. Czarnej Floty tam nie ma.

Admirał Ackbar przejrzał listę i przekazał ją siedzącemu po prawej stronie wielkiego stołu konferencyjnego A'bahtowi.

- Księżniczko, moim zdaniem to niczego nie zmienia - stwierdził. - Uważam, że generał A'baht nie powinien zmieniać planów.

- Nie rozumiem, admirale - zdumiała się szczerze Leia. - Zwróciłam się do wicekróla dokładnie z tymi pytaniami, które sam sugerowałeś. Otrzymałam odpowiedź. Dlaczego nie przyjmujesz jej do wiadomości?

- To żadna odpowiedź - powiedział A'baht, upuszczając listę na blat. - Nie otrzymaliśmy żadnej dokumentacji, żadnych dowodów. Tylko jego słowo.

- Dla mnie to wystarczy.

- Niby czemu? - zdenerwował się generał. - Bo go lubisz? Czyżbyś dotąd żyła pod kloszem i nikt nigdy cię nie okłamał?

- Wierzę mu, bo dąży do tych samych celów, co my...

- Albo jest dość bystry, by skłonić cię do dania mu wiary.

- Generale - wtrącił uspokajająco Ackbar. - Księżniczko, muszę przypomnieć, że spotykasz się z nim sam na sam i że sama doprowadziłaś do tej sytuacji. My nie postrzegamy jego osoby podobnie jak ty. Pozbawiłaś nas tej możliwości. Ale nie w tym rzecz.

- W tym mianowicie, czy jesteśmy gotowi uznać fakty. W gruncie rzeczy stanowimy obecnie mocarstwo. Jedna trzecia naszego regionu to światy sprzymierzone z Republiką. Drugie tyle, to okolice niezamieszkane, sporne lub po prostu niczyje. Nawet jeśli uznamy hegemonię Duskhana nad całym Koornacht, będzie to zaledwie jedna dziesiąta całego obszaru. Mamy pełne prawo do militarnej obecności w tej okolicy.

- Bo żaden rząd nie odważy się nas powstrzymać? - spytała Leia - Czy uważasz, że Nowa Republika powinna przyjąć taką właśnie moralność? Przemawiasz prawie jak doradca Imperatora.

- Leio, albo będziemy się trzymać pewnych zasad, albo od razu możemy zawiesić wszystko na kołku - stwierdził Ackbar. - Artykuł jedenasty Karty kodyfikuje prawo do wolnej żeglugi. Przestrzeń międzygwiazdowa oraz nadprzestrzeń nie mogą się stać obiektem niczyich roszczeń własnościowych, muszą pozostać dostępne dla wszystkich. Nie uwzględniamy żadnych granic rozciąganych poza obszary konkretnych, pojedynczych systemów planetarnych. Czy uznajesz prawo do wolnej żeglugi za zasadne?

- Oczywiście.

- Zatem nie można pozwalać na precedens w postaci Ligi Duszkańskiej roszczącej sobie wyłączne prawo do obszaru całej gromady gwiazdowej - wyjaśnił Ackbar. - W pełni rozumiem sytuację i gotów jestem zgodzić się, że tym razem nie wejdziemy do Koornacht. Tym razem. Ale nie zaakceptuję takiego statusu, który w ogóle nie dawałby nam tam wstępu.

- Najważniejszą kwestią pozostaje zatem zgoda Ligi Duszkańskiej.

- Z pewnością nie ważniejszą niż nasze zasady - stwierdził A'baht. - I nasze bezpieczeństwo. Pomyśl, że mamy się trzymać z dala od sektora Farlax, bo w przeciwnym razie Yevethowie mogą poczuć się urażeni, to czysty absurd. Jeśli sami nalegają na podobne traktowanie, świadczy to o ich paranoi. Jeśli zaś pomysł był twój, zupełnie nie pojmuję tego nagłego ataku nieśmiałości.

Oczy Leii aż pociemniały ze złości

- Generale, mam wrażenie, że w ogóle nie liczysz się z niebezpieczeństwem całkowitego zrażenia Ligi Duszkańskiej do naszej wspólnoty.

- Jeśli głównym motorem naszych poczynań zaczyna być lęk przed urażeniem czyichś fobii, to znaczy, że w pełni się temu komuś podporządkowujemy - powiedział A'baht. - Tak nie da się rządzić. Ani negocjować. Nikt nie będzie się liczył ze słabeuszem.

- A więc przyjaźń to dla ciebie wyraz słabości?

- Porozumień nie buduje się na przyjaźni, lecz w oparciu o wspólne interesy. W przeciwnym razie kończy się na uprzejmych kłamstwach.

- Wiesz, że robisz się cyniczny?

- Obawiam się, że generał ma rację - powiedział Ackbar. - Musimy stosować wobec wszystkich te same zasady, co wobec siebie. I nie możemy samoograniczać się, rezygnować z prawa do działania po to jedynie, by uradować serce potencjalnego sojusznika. Nie wolno nam wiązać sobie dłoni, bo to tylko ośmieli naszych ewentualnych wrogów. Jeśli tak uczynimy, zrozumiemy to jako otwarte zaproszenie do przejęcia inicjatywy. Tych tutaj wydzwignęliśmy już, kto wie, jak wysoko i traktujemy ich jak równych sobie bez żadnych racjonalnych powodów.

- Miałam wrażenie, że równość jest jednym z naszych ideałów.

- Owszem, ale pomiędzy członkami Republiki. Zresztą wiesz znakomicie, że i tutaj trafiają się równi i równiejsi - przypomniał Ackbar. - Na pierwszym miejscu musimy zawsze stawiać nasze interesy. A zwłaszcza bezpieczeństwo. Ustalenie losu Czarnej Floty jest w tym kontekście zadaniem numer jeden. Powinno otrzymać

najwyższy priorytet. Ucieszę się niebotycznie, jeśli uda się nam potwierdzić to, co usłyszałaś od wicekróla. Ale trzeba to potwierdzić.

- Nawet nieliczne jednostki, o których Nil Spaar nie miał żadnych wiadomości, to też dosyć, by budzić niepokój - zaznaczył A'baht.

Leia zignorowała jego uwagę. Spojrzała uważnie na Ackbara.

- Jesteś całkowicie pewien tego co mówisz?

- Tak. Jeśli zmienisz rozkazy Piątej Floty, będziesz musiała poszukać kogoś nowego na moje miejsce - powiedział Kalamarianin. - Nie mam wyboru. Nie mogę pracować wiedzą, że mi nie ufasz.

Leia przymknęła powieki i lekko pochyliła głowę. Czowała, że nie dysponuje niczym dość ważkim, by zbić argumenty Ackbara. Skoro jest tak pewien swego... Czy ma prawo narzucać mu swój własny osąd? Przynajmniej w sprawie, w której on jest autorytetem? I za którą jest odpowiedzialny. Nie uważała siebie za aż tak nieomylną.

- Dobrze zatem - powiedziała. - Rozkazy zostają bez zmian.

Gdy Leia wróciła do domu, Han od razu wiedział, że coś musiało się wydarzyć. Znalazła męża w ogrodzie i zaraz zaskoczyła prośbą, której w życiu by nie przewidział.

- Hanie, chcę żebyś wyruszył z Piątą Flotą.

- Co? Szalony pomysł! A po co jestem ci tam potrzebny?

- Chodź o A'bahta - wyjaśniła. - Nie wiem, czy naprawdę zamierza podporządkować się moim rozkazom i zaleceniom.

- Więc poproś admirała Ackbara, żeby zwolnił go ze stanowiska. Masz do tego prawo.

- To nie tak. Nie znalazłabym żadnych prawnych podstaw. Nie zrobił niczego niewłaściwego. Po prostu brak mi pewności, czy nie zacznie działać na własną rękę.

- To wystarczy. Ackbar zrozumie.

- Nie - stwierdziła Leia. - Nie zrozumie. Han, po prostu czuję, że twoja obecność przy boku A'bahta może mieć znaczenie. Nie potrafią tego wyjaśnić. Pomysł wyprawienia floty bez kogoś zaufanego na pokładzie napęlnia mnie lękiem. A Piąta wyrusza już jutro.

- A dlaczego ja?

- Bo jesteś jedyną osobą, której mogę całkowicie zaufać - zadeklarowała. - I posiadasz wszystkie stosowne uprawnienia.

- A co z dziećkami?

- Rozmawiałam już z Winter. Chętnie zajmie się nimi pod twoją nieobecność.

Han nie wyglądał na zachwyconego.

- Nie tak się umawialiśmy.

- Wszystko się ułoży. Będę spędzać więcej czasu w domu.

- Wiesz, że A'bahtowi wcale się to nie spodoba - mruknął Han. Dowódcy nie cierpią, gdy ktoś patrzy im na ręce. Będzie próbował mnie... zneutralizować.

- Jakoś to zniesiesz.

- Każe mi nosić regulaminowy mundur. I golić się co rano...

- Wiem, że to nietuzinkowa prośba, Hanie, ale... przy odrobinie szczęścia zaliczysz tylko długi, nudny patrol. Mam nadzieję, że tak będzie.

- Więc po co lecę?

- Na wypadek, gdyby moje nadzieje się nie spełniły.

Han przeczesał palcami włosy, potem podrapał się energicznie po karku.

- Żeby to... Jak ty potrafisz mnie czasem...

Leia przytuliła się do niego i położyła mu głowę na ramieniu.

- Dziękuję, kochanie.

- Tak, właśnie, tego... - westchnął Han. - Znaczy, wieczorem muszę złapać wahadłowiec i...

- Około dziewiątej. Na Eastport czeka specjalna czwórka.

- To może lepiej zacznę się pakować.

Objęła go silniej.

- Posłałam już androida, żeby cię spakował - powiedziała. - Ty zostaniesz tutaj i będziesz tulił mnie do ostatniej sekundy.

- Dobry pomysł - mruknął Han. - Też chciałem to zaproponować.

ROZDZIAŁ

9

Mała armada pułkownika Pakkpekatta podążała za Teljkońskim wagabundą, już od dwudziestu dwóch dni przemierzając w ciszy głęboką próżnię w pobliżu Gmar Askilon. Przez cały ten czas tajemniczy statek nie zareagował na ich obecność.

Wagabunda nie zmieniał kursu ani szybkości, niczego nie emitował, nie nadawał, nawet jego charakterystyka cieplna nie drgnęła. Stosowane do obserwacji przyrządy, a było ich naprawdę sporo, nie wykazywały naprawdę żadnych zmian. Ot, płynął po prostu równiutko i dokładnie w tym samym kierunku, w którym zmierzał trzy miesiące temu, gdy trafił pod skanery zwiadowczego „IX-44F”.

Armada zachowywała pełną ciszę. Nie próbowano zasypywać wagabundy sygnałami, nie stosowano aktywnych skanerów. Żaden statek nie podchodził do niego bliżej niż na piętnaście kilometrów, pamiętając, że przy pierwszym spotkaniu Hrasskisowie zmniejszyli dystans do trzynastu, zaś uszkodzona później korweta „Śmiałka” znalazła się dziesięć kilometrów od celu.

Technicy Pakkpekatta sporządzili niezliczoną ilość ujęć statku z wykorzystaniem wszelkich możliwych częstotliwości. Dopracowali trójwymiarowy model przydatny przy analizie strukturalnej. Próbowali dopasować widoczne elementy konstrukcji do jakichkolwiek znanych mechanizmów.

Mimo to wciąż nie udawało się wyjść poza stale te same domysły. Albo na pokładzie nie ma i nie było istot rozumnych, albo były, ale już dawno temu opuściły statek. Lub też cała załoga z jakichś powodów wymarła. Ewentualnie trwała w stanie hibernacji. A może czekała biernie na rozwój wypadków, bo statek uległ awarii. Lub wszystko było w porządku, tylko członkowie załogi nie uznali armady za obiekt wart zainteresowania. Albo czekali na pierwszy ruch, czy też może błąd...

Nie dawało się z nikim nawiązać rozmowy, by nie padło pytanie „Dobra, a co ty o tym sądzisz?”. Zaczęto też robić zakłady, czasem szalone. Lando na wszelki wypadek trzymał się od tego z daleka.

Kiedy jednak nawet Lobot zadał mu słynne pytanie, skłonny był przychylić się do któregoś z najpowszechniej wyrażanych domysłów.

- Po pierwsze mam wrażenie, że on donikąd nie zdąży. Za to mógłby być świetną kryjówką- powiedział. Albo schowkiem. Z innymi podobnymi obiektami łączy go co

najmniej jedno: porusza się w próżni pozasystemowej, gdzie prawie nikt nie zagląda. Czasem tylko trafi się jakiś przemytnik, poszukiwacz tego czy owego. Czy krótkodystansowy przewoźnik.

- Zasadniczo cały ruch międzygwiazdny odbywa się w nadprzestrzeni.

- Czyli jakby obok - powiedział Lando. - Nikt nie odwiedza naprawdę głębokiej próżni, oprócz piratów, a tych mamy obecnie jakby mniej. To naprawdę pusty obszar. I jeszcze jedno. Odnoszę wrażenie, że ten statek nigdzie się nie spieszy. Sądzę, że nie ma nikogo na pokładzie.

- Czemu zatem służy?

- To bezpieczny schowek kryjący coś niewiarygodnie wartościowego. Coś tak cennego, że warto było zadawać sobie aż tyle fatygi. Przypuszczam, że mamy do czynienia z latającym skarbcem.

- Jak dotąd odkryto dwadzieścia dwa tysiące czterysta osiem kultur mających zwyczaj chować bogactwa wraz ze swymi zmarłymi - powiedział Lobot, zaglądając do banku pamięci.

- Aż tyle? Faktycznie, to może być grób jakiegoś potentata. Statek pełen po brzegi dóbr doczesnych. To by wyjaśniało, skąd się wziął i czemu tak się zachowuje. - Lando zagryzł w zamyśleniu wargi. - Podobają mi się ten pomysł.

- Wedle relacji rabusie grobowców stanowili problem od najdawniejszej przeszłości - powiedział Lobot, wciąż penetrując swoje dane. - Stąd też budowle grobowe projektowano często w szczególny sposób, wyposażając je w pułapki, zapadnie, ślepe korytarze, fałszywe wejścia i inne zabezpieczenia przed intruzami.

- Brzmi jak zapowiedź dobrej zabawy - mruknął Lando z grymasem radosnego uśmiechu. - Mógłbyś jakoś skatalogować te niespodzianki?

- Właśnie to robię - odparł Lobot. - I z moich danych wynika, że groby bywały rabowane zwykle zaraz po pochówku. Chyba że konstruktor decydował się na zgładzenie budowniczych tuż po ukończeniu budowy, nim zdążyli wyjawić komukolwiek sekrety przejść. Możliwe zatem, że statek został już spenetrowany.

- Gdyby ktokolwiek zdołał tam wejść, zabrałby także i sam statek - stwierdził Lando, kręcąc głową. - A wygląda na szczelnie zamknięty i gotowy do lotu. Sam się jutro przekonasz. Spróbujemy naruszyć jego strefę obronną. Jeśli nie narobi rabanu, to wracam na Coruscant.

Bezpilotowy stateczek zwiadowczy „D-89” wziął kurs na punkt odległy o dwanaście kilometrów od rufy Teljkońskiego wagabundy. Podążając po ściśle wyliczonej trajektorii, miał prostopadle przeciąć kurs statku, muskając przy tym jego domyślną strefę obronną. Podobnie jak wcześniej Hrasskisowie, ale nie tak agresywnie jak „Śmiałek”.

- Unikać przesady w prowokowaniu, ryzyko ograniczyć do minimum - zdecydował Pakkpekatt.

Plan zakładał, iż patrolowiec będzie przebywał w strefie obronnej niecałą sekundę. Jeśli obcy statek spróbuje skoku w nadprzestrzeń, wówczas wychwycą go inne, czekające już przed dziobem patrolowce.

- To tak, jakbyśmy klasnęli nagle za plecami żaby, chcąc by wskoczyła prosto do naszej sieci - wyjaśnił Lando. - Mam tylko nadzieję, że sieć wytrzyma, pułkowniku.

- Ma pan jakieś podstawy, aby sądzić, iż będzie inaczej?

Lando wzruszył ramionami.

- Nie wiemy, jakim napędem nadprzestrzennym dysponuje ta łajba. Pole przechwycenia obliczone na nasze typy silników tutaj może zawieść.

- Nie typ konstrukcji się liczy, ale ogólna zasada działania. Żaden napęd nadprzestrzenny nie zaskoczy w cieniu planetarnej studni grawitacyjnej. W każdym razie tak twierdzą moi technicy. A ja im ufam.

- Gotów jestem się założyć, że kapitan „Śmiałka” też w pełni ufał swoim osłonom - mruknął Lando. - Wielka szkoda, że Wywiad nie zdołał zaanektować do tej misji porządnego krążownika klasy Interdiction, z załogą i wszystkimi bajerami...

- Nadlatuje - powiedział cicho Pakkpekatt.

- Wszystkie rejestratory włączone - oznajmił porucznik Harona. - Siłowe pola pracują na pełnej mocy. Kapitan „Pioruna” melduje gotowość do podjęcia ewentualnego pościgu.

- No i co? - mruknął pod nosem Lando.

W ramach przygotowań do przechwycenia Pakkpekatt nakazał wycofanie „Sławnego” o dodatkowe dziesięć kilometrów, czyli dwadzieścia pięć kilometrów za rufę wagabundy. Z tej odległości zdalnie sterowany stateczek jawił się jako mała, szybko przemieszczająca się od prawej ku lewej kropka, zaś obecności wagabundy mogli się tylko domyślać. Obiekt nie miał zapalonych świateł pozycyjnych, nie oświetlało go żadne bliskie słońce, brakło nawet jasných mgławic, na których tle widoczny byłby czarny obrys kadłuba.

- Tryb śledzenia - polecił Pakkpekatt.

Czerwony okrąg opisał pozycję obcego statku. Drugi, zielony, otoczył kropkę patrolowca.

- Powiększenie środka obrazu na prawą stronę.

Na jednej trzeciej głównego ekranu pojawił się znajomy profil ścięganego statku.

- Jeszcze skala.

Na samej górze zapłonął szereg cyfr. Początkowo zmieniały się bardzo szybko, potem coraz wolniej. Okręgi zbliżyły się, wartości liczbowe zmalały do 12.001 i zaczęły rosnać.

Nagle głośniki na mostku buchnęły dzikim, modulowanym piskiem. Trudno było nazwać go melodyjnym, ale mimo wszystko zdawał się mieć coś wspólnego z muzyką. Trzech dyżurnych w słuchawkach zdarło je czym prędzej, odkrywając natychmiast, że hałas nadal atakuje ich uszy. Nie tylko system łączności wewnętrznej odbierał ten sygnał.

Lando uśmiechnął się, stwierdziwszy, że dźwięk jawi mu się jako znajomy - to samo słyszał już na nagraniu Hrasskisów. Tutaj jednak wszystko brzmiało wyraźniej i dopiero teraz sam zdołał rozróżnić dwie „linie melodyczne”, o których istnieniu wcześniej wiedział z opracowań analityków.

Gdy sygnał urwał się raptownie, wszyscy odetchnęli. „D-89”, który wykonał już swoje zadanie, usuwał się z wolna z pola widzenia. Opisujące go zielone kółko zgadło.

W tej samej chwili cały ekran zapłonął bielą tak jaskrawą, że patrzący na chwilę oślepli. Gdy błysk zniknął, zniknął też wagabunda. A właściwie nie tyle zniknął, co dziwnie zmałał, urywając się „Piorunowi” ze smyczy.

- Co się stało? - spytał Pakkpekatt.

- Cel skoczył, ale pole zatrzymało go w rzeczywistej przestrzeni - powiedział Harona. - Przemieścił się o prawie trzy kilometry. Teraz zachowuje spokój. Żadnych śladów aktywności napędu.

- A mnie serce podskoczyło do gardła - mruknął Lando. - W pierwszej chwili myślałem, że eksplodował. Albo otworzył do nas ogień.

Odczekali jeszcze godzinę i uznali, że zapewne nic więcej na razie się nie zdarzy. Wtedy Pakkpekatt nakazał przywrócenie uprzedniej formacji. „Sławny” znów podszedł bliżej.

- Za pół godziny odprawa u mnie - oznajmił obecnym na mostku. - Do tego czasu chcę otrzymać wstępne opracowanie wszystkich uzyskanych danych. Oczekuję również dowódców zespołów abordażowych.

- Widzieliście? - spytał radośnie Lando Lobota.

- Nie udało się - odparł Lobot. - Ta sama transmisja na wszystkich częstotliwościach. Była na tyle silna, że odebrały ją nie tylko urządzenia wzmacniające, ale i wszystkie inne obwody. Indukcja.

- To samo, co u Hrasskisów? Dla mnie było podobne.

Artoo-Detoo pisał krótko w odpowiedzi.

Threepio natychmiast przyjął typową, wyprostowaną postawę dyplomowanego tłumacza.

- Artoo informuje, że pominiwszy brakujące i zniekształcone fragmenty pierwotnego nagrania, identyczność obu sygnałów przekracza dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Zakłada tym samym, iż braki można uzupełnić z obecnego materiału.

- Zatem udało się wypełnić luki? To już coś. Czy rozpoznajesz ten język, Threepio?

- Nie, panie Lando - odparł android z udaną symulacją żalu. -Chociaż władam biegle ponad tysiącem języków i kodów znaczeniowych, to jednak żaden z nich nie przystaje do obecnego materiału.

- A niech to - mruknął Lando. - Pakk lada chwila wyśle zespoły abordażowe, a my wciąż nie wiemy, co ten statek próbuje nam przekazać. Pogadamy, gdy wrócę.

Kwatara kapitańska na „Sławnym” nie została pomyślana jako miejsce zebrania tak wielu osób. Do czasu przybycia Landa zajęto już wszystkie miejsca przy stole i niemal wszystkie siedziska pod ścianą. Wolne zostało już tylko jedno, dokładnie za Pakkpekatem, który zasiadł na środku dłuższego boku podłużnego stołu. Lando wołał stanąć przy komputer rejestrującym przebieg służby jednostki.

- Możemy zaczynać - powiedział Pakkpekatt, jednoznacznie adresując ten bezosobowy zwrot do Landa. - Najpierw poproszę o raport zespołu śledzenia celu. Tylko zwięźle.

- Tak, sir - odezwał się szczerpy oficer siedzący z prawej strony Landa. - Dystans podejścia wyniósł dwanaście tysięcy i jeden kilometr. Pierwszą reakcją celu zaobserwowano po ośmiu dziesiątych sekundy. Trwała sześć sekund. Drugi zespół reakcji zaczął się sześć sekund później...

- Cierpliwość nie jest ich główną cnotą... - mruknął Lando i dwóch oficerów zachichotało. Opanowali się błyskawicznie.

- ... i polegał na wykonaniu skoku na dystans dwóch, przecinek osiem kilometra w kierunku zgodnym z wektorem lotu.

- Ja też nie grzeszę cierpliwością generale Calrissian. Gdyby pan był łaskaw ograniczyć swe wypowiedzi do kwestii związanych z przedmiotem naszego spotkania...

- Uwaga o popędliwości jest całkowicie na temat - wyjaśnił Lando. - Niezależnie od znaczenia tego sygnału, który słyszeliśmy, jedno można powiedzieć na pewno. Nie zadali sobie większego trudu, by poczekać na naszą odpowiedź. Przy następnej próbie musimy być gotowi dokładnie na wszystko.

- Dziękuję za sugestię, generale - powiedział Pakkpekatt głosem, w którym próżno by szukać wdzięczności. - Zaobserwowano coś jeszcze, agencie Jiod?

Smukły oficer pokręcił głową.

- Tylko to, że parametry wyjścia podczas skoku nadprzestrzennego pokrywały się z odczytami charakterystycznymi dla statków wyposażonych w nasze standardowe silniki fuzyjne i motywatory drugiej klasy.

- Bardzo dobrze - stwierdził Pakkpekatt, spoglądając znacząco na Landa. - Proszę o meldunek sekcji skanerów.

- Podczas spotkania zaobserwowano dwadzieścia osiem odrębnych sekwencji zdarzeń. Sześć udało się nam zidentyfikować...

Lando oparł się plecami o blok komputera i wysłuchał wszystkich sześciu raportów. Dopiero potem Pakkpekatt poruszył ciekawszy dla niego temat.

- Teraz proszę dowódcę grupy abordażowej o meldunek o gotowości zespołu.

Dowódca zwiadu, Bijo Hammax, był jednym z niewielu oficerów podległych Pakkpekattowi, których Lando po sześciu miesiącach rejsu nadal darzył autentycznym szacunkiem. Ten czas pozwolił docenić jego umiejętności techniczne i zdolności umysłowe. W przeszłości należał on do podziemia Narvathów. Przez ostatni rok Rebelii walczył ramię w ramię z regularnymi wojskami Sojuszu.

- Zespół jest w pełni gotowy - powiedział Bijo, wstając powoli. - Rozpoznaliśmy dwa prawdopodobne położenia włączonych i kilka miejsc dogodnych do wycięcia wejść w razie potrzeby. Oczywiście, gdy tylko pojawi się taka możliwość, spróbujemy jeszcze ultradźwiękowego rozpoznania powłok kadłuba i koferdamów, i w razie konieczności zmodyfikujemy nasze plany. Obecnie mam wyłączzonego jednego człowieka, zbyt przeziębionego, by mógł założyć skafander, ale nie sądzę, aby to wpłynęło na efektywność zespołu.

- Odizolował pan chorego od pozostałych?

- Sam się odizolował przy pierwszym kichnięciu - odparł Bijo.
 - Zatem nic nie stoi na przeszkodzie, by jutro o piętnastej pański zespół był gotów do działania?

- Zupełnie nic, pułkowniku.
 - Dziękuję.

Gdy Bijo usiadł, Pakkpekatt spojrzał na drugi koniec kabiny.

- Generale Calrissian, co może nam pan powiedzieć o sygnale nadanym przez wagabundę?

Landa nieco zaskoczyło to nagłe wywołanie.

- Znamy parametry fali nośnej, znamy modulację i sumaryczną ilość posłanych danych, ale nie wiemy, czy znaczyło to „Stój, bo strzelam”, czy „Witajcie w naszym markecie, prosimy o numer łącza kredytowego”. Czy pańscy ludzie doszli do czegoś więcej?

Pakkpekatt spojrzał na obecnych.

- Ee... Zespół kontaktowy skłonny jest uznać oba sygnały, zarówno ten zarejestrowany przez Hasskisów jak i dzisiejszy, za automatyczny alarm przeciwkolidacyjny - powiedział nieco niepewnie młody podoficer. - Naszym zdaniem nie ma on charakteru informacyjnego. To tylko ostrzeżenie. Na tyle głośne i wyraźne, by odebrał je każdy statek, niezależnie od charakteru i pochodzenia.

Lando podszedł do stołu i oparł się o blat.

- Sugeruje pan, że wagabunda skoczył tylko dlatego, że chciał uniknąć zderzenia, które i tak mu nie groziło?

- Ma pan inne wyjaśnienie, generale?

- A co z uznaniem tego za próbę ucieczki?

- Czy podejrzewa pan, że zauważył naszą obecność dopiero przy próbie przechwycenia?

- Nie, raczej...

- Jeśli tak, to dlaczego czekał z ucieczką aż do tej chwili?

- Zamiast jednej odpowiedzi udzielię wam aż trzech. Za te same pieniądze - powiedział Lando. - Dlatego, że niektóre zwierzęta zastygają w bezruchu na widok drapieżnika. Bo dotąd nie wykonaliśmy żadnego agresywnego manewru. A dziś oblaliśmy podsunęty nam test na inteligencję.

- Panie Taisdan - powiedział Pakkpekatt, nie odrywając spojrzenia od Landa. - Czy jest w pańskim zespole ktoś, choćby pozostawał w mniejszości, kto skłonny byłby uznać teorię generała Calrissiana o „teście na inteligencję”?

- Nie, pułkowniku.

- Generale Calrissian, czy dysponuje pan jakimkolwiek pewnymi danymi co do informacyjnej treści odebranego dzisiaj sygnału?

- Nie - przyznał niechętnie Lando.

- Dziękuję - powiedział Pakkpekatt. - Kapitanie Hammax, proszę przekazać swojemu zespołowi, że operacja startuje jutro o piętnastej zero zero. Zespół Pierwszy weźmie barkę desantową numer jeden i dokona próby abordażu. Do wszystkich dowódców działów proszę zadbać o pełną gotowość. Dziękuję to wszystko.

Lando skrzyżował ramiona na piersi i niczym omywana przez nurt strumienia skała poczekał, aż wszyscy wyjdą.

- Coś jeszcze, generale?

- Próbuję jedynie wykombinować, czy obaj nadajemy na tej samej fali - stwierdził Lando. - Czekaliśmy całe tygodnie, żeby wykonać ten pierwszy, ostrożny krok, a teraz dostajemy nagłego popędu. Czy nie powinniśmy dać sobie trochę czasu na przestudiowanie tego, co obecnie wiemy?

- Daję na to czas - odparł Pakkpekatt. - A jak pan sądzi, dlaczego odkładam dalszą akcję aż do jutra, do piętnastej?

- To cholernie niewiele - warknął Lando. - Uczeplił się pan tej teorii o alarmie przeciwkolidacyjnym, bo pasuje wam do założeń. Jeśli pan sądzi, że wie już wszystko o systemach obronnych wagabundy, to proponuję przemyśleć sprawę jeszcze raz. Podchodzi pan do tego statku jak do zwykłego jachtu z alarmem przeciwwłamaniowym, a tymczasem należy patrzeć nań jak na okręt wojenny.

- Jednostka desantowa jest uzbrojona, ma tarcze. Agenci będą w pełnych zbrojach - stwierdził Pakkpekatt. - Jak długo niby powinienem czekać, skoro pańska ekipa cyborgów i androidów też je rozszyfrowała sygnału? Szczególnie że - wedle moich ludzi - nie ma tam nic do rozszyfrowywania.

- Na pewno więcej niż dwadzieścia godzin.

- Nie, generale - odparł stanowczo Pakkpekatt. - Nawet tyle może okazać się za dużo. Jutro do piętnastej będzie mi towarzyszyć nieustanne napięcie. Dziś zrobiliśmy pierwszy krok i nie jesteśmy już tylko ciekawskimi, którzy oglądają interesujący ich obiekt. Nasz status się zmienił. Musimy działać szybko, zanim ktoś lub coś, co zawiaduje tamtym statkiem uzna, że dość biernych reakcji i pora przejść do działań zaczepnych. Najchętniej posłałbym oddział abordażowy już teraz, natychmiast. Proszę zatem dobrze wykorzystać czas, który wam dałem. Klóćąc się ze mną, marnuje pan drogocenne minuty.

Lando zmarszczył brwi i skrzywił się niemiłosiernie. Odwrócił się i już chciał wyjść, gdy nagle się zatrzymał.

- Jeszcze coś? - spytał Pakkpekatt.

- Obiecał mi pan, że znajdziemy się w składzie zespołu abordażowego.

Pakkpekatt okazał niebotyczne zdumienie.

- Uznałem, że skoro nie aprobeuje pan moich planów, nie będzie pan też skłonny ryzykować życia pańskiego i pańskich kompanów podczas ich realizacji. Ale proszę bardzo. Jest jedno wolne miejsce. Proszę wyznaczyć swojego reprezentanta i w ciągu godziny zgłosić go do kapitana Hammaxa.

- Jednego! Nie tak się umawialiśmy... - zaczął Lando, czując, że wystawia dobre wychowanie pułkownika na ciężką próbę.

- Jeden albo żaden - stwierdził zdecydowanie Pakkpekatt. - wybór należy do pana. Tak czy inaczej, proszę powiadomić Bijo o swojej decyzji.

Nim Lando zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, pułkownik wyszedł z pomieszczenia. Zdumiewająco lekko, uwzględniając masę Horteka.

- Dobra - zaczął poważnym tonem Lando. - Jutro o piętnastej pułkownik wyśle grupkę domokrążców, żeby zastukali do drzwi wagabundy. Przyjął wersję swoich speców, że ten sygnał to zwykle ostrzeżenie. Gdyby to było takie proste nie musielibyśmy zadawać sobie teraz aż tyle fatygi. Na razie jednak kończy nam się czas. Musimy wykorzystać wszystkie posiadane umiejętności. Proponuję uczciwą burzę mózgów. Na początek podsumujmy: przechwyciliśmy czysty sygnał z wagabundy. Najwyraźniej identyczny z tym, który słyszeli Hrasskisowie. Czy to naprawdę ostrzeżenie? Możliwe. Czym innym mógłby być? Może jeśli zdołamy to rozstrzygnąć, uda nam się również odgadnąć jego treść. Chcę usłyszeć wszystkie wasze domysły i pomysły. I nowe, i stare.

- Ja nadal skłaniam się ku tezie o kodzie identyfikacyjnym - powiedział Lobot. - Transpondery na naszym statku wysyłają nasz kod rozpoznawczy automatycznie, na każde zapytanie. To może być coś w rodzaju wywołania.

- Ale jest długie. Tysiące sekwencji.

Lobot zastanowił się chwilę.

- Zatem może samą naszą bliskość uznali za pytanie i to była odpowiedź. Nie wiemy, jaki rodzaj informacji uważają za kluczowy.

- Ato, że zaraz potem wagabunda spróbował ucieczki?

- Skutek braku właściwej reakcji na ich sygnał.

- Można to tak ująć, że powiedzieli „witamy”, a my nie chcieliśmy się przywitać - stwierdził C-3PO - Wykazaliśmy się nieznajomością etykiety.

- Obiekt zbliża się do wagabundy. Wagabunda nadaje kod identyfikacyjny i słucha, czy padnie stosowny odzew. Gdy ten nie nadchodzi, wagabunda uznaje obiekt za zagrożenie i ucieka.

- Zawołanie i odpowiedź - stwierdził Lobot.

- Hasło i odzew - podsumował Lando. - Chce, żebyśmy podali właściwy odzew. Ale czemu nie ponowił próby ucieczki po tym nieudanym skoku? Statki przechwytyjące nie zdążyłyby zająć na nowo pozycji i ustalić koordynatów. Nie od razu.

- Jest wysoce prawdopodobne, że ten statek powstał w czasach, gdy jeszcze nie znano pola przechwytyjącego - zasugerował Lobot. - Jeśli mamy do czynienia z automatycznym systemem identyfikacji, wówczas dzisiejszy wypadek mógł zostać przezeń zakwalifikowany jako niewytłumaczalny i jako taki zignorowany, bo program nie przewiduje podobnych sytuacji.

- Fajnie - mruknął Lando. - Przyjmijmy, że ta ich mądra skrzynka nie wygląda na zewnątrz i nie sprawdza, czy skok faktycznie miał miejsce. Skoro motywator i napęd zadziałały normalnie, uznaje, że statek skoczył. A zanim incydent dobiegł końca, „D-89” oddalił się już od strefy obronnej i niebezpieczeństwo zniknęło.

- To brzmi prawdopodobnie.

- Zamierzam dowiedzieć, że to więcej niż tylko prawdopodobne - stwierdził Lando. - Statek domaga się odpowiedzi od każdego, kto się wystarczająco zbliży. Gdy jej nie otrzymuje, nie daje zgody na wejście na pokład. I nie czeka, co będzie dalej, tylko zmyka. Odpowiedź ma nadejść natychmiast. Natychmiast albo wcale.

Protokolarny android przechylił głowę.

- Dobrze, panie Lando, ale o co on pyta?

- To właśnie musimy wykombinować, Threepio.

Dopiero po kilku godzinach bezwocnego błądzenia udało się znaleźć rokujący jakiegokolwiek nadzieje ślad.

- Ruszcie głową!... Spójrzmy na to raz jeszcze - rzucił niecierpliwie Lando. - Chcecie dobrze zamknąć statek wysyłany w podróż do nikąd... Chcecie mieć pewność, że nikt tam nie wejdzie nieproszony, ale sami pragniecie zachować możliwość dostępu...

- Przepraszam, ale nie wiemy na pewno, czy konstruktorzy wagabundy zamierzali jeszcze kiedyś go odwiedzić - zauważył Lobot.

- To prawda - odparł Lando. - Ale jeśli przyjmiemy, że po prostu zamknęli drzwi i wyrzucili klucze, od razu możemy się stąd zbierać. I to jak najszybciej, zanim ktoś zginie. Musimy uznać, że istnieje jakiś sposób na wejście.

- Zgoda. Jednak pamiętajmy, że to tylko nasze założenie, a nie fakt.

- Faktem jest, że gdybym ja budował podobny statek, zadbałbym przynajmniej o dwa wejścia. Frontowe i tylne, to drugie na wypadek kłopotów z pierwszym. Ale, jak wiemy, tutaj nie chodzi o typowe klucze, skoro nie pozwalasz nikomu zbliżyć się na tyle, by mógł ich użyć. Szukamy hasła. Długiego hasła wyrażonego w kodzie dwójkowym.

- Przepraszam, panie Lando, ale z moich danych wynika, że żadna istota inteligentna nie zdoła zapamiętać hasła tej długości i złożoności - wtrącił Threepio.

- To, czego szukamy, może nie być równie długie jak wywołanie... - zaczął Lando.

- Może być dłuższe - zasugerował Lobot.

- Tak do niczego nie dojdziemy. Możliwe, że zapytanie wydaje nam się długie i złożone, bo nie znamy jego znaczenia. Ludzie potrafią zapamiętać zdumiewająco skomplikowane sekwencje, o ile tylko mają one jakieś znaczenie - zauważył Lando. - Znałem przemytnika, który nauczył się w dzieciństwie Stu Zasad Alsidów. Odebrał religijne wychowanie. Trzydzieści lat później wciąż jeszcze sypał nimi jak z rękawa. Moja matka znała na pamięć setki wierszy i piosenek. A przecież są gatunki obdarzone o wiele lepszą pamięcią niż ludzie.

- Tego nie kwestionuję. Literatura przedmiotu opisuje wiele podobnych przypadków - powiedział Lobot. - Niemniej, hasło czy kod dostępu, zarówno wyrażony matematycznie, jak i pojęciami języka, wymaga bezbłędnego powtórzenia. Nieważne jak długi. zawsze musi brzmieć dokładnie tak samo.

- W tym zasadniczy problem, co? - spytał Lando. - Co robią ludzie, chcąc zapamiętać coś naprawdę ważnego? Gdy zapomnienie grozi, poważnymi konsekwencjami? Są tacy, którzy nie pamiętają dat urodzin swoich dzieci. Natychmiast zapominają wszystkie numery identyfikacyjne i kody otwierające zamki cyfrowe. Zaczynają zatem kombinować.

- Wszczępy pamięciowe...

- Tak ale to nie jedyny sposób. Niektórzy noszą zapisy kodów przy sobie...
 - To naruszenie zasad bezpieczeństwa! Każdy zapisany kod można zgubić, można go ukraść...

- Zgoda. Dlatego należy tak go zamaskować, żeby wyglądał na coś zupełnie innego.

- To już lepiej. Ale każde ukrycie można rozszyfrować.

- Też zgoda - mruknął Lando. - Pewien kieszonkowiec na Pyriidj powiedział mi kiedyś, że cztery z każdego pięciu pasów kieszeniowych, które wpadły mu w ręce, miały gdzieś schowany kod dostępu. Rzadko musiał szukać dłużej niż minutę. Niektórzy po prostu zapisywali sekwencję na wewnętrznej stronie.

- Zawsze można poprosić androida, żeby zapamiętał hasło - powiedział Threepio.

- I poinstruować go, by nie wyjawiał go nikomu oprócz ciebie. Android się nie pomyli ani nie zapomni.

- Ale ktoś może go ukraść, tak samo jak pas - stwierdził Lobot. - A potem wyczytać mu pamięć. Lub wymazać. Robot będzie też wiedział, jaką informacją dysponuje, co może doprowadzić do błędnych zachowań. Wystąpienia przeciwko właścicielowi, odmowy wykonania jego rozkazu, wymazania własnej pamięci, samozniszczenia...

Ku wyraźnej uldze Threepio, AR2 ostrym piskiem przerwał tę wyliczankę.

- Artoo pragnie przypomnieć, że wszystkie androidy bojowe posiadają wyizolowane segmenty pamięci, które można wykorzystać do przechowywania szczególnie cennych informacji - przetłumaczył 3PO. - Twierdzi, że od ponad trzydziestu lat, czyli od kiedy jednostki R2 znajdują się w użyciu, żadna z nich nie wyjawiała zawartości chronionych obszarów pamięci.

- Wszystko pięknie, Artoo - zauważył Lando. - Rozumiem, że możesz wyrzucić coś ze swojej pamięci na tyle skutecznie, by nie wyjawić tego podczas dowolnego przesłuchania. Sam nie będziesz wiedział, co wiesz. Ale wciąż można cię ukraść i wypatroszyć. I co wtedy zrobić? Gdyby komuś z imperialnych bardziej dopisało szczęście podczas strzelaniny, to plany Gwiazdy Śmierci nigdy nie dotarłyby do generała Dodonny na Yavinie Cztery.

- Czyli klucz musi być niejawni, ale dostępny i powtarzalny.

- Dokładnie - zgodził się Lando. - W przeciwnym razie to on właśnie staje się najsłabszym ogniwem. Co po potężnym skarbcu, jeśli jest tylko jeden klucz i tylko jedna osoba wie, jak go użyć. Za duże ryzyko - Wstał i zaczął chodzić miarowo po korytarzyku „Ślicznotki”. - Słuchajcie coś nam chyba wychodzi. Czuję, że jesteście blisko. Co jeszcze przeoczyliśmy? Czego brakuje?

- Może fakt, że podstawową jednostką transmisji jest dwuton?

- Dobrze - mruknął Lando, zacierając dłonie. - Ale czy to naprawdę dwutony, jako pary powiązanych dźwięków, czy tylko dwa różne kanały przekazu? Czy istotniejsza jest modulacja par, czy samych dźwięków? Pary, długie sekwencje, powtarzalne, same w sobie nic nie znaczące... Jaki przekaz informacyjny pasuje do tego wzoru?

Lobot choćby chciał, i tak nie potrafiłby opisać obecnym jak u niego przebiega przetwarzanie danych. Równie dobrze ślepy mógłby próbować oddać wymową piękno

fajerwerków lub android z przejęciem zdawać relację z porodu. Kiedyś, w dawnych czasach, gdy dopiero uczył się posługiwania sterownikiem, wyobrażał sobie, że jest jak przetak w strumieniu danych, przetak odławiający potrzebne informacje.

Jednak teraz równie proste porównanie by nie wystarczyło. Bliższe prawdy wydawało się stwierdzenie, że raczej wszedł w nurt, starając się ogarnąć całość, a nie tylko te fragmenty informacji, które pasowały do wcześniejszych założeń. Zaczął kontrolować nawet tempo przepływu. W końcu znalazł odpowiedź.

- Długie, unikalne i nieprzypadkowe sekwencje charakterystyczne są dla większości kodów genetycznych - powiedział. - Twój opis pasuje do segmentu materiału genetycznego.

- Kod genetyczny? Ale to daje tylko cztery różne pary...

- Wyłącznie w przypadku człowieka. Liczba par zmienia się zależnie od gatunku.

- Ile par jest w tym kodzie?

- Osiemnaście.

- Ile gatunków ma osiemnaście różnych par molekularnych w swoim kodzie genetycznym?

Lobot spuścił wzrok i poszukał odpowiedzi.

- Opisano sześć takich gatunków. - Ale nie znamy genetyki wszystkich ras, z którymi nawiązano kontakt. Jest wiele ras całkiem niezbadanych.

- Czy któraś z sześciu posługuje się językiem opartym nie na artykulacji, tylko na samej zmianie wysokości tonu?

- Jedna - odparł Lobot. - Quellq. Przekazują wzór kodu genetycznego Artoo-Deeto do analizy.

Artoo poruszył kopułką, włączając swoje procesory. Panel zajarzył się od światełek i po kilku sekundach mały robot gwizdnął rozdzierająco.

- Co? - spytał Lando. - Co on powiedział?

- Panie Lando, w ludzkiej mowie należałoby chyba powiedzieć „Bingo!”.

Lando uśmiechnął się szeroko.

- Pasuje? - Klepnął z rozmachem Lobota w ramię. - Ty... Udało ci się, stary!

AR2 burknął coś po swojemu.

- Co tym razem?

- Artoo mówi, że istnieje prawdopodobieństwo równe dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent, że sygnał nadany ze statku odpowiada wzorowi pewnego segmentu kodu genetycznego rasy Quella - wyjaśnił Lobot. - Tyle że sekwencja urywa się w połowie. Nie jest kompletna.

- Jasne, że nie jest - stwierdził Lando. - Oczekują przecież odpowiedzi, czyli dalszego ciągu sekwencji. Artoo, jak to się przekłada na dźwięki? Potrafisz odśpiewać następny fragment?

R2-D2 zaczął z niemal wyczuwalnym żalem.

- Panie Lando, Artoo nie dysponuje złożonymi modulami artykulacyjnymi - wyjaśnił 3PO. - Ale jeśli mogę zaoferować swoją pomoc...

- Byle szybko...

- Sir, jako androidowi z główną funkcją protokolarną polifonia nie jest mi obca. Sądę, że z pomocą Artoo zdołam odśpiewać sekwencję.

- To spróbuj.

Threepio i Artoo naradzali się przez kilka sekund, w milczeniu przekazując sobie wszystkie konieczne dane kodem dwójkowym na kanale informacyjnym. Ten sposób był o wiele szybszy niż komunikacja w basicu czy za pomocą idiosynkrastycznego dialektu R2. Potem 3PO wyprostował się, spojrzął na Landa i przechylił głowę.

Niemal natychmiast kabinę wypełnił odgłos prawie identyczny z sygnałem waga-bundy. Odmienne melodią, ale pochodzący wyraźnie z tej samej kompozycji.

- W porządku - stwierdził Lando, uderzając pięścią w powietrze. - Mamy klucz. Teraz musimy podejść do frontowych drzwi. Threepio, Lobocie, powiedzcie mi wszystko o Quellich. Może znajdziemy coś jeszcze.

- Panie Lando, z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu nie posiadam żadnych informacji o językach i zwyczajach Quellich - powiedział 3PO. - Ale skoro już wiemy, że to ich statek, powinniśmy im go zwrócić. Wtargnięcie zaś na pokład bez zaproszenia może zostać uznane za poważne naruszenie etykiety.

- Chcesz powiedzieć, że odmówisz wystania odzewu...

- Chwilę Lando - wtrącił się Lobot. - Dotarłem do osiągalnych obecnie zapisków i chyba mogę coś wyjaśnić. Z tego, co wiemy, rasa Quellich wyginęła co najmniej sto pięćdziesiąt lat temu.

- Wyginęła? - zdumiał się Lando. - Jeśli aż tak dawno, to chyba nie za sprawą Imperatora. Co się stało?

- Wedle meldunków Zwiadu Galaktycznego w ich palnetę uderzyło kilka wielkich asteroid, które całkowicie zniszczyły ekosystem.

- To bez sensu. - Lando zmarszczył brwi. - Rasa na tyle rozwinięta, by zbudować podobny statek, poradziłaby sobie z paroma asteroidami. Zepchnęliby je z orbit czy coś... - Potrząsnął głową. - Zagadki tylko się nam mnożą.

Lobot przytaknął.

- Ale może odpowiedzi czekają we wnętrzu statku.

Lando nagle stracił animusz.

- Może, lecz to nie my je poznamy. Pułkownik zgodził się tylko na mój udział, a i tak jestem pewien, że nie ustawi mnie w pierwszym rzędzie.

- Nie wątpię, że gdy powie mu pan, co właśnie odkryliśmy, chętnie zgodzi się włączyć nas wszystkich do oddziału - powiedział 3PO. - To przecież najrozsądniejsze rozwiązanie.

- Hortekowie bywają rozsądni dopiero wówczas, gdy im władzę w pazurach odejmie - mruknął Lando. - A on macha nimi jak młodzieniaszek.

Zaczął krążyć po kabinie. Reszta czekała.

- Jest tylko jeden sposób sprawdzenia, czy to faktycznie właściwy klucz - stwierdził w końcu. - Taki, żeby nam uwierzyli.

- Zgadza się - powiedział Lobot.

- Pakkpekatt pragnie dowodów. Z drugiej jednak strony uważa nas za bezużyteczny bagaż, którego, ku swemu wielkiemu żalowi, nie może wyrzucić. Nie powiedziałbym, aby palił się do współpracy.

- Też prawda - przyznał Lobot.

Lando pokiwał powoli głową.

- Threepio, Artoo, to był długi dzień, chociaż teraz pewnie już mamy noc. Jutro będzie jeszcze trudniej. Wyłączcie się na razie, podładujcie i podregulujcie systemy. Czas uaktywnienia, godzina trzynasta zero zero. W ten sposób ze wszystkim zdążymy.

- Panie Lando, nie powinniśmy porozumieć się z pułkownikiem Pakkpekattem?

- Ja się tym zajmę - stwierdził Lando, spoglądając na Lobota.

- Dobrze, sir. Wyłączam się.

Oczy androida natychmiast pociemniały.

Chwilę później Artoo podtoczył się do gniazda sieci, przyssał doń i ćwierknął mile przed zaśnięciem.

Lando ponownie usiadł za stołem i znów spojrzął na Lobota. Uniósł pytająco brew.

- Na ile jesteś pewien sprawy?

- To tylko teoria, nasze domysły. Ale powinniśmy zaryzykować.

- No to w porządku - stwierdził Lando, lokując się wygodnie w fotelu. - Ty też spróbuj nieco wypocząć. Szykuje się ciekawy dzień.

Kilka minut przed trzynastą Lando i Lobot zasiedli w fotelach kokpitu „Ślicznotki”.

- Sądę, że mamy co najmniej dwanaście sekund, nim spróbują nas zatrzymać - powiedział Lando. - Do tego czasu powinniśmy się znaleźć poza ich zasięgiem, w perymetrze obcego. Pułkownik dotąd nie ważył się nawet musnąć go aktywną wiązką, więc i teraz chyba nie zaryzykuje.

- To będzie wymagało dużego przyspieszenia.

Lando przytaknął i zacisnął wargi.

- Owszem. Nawet gdybyśmy zadrapali farbę na „Sławnym”. Czasem trzeba i tak.

„Ślicznotka” tkwiła przyczepiona niczym pasożyt do burty krążownika od ponad miesiąca. Pamiętając o zimnych silnikach, Lando wykorzystał pozostałe minuty i przeszedł całą rutynową procedurę kontroli. Następnie włączył napęd i ustawił go w stanie gotowości.

Dokładnie o trzynastej włączył interkom.

- Threepio, jesteś tam?

- Tak, panie Lando.

- A Artoo?

- Uaktywnił się zgodnie z planem - powiedział 3PO. - Sir, co powiedział pułkownik, gdy usłyszał o naszym odkryciu?

- Chyba nie był gotowy na podobną rewelację - powiedział Lando. - Pamiętasz naszą piosenkę?

- Oczywiście, sir.

- Więc złapcie się obaj czegoś.

W chwili gdy „Ślicznotka” oddzieliła się od pierścienia dokującego, na mostku „Sławnego” rozdzwoniły się alarmy. Jacht momentalnie wyrwał do przodu i pomknął ku wagabundzie. Ognie jego dysz wylotowych zapłonęły na ekranach mostka.

- Co, do jasnej... - jęknął porucznik Harona. - Sparks, gdzie pułkownik?

- W hangarze trzecim, z Bijo i zespołem.

- Zawołaj go tutaj - powiedział Harona, biorąc głęboki oddech. - „Ślicznotka”, tu „Sławny”. Rozkazuję zawrócić i podejść do naszej burty. Jeśli natychmiast nie posłuchacie, nakazuję unieszkodliwienie waszego statku.

- Lepiej przemyślcie to sobie, poruczniku - odparł lekko Lando. - Strzelanina w pobliżu wagabundy? Pamiętajcie „Śmiałka”?

Harona westchnął.

- Generale, co pan sobie wyobraża?

- Prowadzę badania. Na waszym miejscu włączyłbym rejestrację.

- Zawróćcie natychmiast. To ostatnie ostrzeżenie.

W tej samej sekundzie na mostku rozległ się znajomy dźwięk. Wagabunda nadawał hasło.

- Dystans? - krzyknął Harona.

- Jedenaście kilometrów i szybko maleje.

- Wiązkę przechwytyjącą na jacht. Natychmiast!

- Gotowe, Threepio - powiedział Lando z cieniem niepokoju w głosie. - Nie czekaj na moje polecenie. Wykorzystaj wszystkie dostępne ci kanały. Ja przekażę sygnał na standardowe.

- Dobrze, panie Lando. Cieszę się, że pułkownik pozwolił nam zweryfikować naszą teorię.

- Nawet nie próbował się wyklócać. Uwaga...

Pomiędzy zakończeniem sygnału wagabundy a początkiem pieśni protokołarnego androida nie upłynęła nawet sekunda. Lando przyhamował gwałtownie, wstrzymał oddech i czekał. Czasomierz na mostku odmierzał upływające sekundy.

- To niesamowite - mruknął Lobot. - Dzięki, że mnie zabrałeś.

- Też sobie wybrałeś czas na podziękowania - mruknął Lando. - Jak cholera niesamowite. Co z polem przechwytyjącym?

- Aktywne.

Lando zerknął na wyświetlacze.

- Gdzie ta wiązka... Przecież nie mogą się tak grzebać? Co się dzieje?

Lobot zerknął na boczny pulpit.

- Pojawiło się zewnętrzne pole. Wiązka została odbita.

- Co? Wagabunda nas broni?

- Tak - powiedział Lobot. - Na to wygląda. Zostaliśmy uznani za swoich. Cokolwiek by powiedzieć, zdezterowaliśmy od Pekkpekatta i przyłączyliśmy do Quellich.

ROZDZIAŁ

10

Wczesnym rankiem w dniu odlotu Piątej Floty z Coruscant przed bramą rezydencji admirała Ackbara nad jeziorem Victory pojawił się kopulasty granatowy ślizgacz floty. Zwolnił tylko na chwilę i zaraz przepuszczony ruszył podjazdem ku budynkom.

Zatrzymał się obok innego parkującego już tam pojazdu - smukłoskrzydłego skoczka orbitalnego Poranjich, najmniejszego statku kosmicznego dopuszczonego do ruchu na Coruscant, konstrukcji wielbionej przez każdego marzącego o gwiazdach dzieciaka. Osobnik, który wysiadł ze ślizgacza był wprawdzie dorosły, ale musiało pozostać mu coś ze szczeniackich fascynacji. Mimo wczesnej godziny i brzemienia obowiązków, generał Etahn A'baht przystanął na chwilę, by przyjrzeć się skoczkowi, a dopiero potem skierował się do wejścia.

Blask zalał na chwilę murawę, gdy admirał Ackbar otworzył drzwi, wpuścił dowódcę Piątej Floty. W świetle lamp dostrzegł również niewesołą minę A'bahta i zaczerwienione ze zmęczenia oczy.

- Wejdz, Etan - powiedział Ackbar, robiąc mu przejście. - Dziękuję za przyjazd. Wiem, że masz sporo roboty, ale to zajmie tylko chwilę.

- Nie rozumiem, co cię tak przycisnęło, że nie mogłeś przekazać mi tego przez holo - sarknął A'baht. - Już od dwóch godzin powinienem siedzieć w Eastport.

- Jestem dziwnie pewien, że bez ciebie nie odleczę - stwierdził Ackbar, prowadząc gościa „na pokoje”. I sądzę, że nie uznasz tej wizyty za marnowanie czasu.

- Tyle to sam wiem. Gdybym sądził inaczej, leciałbym teraz na „Nieustraszonego”. Powinienem już być w drodze.

- Jednak zanim wylecisz, chciałbym, żebyś kogoś poznał - powiedział Ackbar, wchodząc do okrągłego salonu.

- Osobliwa pora na życie towarzyskie - mruknął A'baht.

- Całkiem możliwe - zgodził się admirał, wskazując mężczyznę wstającego właśnie z szerokiej, miękkiej kanapy i podchodzącego do nich. - Etahn, oto Hiram Drayson.

- Admirał Drayson, z Chandrili? - spytał A'baht niepewny, czy powinien wyciągnąć dłoń do uścisku, czy tylko zasalutować.

- Kiedyś i owszem - odparł z uśmiechem Drayson.

- Darujmy sobie tytuły i saluty - zaproponował Ackbar. - To całkiem nieoficjalne spotkanie, zatem możemy je także uznać za nieformalne.

- Dobrze - zgodził się A'baht. - O co chodzi?

- Etahn, Hiram jest szefem sekcji Alpha Blue. Słyszałeś już kiedyś tę nazwę?

- Nie.

- I dobrze, bo nie powinieś. To znaczy, do dzisiaj - stwierdził Ackbar. - Hiram wraz z Alpha Blue współpracuje z Wywiadem Floty, ale ma większe możliwości. Zajmuje się zarówno sprawami militarnymi, jak i czystą polityką, wkracza zaś do akcji tam, gdzie oficjalne instytucje mają związane ręce.

- Dyplomatycznie powiedziane - stwierdził Drayson, uśmiechając się z uznaniem.

- Hiram ma dla ciebie pewną informację - ciągnął Ackbar. - Wysłuchaj go uważnie. Sam korzystałem już w przeszłości z jego rad i dobrze na tym wyszedłem. - Skinął na Draysona. - A na razie życzę wam dobrej nocy.

- Zaraz, dokąd idziesz? - spytał A'baht.

- To nie dla moich uszu - mruknął Ackbar. - A idę do mojego basenu, zamierzam nieco się zdrzemnąć. Może zauważyłeś, że jest już dość późno.

A'baht spojrzął za wychodzącym gospodarzem, po czym zwrócił się do Draysona.

- Mam dziwne wrażenie, że możliwość poznania szanownego pana to nie tyle zaszczyt, ile zapowiedź kłopotów.

Drayson znów się uśmiechnął.

- Przede wszystkim oznacza to, że Ackbar w pełni panu ufa, i nie wygłaszam tu komplementów. A jeśli chodzi o resztę, nie zaprzeczam, iż wiele osób po rozmowie ze mną zaczyna mieć kłopoty z zaśnięciem.

- Trudno. O czym chce pan ze mną rozmawiać?

- O planach podróży - odparł Drayson. - Na początek może usiądźmy.

- Od miesiący próbuję wprowadzić kogoś do Gromady Koornacht - zaczął Drayson. - To niełatwe, nawet dla mnie - uśmiechnął się skromnie. - Kupcy docierają wprawdzie do skrajów gromady, ale jej wnętrzu należy do Ligi i tam obowiązują inne prawa. Yevethowie traktują przybyszy bezceremonialnie. Krótko mówiąc, otwierają ogień bez uprzedzenia, co samo w sobie jest już niepokojące.

- Widocznie wysoko sobie cenią prywatność.

- Może nawet nieco za wysoko - stwierdził Drayson. - Pasuje to zresztą do zachowania ich wicekróla podczas oficjalnej wizyty. Yevethowie nie wysuwają nawet nosa poza statek, a sam wicekról opuszcza pokład tylko na kilka godzin przeznaczonych na spotkania z Leią. Nie wiem, czy jest ich tam dziesięciu, czy tysiąc...

- Chyba im pan nie ufa.

- Istotnie, nie ufam. Jestem wręcz pewien, że Nil Spaar okłamał Leię. Wicekról to wprawny gracz. Nie wiem wprawdzie jeszcze, jaką grę rozgrywa ani jak daleko sięga to kłamstwo poza normalną dyplomację, ale jednego jestem pewien: oni rozszyfrowują nas szybciej niż my ich. To również nie uspokaja.

- Uważa pan, że przybyli na przespiegi?

- Byliby głupcami, gdyby nie skorzystali z okazji. A oni nie są głupcami. Statek Yevethów już od drugiego dnia pobytu ma dostęp do republikańskiej hipersieci i planetarnych kanałów informacyjnych. A wicekról spędza wiele czasu z głową Republiki. Swobodnie, bez kontroli. Ja zaś wciąż nie potrafię powiedzieć, ile właściwie światów liczy cała ta ich Liga, jak się one nazywają i gdzie leżą. Zostałem całkowicie wyłączony ze sprawy. Nie przywykłem do takiego rozwoju wypadków.

- I dlatego rozmawia Pan teraz ze mną, a nie z księżniczką?

- To jeden z powodów - przyznał Drayson. - Drugim jest fakt, że to pan wyrusza tam z trzydziestoma jednostkami wojennymi. Pan, a nie ona.

- Domyśla się pan chociaż, na co trafię?

- Poniekąd. Na skraju gromady leży kilka światów zamieszkałych przez inne rasy. Jest tam pokaźna kolonia Kubazów, dwa niewielkie kompleksy kopalniane, własność Morathów i komuna sekty H'kig. Ci ostatni wyemigrowali niegdyś z Rishii, zapewne z doktrynalnych powodów. Nieco głębiej mamy gniazdo Corasghatów. Założone jeszcze przez Imperium, potem opuszczone. Łącznie z automatycznym kompleksem rolniczym, też zostawionym samemu sobie. Tyle że ten ostatni nadal działa. Świetna, darmowa okazja dla każdego dość odważnego kupca.

- Automaty wciąż zbierają plony?

- Przez cały czas. Starczy wylądować we właściwym miejscu, a one napełnią ładownię, nawet bez pytania. Ale to wszystko, co wiemy o zmianach, które zaszły tam od ostatniego rutynowego badania sektora, czyli od dość dawna. Niespodzianek może być o wiele więcej. Z tamtego raportu pochodzą też informacje o pięciu inteligentnych rasach zamieszkujących Gromadę. Żadna z nich nie osiągnęła wówczas poziomu rozwoju umożliwiającego podróże nadprzestrzenne. Niektóre nie zdołały nawet wyrwać się poza własne planety lub chociaż wlecieć w powietrze.

- Niezbyt dogodne miejsce na budowę kluczowych stocznii.

- Wręcz przeciwnie, jeśli weźmie się pod uwagę bliskość światów Yevethów.

- Myśli pan, że oni przejęli inkryminowane jednostki?

- Byłby to osobliwy precedens, gdyż Imperium zwykło starannie zapobiegać podobnym sytuacjom. Ale wykluczyć go nie można.

- Warto byłoby się dowiedzieć.

- Prawda? Aleja tego nie załatwię. Może panu się uda, poleci pan, sprawdzi, wróci i powie. Może. - Drayson potarł oczy i przecesał palcami krótkie włosy. - I jeszcze jedno chodzi mi po głowie. W chwili odkrycia przez zwiad Yevethowie opanowywali właśnie technikę podróży międzyplanetarnych. Byli wówczas rasą rozgarniętą, zdolną, w miarę dumną, ale nie stanowili dla nikogo żadnego zagrożenia.

- A potem pojawiło się Imperium.

- I na kilka lat zapędziło Yevethów do pracy w stocznjach. Budowali i remontowali statki nieporównanie wyprzedzające ich własne konstrukcje. Przejęli potem cały ten inwentarz czy nie, ale niemal na pewno sporo się nauczyli.

- Mogliby teraz stworzyć własną Czarną Flotę.

- W rzeczy samej - przyznał Drayson. - Jak z pana pamięcią, generale?

- Czemu pan pyta?

- Zamierzam nauczyć pana pewnego kodu - powiedział Drayson - Jeśli umieści go pan na początku wiadomości, zostanie ona przesłana od razu do mnie. Nie przejdzie nawet przez dowództwo Floty. Ten sam kod znajdzie pan w wiadomościach ode mnie.

- Wcale mi się to nie podoba - mruknął A'baht i zmarszczył czoło. - Obawiam się, że wcale pana nie lubię, admiralu. Gdyby to nie admirał Ackbar pana przedstawił, zacząłbym zastanawiać się nad pańską lojalnością. Zresztą, i tak się waham. Czy to konieczne? Dlaczego pragnie pan coś ukryć przed księżniczką lub dowództwem floty?

- Odpowiem panu innym pytaniem. Czy ufa pan osądowi Leii w kwestiach związanych z wicekrólem i Yevethami?

A'baht w milczeniu odwrócił głowę.

- Właśnie - powiedział Drayson. - Kod nie ma służyć ukryciu czegokolwiek. Wręcz przeciwnie. Sprawí, że najważniejsze dane trafią do pana niezawodnie a i pan będzie mógł odpowiedzieć mi tym samym. Ominiemy po prostu etapy wstępnej obróbki w dziale łączności.

A'baht westchnął głęboko.

- I tylko po to chciał się pan ze mną spotkać?

- Między innymi po to - sprostował Drayson. - Przede wszystkim pragnę pomóc panu w najskuteczniejszym wypełnieniu zadania. Sugerowałbym zachowanie wysokiego stopnia czujności. Przez cały czas. Tak, żeby w razie czego nie zaskoczono pana. Najlepiej, gdyby w ogóle nie musiał pan otwierać ognia. A gdyby jednak, to lepiej chyba wiedzieć, kto właściwie próbuje pana zabić i dlaczego.

- To wszystko? Czekają na mnie.

- Nie. Jeszcze jedno. Jak wiem, Kiles L'toth, szef Instytutu Zwiadu Astrograficznego jest pańskim dobrym znajomym.

- Służyliśmy razem w Dorneańskiej Marynarce.

- Zdaje się, że byliście wręcz przyjaciółmi. I chyba jest panu wciąż winien przysługę.

- Teraz już wiem na pewno, że pana nie lubię. Za wiele pan wie.

- Nie pan pierwszy dochodzi do tego wniosku - mruknął Drayson.

- Jednak skoro temat wypłynął, czy mógłbym wiedzieć, co wspólnego ma z tym Kiles?

- Na razie nic. Pomyślałem tylko, że dawno już się panowie nie widzieli. Chyba zbyt dawno. Wielka szkoda, że Flota nie współpracuje ściślej ze służbami cywilnymi. Czasem mam wrażenie, iż to dwa całkiem oddzielne światy.

- Jaśniej proszę! - warknął wyraźnie już zły A'baht. - Do czego pan pije?

- Instytut nie ma praktycznie nic wspólnego z Flotą czy strukturami władzy - stwierdził Drayson. - Nie jest też z nimi kojarzony. Zapewne to dość wygodne, przynajmniej nikt im nie zagląda przez ramię, nie dyszy w kark. Po prostu robią swoje i nie muszą usprawiedliwiać się z każdego kroku. I mają też wszystko, co trzeba, a głównie całą flotę statków astrograficznych i zwiadowczych.

A'baht spojrział surowo na Draysona, ale zmilczał.

- Chyba nadeszła pora, aby odezwał się pan do starego przyjaciela. I to jeszcze przed odlotem.

A'baht zrozumiał aluzję. Przez chwilę rozważał z zupełnie już ponurą miną, co z tego może wyniknąć.

- Z całą pewnością pana nie lubię - jęknął w końcu.

- Nie musi pan.

- Bez wątpienia nie muszę - stwierdził A'baht i zawahał się. - Ale tego kodu to niech mnie pan jednak na wszelki wypadek nauczysz.

- Kiles.

- Etahn? Co cię napadło, żeby dzwonić tak wcześniej?

- Chodzi o dług - wyrzucił z siebie A'baht.

- Chętnie go spłacę - mówiąc to Kiles bezwiednie dotknął kikutu prawej nogi. - Nawet po takim czasie. Czego ci trzeba?

- Ile swoich statków mógłbyś zebrać, ale tak po cichu, bez zwracania powszechnej uwagi?

- Jak szybko?

- Na wczoraj.

- Chyba z sześć... A może i siedem lub osiem, zależnie od tego, gdzie ich potrzebujesz.

- W sektorze Farlax.

- No cóż akurat tam mamy raczej niewiele. Bez wyrywania różnych person z pościeli i ogólnego alarmu sześć to góra.

- Zatem niech będzie sześć. Starczy - powiedział A'baht. - Teraz słuchaj, trzeba dokonać uzupełnień w raportach zwiadu. Obszar: Gromada Koornacht i jej bezpośrednie otoczenie. Stare dane już nie wystarczają. Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego...

- Nie pytam.

- Nie mogę nawet wystosować oficjalnej prośby.

- Spodziewam się - stwierdził L'toth. - Wiesz Etahn, niektóre rzeczy nie zmieniają się aż tak szybko...

- Te, o których myślę, owszem. I to bardzo szybko.

- Rozumiem, że nie masz na myśli danych nawigacyjnych.

- Nie. Chodzi o pytania proste, ale zasadnicze. Kto, co, gdzie...

- Czy to ryzykowne dla moich ludzi?

- Nie wiem - przyznał szczerze A'baht. - Mogę powiedzieć tylko tyle, że jeśli sprawa okaże się ryzykowna, to tylko zyska na znaczeniu. Jak żadna inna do tej pory.

- Dobra. Przeżyję.

- Gdybym mógł, posłałbym moje ekipy. Przecież wiesz.

- Wiem. Na tyle cię poznałem. Nie cierpisz prosić kogokolwiek o pomoc. Już myślałem, że nigdy nie będę miał okazji ci się odplącić.

- Teraz jednak potrzebuję twojej pomocy.

- I dostaniesz ją. Zaraz zacznę przysyłać im zmiany kursowe.

- Dzięki, stary.

- Powodzenia, Etahn - powiedział L'toth. - Uważaj na siebie. Pilnuj się tam lepiej niż ja kiedyś.

Piąta Flota zajmowała odcinek orbity parkingowej zwany wschodnią strefą numer dziewięćdziesiąt. Leżała ona poza tarczą planetarną, ale w zasięgu wzroku wielkiej wojskowej stacji kosmicznej, która obsługiwała flotę i służyła za punkt tranzytowy dla załóg i zaopatrzenia.

Chociaż zbliżał się już czas odlotu, to jednak ani na pokładach, ani w stacji nie działo się nic szczególnego. Główne ceremonie i łzawe pożegnania miały miejsce kilka dni wcześniej w halach odlotów Eastport, Westport i Newport. Na listach załóg niemal, wszyscy zostali już zaznaczeni jako obecni, kończono porównywać stan dostaw w ładowniach z zamówieniami.

Na pokładach wyniosłych wahadłowców krążących pomiędzy planetą a stacją dolatywali jeszcze ostami wracający z przepustek maruderzy. Kręcące się wśród jednostek floty na kształt owadów tendry i holowniki dostarczały na okręty drobne a pilne uzupełnienia.

- Powinieneś odlecieć beze mnie - powiedział Skids, zerkając niespokojnie przez iluminator na lotniskowiec „Władczy”.

Tuketu rozłożył długie kończyny na trzech spośród niewielkich foteli dla pasażerów.

- Nieważne - powiedział. - Nie zwykłem nigdzie się ruszać bez mojego strzelca.

- Ale w ten sposób obaj podpadniemy. Będziemy mieć dużo szczęścia, jeśli nie zdejmą nas z grafiku lotów.

- Jak dotąd się udawało, pamiętasz?

Skids potrząsnął głową, nie bardzo go słuchając.

- Miałem wyliczone wszystko co do minuty, aż do chwili pożegnania z Norią w Newport. Skąd miałem wiedzieć, że gang Duraki zrobi skok na kantor?

- Nie mogłeś, Skid. Przestań się zadreć.

- Policja uziemiła wszystko co lata, tylko ptakom darowali. Na prawie jedenaście godzin, aż ich złapali. Potem próbowałem nadrobić spóźnienie i gnałem jak szalony nawet nad Surtsey, wyobrażasz sobie? Gdyby mieli tam trochę więcej patroli, pewnie złapaliby tych złodziei biżuterii nieco szybciej. A przecież każdy z nich miał ze cztery stopy wysokości...

- Jest - Tuketu wskazał na prawy górny róg iluminatora.

- Co? Gdzie? A, dobrze. To teraz jak najszybciej - powiedział Skid, ładując się na puste miejsce. - Myślisz, że przeniosą Hodo na dowódcę dywizjonu? Osobiście wolałbym Hodo niż Mirandę. Nie wiem, jak ty...

- Skids...

- Co?

- Gadasz od rzeczy.

- Naprawdę? Dobra, masz rację. Już się zamykam - zgodził się potulnie Skids. -

Po prostu nie mogę się z tym pogodzić, nie do wiary, że tak wyszło. - Spojrzał na zegarek. - Prawie dwanaście godzin spóźnienia, kapitan wpakuje nas do drona i

wystrzeli w roli ćwiczebnego pocisku. Następnym razem nie czekaj na mnie. Startuj po prostu i myśl o sobie...

Stojący przy włązie czteromiejscowego wahadłowca, który właśnie dobił do „Sławnego”, generał Han Solo poprawił sztywny mundur. Mimo usilnych starań ciągle nie czuł się w nim wygodnie. Dwa miesiące regularnych posiłków sprawiły, że przybrał na wadze co tylko pogarszało sprawę. W uszach dzwonił mu jeszcze głos Leii: *Wyglądasz przystojnie, mój zuchu, i to nie w mundurze problem, ale w twoich przywidzeniach.* Han westchnął i z rezygnacją zwolnił zamek włązu.

Ludzie ze służb hangarowych przystawili mu już drabinę, u jej podstawy czekał oficer pokładowy.

- Poruczniku - powiedział Han. - Proszę o pozwolenie na wejście na pokład.

- Generale Solo, udzielam pozwolenia. Witamy na pokładzie. Nie wiedziałem, że przybędzie pan przejąć dowództwo, sir.

- Bo i nie po to przyleciałem - uśmiechnął się Han. - Po prostu zabieram się z wami. Wypakujcie moje rzeczy, a potem niech ktoś odprowadzi maszynę na stację, dobrze?

- Tak jest, sir, natychmiast się tym zajmę. - Na obliczu porucznika zdumienie ustąpiło miejsca wyrazowi gorliwej służbistości. Han dawno już przestał się dziwić podobnym ogólnowojskowym postawom, ale ciągle nie potrafił uznać ich za normalne zachowanie. - Szkoda, że nie przyleciał pan „Sokołem Milenium”, sir. Chętnie zobaczyłbym ten statek.

- Ja też - stwierdził Han. - Gdzie generał A'baht?

- Jeszcze nie przybył, sir. Oczekujemy, że zjawi się każdej chwili. Na mostku jest kapitan Morano. Chętnie pokażę panu drogę.

Han spojrział ponad ramieniem porucznika w głąb hangaru krążownika. Szybko ogarnął wzrokiem zawartość.

- Komplet? - spytał, wskazując ruchem głowy na stłoczone maszyny.

- Tak, sir. A nawet więcej. Dziś rano przyjęliśmy dodatkowe pół tuzina myśliwców typu E. Ale zostało jeszcze dość miejsca, by je przestawić w razie potrzeby, więc nie jest najgorzej.

- Ważne, żeby można było je sprawnie wystrzelić - powiedział Han. - Tego pilnujcie. Gdy robi się gorąco, to liczy się najbardziej.

- Tak, sir. Zaprowadzić pana na mostek?

- Na razie prosiłbym tylko o sprawdzenie, gdzie jest moja kabina - stwierdził Han, próbując połuźnić ciasny kołnierzyk koszuli. - Aha, i proszę - dać mi znać gdy generał A'baht wejdzie na pokład.

Rozebrany do pasa Han leżał na koi w kabinie, która do niedawna należała do okrętowego chirurga. Koszula zwisała z wieszaka a buty leżały jeden na drugim koło legowiska.

To był długi dzień i jego organizm domagał się snu. Na okręcie podobnie jak na stacji, obowiązywał jednak czas standardowy, wyprzedzający o cztery godziny czas

Imperial City. Han wiedział z doświadczenia, że najlepszym sposobem przedstawienia się na inny rytm dobowy jest odczekanie do pierwszej wachty, a potem już idzie samo. Dlatego też, kładąc się na koi, zostawił zapalone światło: nie chciał zasnąć.

Jednak ciało łaknęło wypoczynku, oczy wytchnienia, a umysł chwili spokoju od nurtujących go ostatnio myśli. Nic nie szło dobrze - ani z Leia, ani z dziećmi. Na domiar złego wyruszał sam, bez Luke'a czy Chewiego, i pełen żalu do Leii, że poprosiła go o coś, czego nie potrafił jej odmówić. O ostatnie pretensję miał do siebie. Zatracił gdzieś po drodze poczucie niezależności, które tak wysoko sobie cenił jako przemytnik, a najgorsza okazała się świadomość, że doszło do tego za jego pełną zgodą i przyzwoleniem. Nie. Najgorsze, że był teraz i tutaj, zdany tylko na siebie. Kiedyś uznalby to za normalne, teraz samotność dokuczala.

Zasłonił twarz ramieniem i spróbował uwolnić się od trosk. Na małą chwilę nawet mu się to udało.

Generał A'baht wysiadł ze skoczka w sposób świadczący wyraźnie, że nie jest już wygimnastykowanym młodzikiem.

- Generale - zsalutował mu oficer pokładowy. - Miło pana widzieć, sir. Kapitan Morano odbywa właśnie naradę z innymi kapitanami zespołu, na mostku czuwa pierwszy oficer.

- Dziękuję - powiedział A'baht, zeskakując, i wskazał kciukiem na skoczka. - Znajdź mu miejsce na zewnętrznych stanowiskach dokowania, Marty. Wprawdzie jest pożyczony, ale dziwnie go polubiłem.

- Tak, sir. Zajmę się tym.

W głosie oficera musiało zabrzmieć coś szczególnego, może zresztą chodziło o jego wyraz twarzy, dość że A'baht poczuł się dziwnie. A idąc do wyjścia z hangaru zauważył, jak część obsługi przerywa pracę i odprowadza go spojrzeniem. Spojrzeniem jakby pełnym ponurego żalu lub zaniepokojenia.

- Marty, co jest grane?

Oficer przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Kilka godzin temu zjawił się generał Solo...

- No i...

- Pomyślałem, że przyleciał nas pożegnać, a kapitan dał mu kabinę doktora Archimara.

- I...

- To wszystko, sir. Generale, chodzą słuchy, że Solo ma przejąć dowodzenie Flotą.

- Jeśli tak, to kapitan Morano przydzielił mu niewłaściwą kabinę - zauważył obojętnym tonem A'baht. - Gdzie jest teraz generał Solo?

- Zaraz go znajdę. Prosił, abym powiadomił go o pańskim przybyciu.

- No to go znajdź - zgodził się A'baht. - Ale o najważniejszym sam z nim porozmawiam.

Zatroskany oficer nagle się uśmiechnął.

- Tak, sir.

Han uświadomił sobie, że jednak zasnął, dopiero, gdy obudził go jakiś nagły, głośny dźwięk. Usiadł błyskawicznie, otworzył szeroko oczy i ujrzał nad sobą wysokiego Dorneanina w mundurze dowódcy floty. Zmarszczki na twarzy przybysza wskazywały, że liczył ponad sto lat, oznaczenia na mundurze zaś identyfikowały go jako generała A'bahta.

- Generale Solo - powiedział A'baht. - Na całym statku aż huczy od plotek, że ja wylatuję, a pan zajmuje moje miejsce. Może mi pan wyjaśnić, ile w tym prawdy?

- Nie wiem, o czym pan mówi - stwierdził Han, spuszczać nogi z koi i sięgając po koszulę. Wciąż jeszcze nie obudził się w pełni i dopiero przy trzeciej próbie zdołał ściągnąć ją z wieszaka. - Pan dowodzi Piątą Flotą. Nic się nie zmieniło.

- Zmieniło się - odparł A'baht. Pan tu jest.

Han wbił się w koszulę i zaczął zmagania z guzikami.

- Tak pan sądzi - powiedział. Generale, dobrze wiem, że wolałby mnie pan nie oglądać, ale ja też się tu nie pchałem. Może gdybyśmy spróbowali nie wchodzić sobie w drogę, i okazać nieco zrozumienia, obu nam byłoby łatwiej.

- Widzę, że przeceniałem pana na podstawie samej reputacji - zauważył A'baht.

- Co pan sugeruje?

- Dorneanie oczekują od mężczyzny, że będzie wiedział, kiedy należy przestać zajmować się dziećmi i sięgnąć po broń. Ale taki wstyd, żeby kobieta posyłała męża do pełnienia obowiązków...

- Nie do mnie z takimi argumentami - warknął Han. - Zrobiłem już swoje i jeszcze trochę... Sądzi pan, że łatwo mi to przyszło? To nie pan atakował Gwiazdę Śmierci.

A'baht roześmiał się.

- Wreszcie pokazał pan zęby. Czy mogę zobaczyć pańskie rozkazy?

- Nie było czasu na formalności - oznajmił Han, wpychając koszulę w spodnie. - Proszę posłuchać, nie jestem dyplomatą. Niech pan spyta, kogo chce. Porozmawiamy wprost, może to nas gdzieś zaprowadzi. Nie przybyłem tu, aby zająć pańskie miejsce. Nie wiem nawet, jak się dowodzi tak wielkim zespołem, nie zamierzam się tego uczyć i nie zamierzam eksperymentować.

- Dobrze. Zatem po co pan przybył?

- Wygląda na to, że teraz ja pana przeceniłem. Myślałem, że akurat tego sam się pan domyśli.

- Księżniczka nie darzy mnie pełnym zaufaniem.

- Właśnie. A mnie ufa. Zatem jeśli ja jej powiem, że wszystko w porządku, uwierzy.

- Nie, musi być coś jeszcze - drażył temat A'baht. - Księżniczka nie do końca mi ufa, ale nie udało jej się znaleźć powodu do oficjalnego odwołania ze stanowiska. Może pan ma jej dostarczyć ten powód?

- Mam panu pomóc w uniknięciu błędów. Jeśli sam pan ich uniknie wówczas moja pomoc nie będzie potrzebna, przelecę się i tyle. Poćwiczę sobie grę w barlaza w sali rekreacyjnej, pogadam z kwatermistrzem o napitkach i nadrobię zaległości w odsypianiu.

- Księżniczka wciąż obawia się, że może dojść do zadrażeń z Yevethami.
 - Można tak powiedzieć.
 - Powinna raczej obawiać się Yevethów - stwierdził A'baht. - Chciałbym poznać pańską opinię na temat Czarnej Floty.
 - To sprawa poza moim osądem.
 - A twierdzi pan, że nie jest dyplomata?
 Han skrzywił się szelmowsko.
 - Możliwe, że Leia miała na mnie ostatnio gorszy wpływ niż sądziłem.
 - Czy zostało w panu jeszcze dość z żołnierza...
 - Nigdy, przenigdy nie byłem żołnierzem, generale, nawet gdy nosiłem takie coś - powiedział Han, ciągnąc za przód koszuli mundurowej - Zbyt jestem niezależny i mam trudności, z przyswajaniem rozkazów. Byłem rebeliantem.
 - A teraz?
 - Pewnie patriotą. O ile tak właśnie określa się kogoś, kto uważa, że Nowa Republika bije Imperium na głowę i to pod każdym względem.
 - W porządku - powiedział A'baht. - Czy zatem obecny w Hanie Solo patriota pozwoli, bym podzielił się z nim żołnierskim spojrzeniem na wyprawę do sektorów Hatawa i Farlax?
 - Dobrze - zgodził się Han. - O ile może to poczekać chwilę, aż wszyscy będziemy w miarę przytomni.
 - Owszem, może, byle nie za długo. Jadł pan już?
 - Nic od chwili startu.
 - Proponuję więc spacer do mesy kapitańskiej. Przekąsimy coś, zanim kapitan Morano rozpocznie pierwszy skok. Chyba że pański żołądek źle znosi podróże w nadprzestrzeni?
 - W żadnym razie. To miłe z pana strony. Niech tylko znajdę swoje buty.
 - No, niezupełnie miłe - stwierdził A'baht.
 - Tak? Czyżby kucharz nie opanował jeszcze rondli?
 A'baht uśmiechnął się.
 - Ponieważ jest pan starszy stopniem, a przede wszystkim ponieważ jest pan Hanem Solo, pańskie towarzystwo może się dla mnie okazać nieco kłopotliwe, szczególnie w kontekście kontaktów z załogą. Niemniej postaram się wykorzystać pana obecność dla podkreślenia wagi misji i obrócić złe na dobre. A gdy zobaczą, że traktuję pana jako gościa na pokładzie, chyba ucichną plotki wywołane pańskim przybyciem. To podziękuję lepiej niż jakiegokolwiek oficjalne sprostowanie.
 Han przytaknął.

ROZDZIAŁ

11

Zanim pułkownik Pakkpekatt dotarł do stanowiska łączności, „Ślicznotka” znalazła się niecałe dwa kilometry od wagabundy i zbliżała się nadal, wprawdzie już wolniej, ale i tak było jasne, że dobije do kadłuba w ciągu kilku lub najwyżej kilkunastu minut. Na myśl o tym wyrostki na grzbiecie Pakkpekatta nastroszyły się bojowo, a gardło poczerwieniało karmazynem, czego jeszcze nikt nigdy na mostku nie oglądał.

- Zwariowałeś, Calrissian - powiedział pułkownik lodowatym głosem. - Obiecuję ci, że stracisz w ten sposób o wiele więcej niż mógłbyś zyskać.

- Rozumiem, pułkowniku, że w tej formie obiecuje pan zrobić wszystko dla mojego ocalenia, by mieć na kim się zemścić. Podejrzewani, że marynarka nie przewiduje sądu polowego nad trupem...

- Dla trupa można znaleźć kilka innych zastosowań - rzucił Pakkpekatt z wywołującym ciarki uśmiechem. - Niemniej, skoro jeszcze żyjesz, zapewne chciałbyś się jakoś oficjalnie usprawiedliwić.

- Z miłą chęcią - odparł Lando. - Pańska decyzja wyłączenia nas ze składu zespołu zwiadowczego nie tylko wystawiała na niebezpieczeństwo Bijo i jego ludzi, ale także zagraziła powodzeniu całej misji. Pańskie nastawienie ujawnione podczas wczorajszej narady, przekonało mnie, że nie zamierza pan zwracać większej uwagi na nic, co udałoby się przedstawić naszej ekipie...

- To ja mam być winien twojej niesubordynacji? - wybuchnął Pakkpekatt, tracąc cały chłód. - Na naradzie nie miałeś dosłownie nic do powiedzenia. Obecnie uważam, że od początku dysponowałeś jakąś niejawną informacją na temat tego statku, którą nie chciałeś się z nami podzielić.

- Niejawną informacją? O czym pana gada, pułkowniku?

- Dobrze wiesz. To ty stwierdziłeś, że zespół zwiadowczy znajdzie się w niebezpieczeństwie. Ty wiedziałeś, że cel czeka na odzew. Tobie już znany.

- Naprawdę nie wiem, co pan ma na myśli. Dysponowałem pewnymi domysłami co do zamiarów budowniczych tego statku i wyłącznie na nich oparłem dalsze plany.

- Chcesz powiedzieć, że zaryzykowałeś życie całej twojej ekipy, opierając się wyłącznie na „domysłach”?

Lando zachichotał dźwięcznie.

- Cóż, pan nigdy nie grał ze mną w sabaka, pułkowniku. Czasem, żeby wiele wygrać, trzeba zaryzykować, że się przegra, i to potężnie. Nikt nie dorobi się fortuny, jeśli wciąż będzie stawiał i tylko jeden kredyt.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawisz, generale. Chociaż zawsze mi się wydawało, że ukrywanie kart w rękawie to zwykle oszustwo.

- Pułkowniku, nie dysponowaliśmy żadną tajną informacją. Po prostu udało nam się w porę znaleźć stosowny fragment w imperialnych archiwach. Dotarliśmy blisko celu i zamierzamy zrobić, co w naszej mocy. Ufam, że włączył pan rejestrację?

Pakkpekatt wyciszył fonię i spojrzał na oficera przy innym stanowisku.

- Nagraliśmy sygnał, który „Ślicznotka” przekazała przed wejściem w strefę zakazaną?

- Tak, sir.

- Czy promiennik wiązki na „D-89” ma dość mocy, żeby przechwycić „Ślicznotkę”?

- Starczy, nawet z nadmiarem - odparł oficer, nie kryjąc satysfakcji. - To tylko zwykły cywilny jacht wypoczynkowy.

- Moduł uaktywniony?

- Tak, wszystko na chodzie.

- To bądź gotów. I każ przygotować jednostkę, która ich tu ściągnie. - Pakkpekatt ponownie włączył mikrofon. - Zwijamy się jak w ukropie - powiedział Calrissianowi. - Niestety, niektóre systemy były akurat w środku kalibracji, szykowaliśmy je przeciw do późniejszego użycia. Nie są jeszcze gotowe. Możecie pozostać przez chwilę na obecnym dystansie i dać nam trochę czasu? Wystarczy kilka minut.

- To brzmi sensownie. Mam tylko nadzieję, że nie zamierza pan podesać nam zespołu zwiadowczego - ostrzegł pułkownika Lando. - Zastanawialiśmy się już nad tym i mamy pewne wątpliwości, czy ten sam odzew zadziała dwa razy z rzędu.

- Nie - odparł Pakkpekatt. - Tego nie planujemy. Tylko poczekacie. - Przerwał połączenie. - Gotowi?

- Tak, sir.

- To już.

Od czasu wczorajszego przejścia w pobliżu wagabundy „D-89” leciał w szyku za „Sławnym”, oczekując na kolejne zadanie. Miał zostać wykorzystany jako drugie stanowisko obserwacyjne dla dalekodystansowego nadzoru poczynań zespołu zwiadowczego. Włączywszy silniki, musiał pokonać zaledwie kilka kilometrów do niewidocznej granicy strefy bezpieczeństwa celu.

„D-89” jeszcze przyspieszał, gdy wagabunda go wywołał. Sygnał odebrano także na pokładzie „Ślicznotki” i „Sławnego”. Lobot pierwszy pojął, co się dzieje.

- Zbliża się kolejny statek.

- Panie Lando - powiedział niemal równocześnie Threepio. - To nie jest ta sama sekwencja.

- Wiem - skrzywił się Calrissian. - Też poznaję. Tego się właśnie obawiałem, że jednak spróbują...

Sygnał z wagabundy umilkł i popłynęła odpowiedź, przekazywana najpierw ze „Sławnego” na „D-89”, potem dalej. Zanim jednak jeszcze doszła do końca, wokół jednej trzeciej kadłuba wagabundy od strony rufy, zatańczyły błękitne błyskawice.

- Uwaga, trzymać się! - krzyknął Lando na ten widok. Sam rzucił się ku konsolocie z włącznikami wzmocnienia standardowych tarcz całą mocą zespołu napędowego.

Nie zdążył dotknąć łącznika, gdy cała sterownia zalała błękitne światło tak intensywne, że 3PO odwrócił głowę, i tak zimne, że Landa przebiegł dreszcz. Zawył z pół tuzina alarmów naraz, jakby sam jacht krzyknął ze zdumienia, a kakofonii dopełniło przeszywające zawrodoenie oszalałego nagle Artoo.

Z punktu widzenia obecnych na mostku „Sławnego” wszystko zajęło tylko kilka sekund. Ci, którzy trwali akurat pochyleni nad konsolotami, przegapili widowisko. Gdy spojrzeli zaintrygowani na ekrany, ujrzeli jedynie puchnącą gwałtownie chmurę świecących śmieci.

Nieco wcześniej wagabunda nagle pojaśniał i z trzech różnych punktów zwieńczenia rufy wystrzeliły trzy promienie, które przecięły próżnię niczym sztylety reflektorów dalekiego zasięgu. Skrzyżowały się w pewnym miejscu i natychmiast doszło tam do niewielkiej, ale gwałtownej eksplozji.

Równocześnie przestały napływać na „Sławnego” dane telemetryczne z „D-89”.

Promienie zaraz zniknęły, równie sprawnie jak się pojawiły. Znów nic się nie działo. Wagabunda prawie zniknął z pola widzenia, gdy wtórne eksplozje zaczęły rozpraszać chmurę w mgławicowaty obłok.

- Co ze „Ślicznotką”? - spytał cicho Pakkpekatt, zwracając się do wstrząśniętego technika.

- Ee... Od nas niewiele widać, śmieci przesłaniają. Chmura jest zbyt silnie zjonizowana. Ale „Marauder” ma wciąż „Ślicznotkę” na ekranach.

- Bardzo ciekawe - mruknął Pakkpekatt, odwracając się do okna mostku. - Rejestracja, powtórzyc scenę ataku na pół szybkości. Niech wszyscy uważnie przyjrzą się temu na swoich monitorach. Zobaczmy, czy uda się czegoś dowiedzieć o przyjacielach naszego generała.

Lando po kolei wyciszał alarmy: zbliżeniowy, ostrzegający o anomaliach, radiacji, obcej transmisji i przeciążeniu systemów. Sam statek wydawał się nie uszkodzony, nic go nawet nie drasnęło.

- Co to było?

- Eksplozja osiem kilometrów za naszą rufą - powiedział Lobot. - Sądzę, że właśnie mieliśmy możliwość zobaczyć pokaz technologii Quellich.

- Święta królowo marynarzy. Powiedz mi jeszcze, że to był desantowiec z drużyną...

Lobot otworzył łącze z niestrzeżoną końcówką systemu informacyjnego „Sławnego”.

- To był zwiadowczy „D-89”. Bezzałogowy.
 - Dzięki gwiazdom. - Lando połączył się z krążownikiem. - Pułkownik, może kiedyś nauczy się pan jednak nie puszczać moich słów mimo uszu.

- Niezwłocznie, gdy tylko przestaniesz kłamać, generale. Wtedy chętnie posłucham.

- Kłamać?

- Właśnie - parsknął Pakkpekatt. - Na początek mógłbyś mi powiedzieć dla kogo właściwie pracujesz, co jest wewnątrz naszego celu i dlaczego postanowiłeś zdradzić Nową Republik. Wagabunda pozwolił wam podejść i teraz was chroni.

- Ostrzegalem pana, generale, że klucz może nie zadziałać powtórnie. Hasło wysłane pod adresem jednostki zwiadowczej brzmiało inaczej niż poprzednie. Nie przypadkiem, jak sądzę, ale właśnie po to, by zapobiec podobnym podstępom jak ten zamierzony przez pana. Jeśli wagabunda nas chroni, to tylko dlatego, że obecnie uważa nas za swoich.

- Sugerujesz, że po prostu szczęście dopisało graczowi?

- Nie byliśmy tu umówieni. Pułkownik, teraz przerywam połączenie i spróbujemy tam wejść.

- Jeśli nie byliście, to czemu wagabunda nie spróbował ucieczki?

Lando podniósł wzrok na dziobowy iluminator „Ślicznotki”. Broń, której wagabunda użył przeciwko jednostce załogowej, byłyby równie skuteczna wobec jednostek przechwytyjących przy próbach skoków nadprzestrzennych. A starczyłoby zniszczyć lub poważnie uszkodzić choćby jedną i nic nie przeszkodziłoby w ucieczce.

- Nie wiem, pułkownik - powiedział Calrissian. - Może czeka na nas. Zamierzam zbliżyć się do niego i zobaczymy, co z tego wyniknie - Lekkim ruchem włączył silniki na małą moc. - A na razie, jeśli zaprzestanie pan wysyłania kawalerii i zajmie się raczej obserwacją, to zweryfikujemy wszystko, co wiemy. Albo co nam się tylko wydaje, że wiemy.

R2-D2 i 3PO rozmawiali sobie dotąd cicho na tyłach kabiny, teraz jednak Threepio podszedł do Landa i Lobota.

- Sir...

- Poczekaj, Threepio.

- Sir, Artoo mówi, że ta nowa sekwencja wysłana podczas podejścia jednostki zwiadowczej nie pasuje do zestawu informacji otrzymanych z archiwów zwiadu.

- Co?

- Artoo mówi, że tym razem nie potrafiłby określić właściwego brzmienia odpowiedzi.

Lando potrząsnął głową.

- Mam wrażenie, jakby ktoś oszukiwał w tej zgadywance. Pułkownik, słyszy pan?

- Słyszę słyszę. Ale nie rozumiem.

- Dopasowaliśmy wcześniejszy sygnał wagabundy do zapisu kodu genetycznego istot zwanych Quella. Właściwą odpowiedź stanowił dalszy ciąg sekwencji

genetycznej. Teraz jednak usłyszeliśmy inną zupełnie sekwencję i nie wiemy, co nastąpi dalej. Może Lobot coś wymyśli. Poprzednie spostrzeżenie było jego dziełem.

- Wyjaśnienie mamy jak na dłoni - stwierdził Lobot. - Ale to nie rozwiąże problemu.

- I tak chciałbym je usłyszeć - powiedział Pakkpekatt.

Lando również chciał.

- Przejrzałem zapisy dotyczące historii Quelling. Odkrył ich drugi zwiad galaktyczny. Były to pierwsze zarządzane przez Republikę kompleksowe badania zamieszkałych światów w obrębie galaktyki. Tak się jednak złożyło, że wszystkie nasze informacje o Quelling pochodzą z meldunku jednostki penetrującej. Statek kontaktowy zjawił się dopiero osiem lat później. Ekipa stwierdziła, że wszyscy Quelli nie żyją. Sama planeta była na jednej trzeciej powierzchni pokryta grubą na sto metrów warstwą lodu.

- Wszyscy? Co się stało?

- Podejrzewano upadek asteroidy - wyjaśnił Lobot. - Zebrano próbki materiału genetycznego i nieco artefaktów z dwóch różnych miejsc, ale statek kontaktowy nie posiadał wyposażenia archeologicznego, a poza tym czekały inne światy, nadal zamieszkane. Zaznaczono planetę jako stosowny cel dla wyprawy czysto archeologicznej i statek odleciał. Jednak do dalszych badań nie doszło.

- Czemu? - spytał Lando.

- Program trzeciego zwiadu galaktycznego nigdy nie został zakończony - wyjaśnił Pakkpekatt. - Zawieszono go wraz z wybuchem Wojen Klonów.

- Pułkownik ma rację - potwierdził Lobot. - Wszystkie statki zwiadowcze i kontaktowe zostały przejęte przez flotę imperialną przy stanie zaawansowania prac w sześćdziesięciu jeden procentach.

- To znaczy, że nie ma już nigdzie nic więcej o Quelling? - spytał Lando. - Coś przecież musiało się zachować. Organizowali podróże międzygwiazdne. Mieli sąsiadów. Chyba z nimi handlowali...

- Może personel pułkownika potrafiłby odnaleźć takie informacje - odparł Lobot. - Ja nie trafiłem na żadne odsyłacze dotyczące ich planety i mieszkańców.

- Moi już nad tym pracują - zapewnił zwięźle Pakkpekatt. - Gdybyście od razu przekazali mi tę informację, zapewne wiedzielibyśmy nieco więcej.

Sylwetka wagabundy wypełni już niemal cały ekran „Ślicznotki”.

- Pułkownik, ostatecznie może pan spróbować rozegrać dwie partie naraz. Jeśli nawet jedną pan przegra, drugą można wygrać. Gdybyśmy dali panu szansę zagrania naszą kartą, co by pan uczynił? Gdzie byłby w tej chwili Bijo Hammax?

- Racja, generale - odezwał się po krótkiej chwili ciszy oficer wywiadu.

- Dziękuję, pułkownik. Jesteśmy już bardzo blisko, sam pan chyba zresztą widzi. Teraz wolałbym zająć się głównie tym, co nas tu czeka. Pozostaniemy w kontakcie, jednak nie chciałbym czuć się zmuszony do nieustannej troski o pana osobę.

- Jeśli zostawicie otwarte łącza audio...

- Zapewne życzyliby pan sobie również otrzymać odczyty z czujników w naszym kokpicie. Lobot to załatwi.

- Zrobimy, co w naszej mocy, aby wam pomóc - stwierdził Pakkpekatt.
Lando wiedział, że wypowiedzenie tych słów nie przyszło Hortekowi łatwo.
- Słyszeć też nas będziecie - powiedział. - Jeśli jednak naprawdę chce pan pomóc, to sugerowałbym pociągnąć za wszystkie sznurki, aby właściwe osoby jak najszybciej posłały jakiś statek na planetę Quellich. Możliwe, że znajdą tam jeszcze odpowiedzi, których będziemy potrzebowali, nim cała ta sprawa się skończy.

„Ślicznotka” płynęła powoli wzdłuż odległego zaledwie o sto metrów kadłuba wagabundy. Lando dopiero teraz mógł należycie przyjrzeć się obiektowi.

Z daleka wydawał się niezgrabny i niekształtny, z bliska podobieństwo do trzech masywnych kłód połączonych grubymi skrzyżowanymi lianami narzucało się jeszcze bardziej. Wrastające w metal „liany” miały jednak przekrój na ryle szeroki, że każda z nich była znacznie grubsza niż kadłub jachtu. We wnętrzu kłody mógłby spokojnie zaparkować nawet krążownik.

- Wygląda trochę jak Foss - powiedział Lando. - Jak myślisz, do czego mogą służyć te występy?

- Nie wiem, czy one mają znaczenie funkcjonalne, czy też symboliczne - stwierdził Lobot. - Brak mi w tym wzorze powtarzalności.

- A może to jakieś przewodniki lub koncentratory energii na potrzeby systemów uzbrojenia? Nie widzę niczego innego, co przypominałoby broń.

- Niewykluczone, że ich broń wykorzystuje do ładowania pojemność powierzchniową - przyznał Lobot. - System ten, zwany SCC, został uznany za zbyt niebezpieczny, aby używać go na jednostkach operujących w składzie floty, jednak pojedyncze statki zdolne są zgromadzić nawet bardzo wielkie ładunki powierzchniowe bez zakłócania pracy systemów wewnętrznych. Głęboka próżnia to doskonały izolator.

- To znaczy, że całe jego poszycie może służyć jako kondensator tej broni, której pokaz działania widzieliśmy?

- Właśnie. Te wyrostki, jak je nazwałeś, zwiększałyby wówczas powierzchnię poszycia. Sam moduł broni może być nawet niewielki.

- Chyba powinniśmy jakoś się przywitać - zaproponował 3PO. - Chętnie pomogę.

- Jeszcze nie teraz, Threepio - powiedział Lando. - Widzicie to tutaj Bijo zamierzał spróbować. Jeszcze trochę. Przesuń wskaźnik nieco w górę i w prawo.

- To nie jest właz - oznajmił Lobot, przyjrzawszy się miejscu. - To tylko jakiś wzór na poszyciu. Brak spoin czy szczelin.

- Rezerwowy punkt lądowania leży bardziej z przodu. Zaraz go sobie obejrzymy.

- Generale Calrissian - odezwał się Pakkpekatt.

- Tak. Pułkownik.

- Pomyślałem, że ucieszy was wiadomość, iż „IX-26” został odwołany z patrolu w rejonie Nouane i otrzymał polecenie wzięcia na pokład zespołu archeologicznego z Instytutu Obrońskiego. Obecnie wszyscy są już w drodze na planetę Quella.

- Dziękuję, pułkownik.

- Szef mojego działu wyszukiwania danych chciałby też, żebyście przy pierwszej nadarzającej się okazji przyczepili do kadłuba wagabundy znacznik śledzenia i monitoringu. W planie misji abordażowej umieściliśmy to jako czynność priorytetową.

- Pułkownik, jak tylko znajdę jakiś sposób, natychmiast przyczepię mu do burty cały mój jacht. Tylko jeszcze nie wiem, gdzie Dobrze, skoro na razie panuje spokój, to podrzucę wagabundzie TRAML. Na ręcznym sterowaniu, żeby nie napytać sobie biedy.

- Patrz, Lando - odezwał się nagle Lobot.

Powierzchnia wagabundy ożyła nagle od małych, bladawych plamek światła, które pojawiały się i znikwały według stałego wzoru, zapalając się na górze i biegnąc wzdłuż występów na burtach i dalej, ku dołowi, gdzie znikwały za krzywizną kadłuba. Zawsze w łatwych do wychwycenia spojrzaniem sekwencjach. Niezawodnie przyciągały oko.

- Oho! Spójrz, Artoo! Szykuje się do ataku! - zawołał 3PO.

- Ostatnim razem, gdy otworzył ogień, wyglądało to zupełnie inaczej - zauważył Lando.

- Wtedy byliśmy w odległości dwóch kilometrów - przypomniał Lobot. - Za daleko, żeby zauważyć coś tak nikłego.

- Tutaj niektórzy uważają, że to znak aktywności napędu i że statek szykuje się do skoku w nadprzestrzeń - wtrącił się Pakkpekatt. - Sugeruję, byście się nieco wycofali i jak najszybciej wystrzelili znacznik. Możecie nie mieć drugiej takiej okazji.

- Znalazłbym jeszcze inne wytłumaczenie - powiedział Lobot. - Możliwe, że wagabunda zadaje nam kolejne zapytanie. Jeśli tak, to niestety, nie znamy odpowiedzi.

- Generale, nalegam na umieszczenie znacznika i powrót - powtórzył z naciskiem Pakkpekatt.

Nie! - równie stanowczo odmówił Lando. - Najpierw muszę zobaczyć, co dzieje się na tych partiach kadłuba, których stąd nie widzę. Czy tam też pojawiają się światełka? Czy te sekwencje mają początek i koniec? Lobot, mamy jeszcze jakieś inne ujęcia?

- Już sprawdzam. Strumień błysków zaczyna się w miejscu położonym bliżej rufy, niż nasza obecna pozycja i następnie rozbija się na dwa nurty, które spiralą oplatają kadłub, biegnąc ku dziobowi wzdłuż linii podziału segmentów poszycia. Oba nurty kończą się w osobnych punktach po drugiej stronie statku.

- Threepio, pojmujesz coś z tego? Znowu mamy dwa łańcuchy. Kolejna prawidłowość?

- Nie rozpoznaję w tych sekwencjach żadnego znanego mi języka, panie Lando. Możliwe jednak, że to nie komunikat językowy, tylko symboliczny.

- Co masz na myśli?

- Że to nie strumienie danych, lecz wskaźniki.

- Wskaźniki... Ale za którym powinniśmy podążyć?

- Panie Lando, czy mogę zaproponować, by skierował pan jacht ku miejscu, gdzie się rozdwiają?

- Znaczy pod prąd?

- Sir, nie istnieje coś takiego, jak uniwersalny kod komunikacji symbolicznej. Pan został w tej mierze uwarunkowany zwyczajami swojej kultury i dlatego skłonny jest podążać zawsze za ruchem wskaźnika, miast poszukać źródła, z którego strumień danych wypływa.

- Threepio ma rację - powiedział Lobot. - Możesz przesunąć się do miejsca, gdzie to się zaczyna. A nuż tam właśnie jest najważniejszy punkt. Ostatecznie minęło już trochę czasu od chwili, gdy wymieniliśmy sygnały. Mogli uznać, że przeoczyliśmy wejście lub nie wiemy, jak je odnaleźć.

Lando uniósł ręce w geście poddania.

- Zatem do tyłu - powiedział i sięgnął do kontrolki napędu.

Patrząc na przesuwające się obok ku dziobowi jasne punkciki, Lando nie mógł oprzeć się wrażeniu, że podąża w złym kierunku. Gdy jednak dotarł do źródła obu strumieni, ujrzał poszerzający się z wolna mroczny otwór. Równocześnie światła zniknęły.

- Zapraszają nas do środka - stwierdził Lobot.

- Niech mnie choroba kosmiczna pokreści... - odetchnął Lando, nie kryjąc zdumienia. - Mamy ich, Lobocie. Mamy ich. Co wiemy o atmosferze Quelli?

- Siedemdziesiąt pięć procent azotu, trzynaście procent dwutlenku węgla, dziewięć procent tlenu, jeden procent pary wodnej, śladowe ilości helu, neonu...

- Starczy - powiedział Lando, przełączając sterowanie „Ślicznotki” na automatyczny tryb utrzymywania pozycji. - Androidom nic nie zrobi różnicy, ale dla moich płuc to trochę zbyt gęsta mieszanka. Trzeba wdziać skafandry, stary. Do roboty.

Właz śluzu jachtu i wagabundy różniły się zarówno rozmiarem, jak i kształtem. Należało zastosować stary i prosty wynalazek elastycznego łącza, które Lando woził na swoim jachcie jako fragment standardowego wyposażenia. Teleskopowy i giętki rękaw można szczelnie umocować do kadłuba drugiego statku, tworząc wygodny w pokonywaniu tunel.

Lando zamknął swój hełm aż do pełnej hermetyczności i spojrzął na Lobota.

- Wszystko w porządku? - zawołał głośniejszym głosem niż trzeba. Od zawsze unikał w miarę możliwości zakładania skafandra i wciąż jeszcze został mu odruch neofity, by krzyknąć przez szybkie wizjera.

- Wszystko gra - odparł Lobot. - Ciśnienie i temperatura w normie, prawie nie ma zakłóceń.

- To świetnie. Wchodzimy do rękawa.

Lando uruchomił system sterujący położeniem pierścieni rękawa i równocześnie kontrolujący dryf samego statku. Autopilot natychmiast zalał Landa potokiem informacji. Calrissian jednak zaczął słuchać dopiero najważniejszego.

- Zaczynam procedurę przytwierdzenia rękawa. Próba z użyciem zamka magnetycznego - zapowiedział autopilot. - Sprawdzam. Nieskuteczność zamka magnetycznego. Próba z użyciem podciśnienia. Sprawdzam. Nieskuteczność blokady podciśnieniowej. Próba z użyciem metody chemicznej numer jeden. Sprawdzam. Nieskuteczność metody chemicznej numer jeden...

- Z czego oni zrobili ten kadłub? - zirytował się Lando.

- Możemy po prostu tam wlecieć - zaproponował Lobot.

- Nie ma co, wiesz jak pocieszyć.

- Z tego co wiem, wielu ludzi lubi uprawiać swobodne szybowanie w próżni, rekreacyjnie, w ramach wakacji i urlopów.

- ... Próba z użyciem metody chemicznej numer trzy. Sprawdzam. Nieskuteczność metody chemicznej numer trzy. Próba z użyciem przyłg mechanicznych, typ pierwszy. Sprawdzam. Przyłgi mechaniczne, typ pierwszy, trzymają.

Typ pierwszy przyłg mechanicznych oznaczał tysiące miniaturowych kompozytowych kołców przymocowanych do monomolekularnych kotwic, a potem naciągu nici dosuwała się uszczelka pierwszego pierścienia rękawa.

- Jakież zmiany, pułkowniku? - spytał Lando.

- Nic nowego, generale.

- Wygląda, że nic tam nie poczuli - mruknął Lando do towarzyszy. - Próba ciśnieniowa rękawa - poleciał. Nie słyszeli syku, ale pompy wprawiły pokład w lekkie drżenie. - Chyba trzyma. Ciśnienie ani drgnie.

- Powodzenia, generale - powiedział Pakkpekatt, któremu obecnie pozostała już tylko rola widza. - Zazdroszczę ci.

Lando wciągnął głęboko powietrze i uśmiechnął się.

- Jeśli pan chce, możemy się zamienić miejscami, pułkowniku. Lobot, gdybyś stracił z mną kontakt, zabieraj stąd statek. Nie próbuj iść za mną.

Lobot uniósł pytająco brew.

- Naprawdę sądzisz, że wykonam taki rozkaz?

- Cóż... - mruknął Lando i znów się uśmiechnął. - W każdym razie nie gnaj na pierwszy mój wrzask.

- Powodzenia, Lando - powiedział Lobot i otworzył wewnętrzny właz śluzu.

- Proszę zachować ostrożność, panie Lando - zawołał za nim 3P0.

Sztywne pierścienie rękawa wyposażone były w uchwyty pomagające w przejściu pięciometrowego tunelu pomiędzy statkami. Lando przystanął przed wejściem do wagabundy i włączył lampy skafandra i hełmu, jako że przestrzeń w głębi ledwo majaczyła, rozjaśniona jedynie światłem płynącym ze „Ślicznotki”.

Zrobiło się jaśniej, zniknął poprzedzający Landa własny cień, jednak we wnętrzu statku Quelli nadal niewiele mógł zobaczyć. Ot, pusta przestrzeń, pomieszczenie o gołych ścianach utrzymanych w tym samym odcieniu, co kadłub.

Lando chwycił za górną krawędź otworu, uniósł stopy i wpłynął do środka. Natychmiast spróbował rozejrzeć się we wszystkich kierunkach naraz. Oczekiwał, że wraz z jego pojawieniem się zabłysną jakieś światła, ale nic się nie stało. Błask własnych lamp wystarczał wszakże do upewnienia się, że naprawdę jest tu sam.

- Dobra nasza, wszedłem - zameldował. - Pomieszczenie jest mniej więcej dwakroć mojej wysokości w każdym kierunku. Masa miejsca dla całej naszej czwórki. Na razie brak reakcji na gości. Nie ma światła, nie dostrzegam też żadnych dalszych

drzwi. Jednak nie widzę również mechanizmu wjazdu, przez który przeszedłem, więc może po prostu nie potrafię rozpoznać tutejszych wrót.

- Uważaj żebyś się w przypuszczeniach nie zgubił - odparł nowy głos. Bijo Hammaxa. - To może wcale nie być śluza. Albo jest inna niż na twoim statku.

Cześć, Bijo Myślałem, że obraziłeś się na mnie, kiedy wyslizgałem cię z randki.

- Postanowiłem, że najpierw poczekam i zobaczę, co osiągniesz - powiedział Hamman. - Jeśli zginiesz, to ci wybaczę

- Miło z twojej strony, stary - mruknął Lando i spojrział w bok. - Chwilę, coś tu się... dziwne...

Patrząc za siebie na wewnętrzną stronę kadłuba, dojrzał niespodziewanie wyraźnie zarysowany na ścianie kształt mocującego pierścienia rękawa. Słaby, szarawy cień. Wyłączył światła skafandra. Pierścień ukazał się jeszcze wyraźniej.

- Czemu wyłączyłeś światła, generale?

- Widzicie? - spytał Lando. - Nie rozumiem jak to się dzieje, ale wyraźnie widzę poprzez poszycie. Szary pierścień dokładnie tego samego kształtu i wielkości, co mocowanie rękawa.

- Na przekazie niedostrzegalne. Chcesz powiedzieć, że kadłub jest półprzezroczysty? - spytał Lobot.

- No właśnie. Co z reflektorami statku? Możecie mi trochę poświecić?

Już.

Kiedy „Ślicznotka” rozbłysła światłem, rzecz wyjaśniła się do końca. Cała zewnętrzna ściana pomieszczenia rozjarzyła się lekko, a pierścień obrysował wyraźny, czarny kształt. Gdy Lando przesunął palcami po ścianie, nawet przez rękawice wyczuł, że zarys cienia jest jakby nieco wypukły.

- Wygląda zupełnie jak rana - stwierdził. - Powiedziałbym, że kadłub spuchł w miejscach, gdzie wbiły się kotwiczki. Chodź tu, Artoo, chcę żebyś to zeskanował i zarejestrował.

- To może być cecha uboczna funkcji samonaprawczej - zasugerował Hamman. - Ta metoda cumowania powoduje mikroskopijne uszkodzenia na powierzchni, do której przylega. Zaś co do półprzezroczystości, generale, chyba odkrył pan, dlaczego poszycie jest gładkie. To, co widzimy, prawdopodobnie nie jest właściwym kadłubem, ale otoczką ochronną, zapewne przepuszczalną dla różnych długości fal. Właściwe zespoły czujników znajdują się pod spodem.

Zanim Hamman skończył snuć swoje spekulacje, w wejściu pojawił się R2. Zaćwierkał do Landa i wszedł przyzwany gestem dłoni. Brak uchwytów we wnętrzu, dość dokuczliwy dla Calrissiana, nie był dla robota problemem. Ustawiając właściwie dysze maleńkich silniczków gazowych, zwykłego elementu wyposażenia robotów astronawigacyjnych, R2 potrafił poruszać się w przestrzeni o wiele sprawniej niż człowiek. Za to Lando stale dryfował mimowolnie ku którejś ze ścian i, chcąc nie chcąc, wirował wokół rozmaitych własnych osi.

- Macie teraz lepszy obraz? - zawołał generał.

- O wiele - odparł Lobot. - Gotów jesteś na przyjęcie reszty ekipy?

- Ale tu nie ma nic do oglądania - powiedział Lando, omiatając ściany strumieniem światła. - Gole ściany i tyle.

- Czy wyglądają na wykonane z tego samego materiału, co poszycie? - spytał Hammax. - Jeśli tak, to mogą się pod nimi kryć zespoły czujników albo i uzbrojenie. To zdaje się działać jak jednostronne lustro. I ewentualnie załoga statku siedzi tuż za ścianą i nic, tylko słucha i patrzy.

- Dziękuję za dodanie ducha - mruknął Lando. - Jednak jeśli to statek Quelling, chyba możemy liczyć tylko na duchy, za długo krążył w próżni. Cóż, pułkowniku, wygląda na to, że zawędrowałem w ślepą uliczkę. Możliwe, że będziemy musieli wykroić sobie własne wejście.

- Lando, przypomnij sobie, o czym rozmawialiśmy wczoraj - powiedział Lobot. - Każda prosta droga, każde otwarte drzwi mogą być pułapką. Gdybyś pośrodku którejś z tych ścian zobaczył wielki, czerwony przełącznik, radziłbym ci go nie dotykać. Wstęp musi wymagać czegoś więcej niż tylko obserwacja. Konieczna jest pewna wiedza. W tym przypadku idealny zamek to taki, którego ty w życiu nie zauważysz, chociaż każdy Quella od razu wiedziałby, na co patrzy.

- Zatem może ma to coś wspólnego ze wzorkiem, który widzę na ścianach - stwierdził Lando, wyciągając szyję. - To jedyna ich cecha, która kojarzy mi się z jakakolwiek informacją. Lobocie, ThreePio, czemu nie dołączycie do nas? Obejrzyjcie to sobie i może coś wam przyjdzie do głowy. Weźcie ze sobą osobiste ślizgi. Artoo radzi sobie jak ryba w wodzie, ale ja wolałbym się czegoś złapać. Wy pewnie też.

Lando westchnął i pomanewrował przy kontrolce klimatyzacji skafandra, chcąc dmuchnąć sobie chłodnym powietrzem w twarz.

- Pułkowniku? I co tam?

- Nic - odparł Bijo Hamman. - Nie mamy pomysłów.

- Brak pomysłów to moja najlepsza strategia - mruknął ponuro Lando. - A już myślałem, że zaczęliśmy robić postępy. Tymczasem proszę, znów nas załatwili.

Bijo roześmiał się.

- Może gdybyśmy dotknęli właściwego z tych wzorków - zasugerował Lobot.

- Dotknąłem już ze trzydziestu, zanim przyszlście. Głową, łokciami, tyłkiem, kolanami...

- Właściwego, powiedziałem. I we właściwy sposób, a nie przypadkiem.

- Więc powiedz jeszcze, który jest właściwy - warknął Lando. - Jasny czy ciemny? Szybko czy wolno? Od lewej do prawej czy z góry na dół?

- Nie wiem - przyznał Lobot. - Przepraszam.

- A tam, to nie twoja wina. Teraz przydałby się nam jeden myślący Quella, ale ten towar akurat się skończył. Już wiem czego zapomniałem zapakować...

- Lando...

- Co?

- Widziałeś kiedyś obrazy Donadich? Te plamiaste.

- Co? Dziwną porę wybrałeś sobie na dyskusje o malarstwie.

- Odpowiedz na moje pytanie - nakazał ostro Lobot.

- Dobra. Nie słyszałem. Dlaczego pytasz?

- Dla człowieka to tylko wielkie płótna pokryte przypadkowymi, kolorowymi plamami, ale Donadi siadają przed takim obrazem i wpatrują się w niego przez co najmniej dziesięć minut. Jeśli trwa to dość długo i ma się wprawę w tym, co oni nazywają „mimopatrzeniem”, coś zmienia się w ich mózgach, w ośrodkach postrzegania, i nagle zaczynają odbierać te plamy jako trójwymiarowe obrazy.

- Ja to kiedyś widziałem - wtrącił się Hammax. - Najdziwniejszy rodzaj sztuki. Donadi medytują bez końca, a potem wpadają w wielki zachwyt nad czymś, co wydaje się zwykłą halucynacją.

- Ale to nie jest halucynacja - powiedziała Lobot. - Donadi nie malują w gruncie rzeczy obrazów ilustracyjnych, to raczej stymulanty wyobraźni. Nie malowidło jest istotne, tylko zawarta w nim sugestia. To sztuczka związana z percepcją. Działa w przypadku tylko jednej rasy.

- Myślisz, że gdyby zobaczył to Quella, wiedziałby, co to znaczy?

- Sugeruję jedynie, że oznaczenia zostały przygotowane nie dla oczu Quelling, co dla ich umysłów.

Lando zmarszczył czoło i potrząsnął głową.

- Nawet jeśli masz rację, nas to nie zbliża do celu.

- Artoo jako jedyny spośród nas może objąć spojrzeniem całe pomieszczenie naraz. Mogę podesłać mu alternatywny wzór danych o sposobach percepcji Quelling. Właśnie otrzymałem coś takiego z Instytutu Badań nad Rozumnymi na Baraboo. Dysponują najpełniejszą z utworzonych kiedykolwiek bazą danych neurofizjologicznych, ze szczególnym wyróżnieniem funkcji mózgowych. Artoo mógłby przetworzyć obraz zgodnie z postrzeganiem Quelling, a potem pokazać go nam. Zmodyfikowany do naszych standardów odbioru.

- Dla mnie brzmi to tak, jakby ktoś planował wygraną w sabaka, mając cztery karty.

- Szczęście to nie innego, jak umiejętność właściwego korzystania z posiadanej wiedzy - powiedział Lobot. - Sam to kiedyś powiedziałeś.

- Ja tak powiedziałem?

- Jasne. Do roboty.

Powiada się na Gaiosie, że nie zna kwiat nasienia, które go zrodziło. Co okazuje się prawdziwe wobec kwiatów i nasion, jest również prawdą w odniesieniu do cywilizacji i światów. W długiej historii galaktyki powstało wiele cywilizacyjnych drzew genealogicznych zbyt splecionych, by ktokolwiek zdołał spamiętać wszystkich swoich przodków lub potomków.

Na ponad tysiącu tysięcy światów życie wyłoniło się z tygla czasu i energii, i zginęło w mgnieniu oka.

Na ponad stu tysiącach światów życie przetrwało, by zakwitnąć rozumem, najdoskonalszą bronią przeciwko entropii i wiecznej zmienności.

Na ponad dziesięciu tysiącach światów życie zajęło się samym tygłem i nauczyło się budować pomosty poprzez nieprzebyte otchłanie, sięgając jak najdalej, osiedlając

się pod nowymi gwiazdami, badając i podbijając rejony nader odległe od własnej kolebki.

Niektóre ze światów wyróżnionych darem życia przekazały z czasem swe dziedzictwo innym, aż po eonach lat rzadkie kwiaty pochodzące z jednego nasienia kwitły na milionach planet, wypełniając całą galaktykę. Jednak nigdy w historii nie zdarzyło się tak, by jakaś rasa знаła w pełni swe pochodzenie, gdyż wspomnienia nie oganiają tak wielkich przestworów czasu, i jedynym świadkiem pierwszych, trudnych narodzin była sama Moc.

Istoty, które zwały siebie Quella, nie miały własnego potomstwa. Nie założyły żadnych kolonii, nikt im niczego nie zawdzięczał. Owszem, posiadały środki, by opuścić własną planetę, ale brakowało im po temu motywacji.

Quelli mieli jednak rodziców, których prawie nie pamiętali, lecz od których w ewidentny sposób się wywodzili. Rodzice owi nazywali się Qonet i mieli wielu potomków, a także i swoich rodziców, którzy zwali się Ahra Naffi. Tak więc, chociaż Quelli nie spłodzili dzieci, należeli do licznej rodziny, zaś ich kuzynów i pociotków nikt nie potrafiłby zliczyć.

Właśnie w poszukiwaniu takich krewniaków Quelling Lobot przetrząsał archiwa Instytutu Badań nad Rozumnymi. Nie wiedział wprawdzie o historii Quelling więcej niż oni sami, dysponował jednak podstawowymi wzorami cywilizacyjnymi, które mógł porównywać. Liczył w poszukiwaniach nie tyle na szczęście, ile na wybór właściwego algorytmu poszukiwań, zasobność archiwów oraz fakt, iż Ahra Naffi byli ludem nader płodnym i wytrwałym.

W każdym razie tak właśnie twierdził Lobot później, po fackie. Ślepy traf był zawsze domeną Landa, od której on sam wolał się dystansować, jako od zjawiska efemerycznego i nieprzewidywalnego. Przybrało to formę ukrytej rywalizacji i Lobot cieszył się zwykle po cichu, gdy metoda Landa zawodziła, a systematyczność wygrywała. Dumny był ze swojego sposobu pracy, w którym kompetencja liczyła się o wiele bardziej niż przypadek, a pracowitość bywała nagradzana znacznie częściej niż ryzykanctwo.

Tym razem nagrodą okazała się matryca mentalna Khottów z Kho Nai.

Obrazy wyświetlony przez R2 ukazywał tylko fragment ściany, ale obejmował całość wzorów tak, jak byłyby postrzegane przez Khotte. Poddane kompresji, przetworzeniu i przekładowi, nie wymagały dodatkowego wyjaśnienia. Uwagą z miejsca przykuwał jeden punkt którego znaczenie było jasne.

- Tutaj - powiedział Lando. W tym narożniku. Oto twój wielki, czerwony guzik.

- Niczego nie widzę - odezwał się 3PO. - Artoo, musiałeś się niechybnie pomylić.

- Ty nie masz szans go dostrzec - wyjaśnił Lando. - Nie masz właściwych oczu.

Ale on tam jest.

Calrissian odepchnął się od stelaża napędu i popłynął do kąta.

- Generale Calrissian? Tutaj Hammax. Proponuję, abyście pierwsze manewry z obiektem zlecili waszemu Artoo.

- Gdzie się podział pułkownik?

- Pułkownik Pakkpekatt zajmuje się monitorowaniem.
 - Powiedz mu, że wolałbym mieć go na fonii - powiedział Lando. - W porządku, Artoo. Masz punkt na celowniku?
 Artoo pisnął entuzjastycznie.
 - No, to pociągamy za dzwonek.
 Robot opuścił dotychczasowe miejsce przy stelażu i ruszył przez pomieszczenie. Z wyciągniętym manipulatorem zbliżył się do zaokrąglonego narożnika.
 Kleszcze rozwarły się maksymalnie i w tym położeniu dotknęły ściany.
 Nic się nie stało.
 - Naciśnij mocniej, Artoo - polecił Lando.
 Dysze robota syknęły strumykami gazu, jego srebrzysty korpus zawibrował.
 - Starczy, Artoo - zdecydował Lando. - Zrób mi miejsce.
 - I co o tym myślisz, generale? - spytał Hammax.
 - Może statek pamięta, że to nie androidy go zbudowały? - zasugerował Lando, wyciągając dłoń, by dotknąć tego samego miejsca, co Artoo.
 Znowu bez skutku, chociaż dysze skafandra dały z siebie wszystko.
 - Musieliśmy źle odczytać instrukcję - powiedział 3PO. - Artoo, mógłbyś odwrócić wszystko do góry nogami?
 Mały robot odburknął coś wyraźnie obrażonym tonem.
 - Tu się nie da naprawdę solidnie nacisnąć - wściekał się tymczasem Lando. - Może ci Quella byli silniejsi od nas, albo lepiej sobie radzili w podobnych warunkach?
 - Jeszcze się nie udało otworzyć żadnych drzwi Quellich siłą - powiedział Lobot.
 Lando obejrzał się na towarzysza.
 - Jeszcze nie? - spytał i chwycił za pierścień łączący prawej rękawicy skafandra. Obrócił go i pociągnął.
 - Co robisz? - zaprotestował Hammax.
 - Materiał skafandra i manipulator robota to prawie to samo, nie sądzisz?
 Z ostrym szcęknięciem zdarł rękawicę.
 W pomieszczeniu było upiornie zimno i dłoń niemal od razu boleśnie zlodowaciała. Lando wetknął rękawicę pod lewą pachę, ustawił się twarzą do narożnika i dotknął ściany.
 Natychmiast mały jej fragment zwinął niczym rolka tapety odsłaniając wnękę o szerokości niemal równej średnicy hełmu i tak głęboką, że Lando nie był pewien, czy zdoła sięgnąć do jej końca.
 - Udało mu się! - krzyknął 3PO.
 - Tutaj jest jakiś uchwyt - powiedział Lando zaglądając do środka. - W każdym razie tak to wygląda. - Artoo, zajrzyj z łaski swojej i pokaż chłopakom, co znaleźliśmy.
 - Generale, radziłbym jak najszybciej nałożyć rękawicę - powiedział Hammax, czekając aż R2 przekaże obraz. - Uchwyt może być dostrojony do quellańskiej charakterystyki biologicznej.
 - Zaraz się przekonamy - rzucił Lando. - Starczy, Artoo. Czy ktoś ma ochotę wycofać się na „Ślicznotkę”, nim zastukam do wrót? Liczę do trzech. Raz, dwa...
 - Jesteśmy gotowi, Lando - powiedział Lobot.

- No to jazda.
 Lando wciągnął głęboko powietrze i wsunął naga dłoń w otwór. Zęby sięgnąć palcami do końca, musiał przycisnąć ramię do obramowania wnęki, jednak dopiero gdy i hełm przytulił do ściany, zdołał objąć dźwignię dłonią.
 - Mam - powiedział. - I co myślisz, Lobocie? Pchnąć, pociągnąć, przekreślić, unieść...
 Lobot nie zdażył odpowiedzieć. Na zewnątrz błysnęło coś potężnie a błękitnie. Rękaw łączący pomieszczenie ze „Ślicznotką” zniknął i powietrze zaczęło gwałtownie uciekać w próżnię, ściągając wszystko i wszystkich ku włazowi.
 Lando trzymał się kurczowo dźwigni, tylko wetknięta pod pachę rękawica wypadła jakoś i poszybowała poza zasięg drugiej ręki. R2 i Lobot znosili jednak ku otworowi, ich własne silniczki manewrowe były zbyt słabe, by przeciwstawić się prądowi. Stelaż z wyposażeniem i usadzonym na wierzchu 3PO również przesunął się, wirując w tamtym kierunku.
 Rękawica, najlżejsza i najszybciej się poruszająca, pierwsza dotarła do ściany obok wejścia, odbiła się, zakreśliła i wyleciała w przestrzeń. Chwilę potem dotarł tam R2, lecz zanim to się stało otwór zniknął. Zupełnie jak ta mała dziura, która otwarta się pod dotknięciem Landa, właz rozwinął się ze ścian i zwarł ku środkowi.
 R2, 3PO, Lobot i stelaż uderzyli w litą ścianę. I od razu zaczęli przesunąć się przy niej w kierunku rufy.
 - Statek ruszył! - krzyknął Lando, czując przygniatające go coraz silniej do ściany przyspieszenie. - Hammax! Pułkowniku! Co się dzieje? - Nie usłyszał odpowiedzi ani nawet szumów statycznych. - Słyszycie mnie na „Sławnym”?
 - Lando! - odrzyknął Lobot. - Wszystkie moje połączenia szlag trafił! Mało, że ruszył! On skoczył w nadprzestrzeń!
 Wszystko stało się tak szybko, że nikomu z patrzących nie udało się od razu połapać w sytuacji.
 Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia cienki jasny promień odciał „Ślicznotkę” od wagabundy. Drugi nakłuł kadłub jednostki przechwytyjącej „Kauri”, aż buchnęła ogniem.
 Gdy tylko pole przechwytyjące zniknęło, wagabunda zdumiewająco zgrabnie zmienił kurs i ruszył ze sporym przyspieszeniem.
 Kapitan „Marudera” wykrzyczał jeszcze prośbę o pozwolenie na otwarcie ognia, ale dokładnie w tej samej chwili statek Quellich jakby wydłużył się dwukrotnie i zniknął w oślepiającym, jasnym punkcie nieciągłości czasoprzestrzeni.
 „Ślicznotka” została w dryfie. Wokół włazu śluzы unosiły się szczątki rękawa.
 - Mamy zamiar? - spytał Pakkpekatt.
 - Tak, sir.
 - Zatem jest coś na początek - mruknął pułkownik.
 - Sir, statek skoczył dokładnie w kierunku Światów Środka.
 Pakkpekatt nie dał po sobie poznać, czy wiadomość zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- Wysłać ludzi, niech odzyskają jacht. Potem niech „Piorun” przyjmie ostatecznie ustawienia celu i skacze jego śladem. Na odległość dziesięciu lat. My skoczmy na dwadzieścia, „Maruder” na trzydzieści. Następnie każdy zacznie skoki co jeden rok świetlny aż do granicy. Wągabunda musi gdzieś tam być.

- Tak, sir, ale... jak daleko? Przecież mógł skoczyć od razu nawet do Byss.

Wzmianka o niegdysiejszej domenie Imperatora jeszcze bardziej zważyła nastroje obecnych na mostku.

- Miejmy nadzieję, że tego nie zrobił - powiedział Pakkpekatt. - Miejmy nadzieję, że nie jest aż tak źle.

ROZDZIAŁ

12

Na długo przed osiągnięciem Lucazec Luke Skywalker nadał anonimowemu przedtem statkowi Akanah imię „Leniwca”.

Zdawał sobie sprawą z faktu, że długie lata kontaktów z wyrafinowaną techniką militarną i operowania w próżni na specjalnych prawach po prostu go rozpuściły. Jednak owa samoświadomość nie pomagała mu w przystosowaniu się do cywilnych reżimów nawigacyjnych. Nie dość że „Leniwiec” poruszał się w rzeczywistej przestrzeni jak mucha w smole, to jeszcze jego motywator hipernapędu odmawiał wychodzenia w nadprzestrzeń w obrębie każdej planetarnej strefy kontroli lotów. Z wychodzeniem było identycznie.

Luke nie miał nic przeciwko regulacjom narzuconym przez kontrolę lotów, ostatecznie to ona zapewniała mniej doświadczonym pilotom na gorszych statkach bezpieczne podejście do zamieszkałych planet i ruchliwych szlaków komunikacyjnych. Jednak nigdy jeszcze nie musiał czołgać się aż cztery dni na pomocniczym napadzie, zanim opuścił Coruscant. System nawigacyjny „Leniwca” zgodził się włączyć hipernapęd dopiero po wyjściu z systemu planetarnego.

I nic, ale to zupełnie nic nie mógł na to poradzić. Na pokładzie takiego stateczku doświadczenie militarne było bezużyteczne; co gorsza, tutejszy komputer nie miał nawet funkcji umożliwiającej rekonfigurację systemu wyświetlaczy sterowni. Został specjalnie zaprojektowany, aby uniemożliwić podobne eksperymenty.

Wiedziony niecierpliwością Luke myślał nawet, czy nie odciąć na krótko hipernapędu od zasilania i nie sprawdzić, na ile okaże się podatny na manipulację. Szybko jednak wyperswadował sobie, że nawet on nie jest dość zdolny, by przeprogramować motywator. Ostatecznie nawet taki rekreacyjny model był o wiele bardziej skomplikowany niż Incom T-16 czy własnoręcznie modernizowane śmigacze, którymi latał niegdyś na Tatooine.

Nie, kiedy rzecz dotyczy nadprzestrzeni, byle drobiazg, maleńki błąd może doprowadzić do tragedii. Każdy, kto latał dość długo, słyszał różne budzące grozę opowieści. To uczyło szacunku. Spośród wszystkich zagrożeń związanych z podróżami na dalekie dystanse najbardziej przerażająca wydawała się zhora wszystkich pilotów - skok jednostronny, bez możliwości wyjścia z nadprzestrzeni. Nawet Han i Chewie

zostawiali wyważenie motywatora specjalistom i im jednym nigdy nie skąpili kredytów.

I w ten sposób Luke został uwięziony z Akanah na jednym, małym pokładzie na całe jedenaście dni. A zupełnie nie był na to przygotowany. Po miesiącach izolacji tak bliski kontakt z kimkolwiek musiał dokuczać. Luke zastanawiał się, jak by to zniósł, gdyby Akanah nie okazała się tak ugodowa.

Nigdy nie narzucała mu się z konwersacją, ani w sprawach istotnych, ani błahych. Nie czuł się obserwowany i nie odnosił wrażenia, że dziewczyna czeka, aż on coś zrobi. Nie proszona nie naruszała też jedyne go możliwego do zachowania w danych warunkach rodzaju prywatności - prywatności myśli i odczuć. Nie próbowała naruszać tej sfery bez pozwolenia, a własne myśli i emocje ukrywała tak sprawnie, że ktoś z boku uznalby ich raczej za starych przyjaciół niż obcych sobie ludzi.

Zgodnie z jej sugestią przyjęli rozkład wacht wyznaczający każdemu inne godziny snu. Z pewną przerwą, dzięki czemu nikt nie musiał zajmować jeszcze ciepłej koi. Dziewczyna wydawała się czuć pewniej, gdy ktoś czuwał podczas jej snu i nie narzekała, że ogranicza to czas spędzany razem do paru godzin dwa razy na dobę.

Luke pomyślał, że Akanah zapewne przywykła do samotności, opanowała bowiem sztukę zagospodarowania czasu. Dużo czytała ze starego, podniszczonego minikomputera, rozmyślała w fotelu pilota i z uwagą studiowała wszelkie instrukcje dotyczące konserwacji, pilotażu i obsługi systemów statku.

Niekiedy szukała prywatności i dla siebie. Trenowała w ciszy umiejętności Fallanassich, skryta za zasłoną przedziału sypialnego, czasem ćwiczyła rozebrana aż do przylegającej do ciała monoskóry. Robiła to zwykle wtedy, gdy Luke zakopywał się w śpiworze, jednak kiedy któregoś dnia przypadkiem odkrył oba jej zajęcia, uprzejmie udała, że go nie widzi, i nie wymagała żadnych przeprosin, po których musiałyby nastąpić jej tłumaczenia i tak dalej.

Jadali razem, dwa razy dziennie zaglądając do małego kambuza wypełnionego pamiętajacymi jeszcze czasy imperialne racjami żywnościowymi, co wyraźnie świadczyło o rozpaczliwie skromnym budżecie dziewczyny. Jednak nawet podczas jedzenia nie prowadzili konkretniejszych rozmów. Zmieniło się to trochę dopiero pod koniec podróży, kiedy w iluminatorach pojawił się Lucazec i powód podjęcia tak długiej podróży zaczął nieuchronnie zaprzętać ich myśli.

- Jeszcze szesnaście godzin - powiedział Luke, rozdzierając torebkę z noryackim brązowym chlebem. - Nie cierpię czekania. Najchętniej wlaźłbym z powrotem do koi i przespał wszystko do chwili, gdy autopilot spyta, czy ma wejść na orbitę, czy od razu lądować.

- Ja czułabym się podobnie, gdyby to był naprawdę koniec naszej podróży, a nie zaledwie koniec początku - stwierdziła Akanah i upiła łyk soku *pawei*.

- Myślisz, że Fallanassi rzeczywiście mogli wrócić tu po wojnie?

- Nie. Widzisz, Imperium z zawiścią patrzyło na nasze umiejętności, ale i obawiało się nas. Nie spadli na nasze domy z ogniem i zniszczeniem, jak zrobili to na bardzo wielu planetach, których mieszkańców potem zniewolili...

- Owszem, widziałem takie światy. Ale skąd w ogóle wiedzieli o waszym istnieniu? Myślałem, że byliście tajną sektą. A może tylko ja w całej galaktyce nigdy nie słyszałem o Fallanassich?

- Masz rację, tkwi w tym pewna sprzeczność - powiedziała Akanah. - A wyjaśnienie jest proste, chociaż nieco kłopotliwe. Nie byliśmy jednomyślni w kwestii nadchodzącej wojny i tego, co powinniśmy uznać za nasz moralny obowiązek. Jedna z nas poszła do imperialnego gubernatora i ujawniła swoją tożsamość.

- Zostaliście zdradzeni.

- Nie, to zbyt mocne słowo. Chociaż nigdy nie powtarzamy imienia tej jednej, przyznajemy, że i jej przyświecały pewne ideały. Wierzyła, że sprzymierzając się z Imperium zdołamy, niczym woda gasi ogień, zażegnać wybuch pożogi - wyjaśniła Akanah i jej spojrzenie posmutniało. - Ale myliła się. Było już za późno. Ogień wymknął się spod kontroli.

- Cóż, nie pojmuję, czemu uważasz to za kłopotliwe. Całkowita jednomyślność jest możliwa wyłącznie w społeczności skupionej wokół jednego umysłu. I nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by się chociaż raz w czymś głęboko nie pomylił.

- Wielkoduszny jesteś. Ale nasz krąg nie mógł sobie pozwolić na podobną wielkoduszność.

- Oczywiście - mruknął Luke. - To nie ja zostałem zdradzony

Dziewczyna przytaknęła.

- Imperium wysłało do Wialu, która nam wówczas przewodziła, posłańca. Generała Tagge'a. Dał nam do zrozumienia, jakie to ważne, abyśmy okazali lojalność wobec Imperium, i że tylko w ten sposób możemy uniknąć losu Jedi. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Jedi ścigano wtedy wszędzie jako zdrajców i czarowników. Nikt nie ośmielał się przyznawać do przyjaźni z nimi, pomagać im.

- Wybacz, nie chciałem wyjść na podejrzliwego, ale skąd to wszystko wiesz? Mówiłaś przecież, że byłaś wtedy dzieckiem i przebywałaś poza waszą planetą.

- Nie, kiedy generał Tagge przybył na Lucazec, jeszcze tam byłam. Moja matka, Isela, znalazła się w grupie kobiet, które spotkały się potem z Wialu. Naradzały się, co robić. A w naszej społeczności nie izolowano dzieci od spraw dorosłych, jak w wielu innych światach. Isela powiedziała mi o propozycji Imperium i o wysokiej cenie, którą musiałybyśmy zapłacić za jej odrzucenie.

- Teraz już niczego nie rozumiem - stwierdził Luke, próbując sobie przypomnieć, w jakim kontekście słyszał poprzednio o generale Tagge'u. - Jak to się stało, że zostałaś oddzielona od pozostałych? Domyślam się, że Fallanassi woleli opuścić planetę niż otwarcie odmówić lub wyrazić zgodę.

- To stało się dopiero miesiąc później - wyjaśniła Akanah. - Wialu odmówiła generałowi Tagge'owi. Powiedziała, że Fallanassi są lojalni jedynie wobec Jasności i że nie pozwolą wykorzystywać się wedle woli generałów, królów czy imperatorów.

- Tagge... Już sobie przypominam. Był na pierwszej Gwieździe Śmierci, gdy Leia trafiła tam jako więzień. - Umilkł na chwilę. - Zapewne zginął, gdy wpakowałem im torpedę...

Luke sam nie wiedział, co go opętało, by uczynić to wyznanie, ale jej reakcja sprawiła, że poczuł się jak głupiec. Dziewczyna zamarła i poczuł, że chociaż nie wykonała żadnego ruchu, to jednak odsunęła się od niego na spory dystans.

- Oczekujesz, że wyrażę swoje uznanie? Z czasem pojmiesz, że Fallanassi nie cenią bohaterów za samo mordowanie. Nawet mordowanie naszych dręczycieli.

- Przepraszam - mruknął Luke zdumiony swoimi własnymi słowami. Wszystko nagle wywróciło się do góry nogami. Dziwne, ale nagle zaczął zupełnie inaczej myśleć o wyczynie, którym przez długie lata szczycił się jak niczym innym. Pożałował śmierci wroga, który był oprawcą jego własnej siostry. Tamta chwila przesądziła o jego losie, losie całej galaktyki. - Az do dzisiaj nie próbował nawet kwestionować słuszności owego postępu.

Akanah przytaknęła i twarz jej złagodniała.

- Nie będę więcej o tym rozmawiać.

Luke też chętnie porzucił fatalny temat i niepokojące myśli, które zeń wynikły.

- Jak wyglądała reakcja Imperatora na słowa Wialu? - spytał. - Czy to wtedy opuściłaś Lucazec?

- Nie, jeszcze później. Najpierw Tagge próbował zmusić nas do posłuchu, niszcząc nasze dobre stosunki z sąsiadami. Lucazec był wówczas światem otwartym dla imigrantów i tolerancyjnym. Tak w każdym razie myślałyśmy. Zakupy robiłyśmy zawsze w pobliskich wioskach, stamtąd wynajmowałyśmy robotników. Tagge umieścił w tych wioskach swoich agentów. Kazał im zabijać zwierzęta, podkładać ogień, zatrzuwać ujęcia wody. Robili różne dziwne rzeczy.

- A winą obarczył Fallanassich? - domyślił się Luke.

- Tak. Agenci szerzyli nieprzychylnie nam plotki, aż nawet przyjaciele zaczęli się nas bać. Robotnicy przestali przychodzić, a trzy z kręgu zostały zaatakowane, gdy poszły do Jisasu kupować żywność i sprzedawać leki. Wtedy matka mnie odesłała. Nie po to, by mnie chronić, bo z tym i ona, i inni łatwo by sobie poradzili. Nie chciała jednak, bym zaznawała nienawiści, która zaczęła nas zewsząd otaczać. Byłam jedną z pięciu odesłanych. Do przyjaciół na Paig, do szkół na Teyr i Carratosie.

- Ile was trafiło na Carratos?

- Tylko ja - powiedziała Akanah i uśmiechnęła się smutno, a oczy zaszyły jej łzami.

- Miały sięgnąć nas, gdy na Lucazec znów zapanuje spokój. Ale wziąć ze sobą, gdyby musiały szukać nowego domu.

- Ale do tego nie doszło.

- Właśnie. Nigdy więcej nie spotkałam żadnej z kręgu. - Potrząsnęła głową. - I nie wiem dlaczego.

- Nadal nie wiesz, co się stało?

- Dowiedziałam się jedynie, że opuściły Lucazec. Martwa wioska popadła w ruinę. Nie udało mi się odnaleźć nawet innych dzieci, tych z Teyr i Paig. Sądzę, że krąg je zabrał i tylko mnie pozostawiono.

Próbowała przedstawić to beznamiętnie, ale rana była wyraźnie wciąż zbyt bolesna.

- A może jesteś jedyną, której Imperator nie zdołał odszukać? Nie myślałaś o tym w ten sposób?

- Próbowałam w ogóle o tym nie myśleć - powiedziała Akanah, patrząc mimo Luka na bładobrunatny dysk Lucazec. - Wolałabym raczej zostać tą pominiętą niż jedyną ocaloną.

Region Lucazecu, który Akanah zwała Północnym Płaskowyżem, nie posiadał prawdziwego portu kosmicznego. Kontrola kazała Luke'owi posadzić „Leniwca” na małym, cichym lądowisku opisanym jedynie za pomocą danych długości i szerokości geograficznej. Tam spotkali trzech mężczyzn w brunatnych ubraniach o tak jednolitym kroju, że mogłyby uchodzić za mundury.

Przedstawili się jako zarządca lądowiska, okręgowy cenzor i miejscowy sędzia. Cenzor miał ze sobą mały magnetofon, na który nagrywał zarówno swoje pytania, jak i ich, powtarzane za każdym razem do mikrofonu, odpowiedzi.

- Miejsce startu.

- Coruscant - powiedział Luke.

- Miejsce zarejestrowania waszego statku.

- Carratos - wyjaśniła Akanah.

- Czy potwierdzacie, że oboje jesteście obywatelami Nowej Republiki?

- Tak - odparł Luke.

- Cel wizyty.

- Naukowy - powiedziała Akanah. - Badania archeologiczne.

- Na wykopaliska trzeba uzyskać zgodę komisarza do spraw historii - ostrzegł ich sędzia. - Wszystkie pozyskane artefakty należy przedstawić w urzędzie komisarza, gdzie zostaną obłożone stosownym podatkiem. Unikanie opodatkowania antyków jest zbrodnią stanu karaną przez...

Luke uczynił drobny ruch, jakby kroił palcami powietrze.

- Znamy przepisy, panie sędzio.

- Co? Tak, oczywiście - powiedział sędzia i umilkł.

Luke odwrócił się do najniższego z trójki.

- Panie zarządcu, czy znajdzie pan miejsce w hangarze dla mojego statku? Nie chciałbym, żeby jakiś ciekawski dzieciak zrobił sobie krzywdę.

- Obawiam się, że nie ma...

- Gotów jestem zapłacić, w granicach rozsądku oczywiście.

- Jak długo zamierza pan pozostać na Lucazec?

- Nie potrafię powiedzieć. Czy to istotne?

- Nie, nie. Zdaje się, że zostało jeszcze trochę miejsca w hangarze Kaa, najnowszym i najbezpieczniejszym. Schowam tam pański statek. Chyba jeszcze nie widzieliśmy tu niczego podobnego...

- Dziękuję - powiedział Luke i przeniósł wzrok na osobę cenzora. - Czy jeszcze coś?

- Muszę oczywiście zobaczyć wasze karty identyfikacyjne - stwierdził cenzor, dumnie wypinając pierś.

- Przecież już je panu pokazaliśmy - powiedział Luke, wbijając oczy w urzędnika.
 - Oczywiście - odpowiedział tamten i jakby przygasł. - Cel dalszej podróży...
 - Jisasu - rzuciła Akanah.
 - Tak, oczywiście. Będziecie musieli wynająć wózek. Idźcie przez Wschodnią, most na Koronnej został zamknięty po ostatnim deszczu, a brodem rzeki się nie pokona, bo za dużo pływa w niej śmieci.

Luke przytaknął.

- Miło z pana strony - powiedział, uśmiechając się ujmująco. - Wspomnę o pańskiej chęci udzielenia pomocy w raporcie.

Wziął torby obojga i zarzucił je sobie na ramię.

- Chodź, lady Anno. Może uda się nam dostać na miejsce przed zmrokiem.

- Lady Anna! - powtórzyła Akanah, gdy już siedzieli w małym dwumiejscowym pojeździe na wielkich kołach, wehikule używanym na Lucazec. - Podoba mi się. A jak mam ciebie nazywać? Diukiem Skye?

- Wolałbym, żeby moje imię w ogóle nie padało - wyjaśnił Luke - Niech każdy, kogo spotkamy, zapamięta raczej ciebie. A ze mnie najwyżej niewyraźny zarys twarzy.

- To też mi się podoba - powiedziała z uśmiechem.

W pobliżu lądowiska zauważyli kilka konstrukcji, które mogły być domami, jednak Wschodnia szybko wywiodła ich w okolice bezludne i pofałdowane wzgórzami.

- Poznajesz coś?

- Do pewnego stopnia poznaję. Drogę zwaną Koronną znałam lepiej, była krótsza, gdy jechało się z Jisasu do Dużego Wzgórza. Ale lądowiska nie pamiętam, musieli je zbudować później.

Luke spojrzął na nią zdziwiony.

- Zbudować?

- Tak. Kiedy wyjeżdżałam, było tu puste pole, gdzie na mocy powszechnej zgody niczego nie budowano i nie stawiano ogrodzeń. Tylko kilka markerów wkopanych w grunt jako znaki orientacyjne dla pilotów. Nie ustawiono hangarów, ponieważ nie byłoby w nich czego trzymać.

- Albo i odwrotnie - mruknął Luke. - Dobrze, że nie musieliśmy szukać najbliższego wielkiego portu. Mielibyśmy spacer na co najmniej pięćset kilometrów.

- Tak, Wieże. To długa droga. Wtedy też, pamiętam, mocno mi się dłużyła. Patrz, tam jest rzeka, można poznać po drzewach na brzegu. Widzisz tam dalej, gdzie jest więcej wzgórz? To Hastings. Dym płynie z kominów. Za Hastings wszędzie są wioski. To znaczy wszędzie, gdzie jest dostęp do wody.

- Jak wrażenia po spotkaniu z komitetem powitalnym?

- Mocno mieszane. Kiedyś nikt od nikogo nie żądał żadnych dokumentów. Nikt ich zresztą nie nosił. Ludzie nie byli tak podejrzliwi.

- To byli urzędnicy - przypomniał Luke.

- Od urzędników też nie oczekiwano podejrzliwości.

- Cóż...Może przeszli okupację. Nawet najprzyjaźniejsze zwierzę, jeśli się je dość często bije... Uwaga! Trzymaj się.

Wózek szarpną i zarył się gwałtownie przednimi kołami w głębokiej koleinie. Luke i Akanah omal nie wylecieli przy tym z siedzeń. Dziewczyna chwyciła za burtę i opadła na swoje miejsce. Luke zaś trzymał się kolumny kierowniczej i zapierał nogami w podłogę.

Przez dłuższą chwilę silniczki napędzające tylne koła wyły żałośnie, ale udało się wymanewrować pojazd z koleiny. Wózek potoczył się dalej.

- A, i jeszcze jedno - powiedziała Akanah. - Drogi są teraz znacznie lepsze.

- Żartujesz

- Naprawdę. Kiedyś przez całą drogą do Jisasu musieliśmy trzymać się. I to mocno, obiema rękami. - Uśmiechnęła się do wspomnień. - Dzieciaki miały z tego wiele uciechy. Stawaliśmy na skrzyni ładunkowej, łapaliśmy się oparcie siedzeń, albo i nie, i staraliśmy się utrzymać na nogach lub w ogóle nie wypaść. Mnie zdarzyło się i jedno i drugie - powiedziała w chwili, gdy najechali akurat na kamień i porządnie nimi zatrzęsło. - Ale to było dawno. Pora chyba na małą lewitację..

- To pytanie czy propozycja?

- Dwa w jednym.

Nagle na szczycie wzniesienia przed nimi pojawił się inny wózek, jadący z naprzeciwka.

- Może za chwilę, na razie pozostanmy kołami na ziemi - powiedział Luke. - Chyba trochę za późno, żeby zacząć udawać małą trąbę powietrzną.

Akanah przytaknęła i uniosła połączone dłonie, pozdrawiając starego, żyłastego farmera i młodą kobietę o gładkiej twarzy jadących tamtym wózkiem.

- Wciąż mam wrażenie, że ukrywanie naszej tożsamości okaże się błędem - powiedziała. - Możliwe, że będziemy musieli porozmawiać z sąsiadami, żeby się czegoś dowiedzieć. - Urwała, gdy wózek z naprzeciwka zaczął ich mijać. Tamci nie odpowiedzieli na pozdrowienie, tylko obrzucili nieznanym szybkim, jakby obojętnym spojrzeniem.

- Znaczą, o ile ktokolwiek zechce z nami rozmawiać.

Skręt do Ialtry przegapili z tej prostej przyczyny, że już go nie było.

Zniknął targ, który zwykle mieścił się na skrzyżowaniu Koronej ze szlakiem do Ialtry. Jego niegdysiejszą obecność zdradzał tylko kikut słupa wyznaczającego środek targowiska.

W charakterze drogi do wioski Fallanassich nie występowało praktycznie nic, nawet wedle tutejszych, tolerancyjnych dla budownictwa drogowego standardów. Dla Luke'a oznaczało to obecnie trzy koleiny, z których usunięto tylko największe kamienie. Po bliższym badaniu terenu odkryli jednak stare ślady drogi. O dziwo, wyglądało na to, że ktoś rozmyślnie zarzucił dawny szlak głazami, szczególnie w miejscu, gdzie odchodził on od głównej drogi.

- Jesteś pewna, że to tutaj?

- Tak. Całkiem pewna.

- Mam złe przeczucia- stwierdził Luke, kręcąc głową.

- I ja też, Luke'u - powiedziała z lękiem dziewczyna, szukając jego dłoni.- I ja też.

W dniach swojej świetności Ialtra liczyła ponad trzydzieści domów, zbudowanych z wielka, prostotą, lokalnego stylu architektonicznego.

Okragły gmach centralny miał dwa piętra wysokości i wielkie, otwarte, wyłożone abstrakcyjną mozaiką łukowe przejścia, które dzieliły dolne poziomy na połowę. Na dachu zieleniały ogrody, wodę dostarczano tam dzięki pompie zasilanej z batem słonecznych. Dawało to soczystą trawę i kwiaty, z góry rozciągał się również dobry widok na okalające osadę wzgórze.

Zioła lecznicze i rośliny uprawne rosły niegdyś pod trzema półprzezroczystymi kopułami umieszczonymi pomiędzy niewielkimi warsztatami. Pierścieniowate budynki mieszkalne rozlokowane w najbliższej okolicy otaczało po pół tuzina domków sypialnych o półspadzistych dachach.

Ialtra miała aż dwie studnie i jedno ocembrowane źródło oraz długą ścieżkę medytacyjną z tuzinem samotni na stokach wzgórz. Jedno z północnych zboczy przekształcano w amfiteatr dość wielki, by mógł pomieścić całą lokalną społeczność. Przystosowany został przy tym zarówno do odgrywania przedstawień, jak i rozpalania uroczystego ognia.

Żaden z tych obiektów nie przetrwał w całości i przybysze bardzo szybko zrozumieli, że zniszczenia nie mogły być dziełem wyłącznie wiatru czy deszczu.

Krąg domów zmienił się - w rumowisko pozbawione nawet kikutów ścian nośnych. Kopuły zostały rozsądzone eksplozjami od środka i wszędzie w kolo poniewierały się okrucy ich kryształopodobnych osłon. Co krok chrzęściły pod stopami wędrujących po ruinach. Amfiteatr został pogrzebany pod zwałami ziemi, która zsunęła się z górnych partii zbocza.

Zniszczono ocembrowanie źródła, które stało się jedynie suchym zagłębieniem. Wielką studnię zasypano; teraz na jej miejscu piętrzył się stos tynku i mozaik zdartych z centralnego budynku. Mniejszą zatruto, zapewne wszelkimi możliwymi do znalezienia w wiosce chemikaliami, jako że obok piętrzył się stos pustych i pokrytych kurzem pojemników, butli i kanistrów.

Kilka domów mieszkalnych zachowało się prawie w całości, jednak i tam widać było efekty dzieła zniszczenia - zerwano mozaiki z frontowych ścian, na których wymalowano niezgrabnie ogniem blastera symbol: dwie linie przekreślające koło. Akanah stanęła przy jednym z nich i zagryzła w milczeniu dolną wargę. Smutek i udreka emanowały z niej z taką mocą, że Luke poczuł się zmuszony do częściowego osłonięcia własnej psyche.

- To był nasz dom - powiedziała w końcu Akanah. - Mieszkałam tu z Iselą. Obok mieszkały Toma, Ji i Norika. Nori była moją najlepszą przyjaciółką. - Dziewczyna zamknęła oczy i opuściła na chwilę głowę, jakby próbowała się uspokoić. Potem schyliła się i przeszła pod łukiem wejścia do wnętrza budynku.

Po drodze musiała nastąpić na leżące na podłodze drzwi. Chociaż nie miały zamka, i tak zostały wyrwane z framugi, widać było stopione blasterem zawiasy.

Luke poczekał na zewnątrz. Nie chciał przeszkadzać Akanah w spotkaniu ze wspomnieniami. Wróciła po kilku minutach. Jakby wyższa i silniejsza.

- Nie było ich tutaj, gdy do tego doszło - powiedziała. - Może ujęto je wcześniej, może uciekły, ale na pewno nikt tutaj nie zginął.

- Skąd to wiesz?

- Czuję. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale jestem pewna, że gdyby któraś z nas tu zginęła, jakoś bym to odebrała. Zaś to tutaj... To był pusty gest. W ogóle nie dosięgną Nurtu.

- Mam podobne wrażenie - powiedział Luke. - I jestem skłonny sądzić, że raczej uciekły. A całe to spustoszenie przypomina mi raczej efekt rozładowania frustracji. Pohańbili twój dom, bo tylko to im zostało. Ponadto nie posłużyli się niczym większym od blasterów, broni osobistej. Żadnego cięższego sprzętu wojskowego. To nie była robota Imperium.

- Nasi przyjaciele ze Wzgórza i Jisau - powiedziała z wysiłkiem Akanah.

- Zostali oszukani - stwierdził Luke. - Nikt z nas nie jest uodporniony na strach.

- Proszę, nie próbuj gasić mojej złości na tych ludzi - Nie ślubowałyśmy chłodu emocjonalnego. To był mój dom. Mam prawo do gniewu.

- Oczywiście - zgodził się Luke. - Akanah, który z tych domów należał do mojej matki?

Akanah zamknęła na chwilę oczy, sięgając w głąb pamięci.

- Ahred - stwierdziła, otwierając oczy i wskazując na drugą stronę dziedzińca. - Numer czwarty. - Uśmiechnęła się blade. Rozumiem. Idź już mi lepiej.

Luke kiwnął głową i ruszył przez otwartą przestrzeń ku domostwu u stóp najwyższego z okalających wioskę pagórków. Nie pokonał jednak nawet połowy drogi, gdy zmroził go krzyk. Obrócił się, aż zawirowała peleryna. W tej samej chwili poczuł gorąco przelatującego tuż obok ładunku z blastera.

Odtoczył się błyskawicznie, kończąc przewrót skokiem, który odsunął go o całe pięć metrów od poprzedniego miejsca. Natychmiast też w jego prawej dłoni znalazła się broń i zaczął szukać wzrokiem napastnika. Dwóch stało obok Akanah, klęczącej z ręką uniesioną, jakby osłaniała się od ciosu.

- Akanah! - krzyknął i ruszył na nieprzyjaciół.

Kolejny strzał był celny, ale Luke odbił pocisk mieczem prosto w niebo. W następnej chwili sięgnął do Mocy i skoncentrował się na broni tamtego, by zniszczyć ją samą myślą. Na wszelki wypadek wyrwał jeszcze unieszkodliwiony blaster z dłoni napastnika i odrzucił go jak najdalej.

Słyszając, jak woła jej imię, Akanah uniosła dłoń.

- Nie, Luke'u, nie... - zawołała.

Ale on skupił się już na drugim mężczyźnie, który dopiero teraz sięgał po broń i mierzył wyraźnie w dziewczynę.

- Zostań, gdzie jesteś - krzyknął do Luke'a. Nie wyglądał na przestraszonego.

Luke odpowiedział uderzeniem myśli, które wyrwało tamtemu blaster z dłoni i rozbiło go o ścianę pobliskiego budynku. Broń eksplodowała deszczem iskier i rozpadła się na części.

I już stał przy nich z mieczem uniesionym do ataku, a nie obrony. Pierwszy z rozbrojonych uaktywnił tarczę osobistą, która zahamowała cios Luke'a, jednak sam impet wystarczył, by powalić przeciwnika na kolana. Następny cios, w który Luke włożył całą siłę woli mistrza Jedi, przeszedł przez tarczę. Miecz wniknął głęboko w pierś napastnika. Ten westchnął, buchnęła krew i ciało ciężko padło na ziemię.

Luke odwrócił się szybko, odnajdując drugiego przeciwnika skradającego się znowu ku Akanah. Próbował ją złapać, może aby wykorzystać dziewczynę jako tarczę. Luke natychmiast cisnął mieczem, który wirując w locie odciął tamtemu lewą rękę tuż nad łokciem. Mężczyzna krzyknął i upadł, a Luke pochwycił miecz.

- Kim jesteś? - spytał, stając nad powalonym napastnikiem, który krwawił obficie z kikuta ramienia.

- Dowodzący Paffen melduje: Skywalker... - powiedział tamten, zamknął oczy i zadygotał. Chwilę później znów uchylił powieki. - ... Skywalker tu jest.

Samym czubkiem miecza Luke uszkodził przypięty do pasa mężczyzny komunikator.

- Kim jesteś? - spytał ponownie. - Skąd się tu wzięliście?

- To nie w porządku... Czekać tak długo... - powiedział ranny i jęknął. - Sądziłyśmy, że wiedźma będzie sama.

- Dlaczego czekaliście? Co chcieliście zrobić?

Mężczyzna skrzywił się.

- Podobno z trucizną to nie boli - wyszeptał i zmarł, wciąż wpatrzony w niebo.

Luke przyklęknął obok Akanah z wyrazem niepokoju na twarzy. Dziewczyna nadal siedziała skulona na ziemi i cała się trzęsła.

- Akanah, nic ci nie jest? - spytał, dotykając jej ramienia.

Ona wywinęła się i błyskawicznie odwróciła od Luke'a.

- Przepraszam, ale jakoś nie pomyślałem - powiedział, pochylając się, by widzieć jej twarz. - Powinienem oczekiwać czegoś podobnego. Ale już po wszystkim. Już cię nie skrzywdzą.

Wciąż drżąca Akanah znów się od niego odwróciła.

- Oni nie mieli nawet szansy, żeby mnie skrzywdzić.

- O czym ty mówisz? Krzyknęłaś, padłaś na kolana...

- Nic mi nie było. I nic mi nie groziło. Nie było żadnego powodu, żebyś tak postąpił...

- Jak postąpił...

Dziewczyna wreszcie wstała i niepewnie odeszła kilku kroków od Luke'a. Ręce przyciskała mocno do tułowia. Ruszył za nią. Z wolna zaczynał rozumieć, że wstrząs był skutkiem nie pierwszej, ale drugiej napaści - jego własnych działań. Ci martwi już mężczyźni tak jej nie przerazili.

- Myślałem, że masz kłopoty - powiedział.

- I nie mogłeś zażegnać ich bez zabijania? - spytała, stając z nim twarzą w twarz. - Zaskoczyli mnie, ale to wszystko.

Luke przeskakał myślą resztę ruin i wzgórza.

- Później o tym porozmawiamy - stwierdził. - To byli agenci imperialni. Nie wiadomo, jak blisko są ich przyjaciele. Musimy się stąd wynosić. Wracajmy zaraz na pokład.

- Nie, jeszcze nie...

- Akanah, niezależnie od tego, co ci się wydaje, nas też można osiągnąć, zranić...

- Czy dziecko rani rzekę, wrzucając do niej kamyczek?

- Nie ma czasu na podobne rozważania - powiedział niecierpliwie Luke. - „Leniwiec” to może niewiele, ale wolałbym go nie tracić. Jakoś nie pragnę osiągnąć na tej planecie. Ponadto wolałbym wycofać się stąd spokojnie, bez sfory imperialnych na karku.

- Gdzie powinniśmy lecieć? - spytała Akanah.

- Nieważne, byle daleko od Lucazec. I to jak najszybciej. Fallanassich tu nie znajdziemy. Stan wioski wskazuje jednoznacznie, że twoi uciekli. Przed Imperium i przed miejscowym tłumem. Imperium nie wie, gdzie są obecnie, a my wcale nie chcemy, żeby się dowiedziało. Pora się zbierać.

Akanah pokręciła powoli głową.

- Najpierw muszę ci coś pokazać - powiedziała. - Chodź.

Skinęła na niego i przeszła pod łukiem wejścia swojego niegdysiejszego domu. Do ogólnej sali światło wlewało się przez okno i dziurawy dach, ale wnętrza domków sypialnianych trwały w chłodnym cieniu.

- Tu mieszkała moja matka - powiedziała Akanah. - Tam, widzisz? - Pokazała szerokim gestem na tylną ścianę.

- Co?

- Posłuchaj. To jak woda sącząca się przez pisek. Opuść wszystkie osłony.

Luke spróbował skoncentrować się na widok ściany, ale zbyt był zdezorientowany.

- Coś tam jest? Zapisano coś na tej ścianie? Mam to zobaczyć czy usłyszeć?

- Tak - odparła, odpowiadając na wszystkie pytania jednocześnie.

- Bardzo to pomocne - mruknął ironicznie Luke.

- Zostaw Moc - powiedziała dziewczyna. - W tym ci nie pomoże. Nauczyłeś się dostrzegać cienie, raz spróbuj zobaczyć światło.

Luke wciągnął powietrze i spróbował się skupić, otworzyć się na wszystkie aspekty istnienia owej ściany, materialnego obiektu poruszającego się w czasie. Usiłował dojrzeć wszystkie jej cechy we wszystkich możliwych wymiarach. Kolor, konsystencją, temperaturę, sposób ulegania sile ciężenia, lekki poblysk promieniotwórczości, zdolność przeciwstawiania się prądom powietrza, nieprzejrzystość dla światła widzialnego, wydzielane w atmosferę zapachy i setki innych jeszcze cech związanych z jej jestestwem.

- Pozwól sobie pomóc - powiedziała Akanah, biorąc go za rękę. - Postrzegasz ścianę?

- Tak...

- Nie zwracaj na to uwagi. Przestań postrzegać jej substancję. Wyrzuć ją ze swoich myśli, spójrz do wewnątrz. Otwórz się, ja poprowadzę twoje oczy.

I wtedy zobaczył. To nie było zapisane na ścianie, ale w jej wnętrzu. Delikatny, świetlisty zarys symboli zaznaczonych nie śladem materialnym, ale za pomocą rysujących się wewnątrz materii zawirowań.

- O to chodzi? - spytał, jakby dziewczyna mogła nie tylko prowadzić jego spojrzenie, ale także widzieć jego oczami.

Uśmiechnęła się i ścisnęła mu silnie dłonie.

- Dom zawsze jest tak oznaczony. To znak złożony nam obietnicy.

- Potrafisz to odczytać? Co tu napisano?

- Wiem już, gdzie powinniśmy się udać - powiedziała Akanah i puściła jego dłonie.

- Nadal to widzisz, sam, bez mojej pomocy?

Świetliste symbole zniknęły, gdy tylko kontakt się zerwał.

- Nie, całkiem przypadło. Pamiętam kształty, ale już ich nie widzę.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Mniejsza z tym. Jeśli widzisz Nurt z moją pomocą, potrafię nauczyć cię dostrzegać go samodzielnie. To dziecinnie łatwe.

- Czy są jeszcze inne ślady? W pozostałych domkach albo na zewnątrz?

- Nie. Tylko tutaj. Ten znak był dla mnie.

- Ci, którzy nas zaatakowali... Ruszyli dopiero wtedy, gdy wyszłaś z domu - powiedział Luke, pojmując nagle sens wydarzeń. - Wiedzieli, że coś się tu kryje. Dlatego Imperium zasadziło agentów. Czekali, aż pojawi się ktoś zdolny odczytać wiadomość.

- Ale czy Imperium ryzykowałoby wysłanie statku aż tak daleko w głąb terytorium Nowej Republiki?

- Zależy, jak bardzo zależy tam komuś na Fallanassich - stwierdził Luke. - Sądzę, że nie powinniśmy siedzieć tu zbyt długo.

Akanah zmarszczył brwi.

- Zgoda.

- I nie możemy pozwolić, żeby nas śledzili.

- Oczywiście. - Zdołasz jakoś zamaskować nasz odwrót?

- Bez trudu. Ale to nie wszystko. Powinnaś zniszczyć samą wiadomość.

Nawet nie patrząc na dziewczynę, Luke wyczuł w niej wahanie. Wręcz opór.

- To jedyny pewny sposób, aby rozbroić tę pułapkę - dodał. - Możesz to zrobić?

Czy to w ogóle jest wykonalne?

Napis otwiera maleńką szczelinę pomiędzy realnym a nierealnym - wyjaśniła Akanah kiwając w zadumie głową. - Łatwiej ją zamknąć niż stworzyć. - Zawahała się, po czym westchnęła. - Poczekaj tu na mnie.

Nie czekał zbyt długo.

- Zrobione - powiedziała, wychodząc i ujmując Luke'a za ramię. - Ale dla wszelkiej pewności, że nikt tego nie odtworzy, proszę, zniszcz jeszcze budynek.

- Jesteś pewna, że tak trzeba?

- Proszę. I tak nigdy już tu nie wrócę. Zburz go.

Nie ruszając się z miejsca, Luke oderwał jeden z narożników, potem pchnął długą ścianę. Pojawiła się siatka coraz szerszych pęknięć, aż w końcu kamienne mury runęły do środka, a na nie zwałił się dach. W powietrze wzbil się tuman żółtego kurzu.

- Teraz lepiej się pospieszmy - powiedział Luke.

- Jeszcze jedno - zatrzymała go Akanah. - Powinieneś wejść także do domu twojej matki

Luke ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie ma czasu.

- Owszem, jest. Ukryję nas, możesz tam spokojnie posiedzieć.

- Akanah...

- Kilka minut nas nie zbawi - wyjaśniła. - Najbliżsi przyjaciele tych, których zabiłeś, są albo tuż-tuż, albo bardzo daleko. A te parę chwil może mieć dla ciebie wielkie znaczenie. Idź.

Luke usiadł po środku niegdysiejszej podłogi zrujnowanego domku i wyszeptał imię matki. Zupełnie jakby chciał spytać nadkruszone kamienie, czy jeszcze ją pamiętają.

- Nashira.

Dźwięk popłynął w ciemne kąty i zamarł.

- Nashira - zawołał głośniejszym głosem, ale echo uciekło przez szczeliny i pęknięcia ścian.

Odgarnął śmieci i przycisnął dłonie do podłogi. Wciągnął głęboko pełne kurzu powietrze. Czując jego smak na języku, zapamiętała szukał śladu czegoś, co mogło być związane z ostatnią zamieszkującą to miejsce osobą.

- Matko - powiedział i nagle poczucie rzeczywistości jakby zanikło. Oto znalazł punkt zaczepienia, nawet po tylu latach. Wiedział, że ona naprawdę kiedyś tu była.

Nie uważał już za istotne, że nie potrafił odszukać śladów jej dotyku na otaczającej go materii. Sama wiedza wystarczała. Gdzie wcześniej były domysły, teraz pojawiły się jasne wyobrażenia, dla których przepaść czasu nie stanowiła przeszkody.

Sypiała tutaj, śmiała się, szukała samotności i wytchnienia, czasem płakała, zapewne także kochała i tonęła w żalu. Rysowała się we wnętrzu tak prawdziwa, jakby wciąż tu żyła, tak w pełni ludzkiego wymiaru, jak owa tęsknota, którą odczuwał Luke.

Nie widział jej twarzy, nie słyszał głosu, ale wyczuwał jej postać realniej i głębiej niż kiedykolwiek dotąd.

Nie mogło mu to wystarczyć, nie otrzymał nawet połowy tego, czego pragnął, ale Luke wiedział, że to dopiero początek.

Gdy wyszedł z domu Nashiry, wioska tonęła w cieniu. Podeszedł do Akanah. Słońce skryło się już za wzgórzami, wiatr zlagodniał.

- Jak długo siedziałem?

- Nieważne - odparła. - Jesteś gotowy?

Luke przytaknął.

- Miałaś rację. Dziękuję - dodał.

- Wiedziałam, jakie to ważne. Ale teraz faktycznie lepiej się pośpieszmy. Zanim dotrzemy do lądowiska, będzie ciemno.

Wracając do wózka oboje milczeli. Luke sprawdził dokładnie czy nie im jakiejś pluskwy lub pułapki, a potem uniósł wehikuł na metr w górę.

- Teraz pojedziemy gładko - powiedział z lekkim uśmiechem. - Ale i tak lepiej się trzymaj. Jak się nazywają te tutejsze padlinożerne ptaki?

- Nekhawny.

- No to jesteście właśnie czymś takim. Wielkim i brzydkim nekhawnem.

Luke zatoczył wózkiem szeroki krąg nad wzgórzami, rozglądając się za innymi pojazdami. Nie znalazł żadnego i zastanowił się, jak właściwie imperialni agenci dotarli tu za nimi.

Ale odpędził tę myśl i skierował wózek na południowy wschód, ku lądowisku. Przemierzali się w ciszy, tylko powietrze gwizdało rozcinane kanciastą bryłą pojazdu, który nie został zaprojektowany do latania.

Niedługo później oba ciała leżące w ruinach wioski zwały się z coraz głębszymi cieniami i zniknęły, jakby ich nigdy nie było.

ROZDZIAŁ

13

Statek astrograficzny Nowej Republiki „Astrolabium” wyskoczył z nadprzestrzeni w pobliżu brązowego karła na skraju Gromady Koornacht.

Cały szeroki spód małej, nieuzbrojonej jednostki najeżony był skanerami. Cztery oddzielne palety kryły wszystkie możliwe rodzaje analizatorów, począwszy od trójwymiarowych kamer, na detektorach kwarków i szerokopasmowej fotometrii skończywszy. Większość instrumentów była zdublowana dla uniknięcia fatalnych skutków awarii. Płaski i szeroki profil statku, idealny do montażu licznych zestawów, sprawił, że do jednostek klasy Astrolabium przylgnęło przezwisko „flądry”. Przylgnęło i przyjęło się do tego stopnia, że z czasem stosowny rysunek pojawił się na burtach jako oficjalne logo.

- Zleceniodawca wita w Doornik jeden jeden cztery dwa - odezwał się pilot do załogi. - Dla dobra Instytutu Zwiadu Astrograficznego postarajcie się nie przegapić żadnej okazji podziwiania cudów owego niedocenionego klejnotu sektora Farlax. Spójrzcie tylko w iluminatory! Patrzcie i chłońcie te widoki. Cokolwiek zamierzacie robić podczas naszego dziesiętnastogodzinnego przystanku, nie zapominajcie zerkać w iluminatory!

Był to żart, z brodą na tyle długą, że wywołał jedynie kilka odruchów chichotów. Statki IZA były niczym niestrudzeni, wieczni wędrowcy wśród gwiazd, wręcz zawodowi turyści na nieustannej dech zapierającej widokami, wycieczce po galaktyce. Zdolne do osiągnięcia relatywnie sporych szybkości w przestrzeni rzeczywistej, flądry rzadko potrzebowały więcej niż doby dla naniesienia na mapy całego systemu gwiazdowego wraz ze wszystkimi jego osobliwościami.

Większość planet mijano zwykle z szybkością bliską maksymalnej. Tylko wtedy, gdy napływające podczas lotu dane wskazywały na obecność życia, zwalniano do jednej czwartej. Jedynie znaki istnienia cywilizacji technicznej mogły skłonić załogę do wejścia na orbitę i jednokrotnego okrążenia globu. Drugie przejście praktykowano dopiero w przypadku wykrycia znaczących, naprawdę niezwykłych anomalii. Zaś lądowania zdarzały się tak rzadko, że prawie się o nich nie słyszało.

„Astrolabium” został odwołany z pracy w sektorze Torranic, gdzie uzupełniał lukę na standardowych mapach gwiazdnych - wynik obsesji Imperatora, który zawsze

utajniał wszystkie dane o obszarach, które kontrolował i nie godził się na sporządzanie jawnych map tych terenów.

Pilot, weteran o osiemnastoletniej praktyce, zwany przez załogę Gabby, obejrzał już ponad tysiąc planet, ale stopę postawił tylko na trzech. Jego podwładna, starszy badacz Tanea, miała za sobą ponad trzy tysiące przelotów planetarnych i zaledwie z pół tuzina lądowań. Młodszy badacz Rulffe właśnie w tej podróży miał przekroczyć próg pięciuset badań, ale jeszcze nigdy nie oddychał powietrzem planety innej, niż jego rodzinna.

Misja zaczęła się podobnie jak wszystkie dotąd. Najwięcej zajęć dostarczyła im pierwsza godzina. Podczas gdy Tanea i Rulffe sprawdzali skanery, Gabby planował z pomocą automatycznego systemu nawigacyjnego jak najkrótszą trasę przejścia przez system składający się z kwartetu zimnych, gazowych gigantów. Mieli powody sądzić, że ich wizyta w Doomik Tysiąc Sto Czterdzieści Dwa będzie krótka i raczej nudna. Zbiorą nakazane informacje, prześlą je po kompresji na Coruscanti skoczą do następnej studni grawitacyjnej.

Łatwe życie skończy się dość szybko. I bardzo gwałtownie.

Gabby i Tanea grali akurat przez interkom w słówka, a statek zbliżał się do drugiej planety.

- Hemostaz - rzucił Gabby.

- Ee... Doświadczam.

Tanea roześmiała się.

- To trochę wbrew zasadom, ale dam sobie radę, taka jestem bystra. Czambuł.

- Tkaninowy.

Tanea zmarszczyła brwi.

- Cofam kwestię. Tym razem chyba mnie masz...

Zupełnie bez ostrzeżenia statek zatrzęsł się gwałtownie. Kabinę wypełnił ryk jakby szalejącego wiatru, głuchy łoskot i potrząskiwania przypominające odgłos pożaru.

- Co u diabła! - krzyknął Rulffe.

- Coś się porobiło z silnikami! - odkrzyknął Gabby. Ryk przeszedł w rozdzierający gwizd.

Chwilę później lodowate powietrze niemal rozcięło mu gardło i płuca, i zapadła głucha cisza.

Potem zamigotały i zgasły światła w kabinie. W potężniejącym chłodzie świeciły tylko małe, czerwone i żółte kwadraciki panelu awaryjnego.

W ostatnich sekundach świadomości, gdy wrzące ciecze rozrywały już gazami jego arterie, pilot próbował wystrzelić ręcznie boję sygnałową, która wysłałaby kod alarmowy. Jednak drżące w bliskiej agonii ręce już go nie słuchały. Nic nie mógł na to poradzić. Po paru sekundach cierpienia zapadł w litościwą nicotę.

Vol Noorr, najstarszy na pokładzie krążownika liniowego „Czystość”, patrzył z zadowoleniem, jak jeden ognisty impuls wysokoenergetycznego lasera rozrywa burtę intruza.

Skuteczność i dyscyplina obsady baterii sprawiły mu satysfakcję; odnotował sobie, aby wyróżnić jej dowódcę w rozkazie. Strzał przebił kadłub i wyeliminował załogę, ale nie zniszczył statku. Z białej chmury ognia i strzępków metalu niewiele można się dowiedzieć, a po zbadaniu ocalałego wraku Vol Noor przekaze długie i wyczerpujące meldunek.

- Wysłać ekipę przeszukującą - rozkazał. - Niech pamiętają o zachowaniu higienicznych wymogów ostrożności wobec wszystkich pozyskanych materiałów.

Potem zamknął się w zabezpieczonej pod każdym względem kabinie łączności. Po kilku minutach wysłał krótki, zakodowany sygnał, jedyny jaki miał się wydostać z systemu Doornik Tysiąc Sto Czterdzieści Dwa. Sygnał nie był skierowany do Instytutu Zwiadu Astrograficznego na Coruscant, lecz na flagową jednostkę wicekróla, stojącą w Eastport „Aramadię”.

- To już trzy dni z rzędu - powiedziała księżniczka Leia do zebranych w Sali konferencyjnej. - Czy ktokolwiek domyśla się, dlaczego Nil Spaar odwołał nasze spotkanie? Może jest chory? Czy wiemy cokolwiek o jego poczynaniach?

- Opuścił statek tylko raz - stwierdził generał Carlist Rieekan. - Poszedł do hostelu dla dyplomatów i przebywał tam dwie godziny trzynaście minut...

- Mniejsza z tym. Z kim się tam spotkał? - spytał Ackbar.

- Tej informacji nie zdołaliśmy uzyskać - przyznał się Rieekan. - Znacie ten hostel... Maksimum prywatności. Dyplomacja tego wymaga. Mogę tylko powiedzieć, że domek wypoczynkowy zarezerwowano jeszcze przed przybyciem Yevethów, ale dopiero teraz został wykorzystany.

- Czyli mógł się tam spotkać z kimkolwiek. Z każdym z oficjalnych gości hostelu - powiedziała Leia.

- Zgadza się.

- Chcę zobaczyć listę - zażądał Ackbar.

- Przygotujemy ją i prześlemy każdemu z uczestników tego spotkania - zapewnił Rieekan. - A przed samym przyjazdem tutaj, otrzymałem jeszcze kilka dodatkowych informacji. Wicekról przyjął dziś gości na pokładzie swojego statku...

- Co? - wykrzyknął Nanaod Engh. - Przecież od przylotu nikogo tam nie wpuszczali. Kto to był?

- Senator Peramis, senator Hididiji i senator Marook - wyliczył Rieekan. - Przyszli razem i zostali ponad dwie godziny. Senator Marook wyszedł wcześniej od pozostałych.

- Zostali zaproszeni czy sami się wprosili? - spytała Leia.

- Kazałem wypytać dyskretnie personel senatora Marooka. Wygląda na to, że zostali zaproszeni.

- Czy od dawna byli w kontakcie z Yevethami?

- Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć, księżniczko.

- Zaprośmy ich tutaj, a zaraz się dowiemy - rzucił na próbę admirał Ackbar. - Niech senator Peramis wyjaśni wszystko osobiście.

- Spokojnie, przyjacielu. Spróbujmy spojrzeć na to z dystansu - stwierdziła Leia. - Wicekról ma prawo zapraszać do siebie kogo zechce. Nie musi prosić o pozwolenie.

- Wybacz, księżniczko, ale po co pytasz, skoro nie chcesz poznać odpowiedzi?

Leia spojrzała na Rieekana i zmarszczyła czoło.

- O czym mówisz?

- Spytałaś, czy ktokolwiek ma pojęcie, dlaczego wicekról odwołuje spotkania z tobą. I dowiedziałas się, że spotkał się z kimś prywatnie, że oficjalnie zaprosił kilku mocno opozycyjnych senatorów. Nie tylko zachował się bezprecedensowo, ale też wyświadczył komuś uprzejmość, której tobie poskąpił. A ty ciągle nie chcesz wyciągnąć oczywistych, wręcz narzucających się wniosków...

- Jakich mianowicie...

- Że zaszła zasadnicza zmiana. I twoje negocjacje z Nilem Spaarem dobiegły końca.

- Ale co mogło spowodować tę zmianę? - spytała Leia. - Podczas ostatniego spotkania nie doszło do żadnych tarć. Nie podejrzewam go o skłonność do porzucenia całego dzieła ot tak, bez słowa...

Admirał Ackbar, który stał, pierwszy zauważył lekkie wibrowanie szyb. Szerokie okna zostały wcześniej przyciemnione, co miało chronić przed porannym słońcem i ciekawskimi spojrzzeniami, dlatego odwróciwszy się nie od razu zdołał dojrzeć przyczynę tego zjawiska.

- Księżniczko, chwilkę...

- Co się dzieje?

- Znam ten dźwięk... - odezwał się Engh.

- Coś dużego w Eastport - powiedział Rieekan. - Nie słyszycie?

Przez ten czas Ackbar podszedł do kontrolek okna i do pomieszczenia wdarło się nagle światło. Wszyscy jednocześnie obrócili twarze w jego kierunku.

Ujrzeni kulisty kształt „Aramadii” wznoszący się powoli nad portem kosmicznym. Trzy drobne eskortowce krążyły wokół niczym planety wokół gwiazdy. Zagłębienia kadłuba emitowały wyraźnie widoczne fale gorącego powietrza, przez co obraz nieco falował.

- Zdaje się, że teraz możemy uwierzyć we wszystko - rzucił Engh.

- Mam szefa portu na linii - oznajmił Rieekan.

- Niech wszyscy słyszą - poleciła Leia.

- Tak, sir. Słuchamy, komendancie. Co się tam dzieje?

Ryk pulsacyjnych silników yevethańskiego statku dobiegał z głośników znacznie donośniej, niż przez szyby.

- Wciąż próbujemy się zorientować. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że „Aramadia” nie poprosiła o zgodę na start i nie żądała otwarcia okna startowego. Zauważyliśmy, że startuje dopiero gdy wypuściła swoje eskortowce. Nie mieliśmy nawet czasu na usunięcie wszystkich ze strefy bezpośredniego odrzutu. Mamy sześciu rannych strażników portowych i co najmniej trzech ludzi z personelu naziemnego. Statek stojący w najbliższym doku, „Matczyna Walkiria”, wygląda na poważnie uszkodzony. Ten napęd pulsacyjny to dość paskudna sprawa. Dostaliśmy meldunki, że

zachwiało nawet jednostkami stojącymi dość daleko, bo w dokach komunikacji lokalnej.

- Dziękuję, komendancie. Proszę pozostawać w gotowości - powiedział Rieekan i przerwał połączenie. - Księżniczko, sugeruję postawić natychmiast Flotę Ojczyznianą w stan ostrego pogotowia.

- To nie starczy - wtrącił Ackbar. - Rozkazałem „Brylantowi” przesunąć się na pozycję dogodną do ewentualnego otwarcia ognia do „Aramadii”. W razie konieczności...

- Co? A dlaczego miałyby to być konieczne?

- Księżniczko, „Aramadia” znajduje się wewnątrz naszej osłony planetarnej - wyjaśnił Rieekan. - Statek tej wielkości może przenosić dość ładunków, by wszystko tu zburzyć. W przybliżeniu stanowi ekwiwalent kilku imperialnych fregat szturmowych. Nie możemy czekać, aż dowiemy się, co właściwie zamierza.

- To szaleństwo - zaprotestowała Leia. - To statek dyplomatyczny. Nie mamy żadnych dowodów, że jest uzbrojony. Dlaczego Nil Spaar miałby zrobić coś takiego? - spojrzała przez ramię na Ałolę. - Przyszła jakaś odpowiedź?

Asystentka potrząsnęła głową.

- Nie. Brak odpowiedzi na twoje wcześniejsze zapytania i na moją notę oznaczoną na czerwono jako nader pilna.

- Księżniczko - powiedział Ackbar - z szacunkiem, obecnie najważniejsze pytanie to nie dlaczego miałyby coś robić, ale czy potrafimy temu zapobiec. - Nie stać nas na luksus uznawania tego statku za przyjazny.

- Zgadzam się - potwierdził Rieekan. - Ofiary w Eastport świadczą, że priorytety Nila Spaara różnią się od naszych. Musieli przecież wiedzieć, jakie konsekwencje wywoła niespodziewany start na całej mocy. Pokazali jasno, że własne wygodnictwo jest dla nich ważniejsze, niż życie ludzi na ziemi.

- Tu nie chodziło o wygodnictwo - zaprotestował Ackbar. - To nie był przypadek. Wręcz odwrotnie. To kwestia chłodnej kalkulacji. Musieli wiedzieć o naszym spotkaniu. I najwyraźniej chcieli wprawić cię w zakłopotanie. Zaproszenie senatorów miało ten sam cel.

- Nie, nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Leia, a wyraz jej twarzy świadczył dobitnie, że uznaje się za pokonaną. - Zaalarmować flotę i naziemne systemy obrony. Poinstruować kapitana „Brillanta”, żeby zajął stosowną pozycję i czekał na dalsze rozkazy. Ale to nie my pierwsi otworzymy ogień i nalegam, by wszyscy przyjęli to do wiadomości. To z pewnością jakieś nieporozumienie. Nie dopuścimy do niczego, co mogłoby pogorszyć sprawę.

„Aramadia” weszła na orbitę położoną czterdzieści kilometrów poniżej dolnej strefy tarczy planetarnej Coruscant. „Brillant” posuwał się niczym cień za jej rufą.

Taka sytuacja utrzymała się przez następne dwie godziny. Statek zachowywał nieodgadnione milczenie i, wedle słów generała Rieekana, „gonił jak pies podwórzowy wzdłuż ogrodzenia”. Ackbar i Leia obserwowali wykres kursowy obu jednostek na

monitorze w gabinecie księżniczki. Leia z każdą chwilą coraz bardziej się niecierpliwiła.

- Na co on czeka? - zastanawiała się głośno, chodząc po pomieszczeniu. - Tak się spieszył ze startem, a teraz tylko lata w kółko. To bez sensu. Jeśli zamierzał odlecieć, mógł poprosić o wolną drogę i okno w osłonie.

- Z tego, co wiemy - powiedział Ackbar - nasza osłona nie daje szansy pokonania jej skokiem.

- Też o tym pomyślałam. Ale jemu wyraźnie chodzi o coś innego. Na razie przede wszystkim nas zaskoczył. Czego więc chce?

- Może chce dać nam szansę na wystosowanie przeprosin?

- Przeprosin? Za co? Mam zgadywać? Wystarczająco trudno jest prowadzić rozmowy z istotami, które nie potrafią wyjaśnić, co mają na myśli albo mówią tylko to, co, jak sądzą, chcesz usłyszeć. A co mam zrobić z takimi, które nie chcą powiedzieć, o co im chodzi? Przybывая tacy i oczekują, że odtańczę wszystkie kroki ich własnego protokołu, ale kroków mi przedtem nie pokażą...

Z jej słów Ackbar wywnioskował, że pękła tama i Leia daje upust rozgoryczeniu. Księżniczka też musiała to zauważyć.

- Przepraszam - powiedziała i westchnęła głęboko. - To nie twoja wina. Po prostu nie rozumiem, co się dzieje i zaczynam od tego wariować.

- Księżniczko - stwierdził Ackbar. - Możliwe, że właśnie o to chodzi.

Stojący na mównicy izby senatu Behn-kihl-nahm stukaniem młotka przywołał zgromadzenie do porządku. Zdumiewało go, jak pełna była sala, co podczas otwarcia obrad zdarzało się nader rzadko. O ile oczy go nie myliły, ponad połowa miejsc była zajęta.

Na korytarzach i w kuluarach wciąż rozprawiano żywo o nagłym, porannym starcie statku Yevethów, ale to też nie tłumaczyło nagłego wzrostu frekwencji. Pierwsza godzina, a czasem i dwie, dziennych obrad wykorzystywana była zazwyczaj przez senatorów wygłaszających mowy przeznaczone raczej do wiadomości mieszkańców ich rodzinnych światów i nie zawierające niczego, co byłoby istotne dla szanownego zgromadzenia. Czasem na salę przychodzili tylko ci, którzy chcieli zabrać głos. Behn-kihl-nahm spojrział na listę, ale nie znalazł na niej żadnego nazwiska, które mogłoby, jego zdaniem, przyciągnąć aż taką uwagę.

Coś się szykuje, pomyślał z niepokojem.

- Izba prosi senatora Hodidiji.

- Chciałbym zabrać głos na mocy punktu o przywileju.

- Senator Hodidiji ma prawo zabrać głos na mocy punktu o osobistym przywileju.

Hodidiji wstał ze swego miejsca i zwrócił się do zebranych za pomocą mikrofonu.

Jego głos zadudnił ponad głowami przedstawicieli planet.

- Panie przewodniczący, gdy prosiłem o czas, nie wiedziałem jeszcze, że rychło pojawi się pewna bestia o wielkim, palącym wprost stopniu pilności. W związku z powagą owej kwestii postanowiłem przekazać mój czas senatorowi Peramisowi z Walali. Proszę wysoką izbę o uważne wysłuchanie jego wystąpienia.

Senatorowie poruszyli i zaszemrali, ale nie aż tak głośno, jak Behn-kihl-nahm by oczekiwał. Najwyraźniej Peramis miał jakiś ważny powód, który zdążył nagłośnić, a Behn-kihl-nahm nie słyszał wszystkich krążących od rana plotek. Myśl ta wywołała marsa na jego czole.

- Senatorze Peramis - powiedział z lekkim ukłonem i wycofał się z podium.

- Dziękuję, panie przewodniczący. Dziękuję też senatorowi Hodidiji za uprzejmość - zaczął Peramis. - Większość z was wie już, że yevethański gstatek „Aramadia” wystartował dziś rano z Eastport i uczynił to niezgodnie z procedurą, bez zgody wieży. Otrzymałem informację, że trzech pracowników portu zginęło przy tej okazji, a ponad dwudziestu odniosło obrażenia...

Tym razem sala zareagowała wyraźnie gniewnym poruszeniem.

Behn-kihl-nahm szarpnęła za rękaw swojego asystenta.

- Wywołał księżniczkę - wyszeptał chrapliwie. - Powiedz jej, że jest pożar do ugaszenia i najlepiej będzie, jeśli sama tu zejdzie. Jak najszybciej.

- ... zostały też zniszczone trzy statki, wśród nich jeden konsularny, własność autonomicznego obszaru Paqwepori. Jednak powodem mojego wystąpienia nie jest ani niepowodzenie w negocjacjach Yevethami, ani wspomniane zniszczenia, ani nawet ofiary śmiertelne, których zaistnienie czyni sprawę nader ważką - ciągnął Peramis. - Najistotniejsza jest kwestia, dlaczego właściwie doszło do wszystkich powyższych zdarzeń. Jak dotąd nie otrzymałem w tej sprawie żadnej noty z gabinetu pani prezydent. Żadnego wytłumaczenia, wyrazów żalu czy oburzenia. Księżniczka była niedostępna, a jej personel odmawiał udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień. Nie zdumiewa mnie to. Gdybyście wiedzieli to, co ja, też nie bylibyście zdziwieni. Niewiele wyjaśnień może nam pani prezydent udzielić w tej sprawie, nie kłamiąc jednocześnie. Prawda bowiem stawia ją w nader niekorzystnym, zawstydzającym wręcz położeniu.

Senator Tolik Yar zerwał się na równe nogi.

- Punkt o przywileju osobistym nie upoważnia do bezkarnego zniesławiania!

- Panie przewodniczący, proszę o przywrócenie porządku w izbie - powiedział Peramis, nie zaszczycając Yara nawet spojrzeniem.

- Proszę o spokój - rzucił Behn-kihl-nahm dziwnie bez entuzjazmu.

- Ostrzegam pana, słów sugerujących zdradę stanu nie wolno rzucać na wiatr...

Peramis zmierzył krągłego Oolida pogardliwym spojrzeniem.

- Proszę usiąść i posłuchać dalej, senatorze. Dowie się pan, jakie formy może przybierać zdrada stanu. Dowie się pan też czegoś o osobie, którą zwie pan swoją przyjaciółką. Panie przewodniczący, proszę o włączenie ekranów w sali. Proszę też o uruchomienie aparatury odbiorczej i nastrojenie jej na kanał osiemdziesiąty pierwszy, na częstotliwość dyplomatyczną.

- W jakim celu, senatorze?

- Aby umożliwić wicekrólowi Nilowi Spaarowi z Yevethów zwrócenie się do tego gremium z pokładu statku „Aramadia”, który znajduje się obecnie na orbicie Coruscant.

Behn-kihl-nahm odwrócił wzrok od podium tylko na krótką chwilę niezbędną do wysłania drugiego asystenta z pilną misją.

- To niezwykle żądanie, senatorze Peramis.

- Bo i wydarzenia, których sprawa dotyczy są niezwykle. Zaś wicekról może temu gremium udzielić pewnych informacji nie tylko istotnych, ale wręcz kluczowych dla zrozumienia owych wypadków.

- Czy mam rozumieć, że pan już wie, co wicekról zamierza nam powiedzieć?

- Wicekról skontaktował się ze mną i poprosił o pomoc w wydobyciu prawdy na światło dzienne. Gdy dowiedziałem się, jak wygląda wspomniana prawda, uznałem że nikłe jest prawdopodobieństwo, abyśmy ją kiedykolwiek usłyszeli z innego źródła, wyraziłem zatem zgodę.

Szmary przybierały na sile.

- Posłuchajmy, co wicekról ma do powiedzenia! - krzyknął ktoś z tylnych rzędów.

- To zgodne z punktem o przywileju, może wprowadzić, kogo zechce! - odezwał się inny głos.

- Jak ktoś nie chce słuchać, niech wyjdzie!

- Senator Noimm puściła nam nagranie ze swojego ostatniego porodu, jej pozwoliliście!

Rozległ się chóralny wybuch śmiechu; senator Noimm nie wyglądała na uszczęśliwioną tym przytykiem.

- Włączyć! - krzyknął ktoś i inni podjęli okrzyk. - Włączyć! Posłuchajmy wicekróla!

Behn-kihl-nahm uniósł młotek.

- Proszę o spokój. Sierżancie, upoważniam pana do wyrzucenia każdego, kto się od tej chwili odezwie bez pozwolenia. Albo zapanuje tu porządek, albo zawieszam sesję.

Rosły Gamorreanin występujący w roli porządkowego wysunął się ze swego zwykłego miejsca, stanął pod mównicą i zmierzył spojrzeniem pierwsze rzędy. Behn-kihl-nahm skorzystał zaraz z młotka, nie tylko uderzając nim w podstawkę, ale także wskazując najzagorzalszych krzykaczy. W ten sposób sala zaczęła z wolna przypominać miejsce w miarę cywilizowane.

- Tak, już lepiej - powiedział tonem przygany Behn-kihl-nahm. Pamiętajcie, kim jesteście! To senat Nowej Republiki, a nie pełne gawiedzi targowisko.- Spojrzał na dół, w lewo. - Senatorze Peramis.

- Tak, panie przewodniczący.

- Czy przyjmuje pan pełną odpowiedzialność za słowa swojego gościa tak, jakby były to pańskie własne słowa, włączając w to jego gotowość podporządkowania się ewentualnym sankcjom, z jakimi może się spotkać każdy członek senatu w razie, gdyby naruszył przyjęte tu zasady postępowania?

-Tak.

- Zatem proszę dokonać prezentacji.

Otrzymałszy pierwsze ostrzeżenie Behn-kihl-nahma, Leia skierowała się nie do drzwi, ale ku ciemnemu jeszcze ekranowi monitora podłączonego do senackiego hiperłącza na kanale jedenastym.

- Nie pobiegnę gasić pożaru, dopóki nie dowiem się, co właściwie zaczęło się palić - powiedziała Ackbarowi.

Chwilę później dołączył do nich pierwszy zarządca Engh, który rutynowo obserwował obrady senatu i przybiegł zaalarmować Leię.

- Słyszałaś go? Zarzuca nam brak informacji! - wściekał się Engh.- Sytuacja się komplikuje... A co tu można powiedzieć? „Aramadia” siedzi na orbicie i całkowicie nas ignoruje. Dobrze, że chociaż Tolik Yar się znalazł. Peramis nawet do nas nie zadzwonił, wcale nie próbował dowiedzieć się, co o tym myślimy.

- Cicho - powiedziała Leia. - Nie słyszę, co mówi.

Nie musieli długo słuchać, żeby się zorientować, że schodząc teraz do sali obrad, Leia niewiele by wskórała.

- Znają mnie - stwierdziła. -I znają jego. Niech mówi. Senat nie jesy prędko w ferowaniu wyroków. Potem przyjdzie kolej na mnie. Ale nie dzisiaj, nie będę się przekrzykiwać z Peramisem. Dziś rano może sobie poużywać.

Jednak gdy Peramis obwieścił zamiar oddania głosu Nilowi Spaarowi, Ackbar dziwnie się ożywił.

- To kompletny absurd. Benny nie może pozwolić Peramisowi na coś podobnego.

- Nie zdoła go powstrzymać - zauważyła Leia. - Będzie musiał wyrazić zgodę.

- Liga Duskhańska nie należy do Nowej Republiki zaznaczył Ackbar. - Nil Spaar nie ma prawa korzystać z kanałów dyplomatycznych.

- To szczerógól - powiedziała Leia. -Przewodniczący nie odważy się oprzeć odmowy na tak wątplęj podstawie. Nie teraz, gdy atmosfera już się rozpałała.

- Jeśli wicekról zwróci się do senatu na kanale osiemdziesiątym pierwszym to jego mowa pójdzie w retransmisji na wszystkich światach Republiki - stwierdził Engh.

- Muszę wydzwonić kogoś z sieci. Zrozumieją o co chodzi i nie puszczą sygnału poza Coruscant.

- Nie-powiedziała Leia. - Nie obawiam się tego, co może powiedzieć. Poza tym sieci na pewno zwietrzyły już okazję. Nie jeśli wicekról nie chce rozmawiać ze mną, to niech zwraca się do kogo chce. Przynajmniej dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi

- Zatem proszę dokonać prezentacji - odezwał się Behn-kihl-nahm.

- Mówiłam, że pozwoli - mruknęła Leia. - Cisza obaj, aż skończy. Nie chcę stracić ani słowa.

Zarówno Globalna Sieć Coruscant, jak i niezależna Pierwsza Noworepublikańska zostały uprzedzone przez personel senatorów Hodidiji i Peramisa, że coś ma się zdarzyć i uważnie śledziły obrady od chwili, gdy Peramis wszedł na mównicę.

Władze portu nie udostępniły mediom ujęć z automatycznych kamer zamontowanych na płycie, ale Globalna wyszperała amatorski film ze startu „Aramadii”, dzieło beloviańskiego wysłannika, który właśnie żegnał rodzinę w terminalu Eastport.

Fakt pojawienia się takiego nagrania nie powinien dziwić, jeśli brało się pod uwagę, jak wiele kamer kierowano ku yevethańskiemu statkowi od dnia jego

ładowania. Jednak to, że na jednym z ujęć widać było drobną i nieco niewyraźną postać odrzuconą gwałtownie i bezładnie, niczym szmaciana lalka, podmuchem silników, stanowiło już czysty przypadek.

Ujęcia ze startu, które zaprezentowała Pierwsza, wykonano z większej odległości, a dokładnie z balkonu pewnego miłośnika techniki kosmicznej, który zmontował sobie zautomatyzowany punkt obserwacyjny. Tutaj szczegóły umykały, ale Pierwsza zdołała jakoś wykadrować i powiększyć niektóre sceny, szczególnie te ukazujące rozmiar zniszczeń na ziemi, a wśród nich i opakowane w worki ciała ładowane do ślizgaczy koronera.

Nil Spaar obejrzał i jego, i drugie. Czekał jeszcze na wynik sporu pomiędzy dwoma szkodnikami. Jak zawsze, od początku pobytu na Coruscant, śledzenie programów mediów uważał za bardzo kształcące. Otrzymał zadanie, by nauczyć się myśleć tak jak to robactwo w celu łatwiejszego wyśledzenia jego słabości. Sieci ułatwiały mu to, jak mogły, nawet mu się nie śniła lepsza pomoc.

Ciągle jednak niezbyt potrafił uwierzyć, że jakieś istoty mogą okazać się aż tak szalone. Że mogły robić takie rzeczy, jak to, co właśnie widział na ekranie.

Pomysł, że ktoś odważy się przemawiać przeciwko swojemu przywódcy, i to oficjalnie, zgodnie z prawem i bez strachu, że natychmiast zostanie zgładzony, wraz z całą rodziną, zaś owa osobliwa rada starców zgodzi się wysłuchać nie tylko krytykanta, ale i obcego, któremu przecież nie powinni ufać, byłby dla każdego Yevethy nad wyraz trudny do zaakceptowania.

Gdyby Nil Spaar sam nie poznał tej słabej osoby, która obecnie rządziła robactwem, nigdy nie dałby wiary, że to w ogóle możliwe.

Ciało i duch robali skażone były potężnie, brakowało im poczucia honoru, i niewiele wiedzieli o męstwie. Tysiące zrzeszonych w Republice gatunków nie znaczyły więcej niż stos kamyków, każdy osobno, każdy broniący się przed włączeniem w skład większej struktury, przed stopieniem się w całość. Szkodniki żyły wiecznie podzielone, okazywały samolubną drapieżność i naiwną łatwościerność. W dodatku były irracjonalne i skłonne do fatalnego idealizmu. Żaden z nich nie zasłużył dotąd na szacunek. Ale z pewnością żaden nie wzbudził większej pogardy niż Tig Peramis, zdrajca, którego podobizna wypełniała obecnie oba ekrany.

- Tak - odpowiadał Peramis.

Gdy tylko się dowiedzą, co zrobiłeś, zabiją cię. Zginiesz śmiercią powolną i bolesną - pomyślał Nil Spaar. Całkowicie zasługujesz na ten właśnie sposób.

- Zatem proszę dokonać prezentacji - odezwał się Behn-kihl-nahm.

Przed Nilem Spaarem zapłonęło wyczekiwane światelko. Wyciszył oba monitory.

- Tak, senatorze - powiedział. - Jestem i czekam.

Drayson uniósł dłonie, rozprostował długie palce i oparł się wygodnie w fotelu. Patrzy, jak twarz Tiga Peramisa ustępuje na ekranie miejsca obliczu Nila Spaara.

Miał nadzieję, chociaż tego nie oczekiwał, że uda mu się podejrzeć kawałek wnętrza „Aramadii”, jednak Yevethowie nie okazali się na tyle nieostrożni. Skądkolwiek Spaar nadawał, za plecami miał gładką płaszczyznę, coś jakby gołą gródź. Chociaż, biorąc pod uwagę powszechną skłonność konstruktorów do wykorzystywania

każdego skrawka miejsca, zapewne nie była gródź tylko jakaś osłona, może rzeczywista, może wygenerowane elektronicznie tło.

- Zanim zacznę, pragnę wyrazić głęboki żal związany z faktem, iż nasz start z Eastport przysporzył ofiar - powiedział Nil Spaar - Z dużą przykrością usłyszałem, że zignorowano nasze ostrzeżenia i nie oczyszczono na czas strefy podmuchu. Nie było naszym zamiarem skrzywdzić kogokolwiek. Opuściliśmy Eastport, chcąc uniknąć konfrontacji, a nie po to, by takową prowokować.

- Bardzo ładnie - mruknął Drayson i skinął głową. - Dobra robota.

- Współczuję ofiarom - ciągnął wicekról - jednak nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za los, który je spotkał. Przez ponad trzy dni bezskutecznie domagaliśmy się zgody na opuszczenie Coruscant. Trzej członkowie waszego senatu byli świadkami jednej z takich prób i mogą potwierdzić, iż w odpowiedzi otrzymywaliśmy jedynie głuche milczenie. Ostrzeżliśmy zatem wieżę Eastport i panią prezydent, że wobec takiego traktowania zaczniemy manewr startu bez zgody. W odpowiedzi otoczyli nasz statek żołnierzami i wymienili obsługą naziemną na agentów wywiadu.

Aha! - pomyślał Drayson. Nader ciekawe. I co dalej? Oczekujesz, że uwierzą w oskarżenia pod adresem wywiadu, czy może trzymasz w zanadrzu jakąś prawdziwą wiadomość na poparcie swojego kłamstwa? Splótł palce i zakołysał się w fotelu. Czekał na odpowiedź.

- Robi się gorąco - westchnął Engh. - Czy cokolwiek z tego jest prawdą? Czy mogło dojść do aż takiego nieporozumienia, że przeoczyliśmy prośbę o zgodę na start?

- Zamknij się - poleciła Leia.

Izba senatu była już prawie pełna. Miejsca nie zajęte przez prawowitych właścicieli wykorzystali kręcący się zwykle w kuluarach ciekawscy. Personel wypełnił wszystkie przejścia, miejsca pod ścianami, a nawet w drzwiach. Siedmiometrowy wizerunek Nila Spaara przyciągał powszechną uwagę o wiele bardziej niż ktokolwiek z dotychczas zasiadających w tutejszych ławach.

- Stało się oczywiste, że rząd Leii Organy zamierza przetrzymać nas na planecie wbrew naszej woli - ciągnął wicekról. - Zrozumiałem też, iż nie możemy już dłużej czekać. Groziła nam nie tylko utrata prawa do swobodnej żeglugi, uprzednio solennie nam gwarantowanego, ale niemożność fizycznego wykorzystania owego przywileju. „Aramadia” to statek konsularny. Nie posiada specjalnego wyposażenia ani uzbrojenia. Pewien jestem, że ci spośród was, którzy znają Leię Organę, będą powątpiewać, czy byłaby ona zdolna wysłać żołnierzy do ataku na dyplomatów. Spędziłem z nią wiele godzin i wydawało mi się, że ją poznałem. Też zawahałbym się przed daniem temu wiary, szczególnie w sytuacji, gdyby nic więcej nie świadczyło o jej złej woli.

Ekran zamigotał i zamiast twarzy Spaara pojawił się obraz spalonych i poskręcanych strzępków metalu ułożonych na pokładzie.

- To, co właśnie widzicie, to wrak należącego do Nowej Republiki statku szpiegowskiego, który cztery dni temu naruszył terytorium Ligi Duskańskiej. Dostrzeżony przez miejscowy patrol dokonał samozniszczenia, jednak udało nam się

odzyskać dość szczątków, by zidentyfikować zarówno jego pochodzenie, jak i przeznaczenie.

W tym momencie publiczność skupiona w senacie i rozrzucona po biurach Imperial City i po światach Nowej Republiki ujrzała ręce anonimowego Yevethy odwracające fragment poszycia na tyle duży, by dał się na nim rozpoznać znak Nowej Republiki - błękitny pióropusz, pierścień gwiazd i złoty sierp.

Drayson pochylał się ku ekranowi i powoli wstał.

- Cholera, to nie jednostka zwiadowcza. Raczej flądra. Znaczy była... - jednym uderzeniem palca włączył komp łączności. - Sprawdzam.

- Sprawdzone, Drayson, Hiram.

- Wywołać Kileśa L'totha. Na szyfrowym.

- Wywołuję Kileśa L'totha. Czekam. Sprawdzam. Gotowe.

- Kileś, mówi Drayson. Czy to nie jeden i twoich statków leży tam w kawałkach?

Mówię o nagraniu yevethńskiego ambasadora.

- My... właśnie... też tak myślimy - odparł drżącym głosem dyrektor. - To może być „Astrolabium”. Spóźnia się z meldunkiem. Już cztery godziny...

- Cztery godziny. Wicekról twierdzi, że to było przed czterema dniami. Jak mogliście nie zauważyć utraty łajby?

- Admirale, gdy taka ekipa wlatuje do systemu, zazwyczaj nie ma tam wielkiego ruchu. Poza tym, zaraz, to co on mówi, to nieprawda. „Astrolabium” nie wypełniał misji szpiegowskiej. To była rutynowa robota badawcza...

- Nie pytam, co tam robił. Ja nie - rzucił Drayson. - Ale inni będą. Ułóż sobie jakąś dobrą odpowiedź.

Księżniczka Leia zbladła, gdy na ekranie pojawiły się trzy czerwone worki z ciałami.

- Z żalem muszę przekazać, że nikt nie ocalał - mówił Nil Spaar. - Znaleźliśmy zwłoki trzech osób. Obecnie czynimy przygotowania do ich odesłania.

Wizerunek wicekróla powrócił na antenę.

- Tej ani żadnej innej sprawy omawiać z księżniczką Leią Organa Solo nie możemy i nie chcemy. Wszystko bowiem, co nam dotąd powiedziała, okazało się kłamstwem. Utrzymywała, że wiedzona dobrą wolą podejmuje negocjacje, a równocześnie wysyłała szpiegów ku naszym ojczystym światom. Deklarowała gotowość uszanowania naszej niezawisłości, chociaż na jej rozkaz Piąta Flota pojawiła się u naszych granic. Twierdziła, że traktuje nas jak równych, ale po cichu próbowała osłabić nas szpiegostwem i groźbami. Nie wiem, do czego jeszcze się posunie, chcąc wzmocnić swą władzę. Ze smutkiem przekonałem się, jak daleko odeszła od idei, które mają przyświecać Nowej Republice. W obecnej chwili i ja, i mój personel, i załoga tkwimy uwięzieni wewnątrz tarczy planetarnej Coruscant. Naszym tropem podąża krążownik liniowy coruskańskiej Floty Ojczyźnianej. Pragniemy jedynie umożliwienia powrotu na nasz rodzinny świat, lecz księżniczka Leia najwyraźniej odmawia nam prawa do wolności, której imię tak często i gładko przywołuje na usta. Pragnę poprosić

senat i każdy z reprezentowanych w nim światów, aby wykorzystali wszystkie wpływy i wyperswadowali księżniczce szkodliwe i agresywne zamiary. Proszę o otwarcie osłony. Pozwólcie nam odlecieć.

Zgromadzenie buchnęło gniewnymi głosami i okrzykami potępienia. Tymczasem oblicze Nila Spaara zniknęło z ekranów.

- Wyłączcie - powiedziała Leia i opadła na fotel. - Wyłączyć! - powtórzyła ostrym tonem, gdy Engh i Ackbar nie dość szybko zareagowali na polecenie.

Engh oprzytomniał pierwszy. Ekran zamarł i upodobnił się barwą do ściany, na której wisiał. Na chwilę w pokoju zapadła cisza.

Wyraźnie zakłopotany Ackbar odwrócił się do okna.

- To prawdziwa katastrofa - powiedział w końcu.

- On wszystko poprzekreślał - stwierdziła z niedowierzaniem Leia. - Jak mogło do tego dojść? Wygląda na to, że zagraliśmy na ich najsilniejszych lękach. Ale żeby aż tak się pomylić?

- Leio, musimy coś zrobić... - powiedział Engh. Jego błagalne spojrzenie wyrażało dokładnie to samo.

Pani przywódczyni przytaknęła, chociaż gest ten kosztował ją chyba wiele wysiłku.

- Złap generała Baintorfa. Niech otworzy osłonę. Przekaż na „Brillanta”, żeby zerwali kontakt. Niech lecą. Poproś Bennego, niech wyznaczy reprezentanta Senatu do zorganizowania zwrotu ciał.

- Tak, księżniczko. Natychmiast.

Engh ruszył ku drzwiom rad, że może opuścić pomieszczenie.

- Doskonała robota - stwierdził Hiram Drayson. Stał ze skrzyżowanymi ramionami przed monitorem i patrzył, jak senator Peramis i senator Hididiji przedstawiają na forum deklaracje wystąpienia ich światów z federacji. Potem zrobiły to jeszcze trzy inne pomniejszych planety, wszystkie reprezentowane w senacie przez swoich dziedzicznych władców. Nikt więcej nie zabrał głosu w tej sprawie tylko dlatego, że Behn-kihl-nahm zapanował nieco nad salą i zawiesił sesję.

Gdy sieci zakończyły transmisję na żywo i zajęły się analizami, Drayson wywołał nagranie orędzia Nila Spaara.

- Naprawdę bezbłędna - mruknął, obejrawszy powtórkę i utwierdziwszy się w pierwszym osądzie. W jego głosie pobrzmiwało coś więcej niż tylko zwykły podziw.

- Czegoś mi tu jednak brakuje, wicekrólu - dodał pocierając wielką dłońią twarz. W jego bystrych, czarnych oczach pojawił się wyraz zamyślenia. - Co zyskasz w ten sposób? Jakiej zapłaty oczekujesz za osłabienie władzy Leii i skłócenie Senatu? Czegoś tu nie rozumiem...

Drayson podszedł do biurka i przestawił kom ekranem do siebie.

- Sprawdzam.

- Sprawdzone. Drayson, Hiram.

- Wywołaj Etahna A'bahta. Na szyfrowym. Ślepą więzką.

- Wywołuję Etahna A'bahta. Działam. Czekam. Sprawdzam...

- Admirale Ackbar.
Rosły Kalamarianin odwrócił się od okna i spojrzał na stojącą przy drzwiach księżniczkę.

- Tak, Leio.
- Co jeden z naszych statków robił w pobliżu Koornacht? Wiedziałeś coś o tym?
- Nie potrafię powiedzieć - powiedział z wahaniem admirał.
- Zatem spróbuj się dowiedzieć - rzuciła i odwróciła się.
- Dokąd idziesz?

Leia spojrzała przez ramię.

- Do domu. Pomyśleć o złożeniu rezygnacji.

- Leio...

- Nie próbuj ze mną dyskutować. Nie teraz. Może jutro.

W pustym centrum operacji bojowych lotniskowca szturmowego „Nieustraszonej” siedzieli tylko dwaj generałowie, obaj bardzo nieszczęśliwi i przygnębieni. Powodem zgrzyoty generała Etahna A’bahta była świadomość wagi tego, co już zrobił, generała Hana Solo zaś trapiła pewność tego, co niebawem nadejdzie.

Przez ponad dwie godziny A’baht łączył się z Coruscant, chcąc osobiście porozmawiać z księżniczką Leią. Wypróbował wszystkie kanały bezpośrednie i wiele pośrednich, ale bez skutku.

Dotarł do Działu Operacyjnego Floty, do centrum informacyjnego, zamienił kilka zdań z nieustannie przepraszającym dyrektorem tegoż, porozmawiał chwilę z dziwnie mruklwym admirałem Ackbarem, z prezydencką centralą łączności i androidem protokolarnym oraz automatycznymi sekretarkami z pół tuzina różnych biur, a nawet z ich wysoko postawionymi użytkownikami. Leia jednak zniknęła. Była nieosiągalna i fizycznie, i za pomocą środków łączności Imperial City. Na dodatek żaden z rozmówców A’bahta jakoś nie palił się, by ją odszukać.

Ostateczni Ackbar zgodził się zanieść do rezydencji prezydenckiej wiadomość z prośbą, by Leia skontaktowała się z generałem na pokładzie „Nieustraszonego”. Od tamtej chwili zaczęło się czekanie, frustrujące liczenie upływających w ciszy minut. Wielkie centrum, w którym normalnie kłębiły się całe tuziny oficerów i personelu, przyprawilo w takich okolicznościach o klaustrofobię nie gorzej niż malutka komórka łączności przy mostku.

Gdy hiperkom wreszcie ożył i błysnął czerwienią linii specjalnej, obaj mężczyźni aż drgnęli. Pojawił się hologram popiersia Leii i Han zdumiał się, widząc jak blada jest jego żona i jak puste, pozbawione życia wydają się jej oczy.

- Generale A’baht - przywitała się z lekkim ukłonem. Głos miała lekko matowy, zaraz też odchrząknęła.

- Księżniczko. Dziękuję za wysłuchanie mojej prośby.

- Admirale Ackbar dał mi do zrozumienia, że chce mi pan coś powiedzieć.

- Tak, księżniczko. - Generał wyprostował się w fotelu. - Jestem osobiście odpowiedzialny za wysłanie statków astrograficznych do sektora Farlax. Zanim Piąta wyruszyła, poprosiłem o uaktualnienie map tego sektora, w tym i Gromady Koornacht.

Zrobiłem to z pełną świadomością, wiedząc, że naruszam twoje rozkazy. Nie próbują się usprawiedliwiać, przyjmuję pełną odpowiedzialność za konsekwencje mojego czynu.

Leia wysłuchiwała go niemal nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Dziękuję, generale. Zostaje pan ze skutkiem natychmiastowym zwolniony z zajmowanej funkcji. O dalszych pana losach zadecyduje następna osoba, która tutaj zasiądzie. - Leia poszukała spojrzeniem Hana. - Generale Solo.

- Tak, Leio - powiedział Han, robiąc krok do przodu.

- Mianuję cię dowódcą na miejsce generała A’bahta. Otrzymujesz zadanie sprowadzenia Piątej Floty z powrotem na Coruscant. Najszybciej, jak to możliwe.

- Ale Leio...

Spod maski odrętwienia wyjrzało na chwilę oblicze pełne bólesci.

- Po prostu wracaj do domu, Hanie.

Obraz zniknął.

A’baht odwrócił się od hiperkomu.

- Przykro mi - powiedział wstając. - Przed zawróceniem formacji musisz odwołać patrole.

- Co? A tak, jasne... W porządku, na razie mniejsza o przeprosiny, powiedz mi raczej, czemu to zrobiłeś. To rozkaz - dodał, widząc wahanie A’bahta.

- No dobrze - powiedział A’baht. - Uważałem, że odmówiono mi informacji, której potrzebowałem do właściwego wykonania powierzonych mi misji, i to obu jej części, czyli ochrony sił pozostających pod moim dowództwem i ochrony interesów Nowej Republiki. Dotycząca kwestii militarnych decyzja księżniczki Leii wynikała z przesłanek politycznych, co postawiło mnie w położeniu, którego nie mogłem zaakceptować. Musiałem zatem zadziałać inaczej i skutkiem jej obiekcji sięgnąłem po środki nie należące do Floty. Skontaktowałem się z Instytutem Zwiadu Astrograficznego. Co z tego wynikło, już wiesz.

- Chyba tak. A ty?

- Co masz na myśli?

- Ta flądra nie była statkiem szpiegowskim.

- Nie.

- I nie mogła sama się wysadzić, prawda?

- Nie mogła.

- Zapewne więc znalazła to, czego szukasz, co cię tak zaniepokoiło.

- Możliwe - przyznał A’baht. - Ale co z tego. Nie wysłała żadnego meldunku, a w tamtym obszarze nie mamy innych jednostek. Yevethowie zachowują swoje tajemnice dla siebie. - Zasalutował niemrawo. - Proszę o pozwolenie udania się do kabiny, się.

Han zmarszczył brwi.

- Udzielam - powiedział i A’baht skierował się do wyjścia. - Generale...

A’baht przystanął i obejrzał się.

- Ile statków zwiadowczych ma Piąta Flota?

- Jeden dywizjon, czyli osiem. Mamy też dwa dywizjony zdalnie sterowanych jednostek rozpoznawczych.

- Han wskazała na rząd nieobsadzonych konsolet.
- Zechcesz mi pokazać, który z tych guzików łączy z twoimi taktykami?
 - Co sugerujesz? - spytał A'baht z dość niepewną jeszcze miną.
 - Cóż... wiemy jedno, gdzieś tam jest coś, albo ktoś, kto bardzo nie lubi Nowej Republiki - powiedział Han z ponurym uśmiechem. - Mam rację?
 - Myślą, że tak.
 - W tej sytuacji należałoby osłonić jakoś operację odwrotu. Uważasz, że to brzmi sensownie?
 - Ty dowodzisz flotą, generale Solo.
 - Zgadza się. A ja bardzo nie lubię odwracać się plecami do ciemnych kątów, w których ktoś może na mnie czyhać. Który guzik?
 - Tamten - wskazał A'baht.

ROZDZIAŁ

14

Nazwę Koornacht nadali gromadzie przed setkami lat obcy astronomowie. Dla większości był to teraz tylko pusty dźwięk, zlepek liter nie znaczący więcej niż zwykle pomieszczane w katalogach symbole liczbowe.

W rzeczywistości wszystko zaczęło się od niejakiego Aitro Koornachta, który zachował się nader przychylnie wobec Pierwszego Obserwatora, czyli głównego astronoma na dworze cesarza Preedu III, panującego na Tambanie. Rzecz dotyczyła pewnej kobiety i osobistego powozu władcy. Gdy następnego nocy astronom przyłożył oko do okularu nowiutkiego teleskopu, zdarzyło mu się dostrzec na tle nieba jasny i nieco zamazany dysk. Postanowił odwdziżyć się swemu dobroczyńcy i w ten sposób nowo odkryta gromada gwiazdna odziedziczyła imię po dowódcy nocnej zmiany pałacowej gwardii.

Jednak to samo jasne skupisko miało też inne miano. Rasa Fia z planety Galantom, na której niebie gromada jawiła się jako wielki, jasny owal, zwała ją Obłokiem Mnogości. Inny galaktyczny sąsiad, Wehttamowie, powiadomili Świątyni Bogów. Ka'aa, wędrowcy dość wiekowi, by pamiętać widok pierwszych zapalających się w gromadzie gwiazd, przechowali nazwę no 'aat padu`ll, co można przełożyć jako Małą Szkołkę.

Yevethowie przyjęli termin, który znaczył dokładnie tyle, co Dom.

Gromadę tworzyło dwa tysiące słońc i dwadzieścia tysięcy światów zrodzonych z tego samego obłoku pyłowo-gazowego, którego szczątki wciąż zaśmiecwały przestrzeń pomiędzy nimi - wszystkie młode i surowe, przeważnie zupełnie puste. Życie ożywiło kolorami mniej niż sto planet. Tylko jeden gatunek zdołał wydzwignąć się z powierzchni ku gwiazdom.

Dwa tysiące słońc skupionych w stosunkowo niewielkiej przestrzeni świeciło tak jasno, że obserwator na N'zoth czy pobliskich jej planetach nie miał szansy dostrzec na niebie żadnych mniej jasných obiektów, w tym i odległego przestworu galaktyki. Yevethowie dowiedzieli się, że nie są sami we wszechświecie dopiero wtedy, gdy obcy przybyli do gromady, by eksploatować jej bogactwa.

Była to dla nich zaskakująca nowina. Młody gatunek o silnym poczuciu jedności przywykł uznawać swą siedzibę za środek uniwersum. Samo istnienie obcych, jak i ich

oczywista inność, okazały się dla Yevethów nieodpartym wyzwaniem. Z tego też wynikł ostatecznie nowy profil kulturowy społeczności zbudowanej na założeniach czystości rasy, świętej nienaruszalności terytorium i ksenofobicznej nienawiści.

Imperialna okupacja stanowiła dla Yevethów wspaniałą okazję do nauki. Wykorzystali ją w pełni.

Gdy funkcjonariusze imperialni przybyli do gromady, Koor-nacht należało w całości do Yevethów. Podróżując w przestrzeni rzeczywistej na swoich niedoskonałych, kulistych statkach z napędem raketowym, zdołali zasiedlić jedenaście światów poza swoim własnym.

W całej spisanej historii galaktyki brak drugiego gatunku, który założyłby aż tyle kolonii bez korzystania z technologii napędu nadprzestrzennego. Yevethowie dokonali tego, ponieważ świetliste nocne niebo, wiszące jakby na wyciągnięcie ręki, kusiło ich nieodparcie. Musieli sięgnąć tych gwiazd.

Ostatecznie Imperium wycofało się z Koornacht, a Yevethom została w spadku technologia umożliwiająca dokonywanie dowolnie dalekich skoków pomiędzy gwiazdami. Nieporównanie szybsze statki sprawiły, że skolonizowane przez Yevethów światy stały się równie bliskie, jak miasta leżące na sąsiednim kontynencie. Imperialne moduły łączności mogły w ciągu kilku minut przenieść głos wicekróla na dowolny kraniec gromady.

N'zoth zjednoczyła się z koloniami bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Rozpoczął się czas Drugich Narodzin. Yevethowie ruszyli na podbój i zasiedlili tuzin dalszych światów. W pewien sposób rozradowali tą metodą frustrację narosłą w trakcie lat okupacji.

Ich ambicje jednak na tym się nie kończyły. W umysłach wielu zrodziła się już wizja wspanialszych dokonań te jednak wymagały długich przygotowań i sporego namysłu. Na razie inżynierowie zaadaptowali dawne projekty tradycyjnie napędzanych statków Yevethów do imperialnej technologii, ekipy stoczniove zaś wzięły się za dokończenie i remonty jednostek bojowych przechwyconych od Imperium.

Uznano oficjalnie, że ochrona przyrodzonych Yevethom praw wymagać będzie i tych, i jeszcze znacznie większych wysiłków i ofiar. Nastawiono się na działania bezprecedensowe przygotowując nie tylko statki i załogi, ale całe społeczności, całe pokolenia, które powinny w pewnej chwili bez wahania opuścić swe domostwa i ruszyć na poszukiwanie nowych siedzib wśród gwiazd.

A to wymagało, by ktoś podążył przodem i oczyścił im drogę. Podczas okupacji gromady Koornacht Imperium pozwoliło kilku grupom emigranckim założyć tu parę kolonii. W gruncie rzeczy nawet do tego zachęcało, głównie dla zaspokojenia własnych potrzeb. I gdy Imperium upadło, Yevethowie nie byli już u siebie sami.

Transfer pomiędzy „Aramadią” i długim na osiem kilometrów gwiazdowym niszczycielem „Duma Yevethów” przeprowadzono podczas spotkania w samym sercu gromady Koornacht, z dala od czyichkolwiek ciekawskich oczu.

Przewiezienie całej świty wicekróla wymagało aż trzech rejsów rautowego wahadłowca. Za pierwszym razem na pokład trafiły darna i partnerki prokreacyjne władcy. Przy drugim nawrocie przetransportowano grupę asystentów, w tym i pierwszego attache Eriegoalle. Ostatnim rejssem zabrała się kompania honorowa, sam Nil Spaar i Vor Dull, naczelny informatyk „Aramadii”, który w tej formie otrzymał wyróżnienie za wzorowe wypełnianie obowiązków podczas udanej wizyty na Coruscant.

Na ich spotkanie wyszedł Dar Bille, zastępca Nila Spaara podczas dawnych dni podziemia. Obecnie dowodził „Dumą Yevethów” i zawiadywał szkoleniem kolejnych dowódców przeznaczonych na następne eksimperialne okręty dołączające kolejno do rosnącej w siłę Czarnej Floty.

- *Etaias* - przywitał się Dar Bille, salutując w sposób, który wyrażał jednoznacznie dzielącą ich przepaść w hierarchii społecznej. Stojąc za nim niżsi rangą oficerowie natychmiast uczynili podobnie, tyle że jeszcze z większą ostentacją: każdy z nich przyklęknął na jedno kolano i skłonił głowę.

- *Nureti* - odparł ciepło Nil Spaar. - To nie było konieczne, ale sprawiło mi radość. Dopilnuj, aby każdy trafił do swojej kwatery. Dar, zaprowadź mnie na mostek. Czy flota jest już gotowa?

- Tędy, wicekrólu. Flota jest jak najbardziej gotowa. Tylko „Chwale” udało się wyprawić na czas, by do nas dołączyła - powiedział Bille, wiedząc, że ta wiadomość nie zaskoczy Spaara. „Chwała” była imperialnym okrętem zwanym niegdyś „EX-F” i miała wyjątkowo osobliwy i unikatowy system napędowy, który nieustannie sprawiał Yevethom kłopoty.

Idąc korytarzem za Billem, Spaar przesunął palcami po nagich karkach mijanych oficerów. Był to gest akceptacji, przyjęcia ich gotowości do złożenia ofiary z życia.

- A co z resztą? - spytał.

- Po ostatnich ćwiczeniach uznałem, że załoga „Błogosławionego” nie jest jeszcze gotowa. Ale to nam nie przeszkodzi w udanym wykonaniu zadań.

- Spodziewam się, że pierwszy został odpowiednio potraktowany za to niepowodzenie.

- Owszem, moją ręką. Podobnie jak jego drugi.

- Wspaniale - stwierdził Nil Spaar. - Ci, którzy służą na niższych stanowiskach nie powinni liczyć na to, iż ostrze sprawiedliwości dotrze tylko gardła dowódcy.

- Nowy pierwszy „Błogosławionego” wie, że po naszym powrocie czekają ich kolejne ćwiczenia. Może zechcesz im się przyjrzeć.

- Kto wie - odparł Nil Spaar, gdy dotarli na mostek. - Na razie myślę tylko o tym, co nas czeka w najbliższej przyszłości. I wspominam. Uważam, że dobrze się stało, iż właśnie ty dowodzisz dzisiaj moim okrętem flagowym. Pamiętasz „Piękno” i ten dzień, gdy odkryliśmy pierwsze gniazdo robactwa?

Mały statek kosmiczny „Piękno”, dawna imperialna korweta, zaniósł kiedyś Nila Spaara daleko poza granice gromady. Długa misja zwiadowcza otworzyła mu oczy na stojące przed Yevethami zadania i nadała cel wszystkim jego późniejszym działaniom. Pojął wielkość Powszechnego i zrozumiał jego nakazy. Ujrzał, jak liczni są wrogowie

Yevethów i jak wielkie stanowią zagrożenie. Z tymi myślami wrócił wówczas na N'zoth i postanowił, zostać wicekrólem.

- Oczywiście, *etais*. A teraz znów jesteśmy razem, i to na mostku wspaniałego okrętu. Niebawem ponownie spojrzymy z góry na gniazda szkodników. Ale tym razem oni dowiedzą się o naszym istnieniu. Spojrzał obok Nila Spaara na pierwszego informatyka. *Lifaht*, co wiesz o ruchach republikańskiej Piątej Floty?

- Szanowny pierwszy, nasze źródło melduje, że zniknęli z Halawy. Kontakty na Coruscant sygnalizują, iż flota została odwołana.

Nil Spaar odetchnął z ulgą.

- Zatem się uda. Jestem usprawiedliwiony.

Dar Bille spojrział z radością na przełożonego.

- Na twoje rozkazy, wicekrólu.

- Chcę przemówić do wszystkich na naszych pokładach.

Bille skinął pospiesznie na pierwszego od łączności, a ten połączył co trzeba i zapowiedział, że wicekról przemówi zaraz do załóg wszystkich dwudziestu pięciu okrętów rozrzuconych dyskretnie w grupach po dwa, po trzy, w całej gromadzie.

- Pamiętajcie, iż należymy do błogosławionych, zrodzonych z blasku Powszechnego - powiedział Nil Spaar. - „Piękno” należy do nas. Niebios, które widzimy nad głowami, należeć będą do naszych dzieci. Nie zostały stworzone dla istot, które ściągnęły ku nim z zewnętrznych mroków i które obecnością swego jestestwa mącą blask i kalają piękno Powszechnego. Dziś usuniemy ich tak, jak zarządca spichlerza pozbywa się szkodników, by ochronić plony. A gdy następnym razem staniecie na N'zoth i spojrzycie w niebo, będziecie wiedzieli, że w górze nie ma już nikogo prócz potomstwa Yevethów.

Nil Spaar odstąpił od hiperkomu i spojrział na Dara Billego.

- Możesz wydać rozkaz - oznajmił wspaniałomyślnie.

Kryza pierwszego napuchła z dumy i wdzięczności.

- Do wszystkich jednostek Czarnej Floty, mówi pierwszy „Dumy Yevethów” - oznajmił czystym, wyraźnym głosem. - Na polecenie wicekróla rozkazuję rozpocząć planowane ataki. Niech każdy z was dowiedzie dzisiaj, że zasłużył na miano Yevethy.

Na pomarszczonym i brudnym obliczu Negusa Nigekusa małował się wyraz aprobaty. Zadowolony zatrzasnął luk i zasunął bolce zamka. Magazyn rudy był w dwóch trzecich zapełniony, a do przybycia frachtowca został jeszcze miesiąc. Może tym razem uda się wreszcie zarobić więcej niż wyniosły koszty wydobycia i spłacić ostatnią ratę długu zaciągniętego w dniu przylotu na Nową Brigię.

Nigekus nigdy nie sądził, że po osiemnastu latach ciężkiej pracy przy kopaniu zalegających w stokach wzgórz otaczających wioskę chromitów mała kolonia wciąż jeszcze będzie coś winna kapitanowi frachtowca, który kiedyś ich tu przywiózł. Z początku kraina obdarowywała ich hojnie. Gromada pozostawała pod ochroną Imperium, Coruscant uznawało prawa kolonistów do Nowej Brigii i kupcy zjawiali się wystarczająco tłumnie, by można było dyktować im dobre ceny na białobłękitny metal. Wojna, dopóki nie zagłądała w te okolice, wspaniale nakręcała interesy.

Przez pierwsze cztery lata nie zdarzył się taki kwartał, by mała społeczność nie spłaciła kolejnej raty długu. Nawet wówczas, gdy koszty utrzymania nieco wzrosły, ponieważ rodziny kolejno opuszczały baraki i przeprowadzały się do porządných domów. Nie przeszkodziło również pojawienie się nowych gąb do żywienia, dzieci zbyt młodych, by mogły zarabiać na swoje utrzymanie. Ich matki pracowały wówczas w żłobku, a nie w kopalni. Kolonia zniosła też bez większej szkody letnią klęskę nieurodzaju i tę zimę, kiedy spłonęła linia oczyszczania i przetwarzania rudy. Zawsze zostawało jeszcze coś na górze.

Z czasem jednak ziemia przestała łaskawie dzielić się swoimi skarbami. A później skończył się imperialny protektorat. Linie komunikacyjne z Koornacht na Galantos i Wehttam zaczęły uchodzić za niebezpieczne. Najlepsi kupcy zmniejszyli zamówienia lub w ogóle się nie zjawili, uzasadniając to zbyt częstymi aktami piractwa.

W końcu jedynym odbiorcą został kapitan Stanz przylatujący na frachtowcu „Albatros”. Gotów był płacić wyłącznie najniższą z możliwych cen, wyrażając w ten sposób pogardę dla potu i trudu dwóch setek górników, którzy co rano wyjeżdżali z wioski i wieczorem wracali z przygiętymi do ziemi grzbietami. Stanz jednak, chociaż oficjalnie korsarzem nie był, miał czysto pirackie podejście do interesów i bynajmniej im nie współczuł.

- To robota akurat dla robotów - powtarzał. - To one wykopują zwykle kamienie z ziemi. Nie możecie oczekiwać, że będę płacił pełną stawkę za maszynową robotę. Nawet przy tych cenach, które wam proponuję, ledwo oplaca mi się przylatywać.

Nigekus wątpił w jego prawdomówność, ale nie miał żadnych podstaw do wszczynania dyskusji. Nie miał też wyboru. Musiał wysłuchiwać narzekań Stanza na jakość towaru i przyjmować jego wyliczenia dyktowane nie tyle rzetelnością, ile kaprysami starego Bothana. Od lat zapłata wahała się w granicach wysokości kwartalnych odsetek. Czasem była nieco wyższa, zwykle jednak niższa, co oczywiście zwiększało tylko zadłużenie wioski.

Gdyby koloniści mieli własny statek, choćby i stary koreliański masowiec, a nawet byle poobijaną barcę... Ale o tym mogli tylko pomarzyć.

Jednak obecnie ziemia znów zaczęła okazywać przychyłność. Dwa nowe stanowiska dawały urobek, jaki najstarsi przyrównywali do zasobów, które znaleźli na początku i które skusiły ich do porzucenia dawnej Brigii i osiedlenia się tutaj. Nawet jeśli Stanz zapłaci im jedynie zwykłą stawkę, to i tak zdołają spłacić nie tylko odsetki, ale może i resztę długu.

Nie chcąc dać się oszukać, Nigekus postanowił nie pokazywać Stanzowi od razu całości urobku. Miał zamiar schować jedną trzecią rudy i ujawnić jej istnienie dopiero po usłyszeniu ceny. Trochę ryzykował, bo kto wie, może inni dawno już próbowali tej sztuczki. Jeśli Bothan się obrazi, wówczas osada straci jedyne źródło utrzymania. A obrażający może nawet zginać.

Lecz Nigekus chciał chociaż raz ujrzeć Nową Brigię wolną od nieustannego szantażu ze strony kapitana Stanza. Wiedział też, że nie będzie miał już po temu wielu okazji, a to za sprawą postępującej pylicy. Jeszcze trochę, a nada się tylko na nawóz do

ogródka. Nawet jeśli rozwścieczony Stanz skręci mu kark, nie odbierze mu aż tak wiele życia.

- Oszczędzi mi tylko paru tygodni wypluwania płuc - powiedział innym starszym, aby zyskać ich akceptację dla planu. - A wtedy wy będziecie mieli prawo zabić kapitana i zatrzymać statek jako odszkodowanie dla mojej rodziny.

Negus Nigekus ruszył powoli, ale z godnością, ku kopule kryjącej linię obróbki rudy. Świadomość, że zbliża się jego czas, dziwnie dodawała sił wychudzonemu ciału.

Z trudem zaakceptował fakt, że nie potrafi już samodzielnie zejść do sztolni, a na przodku tylko przeszkadza i zabiera miejsce. Wywołany latami ciężkiej pracy ból wydawał się łatwiejszy do zniesienia niż poczucie bezużyteczności. Obecnie był jak jedno z tych dzieci, którymi się opiekował - gęba wyjadająca kaski ze wspólnego stołu, do którego sam się nie dokładał. Ulżyło mu, gdy znalazł sposób ukojenia owego poczucia winy.

Zanim dotarł do kopuły, nad wioską przemknął jakiś cień. Nigekus podniósł głowę, ale uczynił to zbyt powoli, żeby cokolwiek zauważyć, a jazgot maszyn zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Ładowniki opadły w dole rzeki, obok zakola, w miejscu niewidocznym z wioski. Nigekus pokręcił głową i wszedł pod kopułę nieświadom zagrożenia, które zbliżało się już ku kolonii.

Gdy wyszedł kilka minut później, zakończywszy inspekcję, sytuacja zmieniła się diametralnie. Ku wiosce podchodziły szeroką tyralierą wysokie istoty w zielonobrunatnych kombinezonach bojowych. Strzelały przy tym do płonących już, częściowo zburzonych domów. Poprzez hałas przebił się przenikliwy krzyk dziecka, po czym urwał się raptownie.

Nigekusa po prostu przeoczono lub zignorowano, bowiem zdołał przejść jeszcze ze sześć niepewnych kroków i ogarnąć spojrzeniem panoramę zniszczenia. Pojął, że leżące tu i ówdzie na ziemi czarne kształty to ciała. Dotarło doń też, że nie wie nawet, kto właściwie najechał jego wioskę.

Potem odzyskał głos i wykrzyczał całą złość, uniósł pięści i ruszył na najbliższego z żołnierzy. Ten zwrócił ku niemu broń o srebrzystej lufie i Nigekus padł pośród żaru.

Dwóch kopaczy z szybu czwartego dostrzegło lądujące statki i oni właśnie jako pierwsi zwołali towarzyszy i ruszyli ku wiosce. Wyrastające spoza wzgórz słupy czarnego dymu zaalarmowały inne obsady, które też porzuciły pracę i pobięły wydeptanymi ścieżkami. Niektórzy nieśli na ramionach narzędzia jako broń, większość jednak szła z gołymi rękami, poganiana lękiem o los rodzin. Nie mieli na Nowej Brigii żadnych wrogów, a broń energetyczna była luksusem, na który nie mogli sobie pozwolić.

Odziane w szczelne kombinezony yevethańskie oddziały czekały cierpliwie pośród dymu i smrodu szkodników, aż górnicy powrócą do wioski. Nie musiały robić nic więcej. Tak jak przewidział Nil Spaar, samo zniszczenie wioski wystarczyło tamtym, by podjęli desperacki atak.

Zaczęła się metodyczna rzeź. Stojąc na skraju osady, żołnierze podpuszczali górników na poziom dolinki, po czym kosili ich seriami.

Kilku ostatnich właściwie popełniło samobójstwo. Straciwszy wszystko, co w życiu posiadali, porzucili całkiem nieskuteczną broń, przestali szukać ukrycia i pobięgli po zboczach wystawiają się na cel w poszukiwaniu śmierci, która wydawała im się losem łagodniejszym niż dalsza egzystencja z pamięcią tej tragedii.

Kiedy wiatr rozgonił ostatnie ślady dymu. wśród gruzów całe pozostały tylko magazyny z rudą i kopuła z maszyną. Nie było to przypadkiem. Gdy tylko oddziały wróciły do desantowców, w obrębie wioski wylądował brzuchaty transportowiec. Nim minęła godzina, zarówno ruda, jak i linia do jej przetwarzania znalazły się na jego pokładzie.

Niebawem frachtowiec oddalił się od planety, a wówczas okręt „Gwiazdne Marzenie” dokonał całkowitej sterylizacji doliny. Starczyła jedna długa salwa z głównych baterii krążownika.

Ciała wyparowały i zniknęły, podobnie jak ślady krwi na skałach. Ziemia stopiła się w szklistą masę, a rzeka buchnęła parą. Po szkodnikach nie zostało nic prócz paru dziur, które wykopały w ziemi, i ścieżek wydeptanych pomiędzy wzgórzami.

Krążownik „Gwiazdne Marzenie” wrócił na N'zoth jako zwycięzca i z ładunkiem rudy, której wartość w pełni opłaciła całą akcję.

W mieście ogrodów na J't'p'tan, świecie pielęgnowanym od lat przez łagodne dłonie, pewna kobieta obudziła się dręczona nocną zmorą. Spadająca gwiazda zmieniła się w jej śnie w statek, a statek w okręt wojenny, z którego na oblicze globu spłynęły kaskady śmierci. Nurt oszalał w tym śnie od jęku mordowanych dusz i pociemniał od utożonej krwi.

- Obudźcie się, wszyscy, natychmiast - powiedziała Wialu, potrząsając córką. - Szybko. Zaczęło się coś strasznego.

Wioska na Nowej Brigii była najmniejszym z trzynastu obcych skupisk, które Czarna Flota zniszczyła podczas pierwszej godziny trwania Wielkiej Czystki.

Największe, Polneye, jako jedyne spróbowało rzeczywistej obrony.

Okružająca gwiazdę po przeciwnej niż Coruscant stronie gromady, Polneye była sierotą pozostałą po Imperium. Założono ją, by obsługiwała tajne wojskowe transporty wysyłane do sektora Farlax. Skryta pod powłoką wysokich chmur, z których deszcze rzadko docierały do powierzchni, jałowa i spieczona planeta zmieniła się w ogromny, magazyn z rozległą zbrojownią na otwartym powietrzu.

Wielkie ładowiska o kształcie osi z wyrastającymi wkoło szprychami stanowisk przeladunkowych i rozległe strefy magazynowania ciągnęły się bez końca na mrocznych, brunatnych równinach. W razie potrzeby udałoby się tu obsłużyć nawet największe zdolne do lądowania na planecie pojazdy kosmiczne. Małe armie androidów rozładowały, segregowały i przesyłały wszystko zgodnie z zapotrzebowaniem.

W miarę jak rosło natężenie ruchu, wzrastało również zaludnienie. Początkowo stacjonowała na Polneye jedynie zwykła obsada wojskowa, rotacyjny garnizon wystawiony przez kwatermistrzostwo. Planetę wybrano przecież ze względu na jej klimat i położenie strategiczne, warunki życia nikogo wtedy nie interesowały. Z czasem

jednak coraz więcej stanowisk zajmowali pracownicy cywilni, zaś centrum każdej ze stref lądowniczych rozrosło się do rozmiarów małego miasteczka zamieszanego głównie przez osoby rzadko oddalające się z planety.

Gdy niedobitki floty imperialnej opuścili Farlax i wycofały się do jądra galaktyki, personel wojskowy Polneye uciekał, na czym kto mógł, wyszukując na lądowiskach najrozmaitsze jednostki. Jednak cywili, których w pięćdziesięciu różnych osiedlach mieszkało tu podówczas aż ćwierć miliona, zostawiono zdanych na własne siły.

Po prostu, nagle głośnie, ryczące ogniem z dysz transportowce przestały pojawiać się na niebie. Ale planeta nadal wydawała się bardzo zasobna, co złagodziło mieszkańcom szok związany z porzuceniem. Na parkingach i w kontenerach zostało tu praktycznie wszystko, czego potrzebować mogła wielka armia i flota okrętów wojennych.

Nie zmarnowano właściwie niczego, mało też uległo przypadkowemu zniszczeniu. Polneye miało szczęście do silnej władzy, zaś sprzęt wojskowy okazał się nader podatny na modyfikacje i tym bardziej cenny. Zależnie od potrzeb, zestawiano z niego moduły samowystarczalnych osiedli lub nawet całe zespoły zunifikowanych, powiązanych miast.

W dniu, w którym trzy yevethańskie okręty, „Honor”, „Wolność” i „Poświęcenie”, pojawiły się na orbicie, populacja planety składała się z prawie trzystu tysięcy mieszkańców korzystających z usług siedemdziesięciu tysięcy droidów. Do dyspozycji mieli też sześć sprawnych myśliwców TIE.

- Uzbrojenie! Co jest? Czemu nic atakujemy?

Szef uzbrojenia na gwiazdnym niszczycielu „Poświęcenie” skłonił się głęboko i dopiero potem odpowiedział Jipowi Toorowi.

- Pierwszy, ponad warstwami chmur rozciąga się inwersyjna strefa jonizacji. Wspólnie zakłócają skutecznie pracę wszystkich naszych urządzeń celowniczych. Nie mam pewności, czy uda się nam prowadzić ogień zadawalająco rażący cele i czy spełnią pokładane oczekiwania.

- Obaj musimy spełnić oczekiwania wicekróla - odparł Jip Toorr. - Co proponujecie?

- W hangarach mamy kilka myśliwców w wersji zwiadowczej, czekających, by mogły potwierdzić skuteczność ataku. Proszę o pozwolenie użycia trzech z nich do korygowania ognia z pułapu pod chmurami

- Czy to wystarczy, aby zapewnić sukces operacji?

- Bez wątplenia, pierwszy.

- Zatem wykonać. Centrum taktyczne? Wystrzelić trzy myśliwce rozpoznawcze. Kontrolę nad nimi przekazać szefowi uzbrojenia.

Ostatni z satelitów nawigacyjnych, które wspomagały system kontroli ruchu Polneye, przestał działać prawie rok wcześniej. Gdyby nie to, yevethański zespół zostałby wykryty natychmiast po wyjściu z nadprzestrzeni.

Naziemne komponenty systemu nadal jednak funkcjonowały sprawnie, toteż alarmy zadzwieczały od razu, gdy tylko pierwszy myśliwiec przedarł się przez strefę

jonizacji. Technicy skoczyli do nieużywanych i zaniedbanych stanowisk. Wielu innych mieszkańców planety wybiegło na zewnątrz, chcąc zobaczyć, jacy to goście oznajmują swoje przybycie.

Obdarzeni lepszym wzrokiem mieli szansę dojrzeć trzy drobne, czarne stateczki krążące pod podstawą chmur. Jeden znajdował się nad miastem zwanym Północ Dziewięć, drugi nad Północ Jedenaście, a trzeci wybrał miasto - widmo Północ Czternaście, od dawna odzierane już tylko z urządzeń i wyposażenia na potrzeby innych osiedli.

Potem z nieba runęła ognista nawała. Turbolasery plunęły całą mocą, rozrywając powłokę chmur, i trzy miasta zniknęły w złocistych wybuchach i czarnym dymie, a po chwili wyrosły nad nimi wielkie grzyby pyłu. Choć trwało to tylko moment i lasery zaraz umilkły, jeszcze przez dłuższą chwilę przetaczało się nad równinami Polneye gromowe echo wielkich, złowieszczych werbli.

Ludzie zebrani na jednym z rozległych i pustych lądowisk Północy Dziesięć różnie reagowali na ten widok: jedni zamierali oszołomieni, inni wrzeszczeli ze strachu. Mężczyzna stojący obok Plata Malara padł na kolana i zaczął wymiotować. Platt odwrócił od niego wzrok i dostrzegł kobietą wpijającą palce w ubranie z taką siłą, że spod połamanych paznokci płynęły wyraźne strumyki krwi. Ten widok wyrwał go z odrętwienia, i zaczął torować sobie drogę przez tłum. Zmierzał ku skrajowi płyty postojowej.

Nagle rozległ się krzyk. Ktoś wskazał mały stateczek, który zamiast nadal krążyć nad Dziewiątką, wyraźnie zmieniał swoją pozycję i kierował się ku Dziesiątce. W jednej chwili tłum się rozpierchł. Część szukała iluzorycznego schronienia w budynkach portu, inni ile sił w nogach biegli ku równinie poza miastem. Mallar z początku opierał się nurtowi, potem jednak również ruszył pędem.

Był jednym z dwunastu studentów drugiego roku inżynierii, którzy mieli to szczęście, że mogli uczyć się obsługi i eksploatacji statków latających na przykładzie autentycznego myśliwca typu TIE, własności Instytutu Techniki przechowywanej w jednym z hangarów portu kosmicznego. Kurs obejmował również naukę latania na tym sprzęcie. Stanowisko Instytutu znajdowało się dokładnie po drugiej stronie centrum terminala i chociaż Mallar wyciągał nogi jak mógł, nie sądził, by zdołał przebiec jako pierwszy z całej dwunastki.

Los sprawił jednak, że dotarł pierwszy. Drzwi hangaru zostały już otwarte, pierwszoroczni gorączkowo oczyszczali wyjazd z blokujących drogę droidów i urządzeń, ale miejsca w kokpicie nikt jeszcze nie zajął.

Mallar nie wahał się ani chwili. Złapał z szafki hełm i maskę, wspiął się na prawe skrzydło maszyny i uderzył w zamek wjazdu.

- Ty tam! - krzyknął, wskazując na najbliższego studenta. - Zorganizuj mi androida zasilającego. Natychmiast!

Zanim Mallar usiadł w fotelu i zaczął procedurę uruchomienia napędu. Zjawilo się jeszcze dwóch potencjalnych pilotów. Wzięli się do roboty z opanowaniem i skutecznością, którymi wzbudziłiby niewątpliwie szacunek każdej załogi pokładowej

nawet doświadczonego w bojach lotniskowca. Szybko pomogli w dostarczeniu szarego androida zasilającego w stosowne miejsce obok burty myśliwca.

Gdy podłączyli przewody, Mallar naładował kondensatory obu silników jonowych, potem puścił je na bieg jałowy. Nie było czasu na sprawdzenie pełnej listy czynności przedstartowych. Ewentualny wypadek, a nawet rozbitcie maszyny wydawało się perspektyw mniej upiorną niż oczekiwanie na kolejny atak zza chmur.

- Jestem gotów - zawołał Mallar do mikrofonu. - Odłączcie wszystko i zejście z drogi. Będę startował.

Zwykłym trybem należałoby wyholować myśliwiec TIE z hangaru na płytę. Wymagało to użycia wózka z płozami i robota holowniczego, i zwykle trwało co najmniej kilka minut. Mallar obawiał się że już może być za późno. Ledwie ostatni studenci pierzchali z hangaru, pchnął energicznie przepustnicę.

Myśliwiec zerwał się z miejsca, podmuch odrzutu skłębili umieszczony na tyłach pomieszczenia sprzęt, śmieci poleciały nawet na powbijane w dawnej służbie panele baterii słonecznych. Nabierając gwałtownie szybkości, uniósł się ponad podłogę. Kiedy przelatywał przez bramę, musnął lewym panelem dźwigar durastalowej framugi. Zgrzytnęło, aż wszystkim ciarki przeszły.

Mallarowi na chwilę stanęło serce, gdy maszyna się zatrzęsła, po chwili jednak wy dostał się na szarawy blask miejscowego południa. Zaraz też skierował maszynę ku niebu. Celując oboma działkami w chmury, szedł na maksymalnym ciągu jak najwyżej.

Małe, czarne stateczki wciąż krążyły niczym padlinożercy. Mallar włączył system celowniczy i zrobiło mu się nieco lżej na duszy, gdy zauważył jeszcze trzy inne maszyny typu TIE, które również zdołały wzbic się w powietrze. Wybrał najbliższy dostępny cel i zrobił coś, czego żaden instruktor nigdy by nie pochwalił - uruchomił zasilanie czterech sprzężonych działek laserowych typu Seinar.

Popiskując natarczywie, system celowniczy poinformował pilota, że cel został rozpoznany jako myśliwiec TIE w konfiguracji rozpoznawczej. Ku zdumieniu Mallara nie włączyło się żadne z zabezpieczeń mających zapobiec oddaniu ognia do celu będącego w domniemaniu przyjezdnym. Zaraz po identyfikacji ożył również i komputer bojowy.

CEL W ZASIEGU - oznajmił napis na wyświetlaczu, a kontrolki uzbrojenia zmieniły barwę z zielonej na czerwoną.

Nacisnął oba spusty i statek zadrżał, gdy cztery sprzężone działka plunęły ogniem.

Potem zaszło coś, co niebotycznie zdumiało Mallara i głównie jego właśnie. Wrogi myśliwiec TIE nie spróbował żadnego uniku, nie podjął walki, tylko po ułamku sekundy eksplodował kulą żółtego i białego ognia. Czy sprawiła to większa szybkość maszyny przechwytyjącej, która błyskawicznie wzbila się z poziomu gruntu, czy zwykle zaskoczenie, tamten zachował się tak, jakby w ogóle nie dostrzegł źródła zagrożenia.

Mallar ominął opadającą z wolna chmurę szczątków. W słuchawkach słyszał liczne podniesione głosy, ale sam nie czuł ani radości, a ni ulgi. Trząsł się cały, oblany zimnym i lepkiem potem. Teraz, gdy minęła chwila podniecenia, z wolna zaczęła docierać doń cała groza nowej sytuacji.

Myśliwiec wleciał w chmury i przez wszystkie iluminatory zaatakowało Mallara ostre, białe światło. Maszyna zaczęła trząść się i zataczać, aż oślepiony pilot nabral niemał przekonania, że został właśnie trafiony i zaraz zginie.

Jednak sekundy upływały, a on wciąż pozostawał przy życiu. Latające przed oczami jasne plamy z wolna zniknęły, a myśliwiec, cały i nietknięty, wychynał w przestwór pomiędzy chmurami a gwiazdami.

System celowniczy znów ożył natarczywymi piskami. Mallar najpierw zerknął na wyświetlacz, potem przez osłonę kokpitu i poczuł, jak strach chwyta go w swe ceگی. Dokładnie nad nim płynął po orbicie największy statek, jaki zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć. Nieregularny, nieco klinowaty kształt z otworami baterii i obuburtowymi bramami hangarów, z których wylały się wciąż nowe myśliwce.

- Identyfikacja.

CEL PODSTAWOWY: GWIEZDNY NISZCZYCIEL KLASY VICTORY, poinformował go komputer pokładowy.

Myśliwiec TIE wciąż się ku niemu wspinał.

CELE DRUGORZĘDNE...

- Nawet nie chcę wiedzieć - rzucił nerwowo Mallar i przewrócił maszynę na plecy i jak najszybciej zanurkował pod płaskim kątem, byle dalej od tego potężnego okrętu. Był do chmur...

- Twoja niekompetencja sprawiła, że jeden z naszych pilotów zginął! - wył pierwszy. - Jak wynagrodzisz tę hańbę jego rodzinie?

- Panie, nie uprzedzono mnie, że obiekt będzie próbował obrony...

- Maszyna zwiadowcza podległa właśnie tobie! Nie pozwoliłeś mu przerwać zadania, nie pozwoliłeś mu podjąć pościgu nawet wtedy, gdy szkodnik pojawił się w polu widzenia. To twoja wina!

- Szykowaliśmy się do otwarcia ognia...

- Zdejmuje. cię ze stanowiska. I obiecuję, że zapłacisz krwią. Precz stąd Zamelduj się w areszcie. - Pierwszy zwrócił się do szefa taktyków - Wypuść swoje myśliwce. Macie oczyścić niebo nad Polneye ze szkodników.

Walka o Polneye nie trwała długo.

Za sterami jednego z trzech myśliwców, które zdołały wystartować prócz maszyny Mallara, siedział student pierwszego roku, który nigdy jeszcze nie miał okazji do samodzielnego lotu. To że w ogóle zdołał utrzymać się w powietrzu, wynikało przede wszystkim z prostoty imperialnego projektu kabiny. Jednak jego pierwszy cel po prostu zniknął w chmurach w chwili, gdy student błagał o pomoc w uruchomieniu systemu działek laserowych. Niedługo potem na niebie pokazała się cała eskadra myśliwców Yevethów. Spadli na nieszczęśnika znad chmur. Długi, płaski korkociąg zakończył się ognistą eksplozją na równinie na wschód od Dwunastki.

Myśliwiec, który wystartował z Jedenastki, pilotował instruktor. Podobnie jak Mallar, zdołał wspiąć się na wysoki pułap, aż do granicy próżni, gdzie trafił na orbitujący w górze niszczyciel „Wolność”. W odróżnieniu od Mallara nie uciekł natychmiast, skutkiem czego turbolaser obrony przeciwlotniczej szybko określił jego

kurs i rozbił maszynę na tysiące kawałeczków, spadających później na powierzchnię niczym deszcz drobnych, metalowych szczątków.

W myśliwcu z Dziewiątki zasiadł prawdziwy pilot, weteran wielu walk, ale najpierw ledwie zdołał umknąć przed zniszczeniem całego miasta i odłamek uszkodził jeden z silników maszyny. Napęd zawiódł ostatecznie, gdy doszło do walki manewrowej z trzema myśliwcami przeciwnika. Łatwy cel szybko eksplodował.

Czwarty myśliwiec TIF. uległ zniszczeniu na ziemi, kiedy ekipa ochotników gorączkowo szykowała go do startu.

Piąty stracono w pierwszej chwili ataku, gdy Północ Jedenaście stała się celem turbolaserów „Wolności”

Zwycięstwo Pata Mallara było jedynym, jakie odnotowano tego dnia po stronie obrońców. Nikt lepiej niż on nie pojmował, jak niewiele znaczyło. Młody pilot bał się jednak śmierci, więc uciekł nad przeciwległą półkulę, planety. Skrył się w chmurach, pod specjalnie stworzoną przez Imperium, dla ochrony planety, warstwą zjonizowaną. Ponieważ bał się też poczucia winy, które pojawia się u ludzi samotnie ocalałych z powszechnej masakry, krążył tam i czekał.

Długo trwało, nim oba lęki przygasty i pojawił się nowy, jeszcze silniejszy. Niepokój o los rodziców, przyjaciół, osób szczególnie ukochanych. Przejrzałszy materiał zarejestrowany przez bojowe kamery uznał, że musi mieć coś więcej i zawrócił.

Zbliżając się do miast, wyszedł ponad chmury akurat na tyle, by zauważyć obecność trzech potężnych okrętów wyczekujących w jednej formacji na orbicie. Jeśli nawet jego myśliwiec pojawił się na ich ekranach systemu wykrywania, zginął pośród trzasków i płamek zakłóceń wywołanych jonizacją.

Potem zanurkował w chmury, pod którymi nie napotkał już żadnych wrogich myśliwców. Holokamery ogarnęły obraz ruin siedmiu miast, siedem wyrastających nad równiną pióropuszy czarnego dymu. I tylko siedem, bowiem Dziesiątka nadal stała, a w porcie dostrzegł przycumowany potężny transportowiec.

Widok ten wlał nieco nadziei w serce Mallara. Pierwszej nadziei od chwili zniszczenia Dziewiątki. Skoro nie wszystko uległo zagładzie, to próba zwrócenia się o pomoc mogła mieć sens, a pragnienie szukania sprawiedliwości przestawało być czczym marzeniem. Schował się z powrotem pomiędzy obie warstwy, zmobilizował wszystkie swe umiejętności i zdolności, i kierując stateczek ku horyzontowi włączył napęd na pełną moc.

Pół godziny później, pośrodku przeciwległej półkuli, niepozorny jednomiejscowy myśliwiec ze zdeterminowanym młodym studentem za sterami wyprysnął z chmur i pomknął ku gwiazdom.

Obecny na pokładzie jednostki flagowej „Duma Yevethów” wicekról Nil Spaar osobiście nadzorował eksterminację, mieszkańców koloni Kubaz, których zbiorowisko ocenił jako szczególnie odrażające. Twarze tych szkodników były tak szkaradnie zmutowane, że ich zagłada dostarczała mu niemal fizycznej przyjemności.

Potem, gdy „Duma” brała udział w przechwyceniu imperialnej instalacji rolniczej na Piroł-5, wicekról wycofał się do swoich kwater, gdzie poddał się troskliwym staraniom swej *darny* i odebrał meldunki od innych zespołów floty.

Zewsząd napływały niezmiennie dobre wieści. Doszło wprawdzie do nieszczęśliwego wypadku na Polneye, gdzie zginął jeden pilot a szef uzbrojenia popełnił samobójstwo, ale to był incydent bez znaczenia dla całości operacji. Gdziekolwiek pojawiły się jednostki Yevethów, tam bez trudu udawało się wyplenić zatruwające te światy szkodniki.

Chłodna, nieubłagana i przerażająco efektywna, Czarna Flota osłoniła gromadę welonem śmierci. Osady szkodników ulegały jedna po drugiej: Kubaz, Brigia, Polneye, Morath, Corasgh, H'kig. Ci, którzy zaplanowali eksterminację obcych, nie wiedzieli zupełnie nic o historii ras i kolonii, które kazali unicestwić.

Pełną sterylizację zarządzono na dwóch planetach, które miały zostać zasiedlone przez Yevethów. Wytypowani koloniści znajdowali się już na pokładach nowych statków, które wyleciały z Dwunastki i były szybsze niż światło. Za nimi powinni wkrótce podążyć następnicy.

Oto nadszedł moment realizacji celu stawianego przez przeznaczenie. A gdy ten chwalebny dzień dobiegł końca, cała gromada znów należała tylko i wyłącznie do Yevethów.

Zebrawszy wszystkie meldunki, Spaar wezwał swe partnerki. by przyłączyły się do niego i jego *darny* w świętowaniu.

Potem wicekról udał się na spoczynek i spał długo, mocno i nad podziw spokojnie.

Leina Organa Solo czekała niecierpliwie przy bramce Eastport 18 na lądowanie wahadłowca. Zaledwie maszyna wyłączyła silniki, minęła porządkowego, puściła mimo uszu jego uwagi o zachowaniu środków bezpieczeństwa i pobiegła do stanowiska. Gdy wąż otworzył się z sykiem, a schodki rozwinęły, ona już stała na dole.

Pierwszy pojawił się Han. jak zwykle z nieco krzywym uśmiechem i torbą przerzuconą przez ramię. Pokonał schodki w trzech długich skokach, cisnął torbę na ziemię i objął Leię na tyle mocno i serdecznie, że jej bezbrzeżne przygnębienie na chwilę prawie całkiem ziknęło. Od czasu załamania się rozmów z Yevethami i poniżenia zaznanego ze strony Pcamisa i Nila Spaara, Leia była w paskudnym nastroju. Teraz przytuliła się jak najmocniej do piersi Hana. usiłując ukryć łzy.

Wszystko będzie dobrze - mruknął Han, muskając ustami jej włosy. - Jak usłyszysz, co ja musiałem przejść...

Leia wreszcie się roześmiała i gorąco uściśnęła małżonka.

- Chodźmy do domu.

- Nie widzę przeciwwskazań - odparł Han i pochylił się, by podnieść torbę. - Nie obiecuj sobie za wiele, kochanie, ale bardzo mi Ciebie brakowało.

Dwadzieścia trzy godziny po opuszczeniu Polneye Płat Mallar włączył kamerę w kabinie myśliwca. Twarz, miał bladą i mokrą od potu, gardło ściśnięte i z trudem udawało mu się skupić spojrzenie na jednym punkcie.

Zaprojektowany bez silników napędu nadświetlnego myśliwiec typu TIE nie był przystosowany do odbywania podróży takich jak ta, którą planował Mallar, zamierzając pokonać w przestrzeni rzeczywistej pustkę międzygwiazdną. Umknął z Polneye, zmylił Yevethów, zostawił Gromadę Koomacht za plecami, ale nie mógł oszukać czasu, nie mógł zmienić tego, o czym decydowały prawa fizyki.

Gnał na pełnej szybkości tak długo, aż baterie słoneczne i kondensatory zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Rozpędził stateczek na prostej bardziej niż jakikolwiek pilot czyni to w walce. Przekonał nawet autopilota, który zwykle miał sobie radzić z prostszymi zadaniami nawigacyjnymi, by uznał Galantos jako cel lotu. Jednak obecnie milczące od paru godzin silniki zdążyły już wystygnąć, a w koło rozpościerała się wyłącznie pustka. Nos myśliwca mierzył w gwiazdę Galantos, lecz osiągnąć ją miał dopiero za prawie trzy lata. Mallar wyliczył wszystko dokładnie i wiedział, że żywy tam nie dotrze. Jego koniec powinien nastąpić przed upływem trzech godzin.

Skoro pokładowe rezerwy tlenu już się wyczerpały. Odświeżacz nie mógł regenerować powietrza w nieskończoność.

Każdy oddech coraz uboższą mieszanką tylko wzmagał ból głowy. Wprawdzie system utrzymywał właściwą wilgotność, ale własne gazowe produkty przemiany materii, z wolna zatruwały organizm Malla.

Pamięć zaczynała płatać mu figle. Pojawiły się obrazy dzieciństwa, wizje Polneye jako ruchliwego portu, centrum przesiadkowego dla okolicznych linii kosmicznych. Obrazy zbyt, silnie utrwalone by ulec dobijającym się do świadomości faktom. Dawały też złudną nadzieję - że spotka jeszcze inny statek, który udzieli mu pomocy i schronienia.

Całe dotychczasowe życie spędził na powierzchni planety i dopiero teraz odkrywał, jak przeraźliwie pusta jest przestrzeń kosmiczna. Albo jak pustą się stała. Przez dwadzieścia trzy godziny skanery nie wykryły ani jednej przelatującej w pobliżu jednostki. Wiedział już, że musi zginąć i że umrze przerażająco samotny.

Odchrząknął, co zabrzmiało jeszcze gorzej niż jego chrapliwy oddech.

- Nazywam się Piat Mallar - powiedział. - Urodziłem się w mieście Północ Trzy na planecie Polneye. Moją matką była Fall Topas. Była biologiem i była piękna. Ojciec, Piat Hovath, był mechanikiem, specjalizował się w droidach. Jestem ich jedynym synem. Mieszkaliśmy w mieście Południe Dziesięć, na poziomie niebieskim, blisko zbiornika algowego. Wczoraj był czterdziesty dzień miesiąca mofat. Wczoraj bez żadnego ostrzeżenia zaatakowały Polneye wrogie okręty. Uczyniły to bez widocznej przyczyny. Niezidentyfikowane statki imperialnych wzorów. Zniszczyły większość miast planety, zabiły moich rodziców. Zabiły większość z nas. Sądzę, że ci, którzy przetrwali, są teraz jeńcami lub zakładnikami wroga. Widziałem wielki transportowiec...

Przerwał z bijącym mocno sercem, spróbował złapać oddech. Głos zaczął mu z wolna uciekać.

- Kamery bojowe mojego statku zarejestrowały dowody zbrodni. Obraz zniszczenia mojej ojczyzny. Wróg zamordował moich pobratymców, zamordował tysiące spośród nich. Proszę o pomoc. Proszę, jeśli ktoś z nich żyje, spróbujcie ich uratować. Ktokolwiek zdoła to obejrzeć, niech odszuka te potwory i surowo je ukaże. Tak się nie robi. To bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Błagam, błagam o sprawiedliwość dla poległych. Dla moich rodziców. Moich przyjaciół. Dla mnie.

Wyczerpany wysiłkiem opadł na fotel. Rejestrator wciąż działał; Płat nie był w stanie unieść ręki, by go wyłączyć. Wytrwale zapisywał się więc obraz twarzy Mallara, jak długo ten dawał jakiegokolwiek oznaki życia.

Zatrzymał się gdy młody pilot zemdlął.

Życie zaledwie tliło się w nieprzytomnym Mallarze, kiedy załoga należącego do Piątej Floty statku zwiadowczego „5P8” przechwyciła dryfujący myśliwiec i wciągnęła go do hangaru.

ROZDZIAŁ

15

Kiedy admirał Ackbar stanął przed prywatnym wejściem rezydencji prezydenckiej, słońce Coruscant rzucało pierwsze długie cienie na zaprojektowanych na osi wschód-zachód ulicach Imperial City.

- Dzień dobry - powiedział android wartowniczy. - Wejście jest zamknięte. Rodzina nie przyjmuje gości o tej porze. Proszę wrócić w późniejszej godzinie albo połączyć się z centrum recepcyjnym dla uzyskania bliższych informacji.

Ackbar przechylił głowę i zamrugał zdumiony.

- Jestem admirał Ackbar.

- Dzień dobry, admirał Ackbar. Wejście jest zamknięte. Proszę cofnąć się na chodnik.

- Niech będzie - mruknął gość. - Dobrze, że mam klucz. - Przymknął oczy i wysilił pamięć. - *Aleph-lamed-zayin-shin*. Tak, to chyba właściwa formuła.

- Dzień dobry, admirał Ackbar - odezwał się android. - Może pan wejść.

Na terenie posiadłości panował spokój, jeśli nie liczyć niewielkich cowlpupów wypasających się na trawnikach. Gdy Ackbar przeszedł zbyt blisko jednego z nich, ten warknął na niego z zawziętością wręcz zdumiewającą, jak na tak małe stworzenie.

- Wracaj do śniadania - odezwał się rozbawiony Ackbar. - Nie do ciebie przyszedłem.

Promienie porannego słońca nie dosięgły jeszcze głównego budynku, w którym nie paliły się prawie żadne światła. Tylko w kuchni, gdzie główny android domowy kończył jakąś kontrolę czy drobną naprawę, widać było jasny poblask. W pokojach dziecinnych panowała cisza, co Ackbar odnotował z ulgą, gdyż nie był przygotowany na zmasowany atak energicznych potomków pani prezydent. Uznał, że być może w związku z powrotem Hana cała rodzina poszła spać dość późno.

Śpijcie, jak długo wola i ochota, rybeńki, pomyślał z zabarwioną niejaką melancholią czułością. Śpijcie, póki możecie.

Ackbar przypomniał sobie drogę i ruszył wzdłuż widocznych na ścianach świetlnych linii do sypialni Leii i Hana. Ze względu na dzieci drzwi były zamknięte, ale zamek nie został zablokowany. Miał nadzieję, że zaprzyjaźniona para małżeńska zajęta jest raczej snem niż sobą nawzajem.

- Otwórz - polecił głośno komputerowi domowemu. - Zapal światło.

Gdy powódź światła zaalała sypialnię, Han obrócił się odruchowo na plecy i siadł wyprostowany. Do nagłego wzrostu poziomu adrenaliny nie doszło tylko dlatego, że rozpoznał Ackbara.

- A, to ty - burknął, westchnąwszy. - Masz wielkie szczęście, że nie sypiam już z blasterem pod poduszką.

- Żadne szczęście - stwierdził Kalamarianin. - Sam mi o tym powiedziałeś. Po tej nocy, kiedy Jaina wystraszyła ciebie, a ty ją.

Ruch i rozmowa rozbudziły w końcu i głęboko śpiącą Leię. Uniosła się na łokciu.

- Admirale Ackbar - powiedziała z nieodgadnioną twarzą. - Owszem, zapraszałam cię na rozmowę w sprawie rezygnacji, ale spodziewałam się, że może jednak poczekaasz, aż sama się obudzę.

- Miły mamy ranek, księżniczko.

- Nie próbuj udobruchać mnie uprzejmością - odparła Leia. - Co tu robisz o tak wczesnej porze?

- Wyrwam cię z pościeli - stwierdził Ackbar. - Poczekać na zewnątrz, aż się ubierzesz.

- O, naprawdę? A co potem?

- Potem musimy się czymś zająć. Za bramą czeka ślizgacz.

- Chwilę, powoli. Nie jestem pogotowiem. Nie w sprawach stanu. I nie o tej porze. A swoją drogą, która to? - Zerknęła w bok, na sypialniany czasomierz. - O niebiosa łaskawe. Już żałuję, że wiem.

- Rozumiem, co czujesz - powiedział Ackbar. - Też wolałbym pozostać w wodzie. Niestety, mamy coś do zrobienia.

- A może tak powiedziałbyś coś więcej i pozwolił, abym sama podjęła decyzję?

- Obawiam się, że to niemożliwe - powiedział Ackbar, podając jej szlafrok. - Jeszcze nie oprzytomniałaś. Musisz mi zawierzyć. O ile w ogóle mi ufasz.

Leia zmarszczyła brwi i przyjrzała się uważnie admirałowi. W końcu usiadła i wzięła od niego szlafrok.

- Dziękuję, księżniczko. - Ackbar spojrział na Hanę. - Generale Solo, sadzę że twoja obecność też byłaby wskazana.

- Co to ma być, jakieś „dziel i rządź”?

- Proszę. Sprawa dotyczy również ciebie.

- Niech tylko znajdę portki - mruknął z rezygnacją Han. - Leia, czy możesz mi przypomnieć, po co właściwie dałaś temu rybiogłowemu klucz do naszych drzwi...

Leia zajrzała przez szybę oddzielającą piąty moduł Oddziału Intensywnej Terapii Szpitala Floty. Wewnątrz zobaczyła młodzieńca o bladym obliczu, którego przenoszono właśnie z kokonu do zbiornika regeneracyjnego z bacta. Nad biomonitorami czuwał wojskowy lekarz w asyście dwóch droidów medycznych typu MD-7.

- Kto to jest?

- Pochodzi z Grannanów, dotąd mieszkał na Polneye - powiedział Ackbar. - Nazywa się Piat Mallar. Cierpi na poważne zaburzenia metabolizmu spowodowane wdychaniem produktów własnej przemiany materii. Może nie przeżyć. Dlatego pomyślałem, że powinnaś przyjść już teraz. Na wszelki wypadek.

- Po co? - spytała Leia. - Współczuję mu, oczywiście, ale... - zawiesiła głos.

- Polneye? Nigdy nie słyszałem o tej planecie - wtrącił się Han. - Co mu się przytrafiło?

- Według załogi statku zwiadowczego, który go znalazł, chłopak próbował pokonać przestrzeń międzygwiazdową na zwykłym myśliwcu typu TIE...

- Skąd coś tak głupiego mogło mu przyjść do głowy? - spytał Han. - Przecież to czyste samobójstwo...

- Albo poświęcenie - zauważył Ackbar. Czasem trudno je rozróżnić.

- O czym mówisz?

- Wygląda na to, że Piat Mallar próbował uciec z Gromady Koornacht, żeby przekazać pewną wiadomość. Najwyraźniej nie znalazł innego sposobu.

W oczach Len zapłonęły niebezpieczne ogniki.

- Jaką wiadomość?

- Zaraz wam pokażę. Ale posiedźmy tu jeszcze trochę. Nie wiem, na czym to polega, lecz jeden z terapeutów powiedział mi, że troska rodziny i przyjaciół dziwnie dodaje pacjentom siły. A obawiam się, że ten młody pilot potrzebuje teraz każdego możliwego wsparcia.

W zaciszu gabinetu admirała w Kwaterze Głównej Floty Han i Leia w ponurym milczeniu patrzyli na holo odtwarzane z materiałów uzyskanych z komputera myśliwca TIE Plata Mallara.

Widok znajomych i zniechęconych sylwetek okrętów wojennych Imperium dokonujących dzieła zniszczenia nie pozwalał na zachowanie spokoju. Podobnie jak i obraz miast Polneye zamienianych w dymiące kraterki wybite pośród równiny. Największe wrażenie robiła jednak śmiertelnie blada twarz dyktującego ostatnie słowa Plata Mallara:

- Proszę o pomoc. Proszę, jeśli ktoś z nich jeszcze żyje, spróbujcie ich uratować. Ktokolwiek zdoła to obejrzeć, niech odszuka te potwory i surowo je ukaże. Tak się nie robi. To bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Błagam, błagam o sprawiedliwość dla poległych. Dla moich rodziców. Moich przyjaciół. Dla mnie.

Gdy nagranie dobiegło końca, Leia bez słowa wstała od stołu i odwróciła się plecami do Hana i admirała. Stała przygarbiona przed wypełniającą niemal całą ścianę gabinetu holomapą galaktyki i wbiła w nią pełne bólu spojrzenie.

- Czy zorganizowałeś to, aby mnie upokorzyć? - spytała w końcu Ackbara, ale się nie odwróciła.

- Nie - zaprotestował zdumiony Ackbar. - Po prawdzie nie rozumiem...

- No to mamy już dwóch niezorientowanych - wtrącił Han. - O co ci chodzi, kochanie? Przecież to nie ma nic wspólnego z tobą.

Obróciła się gwałtownie.

- Nie ma? Spójrz tylko na niego. Siedzi i czeka, aż dojdę do tego samego wniosku, do którego on doszedł już dawno. Jeśli chcesz skłonić mnie do złożenia rezygnacji, admirałe, to nie mogłeś znaleźć lepszemu sposobu.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział Han, szukając spójrzaniem pomocy u Ackbara.

- Mylisz się, księżniczko - odezwał się admirał. - Bardzo, ale to bardzo się mylisz. Jesteś przywódczynią Nowej Republiki. Nie chciałbym widzieć nikogo innego na tym stanowisku. Aby sprostać temu wyzwaniu, potrzebujemy twojej siły i twojego oddania, dziś bardziej jeszcze niż wczoraj.

- Czyje to były statki?

- Wiesz równie dobrze, jak ja.

- Projekt imperialny. Imperialne myśliwce. Czego to dowodzi?

- Piat Mallar podleciał do pierwszego z nich na tyle blisko, że jego system celowniczy zdołał wymienić sygnały z kompem identyfikacyjnym tamtego. Odpowiedź była jasna: imperialny gwiazdny niszczyciel „Waleczny”.

- Do czego mnie przekonujesz?

- „Waleczny” znajdował się liście Nylykerkego. To jeden z okrętów Czarnej Floty.

- Wiem - odparła Leia. - A teraz, jeśli zjawił się nad Polneye w barwach Yevethów, wysłałam na największą idiotkę w całej Republice. Ale na pewno tego nie wiemy, prawda?

- Czy to ważne?

- Gdyby nie było, nie zaprosiłbyś mnie. Rozumiem, że chciałeś na swój subtelny sposób zakomunikować mi, jak bardzo się myliłam.

Ackbar powoli pokręcił głową.

- Pomyślałem, że zanim zdecydujesz się zrezygnować z obowiązków, powinnaś dowiedzieć się, co mamy jeszcze do zrobienia. Ktokolwiek wysłał ten zespół nad Polneye, jest on wrogiem pokoju, który z takim wysiłkiem próbujemy budować.

- Chyba słyszałam kiedyś taką przypowieść, że mądrość zaczyna się od uświadomienia sobie własnych ograniczeń. Pokój był celem, a nie środkiem. Poza tym okazałam się naiwna. I to najlepsze podsumowanie mojej kariery - dodała cierpko.

- Admirał ma rację - powiedział Han, kręcąc głową. - To wszystko drobiazgi. Takie zwykłe, w stylu kto spalił grzanki, kto pożyczył sobie moją koszulę, kto nie zgasił światła. Detale, które naprawdę się nie liczą. Najważniejsze jest pytanie, co zamierzamy z tym zrobić?

- A co możemy zrobić? - spytała żałośnie Leia. - Nic. Polneye nie należało do Nowej Republiki. Nawet nie zgłosiło swej kandydatury.

- Mówisz o zobowiązaniach - zauważył Han. - Ja zastanawiam się raczej, co godzi się uczynić.

- Sam wiesz, jak jest. W kwestii, co się godzi, każdy ma inne zdanie. A pokoju i tak nie daje się utrzymać. Jakkolwiek się starasz, zawsze pojawia się ktoś gotów zabić kogoś innego. I nie przekonasz go, że nie warto, nie należy. Ja w każdym razie tego nie potrafię.

- Leio...
 - Przykro mi z powodu Polneye. Naprawdę. Ale już za późno, żeby im pomóc. Poza tym gdybym wysłała flotę dokądkolwiek w pobliże Koornacht, musiałabym złożyć rezygnację. Senat najpierw by mnie zawiesił, a potem rozpoczął procedurę usunięcia z urzędu. - Potrząsnęła głową. - Mam nadzieję, że Mallar przeżyje, chociaż nie wiem, czy to nie będzie okrutniejsze, gdy dowie się, że jest jedynym ocalonym. Kto jeszcze o nim wie? Kto poza nami widział to nagranie?

- Lista jest bardzo krótka.
 - I niech tak zostanie - powiedziała Leia i podeszła do drzwi. - Wracam do domu, Han. Idziesz ze mną?

Han spojrział na nią jak na kogoś obcego.
 - Chyba trochę tu jeszcze zostanę.
 Leia wzruszyła ramionami.
 - Jak chcesz.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Han przechylił głowę i posłał Ackbarowi pytające spojrzenie.

- Jedno chciałbym wiedzieć. Kto tu narozrabiał i co to ma wspólnego z Leią?
 - Ona cierpi - wyjaśnił Ackbar. - Dręczy się wątpliwościami, czy dotrzymała wiary swym ideałom.
 - Chyba jestem wyraźnie niedoinformowany. Co tu się działo, kiedy mnie nie było?

- Opowiem ci, ile sam wiem - zgodził się Ackbar. - Ale obawiam się, że na niektóre pytania tylko ona może ci odpowiedzieć.

Nieznamy siedział ze skrzyżowanymi nogami, zwrócony twarzą ku domowi, na ulicy przed prywatnym wejściem do rezydencji. Leia ujrzała go, zanim wysiadła z pożyczonego ślizgacza Floty. Osobnik miał na sobie długą, szafranową, szatę, która rozpościerała się wkoło niego po chodniku. Księżniczka nie rozpoznała ani jego oblicza, ani nawet gatunku, z którego się wywodził. Minęła go szybko, zwalniając tylko na tyle, by nie alarmować ochrony sugerującą ucieczkę szybkością przekroczenia bramy.

Gdy jednak wysiadła i odesłała ślizgacz, ciekawość wzięła górę. Podeszła do ogrodzenia i z droidem obstawy unoszącym się tuż obok zawołała nieznanego.

- Kim jesteś?
 - Nazywam się Jobath, jestem radnym z Fia, na Galantos - odparł tamten i nagle twarz mu pojaśniała. - Znam ciebie. Jesteś księżniczką Leia, królowa-wojownik, która poprowadziła uciśnionych do walki z Imperatorem. Uratowałaś mój lud od niewoli.

- No... witaj. Ale to było dawno temu - powiedziała. - Nie wiem zresztą, którą wersję całej historii miałeś okazję poznać. I nie pamiętam, bym kiedykolwiek była królową lub wojownikiem.

- O, tak, znam wszystkie te opowieści. Jesteś wielką kobietą. To prawdziwy zaszczyt, że mogę cię poznać.

- Ale co tu właściwie robisz?

- Czekam na ciebie - wyjaśnił. - Twój metalowy sługa powiedział, że nie przyjmujesz gości, ale przybyłem w pilnej sprawie. A teraz widzę, że wróciłaś. Czy jeśli wstanę i podejść do ciebie, twoja wierna ochrona nie uzna tego za niewłaściwe?

- Co? Kto? A, robot. Nie, on po prostu nie lubi, gdy ktoś kręci się przy wejściu. Chwilę, możesz powtórzyć swoje imię?

- Jobath. Z Fia.
 - Czy zostaliśmy umówieni, Jobath?
 - Nie, księżniczko.
 - W porządku. Przez chwilę obawiałam się, że o czymś zapomniałam. Słuchaj, sytuacja wygląda następująco. Jeśli po obudzeniu nadal będę przewodniczącą mój personel wyznaczy ci dzień i godzinę spotkania. Porozmawiaj tylko z właściwą osobą w biurze protokołu.

Odwróciła się od ogrodzenia i ruszyła w kierunku domu.
 - Księżniczko! Poczekaj, proszę! Przybyłem opowiedzieć ci o czymś, co zdarzyło się w Obłoku Mnogości. Musisz wysłuchać mnie teraz!

- Naprawdę musisz? - spytała Leia, oglądając się przez ramię - Obłok Mnogości... co to jest?

- Obłok Wielkiej Mnogości w Kręgu Niebios - wyjaśnił gorliwie Jobath. - Ma jeszcze inną nazwę, brzydka nazwę...

- Mówisz o Koornacht?
 - Tak! - ucieszył się Jobath. - Koornacht.

Leia spojrzała na niego gniewnie.
 - Tego już za wiele. Powiedz Ackbarowi, że nie dam sobą manipulować.

- Admirałowi Ackbarowi?
 - Właśnie. Powiedz mu też, że jeśli chce tę robotę, to proszę bardzo. Niech tylko powie słówko.

- A tak, Ackbar. To imię też znam. I on był wielkim wojownikiem Rebelii. Ale mylisz się, pani. Nie dostąpiłem nigdy tego zaszczytu, by słuchać poleceń Ackbara.

- Nie?
 - Przybyłem tu wprost z Eastport, a wcześniej przeleciałem prosto z Galantos, by porozmawiać z tobą w nader pilnej sprawie. Straszne zło wylega się w Obłoku Mnogości. Wielu już zginęło. Mój lud lęka się o swą przyszłość.

Słuchając go, Leia z wolna cofała się ku ogrodzeniu. W końcu objęła mocno palcami pręty płotu.

- Skąd wiesz, co się tam dzieje?
 - Odebraliśmy ostrzeżenie wysłane przez statek, który wyrwał się z Obłoku - wyjaśnił Jobath. - Frachtowiec lecący na Woqua przechwycił wiązkę sygnału. Szczęśliwie przechwycił, bo inaczej długo jeszcze byśmy go nie usłyszeli. O ile w ogóle kiedykolwiek. Wysłaliśmy własną jednostkę, by odszukać ten statek. On też odebrał sygnał, ale sam statek zniknął.

Leia zrozumiała, że coraz bliższy utraty przytomności Plat Mallar musiał wysłać swój przekaz za pomocą komputera bojowego. W ten sposób chciał zapewne zwiększyć

szanse na wypadek, gdyby jego myśliwiec uległ jednak zagładzie. Żadna siła w kosmosie nie jest zdolna zniszczyć raz wysłanego sygnału.

- Mamy ten statek - wyjaśniła, opierając czoło o ogrodzenie. - I pilota też.

- Bardzo mnie to cieszy. Chętnie udzielimy mu schronienia na Galantos. A jeśli tego zapragnie, także obywatelstwo Fia.

- Obawiam się, że to będzie musiało poczekać - stwierdziła Leia. - Czego oczekujesz ode mnie?

- Przyszedłem prosić Nową Republikę i ciebie, księżniczko, o obronę mojej planety i mego ludu - wyjaśnił Jobath, ujmując długopalcą dłonią pręt ogrodzenia tuż poniżej palców Leii. - Chciałem prosić o przyjęcie naszej petycji. Akcesu członkowskiego. I uzbrojenie nas przeciwko tym mordercom.

Leia puściła ogrodzenie, jakby obawiała się kontaktu z Jobathem.

- Rozważę wasz wniosek - odparła z wysiłkiem i zaczęła odchodzić.

- Pospiesz się, proszę - powiedział Jobath. - Nie ma wiele czasu. Jeśli ci, którzy napadli na Polneye postanowią wypuścić się poza Obłok Mnogości, to my następnym padniemy ich ofiarą. Cała nasza flota składa się z dwóch korwet dobrych do patrolowania i jednego kutra, którym tu przyleciałem. Na samym Galantos wystawia to na niebezpieczeństwo żywoty pół miliona istot.

- Rozumiem - stwierdziła Leia. - Idź do hostelu dla dyplomatów. Dostaniesz kwaterę. Zaraz pošlę im słowo w tej sprawie.

Potem odwróciła się i uciekła do domu. Jednak jego ściany nie oferowały już wyczekiwanego, bezpiecznego schronienia. Teraz nie mogła po prostu położyć się spać.

Nim minęła godzina, odkąd Jobath udał się do hostelu dyplomatycznego, pojawiły się tam jeszcze trzy inne delegacje trzech różnych światów pragnących w trybie nadzwyczajnym zgłosić swe członkostwo. Dwa z nich znajdowały się w sektorach dalekich od Koornacht, trzeci w Hatawie, ale też nie przesadnie blisko niepokojącego regionu.

Wszystkie trzy delegacje, podobnie jak i Fia, nie otrzymały na razie żadnej odpowiedzi.

Przez jakiś czas cisza panowała również w mediach. Jak dotąd tragedia Polneye umknęła ich uwagi. Globalna zajmowała się ciągle jeszcze niedawną niezwykle bulwersującą sesją Senatu.

Jednak w południowym serwisie Globalnej pojawiło się coś nowego: na razie były to spekulacje na temat domniemanej rezygnacji z urzędu księżniczki Leii. Plotka (traktowana jednak bardzo poważnie) sugerowała ponadto, iż rzecz została podana do publicznej wiadomości, gdy tylko najważniejsi wojskowi przywódcy Senatu uzgodnią nową kandydaturę.

Admirał Ackbar oglądał wiadomości w swoim gabinecie i czynił to z mocno mieszanymi uczuciami. Chociaż oszołomiony, wiedział co o tym myśleć. Insynuacja, jakoby Flota miała wpływ na wybór nowego prezydenta, była czystym absurdem. Zresztą, nawet gdyby ktoś wpadł na pomysł podobnych negocjacji, nie mógłby się obejść bez osoby Ackbara.

Admirał zamyślił się jednak nad czymś innym. Może sam też powinien sięgnąć po komunikator i zacząć rozpowszechniać własne plotki.

- Tym razem my ruszymy na pierwszą linię frontu - powiedział głośno sam do siebie. - Damy oblicze i opowieść Plata Mallara do mediów. Pokażemy wszystkim, co zdarzyło się na Polneye, przeciągniemy ich na stronę Leii. To właśnie najchętniej bym zrobił. Gdyby tylko potrafiła sama siebie przekonać, że wicekról nigdy nie był jej przyjacielem...

Pokręcił głową. Jeszcze nie w tej chwili. Powinien raczej wypatrywać wieści z sektora Farlax, gdzie szperacze Piątej Floty zajęły już stanowiska wokół Koornacht i teraz przeczesywały nieustannie obszar nadprzestrzeni superczułymi sensorami filtrującymi. I jeszcze nastawiać ucha na to, co napłynie z Senatu i kompleksów administracyjnych, gdzie zebrali się wszyscy analitycy i komentatorzy obecni w Imperial City. Krążąc po korytarzach, łowili dla widzów możliwe do wyszukania plotki. Trzeba poczekać, gdzie drgnie najpierw.

Absurdalna czy nie, rozpowszechniona przez Globalną pogłoska o rezygnacji Leii zasiała w hostelu dyplomatycznym niejaką panikę. Niejednego bardzo zdumiała, Jonatha zaś zaniepokoiła. Zaczął się obawiać, że przedstawił swoją prośbę niewłaściwej osobie. Z tego też powodu zgłosił się czym prędzej, wraz z seneszalem Maraisów, do biura marszałka Behn-kihl-nahma.

Pół godziny później wyszli obaj uspokojeni zapewnieniem, że Leia wciąż dzierży urząd i że ich petycje trafiły na drogę służbową. Ledwie opuścili gabinet, Behn-kihl-nahm kolejny raz spróbował skontaktować się z księżniczką. Podobnie jak wcześniej, a starał się od rana, i teraz mu się nie udało.

Behn-kihl-nahm tracił z wolna cierpliwość do Leii. Odcięła się od wszystkich w najgorszej z możliwych chwil, kiedy powinna wraz z zespołem zacząć planować właściwą strategię i metodę odpowiedzi. Behn nie cierpiał samodzielnego podejmowania podobnych decyzji.

Zastanawiał się, czy Leia zaaprobuje pomysł, aby opóźnić wycofanie się Walallów i innych z federacji przez piętrzenie przeszkód proceduralnych? Uczynił to jeszcze rano. A może wolałaby po prostu pozwolić im odejść? Czy powinien zaproponować Peramisowi i Hodidijemu włączenie do komisji, zajmującej się sprowadzeniem ciał? Pomyślał, że może wówczas nieco by ochłonęli, lecz czy zdołają zachować się w tej sytuacji z odpowiednią godnością? A może będą nazbyt zakłopotani?

Jednak konieczność podejmowania decyzji była dla Behn-kihl-nahma niczym wobec zmyślenia niedoinformowania. Cała ta sprawa z Polneye, kwestia pilota przetrzymywanego w szpitalu - czy naprawdę musiał usłyszeć o tym dopiero od pary nieakredytowanych jeszcze ambasadorów? Jakim cudem jeden z nich zdołał spotkać się z Leią, skoro on dzwoni do niej bez przerwy i bez rezultatu? Może naprawdę zamierza zrezygnować? Jeśli nie, to co chce uczynić z petycjami o pomoc i obronę?

Wreszcie, gdy zwykle źródła Behn-kihl-nahma nie zdołały zaspokoić jego ciekawości, poszukał Hiramę Draysona. Maszyna władzy została sparaliżowana, i to w

chwili kryzysu, który bez działań zapobiegawczych zacznie jedynie potęgnać. Może Drayson wiedział, co spadło w tryby?

- Nie potrafię powiedzieć, panie marszałku - odparł Drayson.

- Nie potrafi pan czy nie chce?

- Panie marszałku, doradzić mogę chwilowo tylko jedno. Proszę udać przed wszystkimi, że pan w pełni kontroluje sytuację. Co do Senatu, na razie niech wygadują z mównicy, co im ślina na języki przyniesie. Wiele złego nie uczynią, a czas im to wypełni.

- Admirale - odparł Behn-kihl-nahm - pańska rada napelnia mnie większym niepokojem niż wszystko, co zdarzyło się w minionym tygodniu.

- Admirale Ackbar.\

- Pan Drayson. Proszę wejść.

- Nie czas na konwenanse. Czy może mnie pan skontaktować z Leią.

- Obawiam się, że nie - stwierdził Ackbar. - Dziś rano unieważniła mój szyfr.

- Ale ja muszę z nią porozmawiać - wyjaśnił bez wstępów Drayson- - Ma pan chociaż jakiś pomysł?

Ackbar chrząknął.

- Zdumiewa mnie trochę odkrycie, że niespokojny duch Coruscant nie zna stosownych w takiej potrzebie tajnych przejść czy sekretnych hasel.

- Samo dostanie się do środka rezydencji, to nie problem - wyjaśnił Drayson. - Chodzi o to, by zostać wysłuchanym. Obawiam się, że chociaż dysponuję niejednym, tego osiągnąć nie potrafię.

- Obecnie wielu chce z nią rozmawiać - zauważył Ackbar. - Za to Leia straciła ochotę, by się do nas odzywać.

- Niestety, nie mogę pozwolić sobie na luksus dobrego wychowania.

- Ma dość nacisków i przycinków - powiedział Ackbar. - Może jeśli damy jej trochę czasu...

Drayson ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

- Nie ma czasu.

Ackbar zamrugał i usiadł z powrotem w fotelu.

- Zna pan jej męża?

- Nie na gruncie zawodowym. Ale jego lojalność wobec żony jest powszechnie znana.

Ackbar przytaknął w zamyśleniu.

- Spędził tu dzisiaj ze mną całe trzy godziny. To on nakazał wysłanie szperaczy w pobliże Koornacht. On, nie generał A'baht.

- Interesujące.

- I jeszcze coś. To on przyprowadził Piątą Flotę na Coruscant. Niby zgodnie z jej rozkazami, ale tylko w ogólnym zarysie. Nakazał utrzymanie gotowości z pełnymi składami załóg. Żadnych przepustek. Pojmuje, o jaką stawkę chodzi. Możliwe, że okaże panu więcej zrozumienia niż pan sądzi. Ale nie mogę obiecać, że ona na pewno posłucha męża.

- Dziękuję, admirale - powiedział Drayson. - To cenna wskazówka. Teraz proszę wybaczyć...

- Admirale...

- Tak?

- Zastanawiałem się... Czy wicekról mógł zrobić coś Leii? Tyle godzin spędził z nią sam na sam. Wprawdzie niewiele wiemy o Yevethach... ale czy to możliwe, że podczas tych rozmów... Że tam coś się stało? Że wpłynął jakoś na jej umysł?

- Nie - odpowiedział Drayson. - Mogę pana zapewnić, że nic takiego nie miało miejsca.

- Dziękuję - stwierdził Ackbar, chociaż wcale nie wyglądał na zadowolonego z takiej odpowiedzi.

Plusk wody i wesoły śmiech dzieci zagłuszyły odgłos kroków nadchodzącego Draysona, jednak Leia, której zmysły były ostatnio szczególnie wyostrzone, i tak wyczuła jego obecność zanim jeszcze wyszedł spośród drzew.

Jaina z kolei natychmiast wyczuła ponury nastrój matki.

- Mamusiu, co jest? Chcesz, żebym go przegoniła?

- Nie, nie - odparła Leia z uśmiechem i poczochnała wilgotne włosy córki. - Jacenie, Jaino, weźcie Anakina do domu. Kiedy przyjdę, macie być wszyscy wysuszeni i ubrani.

Chociaż raz dzieci posłuchały jej bez oponowania. Leia pomyślała, że to chyba skutek stresu minionych tygodni, który w ostatnich dniach wypłynął także na dzieciaki.

Drayson zatrzymał się uprzejmię w pewnej odległości, kryjąc ręce za plecami.

- Księżniczko.

- Wie pan co, mam wrażenie, że ochrona rezydencji prezydenckiej pozostawia ostatnio wiele do życzenia.

- Jestem umówiony z pani mężem. Zaprosił mnie.

- Naprawdę - mruknęła. - Cóż, zachowanie mojego męża też dalekie jest jakoś od ideału. Czego pan chce?

- Pięciu minut rozmowy - powiedział Drayson i wysunął do przodu prawą dłoń z dyskietką. - Myślę, że przyda się przy podejmowaniu czekających panią decyzji.

- Co na niej jest?

- Tylko to, co najbardziej istotne.

- Pięć minut?

- Potem sobie pójdę.

- Dobrze - powiedziała z westchnieniem. - Pięć minut.

Dyskietka zawierała krótkie nagranie wykonane niecałe dwie godziny wcześniej. Pokazywało ono parę yevethańskich statków, które właśnie rozładowywano w pagórkowatej, porośniętej krzakami okolicy. Rodzaj i ilość materiałów, oraz kształt i rozmiar oczyszczonego wcześniej obok terenu wskazywały jednoznacznie, że chodziło o budowę pierwszego przyczółka kolonizacyjnego.

- Gdzie to jest?

- Dane astrograficzne opisują miejsce jako Doomik Trzysta Dziewiętnaście - odparł Drayson. - System leżący w obrębie Gromady Koornacht. Mieszkający tam do wczoraj Kubazowie zwali te planety Dzwonkiem Porannym.

- A co stało się z nimi wczoraj?

- To samo, co z mieszkańcami Polneye. I nie tylko z nimi. Mam powody sądzić, iż wszystkie osiedla zamieszkane przez nie-Yevethan, a znajdujące się wewnątrz Koornacht, zostały potraktowane w identyczny sposób.

- Jakie powody? Skąd pan ma to nagranie?

- Wolałbym, aby nie pytała mnie pani o to, księżniczko.

- Ale pytam.

Drayson skinął głową.

- Księżniczko, czy po to, aby uwierzyć w wagę owych dowodów, musi pani koniecznie znać ich źródło? Proszę się zastanowić. Jeśli tak, to odpowiem. Jeśli jednak ta wiedza nie jest konieczna, wówczas proszę uznać dowód sam w sobie. I nie zmuszać mnie do ryzykowania cudzym życiem bardziej niż musiałem uczynić to do tej pory, aby zdobyć materiał, który pani pokazałem. Najważniejsza jest sama informacja.

Leia patrzyła na niego bez słowa.

- Mam wrażenie, że moje pięć minut już minęło - powiedział Drayson, kłaniając się lekko. - Dziękuję za spotkanie.

- Chwilę. Stać! - rozkazała ostro Leia. - Kim pan jest? Ale tak naprawdę.

Drayson zawrócił i spojrzał na księżniczkę.

- Czynie swą powinność na mocy dekretu wydanego przez Mon Mothmę - wyjaśnił. - Znajdzie go pani w osobistej bibliotece pod oznaczeniem D9020616.

- Mon Mothma! Nigdy słowem się o tym nie zająknęła...

- Przyjrzywszy się machinie Nowej Republiki, dostrzegła w niej kilka wad związanych głównie z obiegiem informacji. Chciała, by trafiała do właściwych osób, zwłaszcza w sytuacjach trudnych, wymagających szczególnej polityki. Ja znajduję tylko właściwe ścieżki przepływu.

- Przed kim pan za to odpowiada?

- Przed tymi samymi instancjami, co pani, księżniczko. Pani i wszyscy na podobnym szczeblu władzy. To sumienie i poczucie obowiązku. Owszem jeśli któraś z tych instancji nas zawiedzie, możemy uczynić wiele złego. I przeważnie ukryć to potem, oczywiście. Ale tak to właśnie wygląda, prawda? Sumienie lub posłuszeństwo. Samodzielność lub iległość. Czyje rozkazy pani wykonuje? Sumienie i poczucie obowiązku. Skłonił się raz jeszcze. - Dobranoc, księżniczko.

Leia ponownie obejrzała przekaz na swoim kompie. I jeszcze raz. Obraz był ostry, treść oczywista. Kształt statków kojarzył się jednoznacznie. Oskarżał. Yevethańscy koloniści zasiedlali świat, który dobie wcześniej należał do Kubazów.

Leia wyjęła z szuflady ciśnięty tam poprzedniego wieczoru komlink i wybrała znajomy kod.

- Hanie - powiedziała. - Możesz przestać się przede mną ukrywać. Gdzie jesteś? Proszę, odezwij się do mnie.

- Mordercy - mruknął Han, oglądając nagranie z Doomik Trzysta Dziewiętnaście. Potrząsnął z niedowierzaniem głową. - Widziałem już niejedno draństwo, ale zabijać całe rodziny, żeby zaraz następnego dnia wprowadzać do ich domu nowych mieszkańców... Tego nawet nasz stary kumpel Palpatine by nie wymyślił.

Leia przytaknęła.

- Zaczynam się zastanawiać, czy największe poniżenie, jakiego Yevethowie zaznali od Imperium nie było związane z próbą wychowania ich. Nauczania bardziej cywilizowanych zachowań.

- Niezła paranoja, co? Imperialne oddziały szturmowe w roli nauczycieli dobrych manier - powiedział Han. - Coś jakby dać blastery androidom protokolarnym.

Han starał się pobudzić małżonkę do najmniejszego chociaż uśmiech, lecz ona spojrzała tylko na mapę Gromady Koornacht. Uczynił to samo.

- Ale popatrz, przecież to nie ma sensu - zauważył. - Żadna z tych planet, na które napadli, nie zagrażała światom Ligi. Chyba, że zaczyna brakować im miejsca.

- Obawiam się, iż dostrzegam w tym pewien sens - powiedziała Leia. - Teraz rozumiem niektóre jego uwagi. Wtedy puszczałam je mimo uszu. Powtarzał, że przede wszystkim chcą, żeby zostawić ich samym sobie. Pamiętam, od tego właśnie zaczął już przy pierwszym spotkaniu. Wspomnił też, jak bardzo zaskoczył go widok przedstawicieli tak wielu ras obecnych w jednym miejscu. I dodał, że Yevethowie nie potrzebują naszej pomocy.

- I racja - stwierdził Han. - To Kubazów należało chronić.

- Powiedział jeszcze i to, że jego misja ma na celu ochronę Yevethów. I rzeczywiście. Całą załogę trzymał we wnętrzu statku z dala od nas. Swoje kontakty z nami ograniczał jak mógł, zupełnie jakby bał się zbrukać. To dlatego niszczyli osiedla. To nie wojna graniczna, tutaj w ogóle nie chodziło o rozszerezenia terytorialne, Han. Oni to zrobili z czystego obrzydzenia. Han spojrzał z powątpiewaniem.

- Może i tak. Ale widzę coś jeszcze. Popatrz, co z tego wynika Doornik trzy jeden dziewięć leży niemal dokładnie na linii prostej łączącej Coruscant i N'zoth. Idealne miejsce na bazę wypadową. Pozostałe cele... Cóż, to wygląda na rodzaj bariery pomiędzy nimi a nami wszystkimi.

Leia sięgnęła ręką i dotknęła jasnego punktu oznaczającego Doomik trzysta dziewiętnaście.

- Bariera albo i fosa. Może nawet taka kompletna, z bramą i mostem zwodzonym.

- No tak - mruknął Han. - I co zamierzasz z tym zrobić?

Leia cofnęła palec i pokręciła z wolną głową.

- Na razie to chyba wszystko, czego pragnęli. Nie spodziewałabym się chwilowo dalszych ruchów. Obecnie należy dopilnować, aby Nil Spaar pozostał po swojej stronie fosy. Trzeba otoczyć ochroną pobliskie zamieszkane planety, których jeszcze nie najechał: Galatos, Wehttam, Maraisów - spojrzała na Hana. - Zamierzam wysłać Piątą Flotę z powrotem do sektora Farlax.

- Przewidziałem, że może do tego dojść - powiedział Han. - Nie odwołałem gotowości: żadnych przepustek, żadnych poważniejszych remontów. Powinni być zdolni do odlotu pół godziny po otrzymaniu rozkazu.

Leia dotknęła jego dłoni.

- Przepraszam. Wiem, że wcale ci się to nie uśmiecha.

- Chwilę - mruknął Han, odsuwając się nieco. - Ja nigdzie nie lecę.

- Nie mogę znów zmieniać im dowódcy. Dwa razy na tydzień, szczególnie w tych okolicznościach... Nie. Byłeś tam z nimi już przez dwa miesiące. To da przynajmniej jakąś ciągłość.

- Pomysłał dobry, wybór fatalny - odparł Han. - Na twoim miejscu pomyślałbym o oddaniu Piątej A'bahtowi.

- Żartujesz? Przecież okazał się nielojalny.

- Naprawdę? Nie posłuchał twoich rozkazów, ale czy to na pewno świadectwo nielojalności? Czy zrobił to dla korzyści osobistych? Czy próbował wygrać swoją karierę lub wesprzeć przeciwnika? Nie. Chciał jedynie chronić swoich podkomendnych i tych, których miał tam bronić. I do diabła, jedno ci powiem, Leia: miał rację. To powinno zostać docenione.

- Sam przyznałeś, że nie posłuchał rozkazów.

- Nie posłuchał rozkazu, który nigdy nie powinien zostać wydany - stwierdził Han. - A jeśli dalej chcesz się upierać przy swoim, to co powiesz o mnie? Ten szperacz, który trafił na Plata Mallara. Jak myślisz, skąd się tam wziął?

Leia uzmysłowiła sobie, że nigdy o to nie spytała.

- Podejrzewam, że za sprawą kreciej roboty admirała Draysona.

- Nie słuchałaś dość uważnie. To był szperacz Piątej Floty. Ja go wysłałem.

- Ty? - wykrzyknęła Leia i oczy jej zapaliły się gniewem. - Nie rozumiem. Czy to wszystko dlatego, że jestem kobietą? Czy dlatego każdy traktuje moje rozkazy jak nieobowiązujące propozycje?

- Cholera, nie. Leio, ciągle ci powtarzam, że źle się czuję w mundurze. Rozkazy wydane przez mężczyzn robią na mnie równie niewielkie wrażenie. Zawsze taki byłem i dobrze o tym wiesz. Słuchaj, ja tam siedziałem, ty nie. Zrobiłem to, co mi instynkt podpowiadał.

- A jak wyjaśnisz postępowanie generała A'bahta?

- Czemu jego o to nie spytasz? - odparował Han. - Ale pamiętaj, zanim przybył na Coruscant, był głównodowodzącym sił zbrojnych Dornei. Przywykł do większej niezależności niż ta, na którą pozwalamy dowódcom flot. Czuje się odpowiedzialny przede wszystkim przez własnym sumieniem. Sądzę, że był wobec ciebie lojalny aż do bólu, co widać chociażby po tym, jak przyjął degradację. Pomysł, zby poprosić go o powrót na stanowisko nie jest wcale fatalny, jak ci się wydaje.

- Jeśli sądzisz, że po twoim postępku zmienili o nim zdanie, to chyba nie wiesz jak to działa - powiedział Han. - Zmieniłaś jedynie ich opinię na twój temat. Oddaj im dowódcę, a nie powiedzą już nic gorszego ponad to, co szepczą od jakiegoś czasu. Możliwe, że nawet zyskasz nieco w ich oczach.

- Co powinnam powiedzieć?

- Nic. Wyślij Piątą Flotę do sektora Farlax z A'bahtem jako dowodzącym, a oni zrozumieją aluzję. Leio, tylko słabi przywódcy nie potrafią przyznać się do błędów.

Silni nie muszą udawać, że są nieomylni. Zapamiętaj to sobie i już. Mamy większe problemy na głowie.

Spojrzała na mapę Koornacht, potem spuściła wzrok na swoje dłonie.

- Jestem uparta jak Bail Organa. I podobnie wbijam się czasem w dumę - powiedziała cicho. - Trudno mi się pogodzić z sytuacją, gdy ktoś inny ma rację.

- Gdybyś nie ten upór, nie byłabyś moją Leią - podsumował z uśmiechem Han. - Więc jak, zostajesz? Nie będzie rezygnacji?

- Nie zwalę teraz całego tego bagażu komuś innemu na głowę - stwierdziła Leia. - Nie będę uchylać się od odpowiedzialności. Nil Spaar nie postąpiłby tak, gdyby nie miał pewności, że mu nie przeszkodzimy. Że ja mu na to pozwolę.

- Nie jesteś odpowiedzialna za jego błąd.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że mu nie pozwolimy.

- Och! Nie wiesz, gdzie jest generał A'baht?

- Wrócił skifem razem ze mną. Pojechał zapewne do osiedla mieszkalnego Floty. Czekaj na sąd polowy. Biuro Floty powinno wiedzieć.

- Najlepiej będzie, jeśli sama z nim porozmawiam - powiedziała Leia, wyraźnie mobilizując siły. - Odkręć całą sprawą.

- I dobrze zrobisz - orzekł Han. - Zajmę się dziećmi do twojego powrotu.

- Dzięki - ucałowała go przelotnie i ruszyła do drzwi. Po drodze zatrzymała się jeszcze i obejrzała. - Hanie...

- Tak?

- Jak mogłam tak się mylić co do Nila Spaara? Jak to się stało, że spędziłam z nim tyle czasu, rozmawiałam, dawałam się zwodzić uśmiechom i niczego nie podejrzewałam? Jestem Jedi, powinnam coś zauważyć.

- Nie masz zwyczaju polegać na tych akurat talentach - powiedział Han. - I z tego, co mogę sądzić, wcale nie chcesz z nich korzystać.

- Coś w tym jest - przyznała. - Ale wciąż mi się wydaje, że powinnam jednak go przejrzeć.

- Powiedziałbym, że dojrzałaś w nim to, co chciałaś dojrzeć - wyjaśnił łagodnie Han. - Wciąż szukasz w każdym dobra i rozumu. A nie każdy jest nim obdarzony.

Generał A'baht wiedział, że gdyby tylko poprosił otrzymałby do ręki klucze do któregoś z apartamentów gościnnych lub kwater wyższych oficerów, bez sprzeciwu przyjął jednak rozkaz zakwaterowania w zwykłym dwuosobowym lokalu. Chociaż miał wszelkie prawo, by zamknąć się w nim na głucho, drzwi od swojego pokoju zostawił otwarte. Był to odruch wyniesiony jeszcze z początków szkolenia, nakazujący nie rozszerzać za nadto własnych granic prywatności.

Leżał akurat twarzą w dół na podłodze, tyłem do drzwi i bez najmniejszego szmeru wykonywał kolejne etapy ćwiczeń wzmacniających.

- Generale. Mogę wejść?

Dorneański oficer zerwał się sprawnie na równe nogi i zasalutował sprężystości.

- Książniczko... Jestem zdumiony twoim widokiem.

Leia zamknęła za sobą drzwi.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać. Jadąc tutaj otrzymałam twoje przeprosiny i raport z propozycją rezygnacji...

- Księżniczko, mam nadzieję, iż rozumiesz, że nie zamierzam uchylać się od odpowiedzialności za moje poczynania - powiedział A'baht. - Gotów jestem stanąć przed sądem polowym albo pogodzić z degradacją do takiego stopnia, jaki uznasz za stosowny. Zaakceptuję wszystko, co uczynisz dla dobra Floty i Republiki. Nie chcę być przyczyną dalszych obstrukcji. Nie chcę sprawiać kłopotów ani tobie, ani Flocie, ani Chandrili.

Leiai wysunęła spod małego biurka krzesło z prostym oparciem i usiadła.

- Wiesz, generale, sama zastanawiałam się ostatnio nad złożeniem rezygnacji. Popelnilem kilka... błędów. Trudno było mi się z tym pogodzić. Jednak przed chwilą, po rozmowie z moim najlepszym przyjacielem na całym świecie, uznałam że to ucieczka w łatwiznę. A tego nie lubię. Wolę podjąć cięższe wyzwanie, jednak będzie to zadanie na tyle trudne, że nie obejdziesz się bez twojej pomocy. Twój wniosek o przyjęcie rezygnacji został odrzucony.

- Rozumiem, księżniczko. Czy mogę spytać, na kiedy wyznaczono posiedzenie sądu polowego?

- Sądu? - pokręciła głową. - Nie ma czasu na sądy, generale. Czeka nas sporo roboty.

- Słucham?

Leia westchnęła.

- Generale, myliłam się. Nie potrafię powiedzieć tego jaśniej. Czy przyjmiesz moje przeprosiny i zechcesz powrócić na „Nieustraszonego” jako dowódca Piątej Floty?

Zdumienie odmieniło na chwilę rysy Dorneanina.

- Księżniczko, jak możesz mi zaufać po tym, co się zdarzyło?

- To co się zdarzyło, nie powinno było się zdarzyć. Ale to moja wina, nie twoja - powiedziała Leia. - Twoje decyzje i ocena sytuacji były bez zarzutu. Będę ci ufać dopóty, dopóki będziesz służyć Nowej Republice w taki właśnie sposób.

A'baht był wyraźnie zakłopotany.

- Jeśli tak... to dziękuję oczywiście za przeprosiny, na które nie zasłużyłem. Jestem do dyspozycji, gotów służyć w dowolny sposób, jaki uznasz za stosowny.

- Dobrze - powiedziała, wstając i wskazując na otoczenie. - To nie jest twoje miejsce, generale. Czy mogę podwieźć cię do Eastport?

Lojalność małych ludzi jest towarem dość tanim. Wiedzeni chciwością nie myślą o godności.

Kilka minut po powrocie generała Etahna A'bahta na pokład jednostki flagowej Piątej Floty, cała armada skoczyła w nadprzestrzeń, kierując się do sektora Farlax i Gromady Koornacht. Minęło jeszcze kilka minut, a Belezaboth Oum, konsul nadzwyczajny Paqweporich, zameldował się Nilowi Spaarowi za pośrednictwem hiperłącza.

- Nie wiem, rzecz jasna; jakie rozkazy otrzymał generał - powiedział Ourn - ale sama księżniczka przywiozła go pod wahadłowiec i cała flota zniknęła, zaledwie dotarł na miejsce. Wszystko bez słowa czy wyjaśnienia.

- Dziękuję, konsulu - odparł poważnie Nil Spaar. - Yevethowie nie zapomną o pańskiej pomocy. Proszę baczyć pilnie na dalsze kłamstwa księżniczki i jej sług.

- Och, będziemy mieć na nią oko, niezawodnie - obiecał Ourn. - Ale teraz, wicekrólu, mam małe pytanko.

- Oczywiście. Słucham.

- Kiedy mogę oczekiwać dostarczenia obiecanego mi statku, zapłaty za zniszczenie „Matczyna Walkiria”, na które się zgodziliśmy? Gdybym miał opuścić Corustant, musiałbym wyczerterować statek, co wiąże się z poważnymi wydatkami, lub skorzystać z usług linii przewozowych, a to z kolei oznacza szereg niedogodności.

Nil Spaar uśmiechnął się ujmująco.

- Niebawem, konsulu, naprawdę niebawem. Najnowszy statek z naszych stoczni jest właśnie przebudowywany zgodnie z umową. Proszę o trochę cierpliwości. Nie rozczaruje się pan.

W pustym pokoju nie zamieszkanego pawilonu na terenach hostelu dyplomatycznego w Imperial City odbiornik hiperprzestrzenny odebrał pewien zakodowany sygnał nadany z odległości wielu lat świetlnych.

Zaraz uruchomił misterny przekaźnik wysokiej klasy, który skierował osobliwy sygnał prosto do pewnego budynku o ślepym frontonie. W jego głębi mieściła się maszyna oficjalnej sieci informacyjnej rządu Nowej Republiki.

Chwilę później nadzorca drugiej zmiany Turat II Feen otworzył usta ze zdumienia, gdy na jego stacji kontrolnej kanał pierwszy ożył najwyraźniej z własnej inicjatywy.

Dostęp do niego miały tylko trzy osoby - urzędujący kanclerz, prezydent i głównodowodzący Floty. Jednak tym razem na ekranie widniała niebieska gładź pozbawiona jakiegokolwiek znaku identyfikacyjnego, a jedynie z napisem: TRANSMISJA ZACZNIE SIĘ ZA: i malejącą nieustannie liczbą.

Z pewnością, na kanale pierwszym coś się działo. Zegar odmierzał czas, wyraźnie dając do zrozumienia, że szykuje się coś istotnego. Niemal natychmiast gotowość odbioru zaczęły potwierdzać końcówki poszczególnych planet i centrów administracyjnych.

- Ktoś włamał się do systemu - orzekł wściekły Turat. - Odszukajcie źródło sygnału - polecił technikom. - Jeśli nie uda się go zablokować, wyłączcie system.

Jednak niewiele dało się zrobić.

- Nie zdążymy - mruknął technik. - Transmisje z tego kanału mają z założenia bezwzględny priorytet. Specjalnie zbudowaliśmy ten system, żeby nie można go było wyłączyć.

Wyświetlacz na stacji Turata informował, że już dziewięćdziesiąt pięć procent odbiorców potwierdzi gotowość do przyjęcia transmisji.

- Zróbcie coś - prosił. Jeśli pozwolimy włamać się piratowi na kanał pierwszy, skończymy jako zwykli instalatorzy. O ile szczęście dopisze, oczywiście.

Ale nie mieli już czasu na nic. Na ekranie pojawiły się same zera i błękitne tło zaczęło blednąć.

Turat spojrzął na swoją stację i pomyślał, jak liczna publiczność obejrzy to, co za chwilę nadejdzie. O tych niezliczonych tysiącach odbiorników i rejestratorów, i siedzących przy nich oficjelach z osobami towarzyszącymi. Ministrach, dyplomatach, doradcach, władcach planet obudzonych ze snu, odwołanych od codziennych obowiązków i spraw prywatnych, i tkwiących teraz przed monitorami wszędzie, od Bospina po Byss.

Turant II Feen nie potrafił siedzieć spokojnie wraz z tą rzeszą istot i patrzeć cierpliwie, jak jego kariera zawodowa dobiega końca. Gdy przekaz się zaczął, wstał od stacji, odwrócił się i wyszedł.

- Obywatele Nowej Republiki...

Tyle tylko usłyszał, nim zamknął za sobą drzwi. W swej niewiedzy należał to nader nielicznej mniejszości.

W chwili rozpoczęcia transmisji w oficjalnym skrzydle rezydencji prezydenckiej trwały akurat spóźnione spotkanie, na którym Behn-kihl-nahm, admirał Ackbar, admirał Drayson, Leia i Han zastanawiali się, jak przekazać światu prawdę o dokonanych przez Yeyethan masakrach i jaką strategię obrać potem, gdy media już podchwycają temat.

Na dłuższą chwilę utknęli w martwym punkcie. Leia nie chciała eksponować orędzia Plata Mallara i właśnie wyjaśniła, dlaczego, gdy wszystkie cztery minikompy nż stole zaczęły brzęczeć ostrzegawczo.

- Kanał pierwszy - oznajmiła Leia, wyłączwszy alarm. - Czy któryś z was...

- Nie - powiedział Ackbar.

- W żadnym razie - dodał Behn-kihl-nahm.

- Zatem kto? - spytał Drayson.

- Mam złe przecucia - mruknął ponuro Han.

Holomonitor na szczytowej ścianie sam włączył się, na kanał pierwszy.

- Obywatele Nowej Republiki - powiedział wizerunek Nila Spaara. - Przepraszam uniżenie za nachodzenie was w waszych domach, przepraszam też z góry za to, że złe wieści przyjdzie mi wam przekazać.

Behn-kihl-nahm aż poczerwieniał ze złości.

- Jeśli któryś senator maczał w tym palce...

- Cisza- polecił ostro Drayson.

- Jestem wicekrólem Ligi Duskańskiej, wolnej federacji światów Yevethów w skupisku gwiazdnym, które wy zwiecie Koornacht - ciągnął Nil Spaar. - Pojawiam się przed wami po raz drugi, aby opowiedzieć wam o zdarzeniach, które miały miejsce daleko od waszych domów i ostrzec przed niebezpieczeństwem wcale me tak odległym. Wręcz przeciwnie. Dwa dni temu siły Protektoratu Yeveckiego skutecznie udaremniły

skrytobójczy zamach na nasz lud i nasz styl życia. W spisku brali udział mieszkańcy trzech planet...

- Trzech? - zdziwił się Behn-kihl-nahm. - Albo nie potrafia liczyć, albo prawda jest im z gruntu obca.

- ... znajdujących się na granicach naszych własnych terytoriów. Obcy, którym wspaniałomyślnie pozwoliliśmy osiedlić się na ziemi Yevethów, zawiedli nasze zaufanie i pogardzili naszą gościnnością. Jak odkryliśmy, w tajemnicy pomagali naszym wrogom w przygotowaniach do inwazji. Musieliśmy przeciwstawić się bezpośredniemu zagrożeniu. Działaliśmy szybko i zdecydowanie, wyłącznie we własnej obronie i nie zamierzamy nikogo za to przeproszać. Wszyscy odpowiedzialni zostali ukarani za swoje zbrodnie...

- Wielkie gwiazdy - mruknął Ackbar. - On żąda uznania masakr za usprawiedliwione i zasadne.

- ... jednak wy, na waszych światach, pozostajecie w niebezpieczeństwie. Spisek przeciwko wam został zawiązany na Coruscant. Jego autorzy to nowe pokolenie wojowniczych satrapów. Są naszymi wrogami nie dlatego, że my tego pragniemy, ale ponieważ sami tak zdecydowali. To także wasi wrogowie. Skrywają swe prawdziwe złe oblicza pod maskami zwolenników jawnych rządów. Ostrzegam, że niedocenianie ich perfidii może was wiele kosztować. Oto zrodziło się Nowe Imperium. Zdradzono wasze marzenia. Zaufaliście wodzom niemoralnym i oszukańczym. Oskarżam niniejszym panią prezydent, księżniczkę Leię Organę Solo o zbrodnię sprzeniewierzenia się powinnościom związanym z jej urzędem i o spisek wymierzony przeciwko memu ludowi. Nawet teraz, gdy jej knowania zostały odkryte, wciąż nam grozi. Okrepty wojenne Nowej Republiki znajdują się w tej chwili w sektorze Farlax. Mają wymusić moje milczenie i naszą uległość. Wasza pani prezydent pożąda naszych bogactw i obawia się naszej niezależności.

Ale wiedzcie - Yevethowie nigdy nie ugną karków przed tą kobietą i jej najemnymi zabójcami. Z całą siłą stawimy opór. Jej szpiedzy i konspiratorzy mogli się już o tym przekonać. Jej generałowie przekonają się wkrótce. Stawimy opór i zwyciężymy.

Odczuwam żal z powodu śmierci tych, którzy już zginęli. Ale wina spada na nią i na tych, którzy ślepo jej służą. Mamy prawo się bronić. Nigdy nie uznamy władzy wojowniczego Coruscant nad naszym dominium. I nie będziemy tolerować czynionych przez córkę Dartha Vadera prób ingerowania w nasze sprawy wewnętrzne. Jeśli jej nie odwołacie, jeśli jakoś jej nie powstrzymacie, bądźcie gotowi do wojny.

OD AUTORA

Troje ludzi przede wszystkim zasłużyło na moją wdzięczność, wdzięczność tak głęboką, że aż trudno wyrazić ją słowami, które nijak nie odbiją szczodrości ich darów. To Gwendolyn Zak, moja najlepsza przyjaciółka, niezmienna w uczuciu, cierpliwości, wsparciu i lojalności; Tom Dupree, mój wydawca, który uwierzył we mnie i dał mi szansę; Ross Galen, mój agent, który zaręczył głową za mnie w szczerzej nadziei, iż nie będzie musiał się z nią rozstawać. Ta książka nie powstałaby bez ich pomocy.

Pragnę też podziękować pierwszym czytelnikom: Gwen, Mattowi i Arlyn za pomocne uwagi i spostrzeżenia („A mnie się zdawało, że rozwalisz ten statek w poprzednim rozdziale”) oraz zagrzewanie do pracy („Dobra, a co dalej? Nie ma? Pisać mi zaraz!”). Sue Rostoni z Lucasfilm wdzięczny jestem za sprawne dostarczanie mi wszystkich potrzebnych materiałów i nadzór, bym nie złamał żadnego z licznych kanonów Gwiezdných Wojen, co próbowałem uczynić niemal na każdym kroku. Bratnim duszom mającym swój udział w cyklu, to jest Vondzie McIntyre, Rogerowi McBride, Allenowi i Kelvinowi J. Andersonowi dziękuję iż zechcieli podzielić się ze mną doświadczeniem i znajomością gęsto zaminowanego poletka Gwiezdných Wojen. Pomocą w szczegółowych kwestiach i ogólną zachętą służyli również Rich Mason, Timothy O’Brien, Matt Hart, Skip Shayotovich i wielu innych fanatyków Gwiezdných Wojen obecnych na Genie i CompuServe.

W trakcie pisania *Przed burzą* zdarzyła mi się z dawna oczekiwana przeprowadzka i jeszcze pilniej wypatrywane narodziny córki. Dzięki poświęceniu Roda i Marion Zaków, Tracy Holland, Grega Cronaua, Arly Wilson, Mary Ellen Wessels, Faye Wessels, Mike'a Thelana, Roberta Kennedy'ego oraz innych przyjaciół i członków rodziny udało mi się przetrwać oba wydarzenia bez szwanku i przerw w pracy.

Na koniec chcę podziękować George'owi Lucasowi, iż stworzył owo wspaniałe uniwersum, które pierwszy raz dane było mi odwiedzić przed prawie dwudziestu laty w kinie w Mishawaka w stanie Indiana. Gdyby ktoś powiedział mi wówczas, że pewnego dnia będę mógł dodać coś do życiorysów Luke'a, Hana, Leii i ich przyjaciół i wrogów, roześmiałbym mu się w twarz. Zresztą, i dziś wydaje mi się to całkiem zabawne.

Michael P. Kube-McDowell
12 września 1995
Okemos, Michigan